

Alexandra Potter

ostrożnie z marzeniami

przełożyła Monika Bukowska

WYDAWNICTWO ZNAK • KRAKÓW 2008

Tytuł oryginału

Be Careful What You Wish For

Copyright © 2006 by Alexandra Potter

Projekt okładki Katarzyna Borkowska

Fotografia na pierwszej stronie okładki

Copyright©Stone/GettyImages/FlashPressMedia

Copyright © Photographeris Cho.ce RF / Getty Images / Flash

Media

Fotografia na czwartej stronie okładki z archiwum autorki

Opieka redakcyjna Ewa Bolińska

Adiustacja

Anastazja Oleśkiewicz

Korekta

Mirosław Ruszkiewicz

Projekt typograficzny Irena Jagocha

Łamanie MELES-DESIGN

Książki z nowej strony: www.znak.com.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kolciuszka 105

infolinia: 0800-130-082, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl □ Gadu-Gadu: 8182

Dla Saara,

/(tory udowodnił mi, że marzenia naprawdę

mogę się spełnić

Na świecie istnieją tylko dwa rodzaje tragedii. Pierwszy - kiedy nie dostajesz tego,

czego pragniesz, a drugi — kiedy to dostajesz.

Oscar Wilde

*

1

Macie jakieś marzenia : Czego pragniecie najbardziej?

Może pokoju na świecie?

Wynalezienia lekarstwa przeciwko AIDS?

A może marzycie o zgrabnym tyłeczku?

Krzywiąc się z bólu, bo oto moje nowe eleganckie sandały na rzemykach otarły mi stopy i utworzyły dwa bąble wielkości meduzy na dużych palcach u nóg, naciskam przycisk na przejściu dla pieszych i czekam na chodniku. Chodzi mi o to, że chociaż marzenia mam)' różne, to wszyscy czegoś pragniemy, prawda? Każdy, ale to każdy z nas. Odwijam baton jogurtowy z musli, który stanowi moje śniadanie, i spoglądam na swoją pulsującą stopę, fa też niczym się od innych nie różnię. Tyle że podczas gdy wszyscy wokół pragną pomagać ludzkości, zmieniać świat albo robią wszystko, by wyglądać bosko w skąnym bikini, ja stoję tutaj, patrzę na swoje bąble, i wiecie, o czym marzę?

— Auć!

Jakby wiedział, że o nim mowa, pęcherz pęka i płyn limfa-tyczny zaczyna mi się sączyć między palcami.

Marzę o zwykłych klapkach.

Jest prawie potowa lipca i Wielka Brytania dusi się w uścisku lali upałów. Dla większości spragnionej słońca populacji

7

oznacza to czystą przyjemność - słońce, lody, pikniki w parku i leżaki w ogrodach. Dla nas, londyńczyków, to piekło. Pot leje się z każdego. Od żaru skóra jest podrażniona, a ludzie rozdrażnieni. Zatłoczone biura, cuchnące spaliny i pociągi metra bez klimatyzacji sprawiają, że życie staje się nie do zniesienia.

Tak jak i ból w moich stopach. Klnąc pod nosem, wygrzebuję z torebki jakąś starą chusteczkę i kucam na chodniku.

Wyglądasz jak prawdziwa dama — mrużę do siebie, ocierając z górnej wargi osad ze stopionego podkładu i wpychając postrzępioną chusteczkę między palce stóp. Czasem zastanawiam się, po co w ogóle zawracam sobie głowę kupowaniem „Instyle” co miesiąc, skoro sama wiem, co zrobić, by wyglądać modnie i z klasą. Cios w plecy uświadamia mi, że światła się zmieniły, więc prostuję się i utykając, wlokę się na drugą stronę ulicy. Nagle ze wszystkich stron otacza mnie tłum londyńczyków gadających przez komórki, palących papierosy i siorbiących kawę z jednorazowych kubków. Wszyscy gdzieś pędzą, przepychają się, potracają, wpadają na siebie. Czyjaś aktówka uderza mnie w łydkę i wyję z bólu. To nie pierwszy raz, kiedy w mojej głowie gości myśl, że chciałabym mieszkać nad morzem. A nie na przedmieściach stolicy, gdzie nie ma czym oddychać, w tym antypatycznym miejscu, które od sześciu lat nazywam swoim domem.

Udaje mi się jakoś dokuśtykać do chodnika, zanim z sygnalizacji świetlnej znika zielony ludzik, po czym kulejąc, idę wzdłuż Marylebone Road. Szczerze mówiąc, czasem mam wrażenie, jakby całe moje życie było pasmem wypowiedzianych życzeń. Nie takich, które mają diametralnie zmienić żywot - na przykład żeby nagle okazało się, że Brad Pitt kręci swój najnowszy film w moim sąsiedztwie i chce, bym to

8

ja, Heather Hamilton, wystąpiła u jego boku w głównej roli kobiecej.

No właśnie, nie mówię o tym rodzaju marzeń. Nie mówię o tych z gatunku „zamknij oczy i wypowiedz życzenie”, przy których trzeba wrzucać monety do fontanny, wyglądać spadających gwiazd czy pocierać lampę Aladyna. Mówię o tych wszystkich zwyczajnych, mimowolnych i tak naprawdę przyziemnych marzeniach, które wypowiadam w myślach dziesiątki razy dziennie, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Dla mnie życzenia nie mają nic wspólnego z magią, są po prostu częścią codziennego życia.

Jak na przykład to, że chciałabym móc cofnąć czas o kilka minut i powstrzymać się od zjedzenia tego ogromnego batona.

Nagle dociera do mnie, że trzymam w ręku pusty papierek i odzywa się we mnie poczucie winy. Owszem, kupiłam go w sklepie ze zdrową żywnością, gdzie leżał na

półce obok suszonych moreli i brązowego ryżu, ale kogo próbuję oszukać? Przecież dobrze wiem, że tak naprawdę nie jest zdrowy. Zerkam na informację o wartości odżywczej. O Boże, to ma być zdrowe? Na opakowaniu powinno się raczej znajdować ostrzeżenie o szkodliwości dla zdrowia! Czy macie pojęcie, ile gramów tłuszczu zawiera taki baton jogurtowy z musli?!

Zgniatając papierek, wciskam go pośpiesznie do torby, jak zwykle pełnej różnych śmieci — są tam i przeciekające długopisy, i zabłąkany tampon, a także kredka do ust bez zakrętki, pokryta już jakimiś kłaczkami. A, i jeszcze kilka wydruków z elektronicznych wag w drogeriach Boots.

A to mi właśnie przypomina o jeszcze jednym z moich marzeń. Poszłam ostatnio do Bootsa w przerwie na lunch tylko po to, by kupić tampony, ale gdy weszłam do środka, nie

9

mogłam się oprzeć, by nie wejść na wagę, i przeszło mi przez myśl jedno życzenie — by mały wyświetlacz oznajmił mi, że ważę poniżej sześćdziesięciu kilo — ale nie, jak się okazało, wazvłam nieco ponad.

No dobrze, całe dwa i pół kilo. Ale jestem pewna, że same ciuchy tyle ważą.

Gdy tak biegnę ulicą, zaczynam odczuwać ssanie w żołądku. Przyszło mi teraz do głowy, iż tak naprawdę wypowiadam w myślach tyle życzeń, że nawet nie jestem pewna, czyje wszystkie pamiętam. Weźmy na przykład ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Gdybym musiała je spisać, efektem byłaby spora lista...

Chciałabym móc cofnąć czas i:

- zostać w domu ostatniego wieczoru, zamiast iść do baru karaoke z moją najlepszą przyjaciółką Jess;
- nie pić tam tequila na umór;
- zostać pochłoniętą przez rozstępującą się ziemię, zanim zaczęłam jodłować Woman In Love Barbry Streisand. Z zamkniętymi oczami. Piejąc jak kogut;
- powstrzymać się przed napisaniem esemesa do tego bydlaka, moje byłego faceta, gdy wróciłam do domu o drugiej nad ranem.

Myśląc o tym, rumienię się ze wstydu. Samo wysianie esemesa to jedno. Ale to, co

tam napisałam, to jeszcze inna sprawa.

- Nie wyciskać tego pryszczka na brodzie w toalecie w pracy.

Ale niestety, zrobiłam to i teraz cały podbródek mam obsypany jego kumplami, których wezwał na ratunek.

10

- Podśłuchawszy w metrze kobietę czytającą pod nosem artykuł w „Cosmopolitan” o wielokrotnych orgazmach, powstrzymać się od parsknięcia: „Hm, a co to takiego?”, w momencie gdy w wagonie panowała cisza jak makiem zasiał;

- usłyszeć od kogoś ostrzeżenie, że trzydzieste urodziny, owszem, oznaczają całą masę prezentów zapakowanych w papier ozdobny, ale bynajmniej nie wiążą się z początkiem fantastycznej kariery (mam rozumieć, że to nie przychodzi automatycznie?);

chciałabym ponadto:

- żeby faceci cierpieli na syndrom napięcia przedmie-sięczkowego;
- żeby w metrze zawsze było wolne siedzenie. I żadnych kolejek w Starbucksie.

Oraz miejsce na samochód na parkingu przed moim domem.

Znacie dowcip o tym, dlaczego kobiety nie potrafią parkować? Bo mężczyźni wmówili im, że piętnaście centymetrów to dużo. (To ten kawał, który ilustruje się, ściskając dwa palce.) Hm, w zeszłym tygodniu opowiedziałam go facetowi, który mieszka pod czterdziestką dwójką. Zaraz po tym, jak próbowałam wepchnąć swój samochód przed jego nowiutkie bmw i cofając, wjechałam wprost na nie. Nie roześmiał się. Dziwne.

- Wygrać w totka.

Przyznaję, to dosyć przewrotne życzenie, biorąc pod uwagę, że nigdy nie grałam w totka. Ale to jedna z tych rzeczy, które w marzeniach uwielbiam. Nie muszą być realistyczne.

11

- Żeby włosy zawsze idealnie mi się układały;
- żeby wczoraj, właśnie w momencie gdy nauczyciel jogi pomagał mi w wykonaniu stania na rękach, udało mi się powstrzymać od puszczenia paskudnego bąka;

- być w stanie wypić osiem szklanek wody dziennie.

Osiem pełnych szklanek! Jak mam się do tego zmusić, skoro to nie ma żadnego smaku?

- Spotkać faceta, którego hobby obejmuje zmywanie, mo-nogamię i grę wstępną. Zamiast robienia bałaganu, zdradzania i zabawy moim lewym sutkiem, która polega na wykrecaniu go w jedną i drugą stronę, jak gdyby to było pokrętło w radiu samochodowym, a jego celem miało być znalezienie Capital Radio. Nie żeby była to jakaś aluzja do Daniela, mojego byłego, bynajmniej.

- Nigdy więcej nie musieć udawać orgazmu.

(O, macie świetny przykład, że te marzenia nie muszą być realistyczne.)

- Żeby kremy przeciwzmarszczkowe rzeczywiście działały tak, jak jest napisane na opakowaniu;
- żeby w lodach Haagen Dazs z kawałkami czekolady nie było żadnych kalorii;
- nie wierzyć sprzedawcom, gdy twierdzą, że można samemu dobrze nanieść samoopalacz i że tajemnicą sukcesu jest wcześniejszy peeling ciała.

12

Spoglądałam na swoje nogi w pomarańczowe paski. Przypominają teraz leżak.

- Żeby tato nie ożenił się z tą dziwką z piekła rodem.

Która ma na imię Rosemary i jest doskonałym przykładem, że wredne macochy występują nie tylko w bajkach.

- Nie pożyczać iPod'a od mojego brata Eda, a już tym bardziej nie zabierać go na rolki.

Albo chociaż nie szpanować, jadąc tyłem, na skutek czego upadłam na pośladki.

Poprawka: na iPod'a, który teraz, delikatnie mówiąc, ma problemy z funkcjonowaniem.

- Żeby podczas płacenia za zakupy w Sainsburym przyjęto moją kartę kredytową. Już przez to, że ją odrzucono, myślałam, że się spalę ze wstydu, a co dopiero wtedy, gdy kierownik sklepu z surową miną wyprowadził mnie na zaplecze i zadzwonił do mojego banku, po czym wziął nożyczki i przeciął moją ukochaną kartę na pół, „na polecenie dyrektora oddziału”.

- Wyczuć ironię w głosie faceta z wypożyczalni kaset wideo, gdy polecał mi Rejs w nieznanie z Madonną jako „klasykę”.

„Fiu, fiu!” - słyszę przeciągły gwizd i odwracam się. Moim oczom ukazuje się grupa robotników gapiących się na mój biust. I w ten sposób gładko przechodzimy do kolejnego życzenia na mojej liście:

13

- mieć teraz na sobie stanik.

Spuszczam głowę i próbuję przejść obok nich jak gdyby nigdy nic. Po prostu zachowuj się, jakby ich nie było, Heather. Żadnego kontaktu wzrokowego.

Najzwyczajniej w świecie idź przed siebie i udawaj, że ich nie widzisz. Jeszcze kilka kroków i zaraz ich miniesz... Widzisz, nie taki diabeł straszny, jak go malują.

Robotnicy wcale nie są tacy źli.

- Pokaż cycki, mała!

- Chciałabym, żeby wszyscy robotnicy mieli małe penisy.

Oblewając się płomiennym rumieńcem, przechodzę szybko obok i by uniknąć ich wzroku, udaję, że patrzę na zegarek. I wtedy dociera do mnie, która jest godzina. O cholera.

- Chciałabym się nie spóźnić na spotkanie z Brianem w urzędzie stanu cywilnego, gdzie miałam być o dziesiątej!

Bo jest już dwadzieścia po. A on mnie zabije.

Na schodach przed wejściem do urzędu stanu cywilnego na Marylebone stoi szczupły, przystojny, siwowłosy mężczyzna w grafitowym garniturze, który mógłby uchodzić za pięć-dziesięciolatka, choć ma dziesięć lat więcej, i kiwa się w tył i w przód na obcasach swoich wypolerowanych na błysk butów. Zerka na zegarek, rozgląda się po ulicy, a potem wzdycha, spuszcza wzrok i zaczyna się przyglądać kwiatkowi w swojej butonierce. Różowy goździk zwiądnął od upału i mężczyzna bawi się nim nerwowo.

14

To Brian, i chociaż z powodu tłoku na chodniku nie może mnie dojrzeć, jak biegnę w jego stronę, ja widzę go doskonale. Wygląda dziwnie i rzuca się w oczy, gdy tak

stoi samotnie w dobrze skrojonym garniturze, z konfetti u swoich stóp. Kilku przechodniów spogląda na niego współczująco, jednak Brian nie zwraca na nich uwagi. Jest zbyt zajęty zerkaniami na zegarek i wygrzebywaniem komórki z kieszonki na piersi. Otwiera klapkę, wyszukuje numer, palcem wskazującym naciska klawiaturę tak niezdarnie, jak gdyby nie umiał się nią posługiwać, a potem przyciska telefon do ucha.

Jestem zaledwie sto metrów od niego, gdy słyszę znajomą melodię. Wsuwam rękę do torebki i szperam w niej, aż wreszcie znajduję telefon. Właśnie w momencie gdy przestał dzwonić. Cholera.

Wyjmuję go ze środka wraz z zestawem słuchawkowym, poplątanym jak zwykle, i wpatruję się w wyświetlacz. Jedno nieodebrane połączenie. W pośpiechu wybieram pocztę głosową. „Masz jedną nową wiadomość”.

Gdy czekam na jej odsłuchanie, macham nerwowo do Briana, ale stoi tyłem do mnie i widzę jedynie jego zgarbione plecy, gdy pochyla się, by zapalić papierosa.

„Mówi Brian. Stoję przed urzędem i powoli zaczynam się denerwować. Gdzie jesteś, Heather, do jasnej cholery?”

O rany!

Dopiero ton jego głosu uświadamia mi, że jestem w niezłych tarapatach. Wybieram opcję „odpowiedz” i Brian natychmiast odbiera.

- Heather?

-Tu jestem - dyszę, zachodząc go od tyłu i klepiąc w ramię.

To miała być próba humorystycznego rozładowania sytuacji, a zamiast tego o mało nie przyprawiłam go o zawał. Brian

15

odwraca się, trzymając się za serce, z zapalonym papierosem między palcami.

Spogląda na mnie oskarżycielsko.

- Spóźniłaś się - rzuca do telefonu. A wtedy dociera do niego absurd własnego zachowania, klnie pod nosem, zamyka klapkę i wsuwa telefon do kieszeni.

— Wiem i przepraszam — oświadczam, a potem próbuję się usprawiedliwić. —

Najpierw budzik mi nie zadzwonił, potem jazda metrem trwała w nieskończoność, a

do tego kupiłam te głupie sandały...

- W każdym razie dobrze, że już jesteś - przerywa mi, gasząc butem papierosa, po czym zapina marynarkę. Wszystko, co robi Brian, jest pośpieszne i nerwowe.

Przypomina mi małego ptaszka z nastroszonymi piórkami, który skacze tu i tam, kręcąc przy tym główką na wszystkie strony. - Pośpieszmy się — mówi, wygładzając kłapy marynarki i zdejmując niewidzialną nitkę z takim namaszczeniem, jak gdyby prasował swoje kalesony.

— Gdzie są wszyscy? — Biegnę za nim po schodach.

- W środku. Czekają na nas. - Otwiera drzwi i przepuszcza mnie przodem. —

Przyjechałem już dawno temu. Gdy długo cię nie było, wyszedłem na zewnątrz, na wypadek gdybyś się zgubiła.

— Jeszcze raz przepraszam — powtarzam i schylam się, by wziąć go pod ramię.

Jestem dużo wyższa od Briana, zwłaszcza w tych nowych butach, i muszę się garbić, gdy wchodzimy do ciemnego i chłodnego hallu. Tam zatrzymuję się na chwilę, by przyjrzeć się swojemu odbiciu w otoczonym pozłacaną ramą lustrze.

Jestem typowym rudzielcem: z bladą cerą i piegami, burzą czerwonych włosów oraz bolesnymi wspomnieniami z dzieciństwa, kiedy to przezywano mnie Marchewką, Wiewiórką i obrzucano paroma innymi epitetami lub rymowankami, któ-

16

rych tu nie przytoczę, a które odnosiły się nawet do włosów łonowych. Az dziwne, że nie muszę się poddawać psychoterapii przez resztę życia. Chodzę jedynie do fryzjera co sześć tygodni, gdzie robią mi blond pasemka, dzięki którym zamieniam się w rudawą blondynkę. Zwykle tez układam włosy przy pomocy prostownicy, ale przy tej temperaturze moje starania diabli wzięli. Próbuje je więc teraz wygładzić. I właśnie wtedy w lustrzanym odbiciu dostrzegam Briana, który stoi za moimi plecami i wpatruje się w podłogę.

— Co ci się stało w stopy: - pyta. Spoglądam w dół. A, o to chodzi.

-Padłam ofiarą mody — żartuję. Pochylam się i próbuję powtykać papier toaletowy między palce tak, aby nie wystawał i nie rzucał się w oczy.

Zazwyczaj w takiej sytuacji Brian by się roześmiał, rzucił jakąś dowcipną uwagę lub

zaczął wypytywać o moje ostatnie sklepowe zdobycze. W przeciwieństwie do większości mężczyzn w swoim wieku Brian stara się być na bieżąco z najnowszymi trendami w modzie — zawsze podkrada mi mój egzemplarz „\ogue”, chociaż uparcie twierdzi, że chce się tylko przyjrzeć fotografiom - i przywiązuje ogromną wagę do ubioru. Ale tym razem wzdycha niecierpliwie.

— Idziemy.: — powtarza przez zaciśnięte zęby. Widzę, że szczęka mu drży, gdy spogląda na mnie błyszczącymi szarymi oczyma. Nawet gdy jest w takim nastroju, muszę przyznać, że jest niesamowicie przystojny jak na starszego faceta.

— No... to znaczy tak, oczywiście — mamroczę, czując się jak dziecko skarcone za złe zachowanie.

Razem przechodzimy przez marmurowy hall, po którym nasze kroki rozlegają się głośnym echem. Przed nami znajdują się ogromne mahoniowe drzwi. Mruczając coś o tym, że wkrótce w urzędzie zacznie się kolejny ślub i że jeśli się nie

17

pośpieszymy, będzie niezłe zamieszanie, Brian sięga mosiężnej klamki.

Kładę mu rękę na ramieniu.

— Zaczekaj chwilę. — Wyciągam paczkę chusteczek z torebki, otwieram opakowanie i wyjmuję jedną. — Na pewno ci się przyda.

Brian dalej marszczy brwi.

Zaczynam mu machać przed oczyma małym trójkątem niczym białą flagą.

To wystarcza. Brian rozchmurza się, jego czoło się wygładza, a napięcie znika z jego twarzy.

— Przepraszam. Zacząłem się bać, że w ogóle się nie pojawisz. — Przyjmuje mój dar na przeprosiny i wpycha go zrecznie do rękawa.

— Co? Myślałeś, że porzucę cię przed ślubem? - szepczę. Kąciki jego ust zaczynają drgać.

— Mhm, coś w tym stylu.

Uśmiechamy się do siebie. Brian poprawia krawat, a potem fryzurę, żeby ukryć prześwity łysiny, i prostuje się.

— Gotowa?

Pociągam w dół rąbek spódnicy i wtykam niesforny lok za ucho.

— Gotowa — kiwam głową, lekko zdenerwowana.

Oboje patrzymy przed siebie, przybierając poważny wyraz twarzy.

— Świetnie. — Brian naciska klamkę i bierze głęboki oddech. — A zatem do roboty.

2

Już od progu wita nas widok różnokolorowych kapeluszy, których strusie pióra i jedwabne koronki powiewają na skutek pracy wentylatorów przytwierdzonych do sufitu. Pomieszczenie jest zatłoczone do granic możliwości. Odświętnie ubrani goście siedzą ramię w ramię, wiercą się zniecierpliwieni z powodu panującej duchoty i przekazują sobie nawzajem rodzinne plotki. Kilkoro znudzonych dzieci bawi się w berka wokół dwóch ogromnych kwiecistych dekoracji, które pełnią straż po obu stronach wejścia jak para białoliliowych bramkarzy. Gdzieś w tłumie słychać płacz niemowlęcia.

Nikt nie zauważa mnie i Briana wchodzących od tyłu, z wyjątkiem urzędnika, który czeka na nas na końcu przejścia. Ubrany w jaskrawą koszulę i sandały, rzuca nam spojrzenie pełne ulgi i śpieszy w naszym kierunku. A może raczej powinnam powiedzieć — truchta. Graham Norton jest chyba jego idolem.

— Uf, dobrze, że jesteście — oznajmia teatralnym szeptem. — Myślałem już, że zaraz dojdzie do zamieszek. — Drapiąc się po koziej bródce, wodzi ciężkim wzrokiem po zgromadzonych.

— Proszę się nie martwić, posiłki już przybyły — oświadcza Brian, po czym wyjmuje z kieszeni mały czarny przedmiot

19

i wyciąga go przed siebie. Urzędnik spogląda na niego ze zdziwieniem.

- Co to takiego?

- Światłomierz - odpowiadam i dostrzegam sprzęt zgromadzony w kącie sali.

Otwieram wielką czarną torbę, wyciągam statyw i zaczynam przytwierdzać do niego aparat. - Musimy zmierzyć natężenie światła.

Urzędnik kiwa głową.

- A, rozumiem.

- Jako fotograf ślubny powinienem zrobić wszystko, żeby nowożeńcy dostali zdjęcia, o jakich zawsze marzyli — wyjaśnia Brian, sięgając po aparat i dobierając obiektyw.

- Ponieważ wspomnienia blakną...

Przyłączam się jak na umówione hasło:

—... a zdjęcia zostają na całe życie — kończymy już obydwój.

- Oto motto firmy „Na zawsze razem” — ciągnie Brian z wyraźną dumą w głosie.

Podaje mi dekielek na obiektyw i nastawia ostrość na urzędnika. - Sam to wymyśliłem.

- Naprawdę? —Na jego twarzy maluje się powątpiewanie. — Myślałem, że to od dawna znane powiedzenie...

Przesłona uwalnia się z hałasem i Brian robi mu zdjęcie z zaskoczenia.

- O rany! - Z ustami szeroko otwartymi jak ryba, urzędnik stoi przez chwilę bez ruchu i mruga oczami, oślepiiony błyskiem flesza. A to skupia na nas uwagę weselnym gości, którzy zniecierpliwieni odwracają się w naszą stronę.

Gdy wszystkie oczy zwracają się w naszym kierunku, na sali zapada cisza. Ale wiem, że nie patrzą na nas — jesteśmy w końcu tylko fotografami — gdyż bardziej interesuje ich to, co z a nami: kołyszące się otwarte drzwi i odgłos włączanego magnetofonu. Dźwięk saksofonu wypełnia salę, po czym

20

Whitney Houston zaczyna śpiewać / Will Always Love You. Gdy urzędnik truchta z powrotem na swoje miejsce, Brian i ja również zajmujemy pozycje. Zaraz zaczynamy.

Nie mogę się doczekać. Za chwilę wejdzie z pompą panna młoda i wreszcie wszyscy ujrzą sukienkę. To mój ulubiony fragment ceremonii. W końcu większość kobiet w pewnym momencie swojego życia myślała z rozmarzeniem o tym, w co będzie ubrana na własnym ślubie. Gdy miałam jakieś sześć lat, najbardziej lubiłam przebierać się w moją białą nocną koszulkę oraz stary welon ślubny mamy i udawać, że wychodzę za Barneya, mojego pluszowego misia. Pewnego dnia przewróciłam się i wpadłam do błota w ogrodzie. Mama, gdy ocierała mi łzy, powiedziała, że i tak

wyglądam przepięknie — ponieważ każda panna młoda wygląda przepięknie w dniu swojego ślubu. Dopiero gdy zaczęłam tu pracować, zdałam sobie sprawę, że mama wcisnęła mi kit.

Owszem, widziałam mnóstwo panien młodych, które wyglądały w swoich sukienkach przepięknie, ale widziałam również wielkie białe bezy, na które aż żal było patrzeć, pamiątki rodowe, które powinny zostać na strychu, i gorsety tak ciasno zawiązane, że panny młode dosłownie wylewały się z nich jak lody z wafelka. Nie wspominając już o koszmarnych welonach, tandetnych tiarach i kilkumetrowych cekinowych trenach. Daję słowo, autorki książki *Ja\|sif* nie ubieraćmiałyby tu pole do popisu. Ale, hm, kto mi dał prawo wydawać jakieś sądy w tej dziedzinie? W końcu mam papier toaletowy wetknięty między palce u nóg.

Na sali rozlega się głośny szloch matki panny młodej. Słysząc ochy i achy ze strony starszych krewnych. A także stłumiony chichot jednego z chłopców, który grał w berka, za co ojciec wykręca mu ucho.

21

Ja natomiast z trudem powstrzymuję się od jęku. Ale tym razem nie z powodu bąbli na nogach.

Moim oczom ukazuje się ubrana w różową sukienkę, przypominającą stroje noszone przez hiszpańskie tancerki flamenco, panna, hm, młoda, która jest w takim wieku, że mogłaby być moją matką. Chociaż nie, przepraszam. Moją babką.

— Wyglądasz fantastycznie, kochana — wyrzuca z siebie Brian, pstrykając zdjęcie za zdjęciem.

Cóż mogę powiedzieć? Ten facet to zawodowiec.

— Sukienka jest oszałamiająca... proszę się przesunąć nieco w lewo... naprawdę oszałamiająca... A teraz szeroki uśmiech do obiektywu...

Podaję mu nową rolkę filmu i obserwuję go z uwielbieniem. Brian zajmuje się tym od tak dawna, że ślubna gorączka udziela mu się na całego. Nie ma znaczenia, czy sukienki są duże czy małe, tradycyjne czy ekstrawaganckie, uwielbia każdą, dosłownie każdą z nich. Sam ożenił się raz, mając niewiele ponad dwadzieścia lat, z modelką o imieniu Phoebe, ale rozwiedli się po przyjacielsku po kilku latach (nie

jestem pewna, czy było to przed tym, gdy wyznał, że jest gejem, czy już po) i od tamtej pory ma za sobą parę nieudanych związków.

Ale nie zabiło to w nim romantyzmu. Powiedziałabym raczej, że nawet wzmogło. Oczy zachodzą mu mgłą już na sam widok wstążki falującej z przodu ślubnej limuzyny. Słuchając marsza weselnego, nie potrafi się powstrzymać od ocierania łez rękawem, a podczas składania życzeń zawsze pożyczka od matki panny młodej chusteczki, by wydmuchać nos. Rozkleja się jak dziecko. Zanim padną słowa „dopóki śmierć nas nie rozłączy”, musi wyjść na zewnątrz, by zaczerpnąć nieco świeżego powietrza.

Skutkiem czego ja przejmuję stery. Oficjalnie jestem tylko jego asystentką, ale zwykle kończy się na tym, że to ja robię większość zdjęć. Pomimo niepisanej reguły obowiązku-

22

jącej w społeczeństwie, która każe kobietom rozplýwać się w zachwytach nad niemowlętami, zwierzakami, pluszowymi zabawkami i — przede wszystkim — wzruszać się na ślubach, na mnie po prostu nie robią one wrażenia. Nie oznacza to, że jestem przeciwniczką małżeństwa, o nie. Uważam bowiem, że to cudowne — zakochać się do szaleństwa i żyć szczęśliwie, aż po grób. Chyba każdy tak ma, prawda? Ale jakoś ostatnio zaczęłam się zastanawiać, czy miłość aż po grób w ogóle istnieje. Może raczej formuła ta powinna brzmieć „żyć szczęśliwie przez jakiś czas”, albo „żyć szczęśliwie, aż się sobie znudzicie”. Albo, jak w wypadku moim i mojego byłego — „żyć szczęśliwie, dopóki on nie zacznie posuwać dziewczyny z działu marketingu”. Nie żeby przemawiała przeze mnie gorycz.

Gwałtowne wydmuchanie nosa przywraca mnie do porządku i kieruje moje spojrzenie na Briana trzymającego chusteczkę. Oczy ma już czerwone i zapuchnięte i próbuje skupić się na młodej parze, która właśnie składa przysięgę. Klepię go pocieszająco po plecach i podaję suchą chusteczkę, po czym wyjmuję mu aparat z rąk. Spoglądam przez obiektyw i nastawiam ostrość na szczęśliwych nowożeńców.

- Priscillo Klein, chcę, żebyś wiedziała, że mimo iż byłem już żonaty osiem razy, to małżeństwo będzie już na zawsze...

- Davidzie Wolstenhume, przysięgam, że zawsze będę cię kochać i szanować, nawet gdy będziesz musiał wrócić za tamte mury...

A to przywodzi mi na myśl następne życzenie:

- żeby, gdy będę brać ślub, mieć na sobie coś innego niż różowa sukienka flamenco. I nie wychodzić za faceta, który ma wrócić do więzienia.

Flesz błyska i robię im zdjęcie. A potem kolejne, i kolejne.

23

Po skończonej ceremonii pakujemy aparaty i Brian proponuje mi podwiezienie do stacji metra. Tyle że są roboty drogowe, cała Marylebone Road jest zapchana i my również kończymy w korkach.

Osuwam się na siedzeniu, podnoszę bosą stopę na deskę rozdzielczą i opuszczam szybę. Jedziemy minivanem z napisem „Na zawsze razem” wymalowanym z boku ozdobnymi literami. Z początku Brian chciał, by znajdował się on na tle konfetti, ale malarz liczył sobie za godzinę pracy, a konfetti jest najwyraźniej skomplikowane i czasochłonne, więc mój szef poprzestał na srebrnej podkowie i dwóch dzwoneczkach.

Brian nie zajmuje się fotografią ślubną od zawsze. Kiedyś był jednym ze znanych paparazzich, jeździł po świecie, pstrykał fotki gwiazdom na szumnych premierach filmowych, ale śmierć księżnej Diany zmieniła wszystko. Brian jest zagorzałym rojalistą. Ma na wideo wszystkie śluby w rodzinie królewskiej, pije herbatę ze swojego ukochanego kubka upamiętniającego dwudziestopięciolecie wstąpienia na tron królowej Elżbiety, i dosłownie płakał, gdy królewski jacht Britannia został wycofany ze służby. Gdy zmarła Diana, był załamany. Jako jeden z paparazzich czuł się po części winny jej śmierci, więc rzucił to zajęcie, odwiesił teleobiektywy i odstawił w kąt przenośne drabinki, po czym założył „Na zawsze razem”.

I wtedy pojawiłam się na scenie ja.

Byłam właśnie świeżo upieczoną absolwentką fotografii i odpowiedziałam na jego ogłoszenie, gdy szukał asystentki. Nie była to moja wymarzona praca - chodziłam wówczas ubrana od stóp do głów na czarno i robiłam posępne zdjęcia graffiti na ścianach - ale uznałam to zajęcie za dobry punkt zaczepienia. Na jakiś czas, tak żeby

zdobyć nieco doświadczenia, spłacić kredyt studencki i dać sobie czas na stworzenie
24

portfolio, zanim zostanę freelancerem. Ale minęło sześć lat, a ja ciągle tu jestem. Sześć lat! Aż trudno w to uwierzyć. Nie żebym nie szukała czegoś innego, ale w tej pracy liczą się znajomości i nawiązane kontakty, a przede wszystkim musi się nadarzyć życiowa szansa. Ja na swoją wciąż czekam. Powtarzam sobie, że kiedyś nadejdzie. Ze pewnego dnia stanę się drugą Annie Leibovitz, że będę mieć wystawy w szpanerskich galeriach w Soho, robić zdjęcia na okładki czasopism i gazet...

Halo! Ziemia wzywa Heather!

— I jak ci się podobał ślub? — pyta Brian.

Spoglądałam na niego ponad hamulcem ręcznym. Pokryty konfetti Brian pali papierosa i przegląda rozłożony na kierownicy „Evening Standard”.

— Całkiem ciekawy — stwierdzam niepewnie, trochę tak jak wtedy, gdy się zaczyna mówić o filmie i nie jest się pewnym, czy drugiej osobie się podobał. — A tobie?

Strzepując popiół przez okno, Brian potakuje.

— Hm, był taki... inny — komentuje wymijająco.

— Chociaż jeśli chodzi o sukienkę... — zaczynam ostrożnie.

— Wiesz, miałem wrażenie, że zapomniała kastanietów. Zaczynam chichotać, a mój szef wybucha rześącym śmiechem.

— Dajmy im spokój, chyba jesteśmy rozpuszczeni. - Brian próbuje odzyskać powagę. — Nie było aż tak źle.

— Owszem, było. — Uśmiecham się i wtedy się zaczyna. To taka nasza tradycja — tak jak wtedy, gdy wraca się z chłopakiem z imprezy i całą drogę w samochodzie spędza się na obgadywaniu znajomych.

— Widziałaś drużny? Były obłędne.

— Zwłaszcza ta mała blondynka, która uparła się, że musi mieć na głowie uszy a la króliczek Playboya.

25

— A co powiesz o chwili, gdy drużba zgubił obrączki? Bardzo się przejął, biedaczek.

— I pokrył nerwową wysypką.

— A potem zaczął się drapać po całym ciele.

— Widziałam, jak włożył ręce do majtek.

— Chyba żartujesz.

— Przysięgam! Mam to na zdjęciu.

— Hm, to będzie świetna fotka.

Oboje wybuchamy śmiechem. Ta absurdalna praca dostarcza nam porcji niezłej rozrywki.

— To o której jesteśmy umówieni na jutrzejszy ślub? — Ocieram załzawione oczy.

— Obiecuję, że tym razem się nie spóźnię. Sprawię sobie nowy budzik.

— Nie przejmuj się. Jutro będziesz się mogła wyspać. Spoglądam na niego ze zdziwieniem.

— Ale przecież jest weekend — przypominam mu. Dla ludzi pracujących w branży weselnej weekendy to istne szaleństwo.

— Wiem. I daję ci jutro wolne.

— Wolne? — powtarzam z niedowierzaniem. — W sobotę? — Gdy docierają do mnie słowa Briana, zalewa mnie euforia, którą czuje człowiek, gdy zdaje sobie sprawę, że następnego dnia nie musi iść do pracy. Nie pamiętam, kiedy ostatnio miałam dla siebie cały weekend. Jak cudownie! Mogę spać do oporu. Mogę się byczyć w ogródku za domem i czytać głupawe czasopisma. Mogę spędzić cały weekend w łóżku, oglądając teledyski i jedząc pizzę na wynos... sama.

Nagle mój wolny dzień traci swój urok. Weekendy stworzone są dla par. W weekendy ma się wrażenie, jakby miasto nagle zamieniło się w arkę Noego — ludzie spacerują dwójkami po parkach, siedzą we dwoje przy stoliku w kawiarni, a w kinach jedzą popcorn ze wspólnego opakowania. Zwykle spotykam się wtedy ze swoją przyjaciółką Jess. Większość osób

26

z naszej starej paczki jest już od dawna w stałych związkach, a że ona też nie ma faceta, to we dwójkę ^est nam taxmą. Me Jess jest stewardesą i w ten weekend poleciała do Delhi.

— Jesteś pewien? W soboty jest zawsze najwięcej pracy.

— Było — poprawia mnie Brian. — Na razie mamy zastój w interesie.

To prawda. Zauważyłam, że liczba zleceń zmalała w ciągu ostatnich kilku miesięcy, ale nie przywiązywałam do tego większej wagi. Teraz dopiero dostrzegam, że Brian jest lekko przygarbiony, a przez jego czoło biegnie wielka bruzda. Coś jest nie tak.

— Zresztą niedługo będziesz mieć dużo więcej wolnych weekendów — dodaje.

— Czy firma ma jakieś problemy? Następuje znacząca cisza.

— Właśnie miałem z tobą o tym porozmawiać... — Brian wzdycha, odwraca się w moją stronę i ogarniają mnie złe przeczucia. Z pewnością coś jest nie tak. — Nie chcę, żebyś wpadała w panikę...

Na te słowa wpadam w panikę.

— ... ponieważ jesteś świetną asystentką i naprawdę utalentowanym fotografikiem...

O Boże, on mnie zwalnia.

— ... i cudownie mi się z tobą pracowało.

Pracowało? Czy Brian powiedział: pracowało? W czasie przeszłym? Żołądek kurczy mi się tak, że zapominam o bąblach na nogach. Aż do tej chwili nawet przez myśl mi nie przeszło, że mogę stracić pracę. Byłam zbyt zajęta skarżeniem się na nią i marzeniami, że uda mi się znaleźć coś lepszego. Teraz, gdy widmo bezrobocia stanęło mi przed oczyma, zaczynam dostrzegać jej ogromne plusy. Mogę chodzić do pracy w zwiewnych sukienkach i sandałach, zapychać się

27

kanapkami z wędzonym łososiem i tortem weselnym w ramach lunchu, mieć szefa takiego jak Brian...

- Nie zwalniamy mnie, proszę - wyrzucam z siebie.

- Zwolnić cię? — W głosie Briana maluje się absolutne zdziwienie. — Na Boga, nie! Dlaczego miałbym zwalniać najlepszą asystentkę, jaką kiedykolwiek miałem?

- Myślałam... — zaczynam zmieszana.

-Ale możliwe, że będę musiał pozwolić ci odejść.

Serce mi się kraje. Brian zachowuje się jak faceci, którzy gdy z nami zrywają i chcą, żebyśmy się poczuły lepiej, mówią, że to nie o nas chodzi, że to w nich tkwi problem.

Nieważne, w jaki sposób to oznajmniają, rezultat jest dokładnie taki sam: tak czy

inaczej jesteśmy porzucone.

- Chcę tylko powiedzieć, że od strony finansowej sytuacja nie wygląda najlepiej... — Gasi papierosa w popielniczkę i sięga do schowka po odświeżacz powietrza. — I wydaje mi się, Heather, że lepiej będzie dla ciebie, jeśli już teraz zaczniesz się rozglądać za nową pracę. — Spogląda na mnie i obserwuje moją reakcję.

- Jest aż tak źle? - pytam cicho.

- Jest jeszcze gorzej. — Wnętrze furgonetki dostaje porządną dawkę morskiej bryzy w sprayu. Zadowolony z rezultatu Brian wrzuca puszkę z powrotem do schowka i odwraca się w moją stronę. — Bank zażądał spłaty pożyczki.

Nagle Brian wygląda jak ktoś, kto dźwiga na swych barkach cały świat. Jego oczy wydają się jeszcze bardziej podkrążone, a bruzdy na policzkach jeszcze głębsze. Robi wrażenie człowieka przegranego. Jeszcze nigdy nie widziałam go w takim stanie.

- Może jeszcze wszystko się ułoży - próbuję wykrzesać z siebie odrobinę optymizmu. Nie miałam pojęcia, że firma jest na skraju bankructwa, i jest mi potwornie przykro: nie ty-

28

le z mojego powodu, co z powodu Briana. Ja co najwyżej stracę pracę, ale on może stracić wszystko, w tym swój dom, który zastawił, by wziąć kredyt na rozkręcenie interesu.

— Owszem, może — zgadza się Brian, siląc się na uśmiech. — Może zdarzy się jakiś cud i trafi nam się jakieś duże zlecenie, dzięki któremu spłacimy długi, prawda? — Tak, możliwe — odpowiadam, również się uśmiechając.

Brian włącza radio i wraca do czytania gazety, a wtedy wymuszony uśmiech znika z mojej twarzy. Zamiast tego na czoło wstępuje troska, która niczym ciężka chmura rzuca długi ciemny cień na moją przyszłość. W myślach wyszukuję swoją listę i dopisuję na niej kolejne życzenie:

- żeby cuda rzeczywiście się zdarzały.

□

Wreszcie samochody ruszają z miejsca i wkrótce stoję na chodniku przed stacją metra przy Baker Street.

— No cóż, przecież nie godzi się, bym puścił swoją asystentkę do domu w skarpetkach. Choć w twoim wypadku nie ma nawet skarpetek. — Uśmiecha się szeroko Brian, wychylając się z furgonetki. — Najwyżej opuszczę najbliższą partyjkę golfa.

— Myślę, że jako mój szef mógłbyś mi zapłacić za taksówkę — mruczę, wpatrzona w swoje stopy, które jeszcze do niedawna ozdobione były eleganckimi sandałami z diamentami, a teraz znajdują się w należących do Briana butach do golfa.

Upapranych błotem. Rozmiar czterdzieści sześć.

— Metro nie jest takie złe — oświadcza Brian, opuszczając krawężnik. — Zanim się obejrzysz, już będziesz w domu. Pomyśl o biednym starym Brianie, który będzie tkwił w korkach. — Trąbi klaksonem i widzę, jak przystaje, by przepuścić grupę młodych, przystojnych mężczyzn. Gdybym chciała opisać Briana, mogłabym to zrobić na wiele sposobów, ale w tej chwili, gdy siedzi za kierownicą swojej ukochanej furgonetki i jego oczy przelatują z uwielbieniem od jednego faceta do drugiego, „biedny stary Brian” nie wydaje mi się właściwym określeniem.

30

Kiedy wchodzę na stację metra, uderza mnie fala gorąca. Czuję się tak, jakby ktoś podkręcił piecyk na maksymalną temperaturę, otworzył drzwiczki i kazał mi wsadzić głowę do środka. Wyrzucając z siebie co chwila „przepraszam”, toruję sobie drogę przez dziki tłum ludzi spoconych, wkurzonych i najwyraźniej zmęczonych i zbliżam się do żółtej linii bezpieczeństwa.

A to mi przypomina o mandacie, jaki dostałam w zeszłym tygodniu za parkowanie w niedozwolonym miejscu. Tak właściwie wcale tam nie parkowałam, po prostu zostawiłam tam na chwilę samochód, bo nie miałam innego wyjścia. Niestety, strażnik miejski, mężczyzna, nie uznał, że kupienie feminaksu było sytuacją konieczną (oczywiście, nigdy nie cierpiał z powodu koszmarnych bólów menstruacyjnych) i wlepił mi mandat. O którego zapłaceniu muszę teraz pamiętać. Wyciągam długopis z torebki. Pamięć mam dziurawą, więc zawsze wszystko zapisuję. Moja lodówka jest pokryta dziesiątkami różnokolorowych samoprzylepnych karteczek. Problem polega na tym, że najczęściej zapominam na

nie spojrzeć. Ale przecież nie mogę napisać jeszcze jednej karteczki, która by mi o tym przypominała, prawda?

Gryzmołę „Mandat za parkowanie” na ręce i wtedy dobiega mnie odległe dudnienie nadjeżdżającego pociągu. Robię krok do tyłu i obserwuję, jak wjeżdża z impetem na peron, ukazując ścieśnionych jak zwykle pasażerów i ich rozmazane twarze, które wyglądają, jak gdyby się roztopiły w tej temperaturze. Na widok tego tłoku odechciewa mi się wszystkiego. I wtedy, jak każdego popołudnia, kiedy wracam z pracy, pojawia mi się w głowie ta sama myśl — chciałabym znaleźć w środku wolne miejsce.

Drzwi otwierają się, a ja, popychana przez tłum z tyłu, wskakuję do środka jak korek do butelki. Starając się nie

31

zwracać uwagi na parę skraplającą się na szybach i krople potu spływające po twarzach współpasażerów, przepycham się przez szczelnie napakowany ciałami przedział do środkowego przejścia.

— Och, przepraszam, nie chciałam, przepraszam — mamroczę, depcząc ludziom po palcach, aż pociąg rusza, kołysząc się na boki, więc sięgam po jeden z wiszących mi nad głową uchwytów, by się nie przewrócić.

Trzymam się go kurczowo, gdy opuszczamy stację, i robię wszystko co w mojej mocy, żeby czyjeś ramię nie zgniatało mi nosa. Boże, tak bym chciała gdzieś usiąść. Spoglądam z zazdrością na tych szczęściarzy, którzy mają miejsca siedzące.

Przebiegam wzrokiem po obcych twarzach: facet z włosami koszmarnie zaczesanymi na łysinie, obok ładna dziewczyna z kolczykiem w brwi, a dalej starsza kobieta z blad różowym podkładem. Aż wreszcie mój wzrok spoczywa na mężczyźnie z wyraźnie zarysowaną szczęką, dołeczkiem w podbródku i gęstą czupryną czarnych włosów, pod którymi żarzy się znajoma para orzechowych oczu. O mój Boże, a co on tu robi?

Serce zaczyna mi żywiej bić. To mój sąsiad. Mój niewiarygodnie przystojny sąsiad. Ten, który według mnie wygląda jak sobowtór ciemnowłosego młodszego brata Brada Pitta. To znaczy nie mam zielonego pojęcia, czy Brad Pitt ma młodszego

ciemnowłosego brata, ale gdyby miał, jestem pewna, że wyglądałby dokładnie jak ten facet. Jakiegokolwiek nosi imię. Bo chociaż mieszkam po drugiej stronie ulicy od ponad dwóch lat, wciąż nie wiem, jak się nazywa (co zdumiewa moją macochę, która uważa za punkt honoru poznać nie tylko nazwiska, ale i osobiste upodobania wszystkich mieszkańców Bath). Ale przecież to Londyn. Ludzie mieszkają po sąsiedzku przez lata i wprawdzie pozdrawiają się skinieniem głowy na klatce schodowej, ale nigdy nie odzywają się do siebie ani słowem.

32

Jednak ja wiem prawie wszystko na temat mojego sąsiada, o którym od tej chwili będę mówić „on”. Wiem, że jeździ granatowym rangę roverem, artykuły spożywcze kupuje w Wai-trose, ubrania w Josephie, a jedzenie na wynos w Shanghai Surprise, wietnamskiej restauracji, i to przynajmniej raz w tygodniu. Wiem też, że jest zapalonym tenisistą, że ostatnio kupił sobie białą sofę i że, wnioskując z pory, kiedy rozsuwa zasłony w sypialni, lubi w weekendy spać do południa.

Nie żebym go śledziła, bynajmniej. Po prostu parę razy przyciągnął moją uwagę. Gdy odwraca stronę książki, zerkam na okładkę, by odczytać tytuł. No, no. To Życie Pi. Mój własny nieprzeczytany egzemplarz służy mi obecnie jako podkładka na nocnym stoliku. Obiecuję sobie, że zacznę ją czytać zaraz po powrocie do domu.

Przez chwilę widzę oczyma wyobraźni następującą scenę: siedzę na schodach przed domem, skąpana w promieniach zachodzącego słońca — w porze, którą fotografowie lubią nazywać „magiczną chwilą”, gdyż każdy w tym świecie pięknieje. Jestem pochłonięta lekturą, włosy opadają mi romantycznie na twarz i palę gauloise'a, którego trzymam z takim wdziękiem, jak gdybym należała do francuskiej bohemy. Kiedy słyszę: „Przepraszam, co sądzi pani o tej książce?”, podnoszę wzrok i widzę mojego sąsiada, jak uśmiecha się do mnie ponad żywopłotem, i rzucam jakąś błyskodiwą odpowiedź. I zanim się obejrzyicie, już rozmawiamy o bohaterach, intrydze i inteligentnych dialogach...

Napływ nowych pasażerów wpycha mnie głębiej i przywraca do rzeczywistości. W której mój sąsiad nigdy mnie nie zauważył. Dla niego jestem niewidzialna. Ale może nie jest to takie złe, ponieważ za każdym razem, gdy się na niego natykam,

wyglądam jak sto nieszczęść. Teraz więc pośpiesznie próbuję ukryć swoje stopy pod czyjąś aktówką, by nie mógł dojrzeć, że są oszpecone butami do golfa.

Weźmy na przykład ostatni weekend. Przebiegłam całe okrażenie po parku i gdy stanęłam przed moimi drzwiami, z trudem łapiąc oddech, mając nogi jak z waty, a spocone włosy przyklejone do czoła, ktoś to pojawił się radośnie na horyzoncie, świeżutko ogolony i w każdym calu doskonały? On, oczywiście.

Kilka tygodni wcześniej, kiedy wyjmowałam zakupy z bagażnika i ręce miałam obładowane wielkimi paczkami papieru toaletowego, jego samochód zatrzymał się tuż obok mnie. A, i był też oczywiście przypadek, gdy wyszłam na zewnątrz, by wystawić śmieci, ubrana w stary skosmacony szlafrok i z rozgrzewającą maseczką na twarzy — tą, która robi się niebieska, gdy jest gotowa — a on akurat stał w oknie. W tej samej chwili mój szlafrok odchylił się i facet został zaszczycony widokiem mojej nagości.

Nagle „on” podnosi oczy, tak jak ludzie, gdy czują na sobie czyjś wzrok, i patrzy wprost na mnie. J a patrzę wprost na n i e g o. O Boże, ale wstyd! Dostrzegam porzucony egzemplarz „Loot”, gazety z bezpłatnymi ogłoszeniami, w której próbuje się sprzedać i kupić wszystko, począwszy od używanych samochodów, a skończywszy na bratnich duszach, chwytam ją, jak gdyby była kołem ratunkowym, i kryję płonące policzki za stroną poświęconą nieruchomościom. Trzymając w dłoni długopis, przebiegam wzrokiem ogłoszenia, jak gdybym rzeczywiście czegoś szukała. Na wypadek gdyby mnie obserwował. „Clapham Common: lesbijka, wielbicielka kotów, szuka siostry o podobnych upodobaniach”, „Earl's Court: wolne miejsce w trzyosobowym mieszkaniu, wynajmowanym już przez ośmiu Australijczyków”, „Shoreditch: poszukiwany artysta o otwartym umyśle do zamieszkania w nietuzinkowym domu”.

I wtedy serce mi zamiera. Jest. Na samym dole. Tylko jedna linijka: „Little Venice: pokój do wynajęcia, 150 funtów za

34

tydzień, w tym rachunki”. Gapię się na nie i myśląc o moim sąsiedzie, zakreślam je w kształt serca. To jest chyba najbardziej typowe, nudne ogłoszenie, jakie tylko może

być - co zresztą było moim zamiarem, gdy zamieszczałam je tam trzy tygodnie temu. Nie chcę nikomu wynajmować pokoju. Nie chcę, żeby ktoś obcy kręcił mi się po mieszkaniu, siedział na mojej sofie, używał mojego dziewiczego zestawu francuskich garnków albo wysiadywał na mojej muszli klozetowej. Ale nie mam wyjścia. Gdy Daniel się wyprowadził, zabrał z sobą swój zestaw kina domowego, połowę naszej kolekcji zdjęć i swój wkład w mieszkanie. Zostawił mnie bez telewizji, bez zdjęć z czasów, gdy w wieku dwudziestu siedmiu lat miałam szalowe blond pasemka, i z wielkim kredytem do spłacenia. Przez ostatnie dziewięć miesięcy żyłam ze swoich oszczędności i teraz jestem już zupełnie spłukana. Od dwóch miesięcy nie płacę kredytu i bank zagroził mi przejęciem mieszkania, więc albo znajdę sobie współlokatora, albo...

Albo co? Wyglądam przez okno, marząc, by znaleźć odpowiedź na dręczące mnie problemy, ale to jest londyńskie metro, a nie kryształowa kula i jedyną rzeczą, która mi się ukazuje, jest moje własne odbicie spoglądające na mnie z ciemności tunelu.

4

Zawsze sądziłam, że gdy będę już mieć trzydzieści lat, moje życie stanie się bardziej uporządkowane. Ze będę mieć okrągłą sumkę odłożoną na koncie, będę uznanym fotografikiem, a w mojej szafie znajdować się będzie chociaż jedna para butów od znanego projektanta — nie musi to być od razu Manolo Blahnik, wystarczyłby Kurt Geiger. Ale moment ten nadszedł w tamtym roku - trójka z przodu! - i zdałam sobie sprawę, że podczas gdy większość moich znajomych idzie przed siebie i osiąga coś w grze zwanej życiem — dostają awanse, żenią się i wychodzą za mąż, cheszą się u Nicky'ego □i□□□□'□ — ja sukcesywnie się cofam.

Właśnie przekroczyłam limit mojej karty kredytowej - buuu!, o kilka oczek w tył. Mój ukochany mg midget stoi u mechanika po bliskim spotkaniu z bmw — buuu!, o kilka oczek w tył. Jeśli chodzi o moją fantastyczną karierę fotograficzną - buuu!, znowu to samo, wracasz na metę.

Przez pewien okres w życiu myślałam, że udało mi się pójść do przodu. Poznanie Daniela, miłość i kupno mieszkania, do którego wprowadziłam się razem z nim, dało mi jakieś poczucie sukcesu. Cel. Dojrzałość. Nagle miałam kredyt, polisę na życie,

partnera. Nawet jeśli przez większość czasu towarzyszyło mi wrażenie, jakbym tylko bawiła się w do-

36

rosłość, to jednak wszyscy traktowali mnie z nieznanym mi przedtem szacunkiem. Moja wredna macocha przysłała mi książkę kucharską, stojak na kubki i mnóstwo naczyń Tupperware — „na wiano”, jak się wyraziła. Sanjeev w pralni pokiwał uprzejmie głową, gdy podrzuciłam koszule od Ralphi Lauren należące do Daniela wraz ze swoimi zamszowymi biodrówkami. Nawet lekarka w miejscowej klinice ginekologicznej uśmiechnęła się do mnie z aprobatą, gdy zapisywała mi tabletki antykoncepcyjne.

I cóż z tego, że w tej układance moja kariera nie wyglądała tak, jak to sobie wymarzyłam? Wszystkie elementy mojego życia uczuciowego były na miejscu i pasowały do siebie idealnie. Było dla mnie oczywiste, że reszta też się kiedyś poukłada.

Ale się nie poukładała. Zamiast tego cały mój świat rozpadł się na kawałki, gdy pożyczyłam samochód Daniela i odkryłam prezerwatywy w schowku na rękawiczki. Wiem — to takie banalne. Zawsze wydawało mi się, że takie rzeczy zdarzają się tylko bohaterom mydlanych oper i gościom talk-show Jerry'ego Springera, ale tym razem zdarzyło się mnie: czekałam na światłach, śpiewając z The White Stripes, i grzebałam w schowku na rękawiczki w poszukiwaniu zabłąkanej paczki papierosów. Oficjalnie rzuciłam palenie kilka miesięcy temu, ale w tajemnicy zaciągałam się od czasu do czasu, a głos Jacka White'a zawsze sprawiał, że przychodziła mi ochota na papierosa — wiecie: żyj szybko, umrzyj młodo, rock'n'roll i te klimaty. Ale zamiast paczki marlboro lights odkryłam paczkę dureksów — „stworzonych, by dawać maksymalną przyjemność”.

Pamiętam to wszystko, jakby to było wczoraj. Mój umysł zastygł w szoku przez ułamek sekundy, gdy starałam się oswoić z tym, że nie tylko znalazłam prezerwatywy w samochodzie

37

mojego chłopaka, ale wręcz całą paczkę na dwanaście sztuk. Przewróciłam ją do góry

nogami i prezerwatywy wysypały mi się na kolana. Poprawka: prezerwatywa. Została tylko jedna. I była prążkowana.

Przez chwilę, która zdawała się wiecznością, wpatrywałam się w nią, gdy tak leżała na podółku moich dżinsowych spodni. Czułam, jak po karku biega mi ciarki, słyszałam bicie własnego serca i krew szumiącą w uszach. Pamiętam, że ogarnęła mnie wtedy dziwaczna ochota, by się roześmiać. To było takie absurdalne. Daniel? Niewierny? W łóżku z kimś innym? A potem nastąpił równie intensywny wybuch gniewu. Kanalia. Zdrajca. Jak on mógł? A potem zostało już tylko pragnienie, by wybuchnąć płaczem.

Ale nie zrobiłam żadnej z tych rzeczy. Po prostu siedziałam odrętwiała za kierownicą. Jack White zawodził. Silnik warczał. A świat wirował. Aż wreszcie dźwięk samochodowych klaksonów zmusił mnie, by podnieść wzrok, i okazało się, że światła się zmieniły. Tak jak całe moje życie.

Wyrzuciłam z siebie wszystko, gdy tylko wróciłam do domu. Na początku próbował się wypierać, twierdził, że prezerwatywy nie należały do niego, ale do jego asystenta, i że zaszło jakieś nieporozumienie. Szczerze mówiąc, usłyszałam każdą wymówkę, jaką tylko mógł wymyślić. Aż wreszcie przyznał się, że owszem, spał z kimś innym — ale nie kochał jej, to był tylko seks. Tylko seks.

Oznajmił mi to tak, jakby chodziło o jakąś błahostkę. Mimo to te dwa słowa wpłynęły na moje życie, jak gdyby przejechało po nim buldożerem. On nie złamał mi serca, on je po prostu zmasakrował.

Oczywiście, jakoś doszłam do siebie. Tak jak wszyscy po czymś takim. I teraz mam się dobrze. Najzupełniej. Mam swoją pasję fotograficzną, przyjaciół i pobliską wypożyczal-

38

nic wideo na sobotnie wieczory. No i jest jeszcze Billy Smith, mój kot, kiedy czuję się troszkę samotna. Nie twierdzę, że nie chciałabym iść czasem na randkę, ale nie należę do kobiet opętanych myślą znalezienia „tego jedyne”. To znaczy nie jest tak, że codziennie zasypiam, marząc o poznaniu idealnego mężczyzny, który zakocha się we mnie prawdziwie, głęboko, do szaleństwa. No, na pewno nie codziennie.

Czerwieniąc się ze wstydu, spoglądam na mojego sąsiada.

Zniknął.

I dzięki temu uświadamiam sobie, że pociąg się zatrzymał i jesteśmy na stacji. Mojej stacji.

Pi, pi, pi, pi, pi, pi.

O cholera. Ten przenikliwy pisk oznacza, że drzwi wagonu zaraz się zamkną.

Zaczynam się gorączkowo przepychać przez tłum pasażerów i z rąk wypada mi egzemplarz „Loot”, którego zielone strony rozsypują się po całej podłodze wagonu. A niech to diabli! Schylam się, by je pozbiierać.

Pi, pi, pi, pi, pi, pi, pi!

Drzwi się zamykają, więc zostawiam upuszczone strony i rzucam się ku wyjściu. Na szczęście udaje mi się wylądować na peronie w jednym kawałku. Wlokę się do schodów i wjeżdżam na górę. Dzięki Bogu, ten dzień dobiega końca. Krótki spacerek wzdłuż rzeki i będę w domu, wyłożę się w ogródku i będę rozkoszować popołudniowym słońcem. Hm, jakim słońcem?

Po wyjściu z metra wita mnie bowiem ciemność oraz gniewne chmury burzowe i momentalnie zaczynam żałować, że nie mam przy sobie parasola. Ciężkie krople deszczu uderzają o chodnik i ludzie zaczynają pędzić przed siebie, zasłaniając głowy kołnierzami płaszczów i wpadając w kałuże. Wszyscy natychmiast przemakają do suchej nitki. Nie wyłączając mnie.

39

Gdy biegnę ulicą, staram się trzymać resztki gazety nad głową, ale w ciągu kilku sekund papier nasiąka zupełnie. Strona poświęcona sprzętowi AGD opada mi na twarz i przykleja się, rozmazując reklamę tosterów na moim czole, aż wreszcie cała gazeta zapada się jak nasiąknięty namiot, zalewając mi twarz zabarwioną tuszem wodą.

Cholera! Wrzucam gazetę do kosza i biegnę dalej. Deszcz odbija mi się od nóg i moczy sukienkę, przez co jej bladonie-bieski kolor robi się niemal przezroczysty i cała przykleja mi się do ciała, tak że wyglądam, jakbym brała udział w wyborach Miss Mokrego Podkoszulka. Nie byłabym tym zachwycona, nawet gdybym

znajdowała się teraz w jakimś pijackim klubie na Lanzarote, więc tym bardziej czuję się potwornie, gdy ma to miejsce na ulicy w pobliżu mojego domu. Jeszcze ujrzy mnie tu ktoś znajomy — mnie i moje sutki, które właśnie sterczą przez sukienkę jak dwie koktajlowe wisienki.

I gdy tylko ta upokarzająca myśl przychodzi mi do głowy, dostrzegam mojego sąsiada, który stoi zupełnie suchy pod swoim solidnym parasolem, kilka metrów przede mną. Czeka na zewnątrz Oddbins, nonszalancko pali papierosa i spogląda w dal, jak gdyby nie zauważył, że leje jak z cebra. Jak on to robi, że zawsze jest taki doskonały?

W przypiływie szaleństwa przez chwilę nachodzi mnie ochota, żeby powiedzieć mu „cześć”. Mimo wszystko jesteśmy sąsiadami. Gdy zbliżam się do niego, serce zaczyna walić mi jak młot - zachowuje się jak piszczący wykrywacz metali, gdy odnajdzie skarb. O rany, nie zdawałam sobie sprawy, że jestem tak zdenerwowana. Oddychaj. Oddychaj głęboko. I jeszcze raz.

No dobrze, już.

- Cześć. - Uśmiecham się i, sama nie wiem czemu, postanawiam unieść rękę w geście indiańskiego „houk”.

40

Tyle że on mnie nie widzi, ani tego, że udaję wodza Apaczów, gdyż odwraca się w stronę ślicznej brunetki, która właśnie wyszła ze sklepu z butelką wina w rękę.

Kobieta chowa się pod jego parasolem, bierze go pod ramię i ruszają razem ulicą. Śmieją się, gdy omijają kałuże, skaczą ponad wylewającymi studzienkami kanalizacyjnymi i udają, że ochlapują się nawzajem. Rany, jakby to był jakiś cholerny film z Gene'em Kellym.

Przygaszona, zaczynam wyobrażać sobie, jak by to było, gdybym to ja szła z nim pod jednym parasolem, w podskokach, cała sucha i szczęśliwa, zamiast stać tu w deszczu, użalając się nad sobą.

- Wrzos!

Głośny krzyk sprawia, że obracam się na pięcie, bo to przecież moje imię*.

- Szczęśliwy wrzos! - No tak: szczęściara Heather, myślę. I co jeszcze?

Widzę grupę kobiet stojącą przy bankomacie. Młodsze ubrane są w podniszczone podkoszulki i džinsy przetarte na kolanach, podczas gdy starsze mają chusty na głowach i trzymają w ręku koszyki, które zaczynają już przemakać. Zaczepiają ludzi na ulicach. Niestety, ogół społeczeństwa nie przepada za osobnikami próbującymi im coś wcisnąć, cokolwiek to będzie — ubezpieczenie przez telefon, religia u drzwi czy cygańskie amulety na ulicy - chyba tak samo jak nie lubią deszczu, co oznacza, że ta grupa irlandzkich Cyganek jest ignorowana. Ignorowana, ale nie niezauważana. Tak jak wszyscy, dostrzegłam je, ale mam tylko jeden cel — dotrzeć do domu jak najszybciej — więc robię to, co zwykle, gdy widzę ankieterów, zagranicznych studentów zatrudnionych

* Imię bohaterki, Heather, znaczy po angielsku „wrzos”.

41

do rozdawania ulotek lub — przyznaję ze wstydem — działaczy Greenpeace, którzy pytają, czy podpiszę zobowiązanie do comiesięcznych wpłat na ich organizację.

Zwieszam głowę, wbijam wzrok w chodnik i udaję, że nagle odebrało mi słuch.

— Ładną masz buzię, kochaniutka. — Jedna z Cyganek wybija się spośród pozostałych, przeciska w moją stronę i staje przede mną jak zawodnik rugby.

Staram się ją ominąć, ale zagradza mi drogę.

— Masz, weź wrzos na szczęście. Korzystaj z niego mądrze, a zapewni ci wszystko, czego w duszy pragniesz. Szczęście będzie ci towarzyszyć... — Macha mi przed oczyma wymiętoszo-ną gałązką, związaną wstążką we wściekle różowym kolorze. — Nigdy nie lekceważ mocy szczęśliwego wrzosu.

— Nie, dziękuję — oświadczam twardo.

— Tylko dwa funty, kochana.

— Nie, naprawdę dziękuję. — Staram się uniknąć jej wzroku, ale Cyganka łapie mnie za rękę. Jest szorstka w dotyku, a jej ciemno opalona skóra mocno kontrastuje z moją, białą i piegowatą. Rzucają mi się w oczy jej brudne złamane paznokcie, powykrzywiane artretyzmem palce oraz srebrna bransoletka obok różowego plastikowego swatcha. Podzwania dzwoneczkami bransoletki, machając wrzosem, i szczebiocze:

— Weź go. Zaufaj mi, wrzos uczyni cuda. Twój los się odmieni. Wszystkie twoje życzenia się spełnią.

Taaak, wiadomo. Czy ja wyglądam na kompletną idiotkę?

Ale błysk w jej przenikliwie zielonych oczach mówi mi, że nie uznaje odmownej odpowiedzi, a że stojąc tu, moknę coraz bardziej, więc, żeby się jej pozbyć, poddaje się i wciskam kilka jednofuntowych monet do jej szorstkiej ręki. A wtedy znika w przemokniętym tłumie i zostawia mnie na środku ulicy, w strugach deszczu, z gałązką białego wrzosu w ręku.

Szczęśliwego wrzosu, szczęścioro Heather.

42

Co za ironia. Trzymając go między kciukiem a palcem wskazującym, zerkam na zdrewniałe, szeroko rozpostarte gałązki związane tanią nylonową wstążką. To coś ma mieć magiczną moc? Przechodzi mi przez myśl, żeby wyrzucić go do kosza, gdzie jego miejsce, ale najbliższy kosz znajduje się po drugiej stronie ulicy, więc wkładam go do torebki — wyrzucę go, gdy tylko wrócę do domu. A wcześniej zdejmę te mokre ciuchy, otworzę butelkę wina i wejdę do wanny z gorącą wodą.

Marząc o zanurzeniu się w bąbelkach o zapachu white musk z lampką sauvignon blanc w ręku, zapominam o Cygance i o wrzosie i biegnę do domu z chlupoczącą w butach wodą.

5

Zwinnym ruchem zakręcam kran dużym palcem u nogi i kładę się z powrotem na poduszce z pachnących bąbelków. Co za rozkosz. Całkowita, niczym niezmacona rozkosz. Sącząc wino, wdycham cudowny aromat wanilii i cynamonu — dzięki miniaturowym buteleczkom płynu do kąpieli firmy Molton Brown, które znalazłam ostatnio. Były ukryte w wiklinowym koszyku wraz z innymi pamiątkami z weekendu, który spędziłam kiedyś z Danielem w hotelu w Lake District -rachunkiem za domek w Wordsworth, poplamionym kawą menu z kafejki oraz czekoladkami, które pokojówka kładła na naszych poduszkach co wieczór i których nie ośmieliłam

się zjeść ze względu na moje uda, jak przypominam sobie niechętnie, zawsze określane przez Daniela jako „masywne”.

— Masywne — mruczę, poirytowana nie tylko swoim sentymentalizmem, przez który trzymam te wszystkie śmieci, ale i ogromną bezczelnością tego faceta, który ośmielił się krytykować moje ciało, podczas gdy sam paradował z łysiejącymi plackami z tyłu głowy i coraz większymi zakolami z przodu (co było prawdziwą przyczyną tego, dlaczego golił głowę, a nie ponieważ, jak twierdził, chciał wyglądać jak Jason Statham).

— Wiedz, że te uda biegają po parku trzy razy w tygodniu — mruczę, upijając zimny łyk sauvignon blanc. - No, może tyl-

44

i \f

ko dwa razy i jest to raczej energiczny spacer niż prawdziwe bieganie, ale mimo to te uda potrafią zrobić sto przysiadów. Te uda, do cholery, potrafią się owinać wokół szyi jak pyton! — No cóż, wprawdzie nie jest to coś, co jakoś szczególnie praktykowały ostatnio, ale wystarczy im krótki trening i wrócą do formy.

Stawiam kieliszek na brzegu wanny, łapię szorstką gąbkę i kostkę mydła. Podnoszę jedno różowe, lśniące udo z bąbelków i starannie je namydlam. Robię małe kółka, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, potem w przeciwnym kierunku, najpierw z zewnątrz, a potem przrzucam się na wewnętrzną stronę. Rytmicznie trę w przód i w tył. W górę i w dół. Z boku na bok. Pozbywam się martwego naskórka, rozcieram celluli-tis, rozwałkowuję nierówności skóry.

Nagle uderza mnie pewna myśl. Dlaczego nigdy nie pokazują czegoś takiego na filmach? Jakim cudem każdy reżyser hollywoodzki zdaje się żyć w złudnym przekonaniu, że kobiety leżąc w kąpieli z bąbelkami, nie kalają się ścieraniem twardej skóry na swoich stopach pumeksem ani nakładaniem grubej warstwy kremu Jolen, żeby wybielić meszek na górnej wardze? Bo nie, na filmach one wiją się z rozkoszy w mastur-bacyjnym raju, namydlają piersi, z ręcznika między nogami kapie im woda albo też pocierają zimną lampką wina o sutki. I wszystko to, rzecz jasna, w pełnym makijażu.

Doprawdy, gdyby faceci znali prawdę, byłiby wielce rozczarowani. Dotykam grubej warstwy wybielającego kremu, który nałożyłam na górną wargę. Nie, jeszcze niegotowe — jeszcze jakieś pięć minut. Odkładam gąbkę, sięgam po maszynkę do golenia i sprawdzam ostrza. Są zapchane włoskami po poprzednim goleniu. A to były ostatnie ostrza, jakie miałam. Cholera. Przydałoby mi się nowe opakowanie.

Ostatnim razem gdy użyłam tępej maszynki, pocięłam sobie nogi tak,

45

że wyglądałam jak zarzynane prosię. Ale czy mam teraz inne wyjście? Mam spędzić cały weekend z nogami, jakie miała moja stara nauczycielka niemieckiego?

Bez dalszego użalania się nad sobą, szybko opłukuję ostrze pod kranem i zabieram się do roboty, przesuwając maszynką po pianie starannie wypracowanymi ruchami. Goleń, łydka, kostka, kolano. Auć! Wpatruję się w plamkę krwi, która pojawia się jak czerwona bańka na mojej nodze.

— Cholera. — Łapię ręcznik i robię z niego prowizoryczny bandaż, przyciskając po prostu do kolana, kiedy odzywa się telefon. Słyszę, jak jego dźwięk rozchodzi się echem po korytarzu. Ciekawe, kto to może być. Pewne Jess, stwierdzam, ale zaraz potem przypominam sobie, że Jess jest teraz w Delhi. I nie jest to też mój ojciec, gdyż dziś już z nim rozmawiałam. Dzwonił, bo właśnie przeczytał artykuł o tym, że w Hollywood zaczęto koty uczyć jogi, i zastanawiał się, czy Billy Smith byłby zadowolony, gdyby go zapisać na jogę w ramach prezentu urodzinowego.

Uśmiecham się. Mój tata jest artystą i lekkim eks-centrykiem, ale nie zamieniłabym go za żadne skarby świata. Zęby tylko to samo można było powiedzieć o mojej macosze...

Postanawiam nie odbierać i zanurzam się w pościeli pachnących bąbelków, czekając aż włączy się automatyczna sekretarka. To pewnie moja macocha, która chce mnie czymś rozzłościć. Chociaż istnieje niewielka możliwość, że to dzwoni Daniel, by odpowiedzieć na mój pijacki esemes.

Gdy tylko przychodzi mi do głowy ta myśl, zaczynam się zastanawiać, czy miałabym się z tego cieszyć czy nie, zważywszy, że treść esemesa brzmiała następująco:

„Tęsknię. Co powiesz na seks ze swoją eks?“. To pisała tequila, nie ja — ja za nim

nie tęsknię, ja go n i e n a w i d z ę. A już z całą pewnością nie chcę iść z nim do łóżka. Waham się. Może jednak powinnam podejść do telefonu?

46

Chrzanić to. Zsuwam się znowu do pachnącej piany, jedna noga zwisa mi na zewnątrz wanny, po czym sięgam po kieliszek i upijam łyk wina. Ktokolwiek to jest, może poczekać.

Po chwili, która zdaje się wiecznością, telefon wreszcie przestaje dzwonić i słyszę dźwięk włączanej automatycznej sekretarki. Czekam na egzaltowany głos mojej macochy. Wstydząc się swoich korzeni z klasy robotniczej z Manchesteru, Rosemary przyswoiła sobie akcent podobny do akcentu królowej Elżbiety.

— Witam...

Zaraz, zaraz, od kiedy to moja macocha jest facetem? Ogarnia mnie dziwne uczucie — sama nie wiem, czy to panika, czy podekscytowanie. O Boże, to nie Daniel, prawda? Ale wtedy zauważam, że facet ma amerykański akcent i czuję wstyd - oraz coś, co wygląda na rozczarowanie.

— Dzwonię w sprawie ogłoszenia zamieszczonego w... chwileczkę... — słyhać dźwięk przewracanych stron. — W gazecie pod tytułem...

— „Loot” — mówimy jednocześnie. Cholera.

Wyskakuję z wanny i wybiegam naga na korytarz, zostawiając na podłodze ślady wody z mydlinami. Mów dalej, modlę się w duchu, łapiąc słuchawkę śliską dłonią.

— Nie rozłączaj się — dyszę, podnosząc telefon, a wtedy przypominam sobie, że jeśli to jest mój potencjalny współlo-kator, to ja jestem potencjalną gospodynią. I powinnam zachowywać się jak stateczna właścicielka. — To znaczy, dobry wieczór — poprawiam się, starannie artykułując każde słowo. Moja macocha byłaby ze mnie dumna.

— Hej, cześć. Dzwoniłem... yyy... w sprawie ogłoszenia. -Dzwoniłeś? I co, zmieniłeś zdanie? - pytam, a potem

się krzywię. Co ja wyprawiam, u licha? Chcę wynająć pokój.

47

Muszę brzmieć przyjaźnie, muszę robić wrażenie równej babki. - Przepraszam,

właśnie brałam kąpiel, nie mam nic na sobie... — przerywam. Brzmie teraz jak panienska z sekstelefonu. — To znaczy cześć, jestem Heather.

- Cześć - odpowiada. A potem niepokojąca chwila ciszy. Pewnie zastanawia się, czy nie odłożyć słuchawki, stwierdzam, zakładając, że wszystko już zepsułam. Bo czy wynajęłabym pokój od siebie samej ?

- Jestem Gabe.

Hm. Co za niezwykle imię. Natychmiast zaczynam się zastanawiać, jak Gabe wygląda. Skoro jest Amerykaninem, to pewnie jest wysoki, dobrze zbudowany, ma lśniące, białe zęby... Chyba że, znając moje szczęście - jest niski, gruby i łysieje. A jeśli nawet, to co? To potencjalny współlokator, a nie kandydat na randkę.

-Aha. To znaczy... — silę się na jakąś dowcipną uwagę, ale nic nie przychodzi mi do głowy. — Spoko! — wyrzucam z siebie i natychmiast zamykam oczy ze wstydu.

„Spoko” nie jest najlepszym określeniem, zwłaszcza gdy w zakamarkach umysłu wciąż kołocze pamiętany z dzieciństwa akcent z Yorkshire: brzmi to „spooo-ko”, a to wcale nie jest spoko.

Na szczęście nieznajomy nie zauważa, lub, jeśli zauważył, nie komentuje.

— No więc... zastanawiałem się... co z tym pokojem? A, pokój. Wracam do rzeczywistości.

— Czy wciąż jest do wynajęcia?

— No cóż, chętnych mam sporo - zmyślam. Stoję naprzeciwko okna, które wychodzi wprost na okno mojego boskiego sąsiada i, nie mogąc się oprzeć, podnoszę rąbek żaluzji i zerkam, by sprawdzić, czy jest gdzieś na horyzoncie.

- Ach, skoro tak, to nie będę zawracał głowy. Szukam czegoś na krótko.

48

— Na krótko? — Nadstawiam uszu.

— Tak, przyjechałem do Londynu na trzy tygodnie, góra — miesiąc.

„Miesiąc” brzmi zachęcająco. Miło i tymczasowo. To cztery tygodnie, co licząc sto pięćdziesiąt funtów tygodniowo, oznacza... Wyliczam wszystko w myślach — wystarczy na spłatę karty kredytowej. I jeśli wezmę się w garść, to może ten czas wystarczy mi na znalezienie dobrze płatnej pracy, tak że nie będę musiała dłużej

dzielić deski klozetowej z zupełnie obcą osobą.

— Ale jeszcze nie podjęłam decyzji, więc ciągle spotykam się z potencjalnymi współlokatorami — dodaję, niechcący szarpiąc żaluzję. A ta wędruje do góry, odsłaniając zupełnie moje okno, nie mówiąc już o mojej skromnej osobie. I to dokładnie w tej samej chwili, gdy mój sąsiad odsłania zasłony.

— Aaa! —krzyczę.

Na drugim końcu linii zapada cisza i wówczas, kilka sekund później:

— Hm... przepraszam, upuściłem telefon, hm... jesteś tam jeszcze?

W głosie Gabe'a słychać niepewność. Bez wątpienia zabrało mu chwilę, żeby zebrać się na odwagę i podnieść słuchawkę.

— Yyy, tak... jestem — odpowiadam.

— Wszystko w porządku?

Odskakuję od okna w stronę lustra i zerkam na swoje odbicie.

— Tak, wszystko w porządku — odpowiadam zduszonym głosem. O. Mój. Boże.

Oto, co właśnie ujrzał mój sąsiad. Goły biust, rozmazany tusz do rzęs, mokre włosy, wybielający krem na górnej wardze i nagie uda. Nagie masywne uda.

— Na pewno?

49

□□□□

EUOIMBfA

□□□

- Jak najbardziej - odpowiadam, wychylając się z za rogu jak snajper. Znów spoglądam na drugą stronę ulicy. „On” wciąż stoi w oknie. Niechybnie zmarł w wyniku ciężkiego szoku. Rzucam się na podłogę.

-Aaa!

- Możę tera/, nie jest odpowiednia pora...

- Ależ nie, pora jest idealna - dyszę, czołgając się, jak gdybym była na poligonie.

Krzywię się, gdyż od sizalowych mat pieką mnie sutki. - Naprawdę... - Sięgam do wieszaka, podnoszę się i łapię kurtkę, po czym owijam się nią szczelnie. -Może wpadniesz obejrzeć pokój i zobaczyć, czy ci odpowiada: I czy ja ci odpowiadam. - Śmieję się nerwowo.

- Kiedy?

-Hm, może w przyszłym tygodniu! - Próbuję grać na zwłokę. Z myślą o wyłącznym prawie do moich francuskich garnków.

- A może jutro-

- Jutro? - wydaję z siebie jęk.

-A przepraszam, zapomniałem, że jutro jest sobota. Pewnie masz już plany na wieczór.

- Hm, no cóż, jeśli mam być szczerą... - Mój głos cichnie, gdy przypominam sobie, jaka jest prawda. Nie mam planów. Nic mam faceta. Zostaję w domu sama. W sobotni wieczór.

-Przepraszam, czy zachowuję się jak typowy natrętny Amerykanin? - Jego głos przerywa krępujące milczenie.

- Tak, to znaczy nie, nie... wcale nie - mamrocze. Na litość boską, nie zachowuj się jak idiotka, Heather, pomyśl o rachunkach za kartę kredytową. Pomyśl o hipotece. Pomyśl o tym, że dajesz ogłoszenie o wynajmie mieszkania od paru tygodni i to dopiero pierwsza na nie odpowiedź.

- Jutro może być — odpowiadam szybko.

- Genialnie.

50

— Hm... tak... genialnie — powtarzam. „Genialnie” to kolejne słowo, którego może użyć tylko Amerykanin.

Następuje chwila ciszy.

— Potrzebny mi jest twój adres.

— A, tak, mój adres... oczywiście. — Mamrocze go tak szybko, że mój rozmówca musi mnie prosić dwa razy o jego powtórzenie.

— Dzięki. Zatem do zobaczenia jutro. Kolo siódmej?

— Super. A więc do zobaczenia.

Odkładam słuchawkę i opieram się o ścianę. Kręci mi się w głowie od zawrotnego biegu wydarzeń, więc biorę kilka głębokich wdechów. Woda z włosów ścieka mi po plecach i chociaż w korytarzu jest przyjemnie ciepło, cała się trzęsę. Wkładam ręce do kieszeni, by owinąć się kurtką, i moje palce dotykają czegoś szorstkiego.

Miękkiego, ale jednak szorstkiego. Zaciekawiona, wyciągam to coś. To ten głupi wrzos. Jak to się tu znalazło?

Idąc w kierunku kosza, podchodzę do drzwi, by zabrać ulotki, i już mam zamiar go wyrzucić, kiedy dostrzegam małą paczuszkę na wycieraczce. To jedna z tych darmowych próbek, które przysyłają pocztą. Tyle że tym razem nie jest to koszmarnie aromatyzowana zupka w proszku ani mała kostka mydła, ale opakowanie ostrzy do maszynki. Nie do wiary. Podnoszę je. Dzięki temu nie będę musiała paradować jutro, wyglądając jak kobieta bestia.

Uradowana, biegnę do łazienki i sięgam po maszynkę, by wymienić ostrza na nowe. I wtedy uświadamiam sobie, że wciąż trzymam w ręku gałązkę wrzosu. Z jakichś powodów nie mogę się go pozbyć. Może rzeczywiście jest magiczny. M a g i □ z n y? L śmiecham się ironicznie. I leather, co się z tobą dzieje, u licha? Oczywiście, że nie jest magiczny, to tylko kaw alek zielska. A może nawet kwiatek?

51

Obracając go między palcem wskazującym a kciukiem, spoglądam na delikatną białą gałązkę. Przesady przesadami, ale trzeba przyznać, że ten wrzos jest bardzo ładny. Tak właściwie żal by go było wyrzucić. Napęlam zakrętkę od dezodorantu wodą, umieszczam magiczny wrzos w tym naprędcie zrobionym flakonie i kładę na parapecie. Niech tu sobie stoi, póki co.

□

Wzdłuż brzegów rzeki Avon, wokół drewnianych sztalug, gromadzi się mała grupka studentów kursu malarstwa. Przed nimi rozciąga się krajobraz Shropshire. Niebo, pola i rzeka mają być natchnieniem dla ich farb i pędzli. Zajęcia te są częścią letniego programu prowadzonego przez college o profilu artystycznym w Bath, w którym biorą udział studenci z Teksasu. Uczą się pod okiem Lionela — krzepkiego,

brodatego mężczyzny po sześćdziesiątce, który wygląda jak żywcem przeniesiony z paryskiego Montmartre'u. Ma na sobie kitel ubrudzony farbą, apaszkę i beret przekrzywiony na bok na gęstych czarnych lokach, które mogłyby zdobić czaszkę kogoś o połowę młodszego. Gdy tak przechadza się między uczniami, bije od niego entuzjazm i chęć pomocy.

— Idealne użycie magenty, Sandy.

Kobieta o wielkim biuście rozpromienia się i dalej maże radośnie po płótnie.

— Doskonały szkic, George'u juniorze — mruczy Lionel, klepiąc starszego mężczyznę w bermudach po wątym ramieniu. — A teraz zobaczymy, co potrafisz działać z farbami. — Wyciąga ołówek spomiędzy palców George'a juniora i zastępuje go pędzlem z końskiego włosia.

— Lionel!

53

Mój ojciec, zaskoczony, obraca się wokół własnej osi i kitel faluje wokół niego jak spadochron. Macham do niego, przycupnięta pod drewnianym przełazem, skąd obserwowałam go z dumą przez ostatnie pięć minut. Ogromnie się cieszę na to spotkanie, jestem bowiem typową córeczką tatusia. Od kiedy mieszkam w Londynie, nie mogę spędzać z nim tyle czasu, ile bym chciała, i tęsknię za nim - im jest starszy, tym bardziej. Szeroki uśmiech rozpromienia mi twarz i krzyczę jeszcze głośniejsze:

— Lionel, to ja!

Lionel wygląda sponad swoich półokrągłych okularów i gdy w postaci w czerwonym podkoszulku i dżinsowych rybaczkach rozpoznaje swoją jedyną córkę, odpowiada mi uśmiechem.

— Heather, kochanie! — krzyczy gromkim głosem, po czym opuszcza swoich uczniów i podchodzi do mnie, by się przywitać. — Co za wspaniała niespodzianka!

— Bierze mnie w ramiona i ściska mocno. — Dlaczego nie dałaś znać, że przyjeżdżasz? A może dałaś, ale zapomniałem? - Podnosi dramatycznie wzrok do góry. - Skleroza mnie dopada. Rosemary twierdzi, że chyba naprawdę się starzeję - wyznaje mi, a potem śmieje się na całe gardło.

Udaję, że w tym radosnym potoku słów nie dosłyszałam wzmianki o mojej macosze.

— Wybacz, to była spontaniczna decyzja. Brian dał mi dziś wolne i gdy odebrałam rano samochód od mechanika, pomyślałam sobie, że fajnie by cię było odwiedzić. No cóż, to tylko po części prawda. Owszem, o tym, że muszę uciec z Londynu na cały dzień, zdecydowałam dopiero z samego ranka. I owszem, bardzo chciałam spotkać się z tatą. Ale to, że nie zadzwoniłam, żeby go uprzedzić? To było celowe. Nie chciałam, żeby Rosemary wiedziała wcześniej, że

54

mam przyjechać. Gdybym jej powiedziała, wymyśliłaby jakąś wymówkę — że mają już jakieś ważne zobowiązania, albo pożałowałyby się, że ma migrenę, albo też stwierdziła, że następny weekend bardziej by jej odpowiadał. A w ten sposób nie może niczego zepsuć — choć zresztą i tak zepsuła wszystko, poślubiając tatę.

— Cudownie, cudownie! - rozpromienia się Lionel, wypuszczając mnie z uścisku i odwracając w stronę swoich uczniów, z których większość obserwuje nasze powitanie z zaciekawieniem.

— Chciałbym wam przedstawić moją wspaniałą córkę, Hea-ther — zwraca się do nich.

— Siema! - wita mnie chór głosów z silnym teksańskim akcentem.

Uśmiecham się z zakłopotaniem. Tato zawsze chwali się mną jak jakimś skarbem: nawet trzyma moje zdjęcie w portfelu i pokazuje je zupełnie obcym osobom — co samo w sobie już jest krępujące, a wyobraźcie sobie, co czuję, skoro fotografia ta przedstawia mnie jako trzynastolatkę z aparatem na zębach i jasnorudą grzywką.

— Jest fotografikiem — oświadcza z dumą.

— Ooo! — z ich piersi wydobywa się westchnienie podziwu.

O nie, tylko nie to. Za chwilę zapewne zaczną padać pytania dotyczące supermodelek i sesji dla „Vogue”. Zawsze wyczuwam ogromne rozczarowanie, gdy muszę wyznać prawdę. Ludzie żądni są opowieści o egzotycznych miejscach i informacji o rozmiarze ud Kate Moss, a nie mają zamiaru słuchać na temat ślubu zupełnie nieznaney osoby w ratuszu na Brixton.

Ale, na całe szczęście, ratuje mnie apetyt ojca. Wyciąga l kieszeni przepastnych sztruksów swój zegarek z dewizką otwiera miedziane wieczko.

— Dobrze, kochani, to tyle na dziś — oznajmia. — Jest dwunasta trzydzieści, pora coś zjeść.

Na lunch jedziemy do domu. Ten wspaniały budynek z początków dziewiętnastego wieku, wyjęty żywcem z powieści Jane Austen, stoi na wzgórzu w centrum Bath i rozciąga się z niego spektakularny widok na miasto i okoliczne wioski. Zbudowany jest z bladożółtego kamienia, ma wielkie okna, które wychodzą na otoczony murem ogród pełen róż, altankę i rozległy, równiutko przystrzyżony trawnik. Wszyscy uważają, że to naprawdę piękny dom.

Ale nie ja. Ja go nienawidzę. Należy do Rosemary i, tak jak i jego właścicielka, jest zimny i nieprzyjazny. Zanim ona i tato pobrali się, tato mieszkał w Kornwalii w naszym przytulnym domku o chropowatych ścianach, małych okrągłych oknach i dachu krytym strzechą. Teraz bywamy tam tylko podczas świąt i spotkań rodzinnych — Rosemary twierdziła, że jest za mały na jej meble.

A chodziło jej o to, że ten dom przypominał jej o mojej matce.

Lionel kupił go, gdy u mamy wykryto chorobę. Miał nadzieję, że cieplejszy klimat i morskie powietrze będą jej służyć, sprzedał więc nasz dom w Yorkshire i przeniósł się wraz z całą rodziną o setki kilometrów na południe, do Port Isaac. Ed i ja byliśmy wówczas jeszcze dziećmi i z początku nie mogliśmy się pogodzić, że oderwano nas od naszego otoczenia, naszych przyjaciół, drużyny futbolowej Leeds United i Freda, naszego myszokoczka, którego pochowaliśmy w ogródku za domem. Ale mama zakochała się w tym domu i jej szczęście było zaraźliwe, tak że zmieniło nasz stosunek do tego miejsca — nie było jednak w stanie zmienić diagnozy. Zmarła niecałe trzy lata później.

— A więc na jak długo przyjechałaś?

W fr

Siedzimy wszyscy wokół kuchennego stołu — mój tata, ja i moja macocha, która powitała mnie chłodnym całusem w policzek i zaraz potem nic omieszkała się

pożalić, że chyba mają za mało jedzenia, bo nie była na zakupach. „Nie spodziewałam się gości” — oznajmiła, kiepsko kryjąc wyrzut w swoim głosie, po czym uśmiechnęła się sztucznie.

Odwracam się w stronę ojca, który kroi dla siebie dużą porcję sera brie, a jego potężna dłoń dzierży nóż do sera jak piłę.

— Tylko na jeden dzień - wyjaśniam. - Wieczorem muszę znów być w Londynie.

— Dziś wieczorem⁵ — Na twarzy taty maluje się rozczarowanie.

— Och, jaka szkoda - ośyyiadcza Rosemary. Nie oszuka mnie. Wiem, że jest zachwycona.

— Aaa, rozumiem! — Twarz Lionela znów się rozjaśnia i uderza ręką w stół. — Masz randkę z jakimś młodym przystojniakiem!

— Nie do końca — wyznaję, skubiąc winogrona z kiści leżącej obok sera i wkładam je do ust jedno za drugim.

— Chyba nie wzdychasz ciągle do tego bydlaka²

— Ma na imię Daniel — przypominam mu spokojnie. Ale nawet teraz, choć od naszego rozstania minął już rok, nie jestem w stanie wymówić jego imienia bez tego okropnego uczucia, jak gdybym nurkowała w głębokim basenie i z braku tchu starała się rozpaczliwie wypłynąć na powierzchnię. — I nie, to już dla mnie przeszłość.

No dobrze, przyznaję ze wstydem, że w zeszłym tygodniu wysłałam mu tego esemesa, ale byłam wtedy pijana, więc to się nie liczy.

— To kiedy poznamy twojego nowego chłopaka?

— Lionel! - w zdycham i nagle znów czuję się jak trzynastolatka. Wtedy to odbierał mnie po imprezie i podczas marszu

57

do naszego malutkiego domku przy porcie wypytywał o chłopców. Było to wkrótce po tym, jak zmarła mama. Lionel stanął wówczas przed wyzwaniem przeprowadzenia mnie przez wiek dojrzewania, pierwszych chłopaków i edukację seksualną. To był proces, podczas którego uczyliśmy się oboje.

Lionel nigdy nie był tradycyjnym typem ojca — gdy byliśmy mali, mój brat i ja prędko nauczyliśmy się, że szybciej reagował na zawołanie „Lionel” niż „tata”, a gdy

zamykał się w pracowni i malował, przepadał na kilka dni i nie można mu było przeszkadzać — więc gdy został samotnym ojcem, musiał zrezygnować z wielu przyzwyczajzeń. Ten facet nigdy nie zmienił dziecku pieluchy, ale za to musiał kupować podpaski dla nastoletniej córki.

Jakoś udało nam się przejść przez tamte trudne chwile. Tak jak powiedział mi, gdy zalana łzami zabarykadowałam się w łazience z moim pierwszym sportowym stanikiem: skoro przeszliśmy przez utratę żony i matki, przejdziemy przez wszystko. Nawet przez ten lunch.

— Jestem zbyt zajęta pracą, by mieć chłopaka.

— Heather jest kobietą skoncentrowaną na karierze, jak to teraz nazywają — stwierdza Rosemary, skrapiając wędzonego łososia cytryną i kładąc go na chrupkie pieczywo. Spoglądam na nią, gdy ostrożnie gryzie kromkę. Chociaż jest chuda jak patyk, ciągle dba o figurę. Pewnie na wypadek gdyby miała zniknąć.

— Szef zawala cię robotą? - pyta Lionel z ustami wypełnionymi serem brie.

— Można to tak nazwać — odpowiadam z wahaniem i postanawiam nie wspominać na razie o tym, że mogę stracić pracę. Nie chcę go martwić — ani dawać Rosemary do ręki broni, którą wykorzysta przeciwko mnie. Jeśli jeszcze raz usłyszę

58

□ Annabel, jej córce, która jest starsza ode mnie tylko o rok, ile jest szczęśliwą żoną Milesa, odnoszącego sukcesy finansisty w City, ma dwójkę uroczych dzieci, elegancki apartament

francuskojęzyczną nianię, to... Nie wiem, co zrobię, ale na Dewno coś zrobię.

Gdy tak spoglądam na moją macochę, która gładzi swo-e jasne włosy upięte, jak zawsze, w nieskazitelny kok, trudno iii się nie zastanawiać, jak by to było, gdyby mama ciągle żyła

mogłabym z nią rozmawiać o swoich troskach i prosić o ra-iy. I o to, by mnie przytuliła.

— Och, uwielbiam śluby! — Moje myśli przerywa głos Rose-nary, która klaszcze w dłonie jak mała dziewczynka. — Tak ci zazdroszczę, twoja praca musi być taka romantyczna!

Jestem do tego stopnia zaskoczona tym nietypowym ko-nentarzem, że nie wiem, co powiedzieć. Rosemary i ja nie trawimy sobie komplementów. Nasza rozmowa wygląda raczej jak przepychanka, w której każda z nas próbuje wyprowadzić przeciwnika z równowagi. To bardzo męczące. Czasem narzy mi się, żebyśmy mogły sobie uciąć niezobowiązującą pogawędkę o serialach lub porozmawiać o jej nowej poście-i, jak to robi Jess ze swoją matką. Tylko że Rosemary nie jest noją matką. Spoglądałam na nią ze smutkiem i coś mnie łapie za gardło.

Bo nigdy mi jej nie zastąpi.

— Hm... to nie do końca tak — zaczynam niepewnie. — Je-;tem tam tylko po to, by zrobić zdjęcia, a kiedy było się już i□ tylu ślubach co ja, wszystkie zaczynają być do siebie po-lobne.

— Ale własny ślub dla każdego jest wyjątkowy — oznajmia losadnie Rosemary, spoglądając na Lionela jak zakochana po iszy panna młoda.

59

Zaczynam się niecierpliwie wiercić na krześle. Naprawdę wkurza mnie, gdy Rosemary wdzięczy się do Lionela w ten sposób.

— Pewnie tak — przytakuje niechętnie. Zgodę z Rosemary uznaję zwykle za osobistą porażkę, ale tym razem próbuję do tego podejść inaczej. Może przez cały ten czas myliłam się co do niej. Może, tak jak mówi Lionel, ona naprawdę chce się ze mną zaprzyjaźnić.

— Nie przejmuj się, kochanie. - Rosemary sięga po wino i klepie mnie po rękę. — Kiedyś i na ciebie przyjdzie kolej.

Mam rozumieć, że nie powiedziała tego złośliwie, tylko po prostu starała się być miła?

-Dolać komuś wina? - Kończy napełniać swoją lampkę i trzyma butelkę w powietrzu.

— Mhm, tak, dziękuję — uśmiecha się promiennie Lionel.

— Tak właściwie jestem sama z wyboru, nie z konieczności — rzucam mimochodem. — Nie brakuje mi kandydatów na randki.

— To oczywiste, gdy się jest taką ładną dziewczyną jak ty! -przytakuje Rosemary, ku mojemu zaskoczeniu. A więc ona naprawdę stara się być miła. Najwyraźniej

popadam w paranoję. — Ale za moich czasów inaczej to wyglądało. Jeśli kobieta nie wyszła za mąż przed trzydziestką, uważano ją za starą pannę.

Aaa! Widzicie, co się dzieje, gdy moja czujność zostaje uszpięta? To był cios poniżej pasa!

— Och, kochanie, teraz to wszystko wygląda inaczej — odpowiada Lionel, nakładając sobie sałatki ziemniaczanej oraz kilka plasterków szynki, zupełnie nieświadom tego, że przy tym stole między jego żoną a córką toczy się trzecia wojna światowa. — Czasy się zmieniły. Heather pewnie nie może się opędzić od chłopaków, prawda? — Wpatruje się we mnie z uwielbieniem. Dla Lionela jestem najpiękniejszą, najbar-

60

ziej utalentowaną i najinteligentniejszą kobietą na tej planecie.

— Nie, nie jest aż tak, żebym się musiała od nich opędzać — przyznaję, żałując, że muszę rozczarować Lionela. - Ale nie o to chodzi.

— Nie o to? — odzywa się Rosemary, kładąc dłoń na rękę Lionela. Dla każdego innego mogłoby się to wydawać znakiem uczucia, ale dla mnie wygląda to jak próba zawłaszczenia go. Zastanawiam się, dlaczego Rosemary nie nosi na szyi tabliczki z napisem: „Łapy przy sobie, on jest mój”.

— Nie, nie o to chodzi, bynajmniej — powtarzam z naciskiem. — Chodzi o to... — zaczynam, ale nie wiem, co powiedzieć. Ponieważ, hm, nie jestem już pewna, o co chodzi. Dociera do mnie, że nie mam szans wygrać tego sporu i gdy spoglądam na Rosemary, na której twarzy gości rumieniec zwycięstwa, poddaję się.

Jak na razie.

Po lunchu wychodzimy na zewnątrz, by wypić drinka na trawniku i rozegrać partyjkę szachów — Lionel, zagorzały miłośnik królewskiej gry, wybudował ogromną szachownicę na tarasie. Gdy Rosemary wchodzi do środka, żeby się położyć — „to przez ten upał, jest strasznie męczący” — on i ja zaczynamy wędrować po czarno-białych kwadratach i przesuwac po nich ponadmetrowe kawałki polistyrenu. Jako ojciec i córka jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi, natomiast jako przeciwnicy w szachach — zaprzysięgłymi wrogami.

— Szach i mat! — oświadczam triumfalnie, przesuwając swojego gońca.

Lionel przygryza cybuch swojej fajki.

— Nie wierzę!

Krzyżuję ręce na piersi i obserwuję, jak chodzi ciężko wokół figur z czołem zmarszczonym ze skupienia.

61

— Nie potrafisz się przyznać do przegranej — drażnię się z nim.

— Bo nie przegrałem! - krzyczy gromko. Przesuwa palcami po swych kręconych włosach, dalej wędrując po szachownicy. - To niemożliwe.

— Owszem, możliwe.

To nasza stara tradycja. Zawsze gdy wygrywam, reakcją mojego ojca jest najpierw niedowierzanie, potem bunt i próba podważenia wyniku, a na końcu: „Boże, jak ty to zrobiłaś?”.

Lionel zatrzymuje się wreszcie z rękami na biodrach i ze zdumieniem wymalowanym na twarzy.

— Miałam dobrego nauczyciela - odpowiadam jak zwykle.

— Jesteś zbyt uprzejma — mruczy, uderzając mnie czule w ramię. — Byłem fatalnym graczem, dopóki nie spotkałem twojej matki. Opowiadałem ci o naszej pierwszej partyjce szachów, prawda?

— Mieliście wtedy oboje po osiemnaście lat i byliście na pierwszym roku Cambridge — odpowiadam. Znam tę historię na pamięć.

— Właśnie. — Lionel kiwa głową i oddaje się wspomnieniom. — Nasz wykładowca zorganizował turniej szachowy z jednym z żeńskich college'ów i mało brakowało, a bym z niego zrezygnował, bo kolidował mi z przesłuchaniem do sztuki, w której chciałem wystąpić.

— The Duchess of Malfi — dodaję szybko.

— Tak jest. — Jest zachwycony, że pamiętam. — Ale w ostatniej minucie zmieniłem zdanie i zapisałem się na turniej. Odbywał się w sali bankietowej i pamiętam jak dziś, jak tam wszedłem i szukałem swojej przeciwniczki. I wtedy ją ujrzałem, jak siedziała zalana światłem słonecznym i czekała na mnie...

— Olśniewająca rudowłosa dziewczyna, która grała w szachy jak Rosjanka.

— Pokonała mnie w sześciu ruchach. Tylko sześć ruchów się opierałem. - Lionel kręci głową, jak gdyby wciąż nie mógł w to uwierzyć, nawet po tylu latach.

Zapada milczenie, oboje delektujemy się wspomnieniami jak dobrym winem.

— Wciąż za nią tęsknię — odzywam się wreszcie.

— Wiem, kochanie.

— Chciałabym, żeby była tu teraz z nami.

— Wtedy stałbym się bigamistą.

Po tym kiepskim żarcie silę się na uśmiech. Wiem, że chce, bym się poczuła lepiej, ale to jednak ciągle boli.

— Chciałabym po prostu, żeby wszystko wyglądało inaczej.

Pykając fajkę, Lionel wbija we mnie spojrzenie swoich jasnoszarych oczu. Są takie jak moje, migdałowe w kształcie, z drobnymi granatowymi plamkami wokół tęczywek.

— Twoje życie nie może być pasmem życzeń i skarg, Heather. Tywarz ma poważną, ale mimo to pozwalam sobie zażartować:

— Dlaczego nie?

Kącikiem ust wypuszcza spiralną strużkę dymu.

— Bo życie jest o wiele za krótkie, by zmarnować choć jedną jego kropelkę. Twoja matka mnie tego nauczyła. - Przerywa i przypatruje się krążącej wokół fontanny ptaszynie, jej drobnemu ciałku błyszczącemu w słońcu, gdy zanurza dziób w wodzie. Przez chwilę Lionel siedzi w ciszy pogrążony w rozmyślaniach.

— Wiesz, przeczytałem kiedyś, że dzień wczorajszy jest historią, jutrzejszy — tajemnicą, dzisiejszy natomiast jest darem. I właśnie tak trzeba go traktować.

Tak. Bardzo mądre słowa. Zastanawiam się, który filozof to powiedział. Pewnie jakiś buddyjski mnich albo inny duchowny przywódca, który spędził całe życie, czyniąc dobrze, przepełniony miłością do bliźnich. Ktoś, kto nie posiadał niczego. Pewnie nawet własnych butów — no może oprócz jednej pary przecenionych sandałów, które

znalazł na śmietniku. Nagle robi mi się wstyd.

- Kto to powiedział? - pytam z nabożnym szacunkiem. Napoiwszy się do syta, ptak odlatuje i tato wreszcie odwraca się w moją stronę.

- Wydaje mi się, że Joan Collins - wyznaje, po czym wkłada mi rękę pod ramię i powoli ruszamy w stronę domu.

Droga powrotna do Londynu zawsze trwa wieki. Z jakiegoś dziwnego powodu, którego nikt mi nigdy nie wyjaśnił, na autostradzie M4 stale „właśnie trwają roboty drogowe”, co oznacza spędzanie wielu godzin w korkach lub wleczenie się slalomem z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę między starannie ułożonymi pomarańczowymi słupkami, które w tajemniczy sposób pojawiły się w ciągu nocy. Mimo to nigdy nie widać, żeby jakiegokolwiek roboty miały miejsce. To jedna z wielkich zagadek tego świata.

Tak samo jak znaki w zbożu, stwierdzam, gdy zjeżdżając na autostradę z bocznej drogi, przyśpieszam i marzę w duchu, żeby była wolna od robót drogowych i korków. I pomyśleć, że gdyby tak pięknie było na całej trasie, nawet bym się nie obejrzała i już byłabym w domu.

Przyśpieszając jeszcze bardziej, podkreścam dźwięk w samochodowym odtwarzaczu, by zagłuszyć świst wiatru. Przygotowana na nieuniknione przestoje, zaopatrzyłam się w kilka nowych kaset. Spakowałam też posiłki w formie nadzieiwanych czekoladek. No cóż, jeśli mam utknąć na autostradzie, przyda mi się towarzystwo zarówno The Best of Duran Duran, jak i moich ulubionych słodczy. Wkładam jedną czekoladkę do ust i wgryzam się w miękki słodki kokos.

65

Ale po dwudziestu minutach podróży czuję się trochę dziwnie. Coś jest nie tak, chociaż trudno mi powiedzieć co. Pędzę autostradą z opuszczonym dachem, z włosami szczelnie zakrytymi chustką i mam wrażenie, że czegoś tu brakuje. Muzyki? Nie. Simon Le Bon śpiewa Rio, drąc się na maksa. Jedzenia? Nie. Wygrzebuje językiem kawałek czekoladki z zęba, a potem wpycham rękę z powrotem do torby. Świateł mijania? Jest jeszcze jasno, więc wystarczą te do jazdy dziennej. Które są włączone.

I nagle dociera do mnie.

Pomarańczowe słupki. Ani jednego.

Nie ma ich, podobnie jak korków. Uśmiecham się z niedowierzaniem i naciskam pedał gazu. W takim tempie będę w domu za niecałe dwie godziny.

Poprawka: za godzinę i czterdzieści dwie minuty. Bo dokładnie tyle mi to zajęło.

Wiem, bo spojrzałam na zegarek, gdy skręciłam w swoją ulicę. Chyba właśnie pobiłam jakiś rekord. Zwalniam i powoli jadę wzdłuż wysadzanego drzewami chodnika. Nachylam się do przodu i sponad kierownicy w skupieniu rozglądam się wokół, tradycyjnie poszukując miejsca na parkingu. Nie pokładam w tym jednak zbyt dużej nadziei. Od kiedy tu mieszkam, nigdy nie udało mi się zaparkować przed domem.

- Żeby tak znaleźć jakieś miejsce... - mruczę pod nosem. -Tylko jedno miejsce...

Ale wzdłuż całej mojej ulicy samochody stoją ciasno jeden obok drugiego. Opieram się z powrotem o siedzenie. Będę musiała zrobić rundkę po okolicy. Pewnie z jakieś kilkanaście razy. A i tak skończę na parkingu oddalonym o kilometr stąd. I będę musiała iść przez nieoświetlone ulice, gdzie pewnie roi się od złodziei i gwałcicieli i... o Boże!

66

W chwili gdy me myśli opanowała wizja mojej raczej bezpiecznej okolicy jako sterroryzowanego przez gangi getta, które znamy z filmów z Alem Pacino, nieomal wjeżdżam w rangę rovera. Nie zauważyłam, kiedy wyjeżdżając na ulicę, sygnalizował skręt w prawo, i dopiero gdy przemyka mi tuż przed oczami, naciskam hamulec. Samochód zatrzymuje się gwałtownie, aż głowa leci mi do tyłu, po czym spoglądam w jego stronę.

- Przepraszam - mówię bezgłośnie do kierowcy.

To on. Mój sąsiad.

Przez chwilę zdezorientowana siedzę nieruchomo, podczas gdy on odpowiada mi lakonicznym skinieniem głowy, a następnie mija mnie gwałtownie i odjeżdża z rykiem. A ja siedzę dalej i czuję się jak kompletna kretyńka.

We wstecznym lusterku obserwuję szare kłęby dymu unoszące się z rury wydechowej

jego samochodu i jeszcze przez chwilę dobiega mnie ryk czterolitrowego silnika, gdy mój sąsiad odjeżdża w siną dal. No tak. Znowu to zrobiłam. Wjechałam w niego jak skończona idiotka. Załamana, walę głową w kierownicę, po czym opieram czoło o srebrny znaczek MG w jej środku. Zamykam oczy i torturuję się powtarzaniem w myślach ostatniej sceny, włącznie ze spojrzeniem, które mi rzucił, odjeżdżając — a potem jeszcze raz. Ale zaraz, zaraz — skoro odjechał, to znaczy, że...

Tam gdzie jeszcze przed chwilą parkował rangę rover, tuż przed moim domem, dostrzegam coś, co każdy mieszkaniec Londynu opisałby jako współczesny cud: miejsce parkingowe.

Jak na razie nie zastanawiałam się zbyt, co powiem mojemu potencjalnemu współlokatorowi. Szczerze mówiąc, od kiedy odłożyłam słuchawkę po naszej wczorajszej wieczornej

67

rozmowie, nie poświęciłam nieznajomemu o śmiesznym imieniu mówiącemu z amerykańskim akcentem nawet najmniejszej myśli. Zbyt cieszyłam się chwilami spędzonymi z Lione-lem albo stresowałam próbami uniknięcia Rosemary - co nie należy do najłatwiejszych zadań - a potem delectowałam się tym, że po raz pierwszy mogę pędzić po autostradzie i zaparkować tuż przed moimi drzwiami.

Ale teraz jest szósta. Ma się zjawić za godzinę. I teraz już zaprzęta mi myśli.

Zastanawiam się, co u licha mu powiem, o co go zapytam, jak przedstawię swoje zasady. I, co najważniejsze - jako że stoję przed szafą ubrana w starą wyciągniętą sukienkę i z mokrą głową owiniętą ręcznikiem - □ o, do cholery, mam na siebie włożyć?

Pół godziny później nie jestem ani o krok bliżej odpowiedzi na to pytanie, za to każdy centymetr kwadratowy mojej podłogi pokryty jest ciuchami. Dżinsowa minispódniczka? Za krótka. Sukienka plażowa z zeszłorocznych wakacji na Ibizie? Zbyt hippisowska. Bluzka z odsłoniętymi ramionami od Karen Millen, której nigdy nie nosiłam? Nie wejdę w nią.

Wyczerpana, przysiadam na krawędzi łóżka i spoglądam na puste wieszaki wiszące żałośnie w mojej szafie. Zwykle w krytycznych momentach dzwonię do Jess z prośbą

o radę, ale Jess jest teraz w Indiach. Obgryzam skórki u paznokci przez kilka minut, a potem, zdesperowana, postanawiam i tak do niej zadzwonić. Od razu włącza się poczta głosowa. Cholera. Spoglądam na wyświetlacz na budziku: 18.50.

Cholera, cholera, cholera! Muszę zdecydować sama. Trudno. Jak zwykle nie mam co na siebie włożyć. Co tu kryć, nienawidzę swoich ciuchów. Ale jako że nie mam karty kredytowej, czasu ani pieniędzy, to albo powitam mojego potencjalnego współlokatora ubrana w stary zmechacony szlafrok, z ręcz-

68

nikiem plażowym w tropikalne rybki owiniętym wokół głowy, albo...?

Czując się jak kucharz prowadzący telewizyjny program kulinarny, który musi w pięć minut wyczarować coś niezwykłego z kilku nędznych warzywek i kawałka starego sera, stwierdzam: „chrzanić to”, łapię kilka rzeczy leżących na łóżku i zaczynam się ubierać.

19.05. Spóźnia się. Sapiąc nerwowo, chodzę w kółko po salonie z papierosem w ręku i staram się wyrzeć przez okno tak, by samej nie być zauważoną. Nic. Odruchowo bawię się włosami, próbując przekształcić mokre kosmyki w loki, i wydmuchuję dym w kierunku szyby, a zaraz potem dociera do mnie, co zrobiłam. Jezu. Wracam myślami do listy reguł, które wymyśliłam, gdy dawałam ogłoszenie do gazety.

Zasada numer jeden: nie wolno palić w mieszkaniu.

Otwieram okno, po czym macham energicznie rękami, zęby pozbyć się dymu. I uświadamiam sobie, że ciągle trzymam w ręku papierosa, co zapewne nie pomaga. A niech to! — gaszę go w pustej filizance stojącej na półce nad kominkiem. O kurwa!

Zasada numer dwa: nie wolno używać naczyń jako popielniczki.

19.12. Może się zgubił? Stojąc przy tylnych drzwiach, wychodzących na mały skrawek trawy i wiciokrzew, który lubię nazywać swoim ogródkiem (i który Rosemary pogardliwie nazywa trawnikiem), sączę drinka. Postanowiłam się odstreso-wywać dzinem z tonikiem. Mniej śmierdzi niż papieros. A poza tym przecież rzuciłam palenie, prawda?

Gdy tak siedzę, grzechocząc kostkami lodu w szklance, próbuję sobie wyobrazić, co Amerykanin pomyśli o moim ogródku. Może, że jest oryginalny. Pewnie jest w

Anglii po raz pierwszy i myśli, że Londyn wygląda jak na filmach Richarda

69

Curtisa oraz że Hugh Grant mieszka za rogiem. Na pewno zada mi mnóstwo pytań o nasze zwyczaje, rodzinę królewską i Davida Beckhama, i wyobraża mnie sobie jako idealną angielską gospodynię: sympatyczną, zabawną i gościnną.

19.18. Gdzie on, kurwa, jest? Wypiłam już dwa dziny z tomkiem i powoli zaczynam się wkurzać.

- Niech no tylko spróbuje nie przyjść - wzdycham, chodząc ciężko po mieszkaniu, i czuję się jak wystawiona dziewczyna. Po chwili pełny pęcherz wysyła mnie do łazienki.

— Nie mówcie mi, że tyle wysiłku poszło na marne... — mruczę pod nosem. No dobrze, może „tyle wysiłku” to za dużo powiedziane, skoro mam na sobie spódnice, która po praniu nie widziała żelazka, bawełniany wyszywany top, który wygrzebałam na targu, oraz nieco błyszczyku na ustach — ale mimo to jakiś wysiłek podjęłam. - W przeciwieństwie do niego — prychem znowu, ciągnąc za papier toaletowy, który obraca się z hałasem. — Nawet nie raczył się pojawić!

Spuszczam wodę i spryskuję łazienkę odświeżaczem powietrza, a potem nakładam na niego nakrętkę. I wtedy dostrzegam wrzos wciąż spoczywający w prowizorycznym flakonie na parapecie. Zupełnie o nim zapomniałam, ale teraz, mając wciąż żywo przed oczami okoliczności, w których zostałam zmuszona do jego zakupu, i poirytowana swoim sentymentalizmem, który kazał mi go zachować, oplukuję szybko plastikową zatyczkę i nakładam ją z powrotem na dezodorant. Wrzos zaraz wylądował w koszu na śmieci.

Przygotowując się na wizytę Amerykanina, opróżniłam kosz w łazience, zmierzam więc w kierunku kuchni. Ale w połowie korytarza postanawiam zrobić szybkie rozeznanie przez frontowy pokój. A więc plan jest taki, że ostatni raz wyglądam przez okno i jeśli nie będzie go na horyzoncie, daję sobie spokój z tym wszystkim i rozmrażam pizzę — postanawiam, wy-

70

chylając się przez oparcie sofy. Ale plan ten nie zakładał, że będę przyklejać twarz do szyby niczym Garfield w samochodzie, w czasie gdy ktoś puka do drzwi.

Przestraszona, odrywam twarz od okna.

Na schodach przed drzwiami stoi nieznajomy blondyn w motocyklowej kurtce i z kaskiem w ręku. Sprawdza swoje odbicie w mosiężnej kołatce u drzwi, odgarnia zmierzwioną grzywkę znad oczu, opuszcza szylkretowe oprawki na nos, a potem podnosi podbródek i pociera kilkudniowy zarost, rozglądając się na boki.

A następnie spogląda wprost na mnie swymi wielkimi błękitnymi oczyma, w których maluje się ciekawość. I wtedy tracąc równowagę, z przytłumionym jękiem wpadam za sofę.

8

— Jestem Gabe.

Pierwszą rzeczą, która rzuca mi się w oczy, są jego piegi. Ma ich jeszcze więcej niż ja, a ja jestem ruda, więc siłą rzeczy nie mogę nie być piegowata.

— Cześć, jestem Heather. — Pocierając łokieć, gestem ręki zapraszam go do środka.

— Właśnie... sprzątałam mieszkanie... myłam okna. - Śmieję się z zakłopotaniem. -

Ciasne mieszkanie oznacza ciasne horyzonty i dlatego... — Gdy słyszę, jakie głupoty wygaduję, robi mi się słabo. Zamknij się, Heather. Lepiej w ogóle się nie odzywaj.

— Na pewno nikt nie ma tak ciasnych horyzontów jak ja.

— Poważnie?

— Żartowałem - uśmiecha się. - Wiem, trudno w to uwierzyć. W końcu jestem Amerykaninem.

— No tak - stwierdzam, i teraz już w ogóle czuję się jak skończona idiotka. Po tej nieudanej próbie przełamania lo-

^ dów zapada krępujące milczenie. Rzucam mu wymuszony uśmiech.

— Mogę zobaczyć pokój ?

— Oczywiście — odpowiadam pośpiesznie i prowadzę go korytarzem. - To tu. -

Otwieram drzwi i cofam się, by mógł go obejrzeć. — Obawiam się, że nie jest zbyt duży, ale jest w nim

wszystko, czego potrzeba. Łóżko, kredens, szuflady, mały telewizor...

W tym czasie Gabe wchodzi do środka i ogląda jasnożółte ściany oraz wypolerowaną mahoniową szafę wraz z jej delikatnymi inkrustacjami i rzeźbionymi drzwiami, która, według sprzedawcy z marketu przy Brick Lane, pochodzi z lat trzydziestych dwudziestego wieku. Papierowy abażur z Ikei wisi u sufitu, dywan z owczej skóry pokrywa gołą drewnianą podłogę, a na puste półki położyłam kilka książek:

przewodniki z serii Modne hotele, coś Salmana Rushdiego i Był sobie chłopiec Nicka Hornby'ego. Książki mówią dużo o ich właścicielu, więc poświęciłam stos babskich czytań i Harry'ego Pottera na rzecz nieco poważniejszej literatury, żeby zrobić dobre pierwsze wrażenie. Masując posiniaczony łokieć, stwierdzam, że pomysł był niezły.

Wcześniej otworzyłam okno na oścież — rozciąga się stąd widok na cały ogródek — i teraz mój gość podchodzi do niego. Stoi odwrócony plecami do mnie, opiera się rękami o parapet i nic nie mówi. Najwyraźniej nie jest typem gaduły, stwierdzam i spoglądam na jego postać. Jest wysoki — na oko ponad metr osiemdziesiąt - i dużo lepiej zbudowany, niż mi się na początku wydawało. Moje oczy wędrują w dół jego kurtki i zatrzymują się na pośladkach odzianych w szerokie bojówki - no cóż, jestem tylko człowiekiem - a potem podążają jeszcze niżej, do obstrzępionych nogawek nad jego kłapkami. Nie, stanowczo nie mój typ. Zbyt obdarty. Poza tym zbyt spokojny. I mogłabym przysiąc, że na podkoszulku, który wystawał mu spod kurtki, widniało zdjęcie Mr T z Drużyny A. Okropność.

— Podoba mi się.

Jego głos przywraca mnie do rzeczywistości.

— Och... - Na to nie byłam przygotowana. Spodziewałam się mnóstwa pytań, przeciwiczyłam wiele odpowiedzi,

73

ale teraz, gdy stoję przed faktem dokonany, nagle ogarniają mnie wątpliwości. Czy na pewno chcę mieszkać pod jednym dachem z obcą osobą? Przecież prawie cię nie znam... — odzywa się cichy głosik w moim wnętrzu.

— Dobrze, to co chcesz o mnie wiedzieć?

Gdy Gabe się odwraca, dociera do mnie, że powiedziałam to na głos. Czuję, jak się rumienię.

— Uważam, że najpierw powinniśmy się trochę lepiej poznać, wiesz, na przykład porozmawiać o swoich zainteresowaniach... — O zainteresowaniach? Gdy tylko wypowiadam te słowa, rumienię się jeszcze bardziej. Gadam jak dwunastolatka. Wyraźnie rozbawiony Gabe uśmiecha się figlarnie.

— Jak byśmy byli na randce?

— Nie, chodzi mi tylko o... — Nie wiem, co powiedzieć. Za to wiem, że zachowuję się idiotycznie i muszę wyluzować. — Przepraszam, nie jestem do tego przyzwyczajona — wyznaję. — Nigdy przedtem nie wynajmowałam nikomu pokoju i po prostu czuję się dziwnie.

— Jasne, rozumiem. — Siada na parapecie, odgarnia włosy z twarzy i wlepia we mnie wzrok. — No dalej. Pytaj, o co tylko chcesz.

— Poważnie ?

— Poważnie.

No cóż, skoro tak mówi...

Wychodzę z pokoju na chwilę, po czym wracam z notatnikiem. Gabe ciągle siedzi na parapecie. Tyle że teraz ma towarzystwo w postaci wielkiego rudego kota zwiniętego na jego kolanach jak rogalik i mruczącego głośno.

— O, poznałeś już Billy'ego Smitha. — Widok mojego kota w takim miejscu jest doprawdy niezwykły. Czy to aby ten sam kot, który syczy i skacze z pazurami na każdego, kogo nie zna,

74

('brząkam.

- Hm... palisz.'

- Pracuję nad Urn. - L śmiecha się szeroko.

Nie jestem pewna, czy kpi sobie ze mnie. czy mówi poważnie, jednak zapisuję to w notesie.

--- □ więc w mieszkaniu nie wolno palie. Pod żadnym pozorem. Można palić tylko w ogrodzie, ale me używając naczyń, doniczek ani rabatek jako popielniczek.

- Jasne.

- Bierzesz jakieś prochy:

-Tylko przepisane przez lekarza oświadcza uroczyście. Notuję informację i przechodzę do następnej zasady.

- Nie wolno zostawiać torebek po herbacie w zlewie. Piję głównie kawę.

-Ach. rozumiem... Super. - Uśmiecham się. kwaśno. □□ nie tak miało być. Jeśli mani hvć szczerza, to po cichu liczyłam, że moje zasady odstraszą eo od wynajęcia pokoju. Spod półprzwmkniętvch powiek obserwuję, jak głaszcze Billyego Smitha. Tak w ogóle to wydaje się bardzo miłv gdyby wpaść na mego w barze. Ale przed moją łazienką: O siódmej rano' (uh jest ubrany y\ same slipy?

Ogarnia mnie panika. I o me wyjdzie. Mieszkałam tu tylko z jednym facetem i był nim Daniel. Nie chcę. by ktoś obcy paradował po moim mieszkaniu w majtkach. Musze go jakoś spławić.

- A skoro juz jesteśmy przv kuchni... - W staję pospiesznie. — Nie życzę sobie zostawiania brudnych naczyń w zlewie. Nie mam zmywarki, więc musisz zmywać po sobie po każdym posiłku. I żadnego zalewania brudnej patelni wodą i zostawiania jej lak na kilka dni. Odmaczanic to jeszcze me zmywanie -warczę rozkazująco.

(rabę salutuje, jakby przyjął rozkaz.

(

- A jeśli chodzi o lodówkę, masz dla siebie górną półkę i jeśli chcesz tam położyć mięso, musi być zapakowane. Jestem wegetarianką. To znaczy jem ryby...

- Więc jesteś raczej peskovegetarianką?

Rzucam mu mrożące spojrzenie i wędruję do łazienki.

- Łazienkę mam tylko jedną, więc będziemy musieli z niej korzystać oboje. -

Otwieram drzwi i gdy Gabe zagląda do środka, zaczynam przypominać sobie zwyczaje Daniela, które doprowadzały mnie do szału. Ha, to powinno przesądzić sprawę. Amerykanin czy Anglik, facet to facet, i jedno wiem na pewno — że niczego tak nie znoszą jak kazań. Więc zaczynam:

- Żadnego ściągania skarpetek i zostawiania ich zwiniętych w kulki na podłodze, zero zostawiania resztek zarostu po goleniu w całej łazience, nie używaj moich szamponów i odżywek... - Zatrzymuję się, żeby wziąć oddech. Jestem teraz w swoim żywiole i nic mnie nie powstrzyma. — Zawsze opuszczaj deskę klozetową. A jeśli podczas mycia ochlapiesz flizy...

- Flizy?

Spogląda na mnie pytająco.

- Płytki, no wiesz. -Aaa, glazurę?

No tak, Amerykanin.

- Tak, glazurę - odpowiadam.

- Jasne, oczywiście. — Kiwa głową uroczyście i pociera koniec nosa. Dużego nosa, z garbem na środku. Który wygląda, jak gdyby był złamany. A ja zaczynam się zastanawiać, skąd wzięło się to złamanie u mojego potencjalnego współlokato-ra, który stoi teraz w mojej łazience, z moim kotem na rękach i spogląda na mnie tymi wielkimi niebieskimi oczami.

- A zasada numer dziesięć?

- Numer dziesięć?

- Liczyłem.

77

— A, tak... jasne. — Odrywam oczy od listy spoczywającej na moich kolanach i próbuję skupić myśli wokół kolejnej zasady, zanim znowu się zamyszę. - Telewizja. - Przechodzę obok niego i wchodzę do salonu. — Mam telewizję satelitarną, ale nie życzę sobie, byś okupował kanały sportowe i oglądał co wieczór futbol.

— W Ameryce nazywamy to piłką nożną. To, co my nazywamy futbolem, wy zwiecie futbolem amerykańskim.

— Ja to wszystko nazywam nudziarstwem — odpowiadam zgryźliwie.

— Czyli rozumiem, że nie jesteś fanką sportu? — Gabe unosi brwi.

— Nie — zdecydowanie kręcę głową.

Tak. To koniec. Nazwałam futbol nudziarstwem. Za pięć sekund już go tu nie będzie.

— Nie przejmuj się. Ja też nie przepadam za oglądaniem sportu. - Przejeżdża palcem

po grzbiecie Billy'ego Smitha. -Wolę go uprawiać.

Zaraz, zaraz. On ciągle tu jest.

— W domu dużo surfuję — ciągnie. — Ale przypuszczam, że w Anglii nie będę miał na to szans.

— Niekoniecznie. W Kornwalii, gdzie się wychowałam, jest duży ośrodek surfingu

— zaczynam z ożywieniem. — Co roku w Newquay organizowane są zawody, na które zjeżdżają się surferzy z całego świata. — Siadam na oparciu sofy.

— Ooo, brzmi nieźle. Fajnie by było tam kiedyś pojechać.

— To naprawdę piękne miejsce, spodobałoby ci się — mówię dalej z entuzjazmem.

Nagle zalewa mnie fala wspomnień. Nie byłam tam już od lat, a chyba powinnam pojechać i odwiedzić kilka ukochanych miejsc. Pewnie dobrze by mi to zrobiło. -

Stanowczo musisz tam pojechać — mówię zarówno do siebie, jak i do niego. Może moglibyśmy wybrać się razem i zrzucić

I

się na benzynę, myślę. Obserwuję, jak ze znanstwem łaskocze uszy Billy'ego Smitha.

Może posiadanie współlokatora nie będzie takie straszne, jak mi się wydawało.

Nawet jeśli oznacza to dzielenie się z nim francuskimi garnkami. A skoro już o nich mowa...

— Nie wolno ci używać moich francuskich garnków.

— Twoich francuskich garnków?

— Tak. Dostałam je w prezencie na parapetówkę. Służą do duszenia, pieczenia...

Widząc oszołomienie na twarzy Gabe'a, stwierdzam, że pewnie ma mnie za wariatkę, ale dyskretnie zachowuje te myśli dla siebie. Zamiast tego wybucha śmiechem:

— Nie ma sprawy. Jestem raczej typem podsmażacza. Zwykła patelnia wystarczy mi do szczęścia.

Następuje milczenie, które pierwszy przerywa Gabe.

— No i jak, zdałem?

Spoglądam do notatnika. Trzeba przyznać, że zaliczył wszystkie kwadraciki, ale...

sama nie wiem, co zrobić. Wciąż nie jestem pewna. Wydaje się miły, ale może lepiej nie podejmować pochopnej decyzji. Może powinnam spotkać się z innymi

kandydatami. Wprawdzie nie ma jak na razie innych kandydatów, ale mogą się pojawić, jeśli poczekam jeszcze parę tygodni. Może znajdę niepalącą, schludną japońską studentkę, która zawsze opuszcza deskę klozetową.

— Coś ci wypadło. — Gabe schyla się, podnosi coś z dywanu i wyciąga w moją stronę. — Wygląda jak kwiatusek do butonierki.

Spoglądam na związaną gałązkę między jego palcami. To ten wrzos. Nagle ogarnia mnie dziwne uczucie. Tak śmiesznie się obraca... Może rzeczywiście przynosi szczęście?

Biorę od niego wrzos.

— To kiedy się wprowadzasz?

9

Pamiętacie zespół Boomtown Rats?

Ja, szczerze mówiąc, kiepsko ich kojarzę, byłam wtedy zbyt młoda. Ale pamiętam za to, jak mój brat, Ed, puszczał ciągle ich singla z płyty winylowej. Włączał swój stary adapter i podskakując na łóżku jak na trampolinie, śpiewał, ile sił w płucach, swoją ulubioną piosenkę.

IDorit Life Mondays. Nie lubię poniedziałków.

Na okrągło.

Aż nie wytrzymały sprężyny tapczanu. Ed spędził resztę swojego nastoletniego życia, śpiąc na materacu na podłodze. Do dziś uważa, że Bob Geldof jest odpowiedzialny za jego problemy z kręgosłupem. W każdym razie skończyło się na tym, że już nigdy potem nie włączył tej płyty.

Ale piosenka ta już na zawsze utkwiała w mojej pamięci i trzeba przyznać, że teraz, kiedy jestem starsza, muszę się zgodzić z sir Bobem w jednej sprawie: ja też nie znoszę poniedziałków. Jednak ten poniedziałkowy ranek jest inny. W ten poniedziałek jestem w wyjątkowo dobrym nastroju, a mój szeroki uśmiech na twarzy wywołało to, że...

- Bzykałaś się — znajomy akcent z East Endu zagaduje mnie zaraz po otwarciu drzwi, które prowadzą do małego biura na górze.

80

— □□? - pytam, podnosząc stos poczty z wycieraczki. Brian siedzi z nogami na biurku, żuje rogalika i mierzy mnie wzrokiem.

— Ten uśmiech. Poznam go wszędzie. To uśmiech po dobrym bzykanku. Przewracam oczami na te słowa, po czym ściągam z siebie dzinsową kurtkę i podchodzę do starego mahoniowego wieszaka. Każdego dnia od sześciu lat stoi w kącie biura jak strach na wróble zawalony stertą starych płaszczy i kurtek należących do mnie lub do Briana, o które żadne z nas się nie upomina. I każdego dnia od sześciu lat, gdy podchodzę do tego wieszaka, przemyka mi przez głowę, że fajnie by było mieć indziej powiesić kurtkę, a potem się poddaję i rzucam ją na samą górę tego stosu. Dzisiaj też marzy mi się to samo.

— No i jak, kto jest tym szczęśliwym wybrankiem?

Ech, żeby tak był wolny kołek, na którym mogłabym powiesić kurtkę...

— Nie ma żadnego szczęśliwego wybranka — odpowiadam i zatyka mnie. Ponieważ dzisiaj, jakimś szczęśliwym trafem, jest inaczej. Jest wolny kołek. Spoglądam na niego z niedowierzaniem. Niesamowite. Zanim wieszam na nim kurtkę, odwracam się do Briana.

— Miałaś cały weekend wolny i wchodzisz tu tanecznym krokiem z uśmiechem od ucha do ucha. - Odkłada na stół nadgryziony rogalik i przyciska dłoń do piersi. — Przysięgnij mi z ręką na sercu, że nie poznałaś żadnego faceta.

Doprawdy, Brian potrafi się zachowywać naprawdę żałośnie.

— No dobrze, poznałam faceta... — przyznaję. — Ale to nie tak, jak myślisz. To mój nowy współlokator.

Brianowi rzednie mina.

— Czyli nie mam co rozsiewać plotek.

— Nie. Jestem singlem, pamiętaj.

81

— No i co z tego? Wiem coś o tym. Oglądałem kiedyś SeAs w wielkim mieście. — Unosi brwi znacząco.

— Och, Brian, to był tylko serial — wybucham śmiechem. — Spędzam większość wieczorów, jedząc kolację przed telewizorem, a potem zmywam po sobie i idę do łóżka z dobrą książką.

— Ja to samo. — Brian wzrusza ramionami ponuro. — Masz przed sobą faceta, w którego życiu nic nie drgnęło od początku tego tysiąclecia. Nie, mówię poważnie — oświadcza, zanim miałabym okazję zaprotestować.

Ale i tak protestować nie zamierzam. Od kiedy znam Briana, w jego wypowiedziach przewijają się trzy tematy. Seks (a raczej jego brak). Musicale na West Endzie - Michael Crawford (geniusz). I to, że od siedmiu lat nie był w żadnym związku. A te trzy rzeczy są moim zdaniem ściśle powiązane.

— Ostatnim razem kiedy naprawdę nie mogłem narzekać, Abba była na pierwszym miejscu z Waterloo. — Bierze na nowo swojego rogalika.

— Brian, czy ty kiedykolwiek myślisz o czymś innym niż seks? — Cmokam dobrodusznie, zdejmując jego stopę z biurka i kładąc przed nim pocztę.

— A o czym innym warto myśleć? — Okruszki sypią się z rogalika i przyczepiają do jego świeżo wygolonego podbródka jak do rzepów. Wyciera je papierową serwetką.

-O polityce? Religii? - prycha Maureen, wyłaniając się z kuchni z mopem i wiaderkiem. Maureen jest naszą sprzątaczką. Jest to chuda, żylasta kobieta z włosami ufarbowany-mi na kolor marynowanych buraczków, która po tym jak w zeszłym roku zmarł jej mąż, postanowiła zapisać się na kurs filozofii w osiedlowym ośrodku dokształcającym.

— Och, to fascynujące — mówi Brian sarkastycznie.

82

— To naprawdę działa krzepiąco — odpowiada Maureen sztywno. Obdarza mnie wyszczerzonym uśmiechem, co kontrastuje ostro z groźnym spojrzeniem, jakie rzuca Brianowi. — Witaj, Heather. Jak tam weekend?

— Nie słyszałaś? Bzykała się — wtrąca Brian, puszczając mi oczko, po części dlatego, że nie lubi, jak się go ignoruje i wyłącza z rozmowy, a częściowo dlatego, że uwielbia się drażnić z Maureen.

— Brian, przestaniesz? Wcale się nie... — szukam w myślach przyzwoitego słowa —

... nic nie robiłam. — Głód bierze nade mną górę i nachylam się w jego stronę, by ugryźć rogalika, ale zaraz przypominam sobie o swoich masywnych udach i powstrzymuję się.

— To dlaczego jesteś taka radosna?

— Nie czytałeś Drogi rzadziej wędrowanej} — pyta Maureen, łapiąc puszkę sprayu do mebli i przyskajac nim na Briana, jak gdyby to był środek na owady, a on był natrętnym komarem. — Szczęście pochodzi z wnętrza.

— Nie wciskaj mi tego całego kitu od Dalajlamy.

— To akurat nie Dalajlama, tylko Deepak Chopra.

— Nie chodzi o żadną z tych rzeczy — przerywam im kłótnię. — Jeśli naprawdę chcecie wiedzieć, dlaczego jestem w tak dobrym humorze, to dlatego, że miałam dziś w metrze miejsce siedzące.

Informacja robi oczekiwane wrażenie. Oboje milkną.

— Miejsce siedzące w metrze ? —powtarza po chwili Maureen.

— Tylko tyle? — jęczy Brian, najwyraźniej rozczarowany. Jako jedyny gej w Londynie, którego życie seksualne jest od dobrych paru lat w stanie hibernacji, Brian ma skłonność do nadmiernego ekscytowania się życiem innych. — Żadnego barabara? Całowania? Nawet niewinnego trzymania za rękę?

83

Po raz pierwszy mam wrażenie, że Brian i Maureen zgadzają się w jakiejś sprawie.

— Przykro mi. -Wzruszam ramionami i włączam komputer. — Tylko tyle.

Nie ma co wyjaśniać. Wiem, że Brian i Maureen nigdy nie zrozumieją, jak ważne było dla mnie to, co się stało tego ranka, gdy zeszłam po schodach na peron i czekałam na pociąg. Na początku wszystko odbywało się jak zwykle — ten sam plakat z Kate Hudson z zamalowanym na czarno zębem, ten sam kuszący automat z czekoladą, to samo obserwowanie, jak pociąg wjeżdża na stację i otwierają się drzwi. A potem jak zwykle weszłam do środka i rozejrzałam się po wagonie, marząc o wolnym miejscu.

Najpierw nie byłam w stanie ujrzeć niczego, gdyż wagon wypełnił się tłumem pasażerów, ale potem powoli, niezauważalnie, ludzie rozpierzchli się na boki,

zostawiając szerokie przejście, jak rozstępujące się Morze Czerwone. A tam, nie do wiary, dokładnie naprzeciwko mnie, ujrzałam wolne miejsce.

-Tylko tyle? - powtarza Brian. - To jest powód twojego dobrego samopoczucia?

— Tak, tylko tyle. — Hm, a może nie do końca. Przypuszczam, że na mój dobry nastrój miało wpływ też to, że nie zasnęłam, że nie było kolejek w Starbucksie ani korków podczas drogi powrotnej z Bath w ten weekend, za to było miejsce parkingowe przed moim domem. I, oczywiście, że pojawił się Ga-be, mój nowy współlokator, który akurat dzisiaj się wprowadza.

Czuję skurcz w żołądku. Nie, bynajmniej nie jestem podekscytowana. To pewnie z głodu, skoro nie jadłam śniadania.

— Chce ktoś tosta? — pytam. Zostawiam Briana i Maureen wpatrzonych we mnie, znikam w kuchni i wyjmuję chleb z lodówki. Mruczę sobie pod nosem, otwierając nowe opakowanie.

84

- Hmm... hmm... hmm... hm-mm. - Wyciągam duże kromki i nagle dociera do mnie, że mruczę piosenkę Boom-town Rats. Tyle że, niech mi pan wybaczy, sir Bob, ale obawiam się, iż zmieniłam zdanie. Wkładam chleb do tosterka i pociągam dźwignię w dół. Uwielbiam poniedziałki.

Do późnego popołudnia telefon nie zadzwonił ani razu i radosny z rana Brian kwaśniej trochę jak mleko zostawione na popołudniowym słońcu. Wiem, że martwi go stan interesów, i spojrzawszy do terminarza, który jest praktycznie pusty, wcale mu się nie dziwię. Korzystając z jego rady, spędzam godzinę przerwy na lunch na uaktualnianiu swojego CV, a potem zostawiam go palącego jednego papierosa za drugim w biurze i idę do ciemni wywołać zdjęcia z ostatniego ślubu.

Zwykle w czasie pracy słucham muzyki, ale dzisiaj, gdy włączam odtwarzacz, okazuje się, że Brian zastąpił album Gorillaz Upiorem w operze. W pewnym momencie uświadamiam sobie zażenowana, że nawet wpada mi to w ucho. I gdy tylko w mojej głowie pojawia się myśl, że może Michael Crawford ma lepszy głos niż Damon Albarn, dochodzi mnie pukanie i ściszam dźwięk.

- Chwileczkę... - Kończę zanurzanie zdjęć rozpromienionych nowożeńców w

kuwecie z utrwalaczem, a potem przypinam je do sznurka rozciągniętego nad głową i otwieram drzwi, spodziewając się ujrzeć w nich Briana. Ale stoi tam Jess — stewardesa, moja współtowarzyszka zakupów w Żarze, a tak w ogóle — moja najlepsza przyjaciółka. Ma na sobie uniform, a obok niej stoi walizka na kółkach.

- Zgadnij, co się stało!

- Czy aby nie powinnaś być teraz w Delhi? — Wpuszczam ją wraz z walizką do środka oświetlonego słabym czerwonym

85

światłem pomieszczenia. Ja i Jess możemy sobie darować ten cały rytuał formalnych powitań. W rozmowie od razu przechodzimy do rzeczy, skaczemy z tematu na temat, pleciemy, co nam ślina na język przyniesie. Wygląda to tak, jakbyśmy toczyły jedną, nigdy niekończącą się pogawędkę odkąd się poznałyśmy. I chyba rzeczywiście tak jest.

— Byłam. Właśnie wróciłam. — Siada ciężko na krześle i odwraca się w moją stronę podeksytowana, a potem nagle nadstawia uszu i marszczy brwi.

— Heather, słuchasz Upiora w operze} Rumienie się ze wstydu.

— Ach, to... - Wyłączam odtwarzacz. - To płyta Briana - wyjaśniam, gdy Jess spogląda na mnie podejrzliwie.

— Czy ktoś ci kiedykolwiek mówił, że faceci i musicale nie idą z sobą w parze? — Ściąga nakrycie głowy i wiesza je na oparciu krzesła. — A, przepraszam, poprawka: heteroseksualni faceci i musicale.

Zamykam drzwi, żeby do środka nie wpadało światło, i siadam obok niej.

— I mogłam się domyślić. Każdy steward, z którym latałam, był zakochany w Michaelu Ballu. — Wzdycha z rozżaleniem. — A to niepowetowana strata: niektórzy z nich są po prostu fantastyczni...

— Więc co takiego mam zgadnąć? — pytam, żeby zmienić temat i nie gadać o facetach. Co w wypadku Jess jest jak próba rozmawiania z Jezusem o czymś innym niż o Bogu.

— Mam randkę — oświadcza.

— Z Simonem? - Simon jest architektem, którego Jess poznała przez Internet i z

którym w zeszłym tygodniu była na kolacji. Jess gdy nie lata po świecie, kupuje torebki na eBayu i szuka miłości na znajdzmeza.com, czy też jak się tam zwa te strony randkowe.

86

— Miałam już jednego dupka, nie potrzeba mi kolejnego — oświadcza ze śmiertelną powagą.

— Zatem rozumiem, że nie z Simonem.

— Ma na imię Greg.

— Kim jest Greg? — Ciężko mi jest nadażyć za facetami w życiu Jess. Często spotyka się z kilkoma na raz. Zęby podnieść średnią.

— Bankierem. Lat trzydzieści pięć. Lubi jeździć rowerem górskim i jeść sushi. Aczkolwiek nie w tym samym czasie. — Śmieje się ze swojego dowcipu, chociaż podejrzewam, że jest on autorstwa Grega. — Poznałam go na Internecie, gdy byłam w Delhi, ale oczywiście Greg nie mieszka w Delhi. Mieszka w Londynie. Ponieważ z powodu różnicy czasu spędziliśmy ostatnie dni na pisaniu maili...

— Ale myślałam, że naprawdę zależy ci na Simonie? — jęczę. Teraz już wiem, jak się czuje mój tata, gdy ogląda film. Z niewiadomego powodu nigdy nie jest w stanie nadażyć za akcją i cały film spędza na zadawaniu pytań i byciu uciszonym.

Zazwyczaj przeze mnie.

— Nie zadzwonił — oświadcza Jess, marszcząc nos. — Cest la vie.

— Ale rozumiem, że nie złamał ci serca?

— Kochana, mam trzydzieści sześć lat. Nie mam czasu na życie ze złamanym sercem. — Zrzuca buty i pociera pięty odzianych w pończochy stóp. — W ogóle nie mam czasu na sentymenty.

Jess jest niesamowita. W ciągu ostatnich kilku lat wyrobiła w sobie całkowicie praktyczne podejście do poszukiwań właściwego faceta. Odłożyła do lamusa wszystkie te historie o przeznaczeniu, bratnich duszach i motylkach i jest zainteresowana wyłącznie odpajkowaniem właściwych kwadracików. Dla Jess znalezienie odpowiedniego faceta jest jak znalezienie

87

używanego samochodu. Liczy się tylko data produkcji, wygląd, liczba poprzednich właścicielek oraz to, czy daje poczucie bezpieczeństwa.

Kiedyś uważałam, że jej podejście jest zbyt praktyczne -mimo wszystko chodzi tu o serce, a nie o dwulitrowy silnik - ale po mojej katastrofie z Danielem zaczynam myśleć, że może ma rację. Motylki w brzuchu to miłe uczucie, ale są też śmiertelnie niebezpieczne - to właśnie te cholerne motylki złamały mi serce.

-I jak na razie nie dostrzegam niczego niepokojącego -oświadcza z dumą. - Nie ma byłej żony ani lęku przed zaangażowaniem, żadnych problemów z narkotykami ani głęboko skrywanych przekonań religijnych...

Zastanawiam się przez chwilę, czy to jest dobry moment, by przypomnieć jej, że to samo mówiła o Simonie. I Denni-sie, szefie agencji reklamowej, który okazał się kompletnym zerem. I Reubenie, dziennikarzu, który był żydem i którego matka (stanowczo toksyczna) naciskała na jej nawrócenie.

— Myślę, że to jest właśnie to.

Stwierdzam, że lepiej jej jednak nie przypominać.

— Kiedy się z nim spotykasz?

-W sobotę. Zabiera mnie w jakieś wyjątkowe miejsce.

— Gdzie?

— Nie wiem. Powiedział, że to ma być niespodzianka.

— Niespodzianka? -powtarzam z entuzjazmem. -To super! Nieprawda. Wcale nie uważam, że to super. Jeśli jest coś,

czego naprawdę nienawidzę, to tym czymś są niespodzianki. Może jestem dziwna, może jestem jedyną osobą, która ma takie odczucia, ale lubię wiedzieć, czego mam się spodziewać, żeby móc się na wszystko przygotować. Weźmy na przykład przyjęcia urodzinowe. Nie potrafię sobie wyobrazić nic gorszego niż powrót z pracy do domu, kiedy ktoś nagle wyskaku-

88

iar zrobi kici rcsta

igwm\

/[] } ■'.] [□□i□\\ lili' ■ □□ iii >d\

\ Innu. i manl\ □ /□□. ('li 'ss. mimo woli, doku
 nuic.
 I)o chi >lerv, ! li atlu r, to li siebie
 I/.y atakami śmiechu. Pamiętani. im: In jest Id i'i jest miłość mojc»<
 > zvcia. ('za
 Nu cóż. mogłaś się w mm /.aki ni / mm
 mieszkanie, a pniem odkryć, /e oil |><>l roku posuwa laskę
 z. pracY stwierdzam w duchu, l: ijc mi przed oczami. \lc
 mc pozwalam mu / i□□□ □ lam na długo.
 □□□I □ ic w ziać na w vstęp]ak mówię zamiast I□□□.
 :< ni\ sie śnuai i /□□□ spojrzenia.
 Niczego hardziej me znosi im ni/ : lvi u stand-□□□ się właśnie
 poznahśniY. I „l ihryce Sniieclui na (a>vent (birdeii [>rzc>
 ichlo-p.ik.i. bojae sic i□'□□ ;□i loalcu z I ; unik 'i ,; ' n. rze
 mnie sobie na oh mnie nabijać, siedziałam tani śmiertelni!
 □□□i□i□□ sit i 'n ' publiczni iści. kici iv to -skorą ■
 ^ nę / p' idbn " Ikici -uiiru
 : śmv
 na siebie poprzez dvm pa pi er- Sama
 hm 7 nas w Ygkidala ba. >na, ale obie w nv
 sum chem.
 :cie Irzeh
 □□□□ na zakupy do Żary
 U.
 >vta z niedowierzaniem. —
 — Czy to jest aby bezpieczne, Heather? — ostrzega mnie fess z miną zatroskanej
 przyjaciółki. — To może być psychopatyczny seryjny morderca.
 A tak naprawdę chodzi jej o to, że może to być psychopatyczny seryjny morderca,
 który nie ma dziewczyny.
 — Wątpię, wygląda naprawdę sympatycznie — odpowiadam, nie dając się nabrać na

jej grę. — Jest typem hippisa.

— To samo mówili o Charlesie Mansonie. Rzucam jej mrożące spojrzenie.

Jess wytrzymuje je.

— Myślę, że powinnam wpaść, będzie ci rażniej.

— Chcesz się bawić w przyzwoitkę? - pytam.

— Zresztą, rób jak chcesz. Jeśli wolisz ryzykować, że pokroi cię na drobne kawałeczki i pogrzebie na grządkach twojego geranium...

Kapituluję.

— Dobra, dobra. No to u mnie. O ósmej.

Twarz Jess rozjaśnia się i obdarowuje mnie uśmiechem.

— Ale nie klej się do niego - ostrzegam ją, otwierając drzwi, by wyprowadzić ją i jej walizkę z ciemni.

— Kleić się? Ja; — Jess ściska swój szeroki biust i spogląda na mnie w udawanym oburzeniu. - Zaufaj mi, Heather, nawet nie zauważysz mojej obecności.

— Chyba tak.

-A więc skoro nalegasz... Dolać ci wina, (i a be?)

Siedzimy we troje w ogródku, fest jeden z tvcli rzadkich ciepłych letnich wieczorów, którego nie zakłóca nawet najlżejszy podmuch wiatru. Powietrze pachnie mieszaniną jaśminu, lawendy i kielbasek wędzonych na pożyczonym od sąsiada grillu, a z przenośnego odtwarzacza ustawionego na parapecie dobiega głos Nory Jones. Nawet zapaliłam małe lampki z Ikei i rozmieściłam je po całym ogrodzie. Zajęło mi to wieki, ponieważ

93

co chwila gasły i parzyły mi palce, ale warto się było tak poświęcać, gdyż mój ogródek przypomina teraz grotę elfów.

Rozglądam się wokół i robi mi się miło na duszy. Nie jestem w stanie pojąć, czemu się tak denerwowałam: wszystko bowiem ułożyło się tak, jak to sobie wymarzyłam.

Hm, może nie wszystko.

Gdy moje oczy spoczywają na (ess, która krząta się wokół stolika, kręcąc tyłkiem jak króliczek Playboya, czuję, jak zalewa mnie fala irytacji. Wbijam wzrok w jej plecy,

lśniące od na-błyszczającego balsamu do ciała, i obserwuję, jak mój współ-lokator zapala kolejnego papierosa.

Pojawił się ze swoim „bagażem” — kaskiem i jednym małym plecaczkiem, który mógłby z trudem pomieścić moje kosmetyki - zaledwie kilka godzin temu. Rzucił je na swoje łóżko, zsunął klapki z nóg i wyjął paczkę papierosów American Spirit z motocyklowej kurtki.

— Czy mogę tu zapalić? — zapytał, wchodząc bosy do ogródka.

— Yyy, nie musisz wychodzić... czuj się jak u siebie w domu - krzyknęłam za mm. Właściwie niepotrzebnie, ponieważ już wyłożył się na leżaku, a Billy Smith natychmiast wskoczył mu na kolana.

No cóż, nie mogłam go zostawić samemu sobie, prawda? Jako właścicielka mieszkania i gospodyni, powinnam go godnie powitać i sprawić, by czuł się jak u siebie w domu. Użyłam słowa „powinnam”, ponieważ z niewiadomych przyczyn moja zdolność do prowadzenia towarzyskich pogawędek opuściła mnie — nie nawykłam do tego, że na moim trawniku leżą bosonodzy Amerykanie płci męskiej — więc pokręciłam się po ogródku, poprzekładałam bez potrzeby kilka rzeczy, które już były na swoim miejscu, a potem zaczęłam szukać nieudolnie jakiegoś tematu do rozmowy.

□4

— O, widziałam wczoraj w programie Alego G coś prze-śmiesznego... ale zapomniałam już, co to było. - Az wreszcie w ogródku pojawiła się Jess. Weszła seksownym krokiem, przywitała się z Gabe'em, jak gdyby był jej od dawna niewidzianym kochankiem, potem wyjęła dwie butelki pinot gri-gio, korkociąg oraz płytę Nory Jones z podróbki torby Louisa Vuittona, po czym zaczęła uprzejmą konwersację godną stewardes}.

— A więc co cię sprowadza do Londynu? — pyta teraz tonem flirciary. — Interesy czy przyjemność?

— Po części jedno i drugie — odpowiada Gabe takim tonem, jak gdyby albo nie zauważył, że Jess z nim flirtuje, albo po prostu uprzejmie ją ignorował. — Ale zanim zanudzę was szczegółami, muszę was przeprosić na chwilę. — Odwraca się do mnie i

pyta cicho: — Heather, możesz mi jeszcze raz powiedzieć, gdzie jest łazienka⁵

— Drugie drzwi po lewej — wtrąca Jess, zanim udało mi się otworzyć usta.

— Dzięki.

Gdy tylko znika, odwracam się do Jess.

— Co ty wyprawiasz³ — syczę z wściekłością.

— Przełamuję lody — odpowiada z niewinną minką. Ale mnie nie nabierze.

— Przełamywaniem lodów są rozmowy o pogodzie — rzu-:am. — Nie pamiętasz już, jak mówiłaś: „Zaufaj mi, Heather, nawet nie zauważysz mojej obecności?”.

Popija łyk wina, które syczy się jej z kącików ust, przełyka . patrzy na mnie z zakłopotaniem.

— No dobra, przyznaję, trochę z nim flirtowałam.

— Tr □ □ h ę?

95

— Daj spokój, mała, po prostu biorę pod uwagę, że z Gregiem może nie wypalić.

Rozumiesz, zawsze dobrze jest mieć plan B.

— Mój współlokator jest twoim planem B? - pytam z oburzeniem, nagle czując, że powinnam chronić przed nią Gabe'a,

i chyba zachowuję się tak, jakbym miała do niego jakieś wyłączne prawo.

— A niby czemu by nie? Przecież ci się nie podoba. Owszem, nie podoba mi się. Ale...

— O cholera. A może on ci się podoba, Heather? — Twarz Jess nieruchomieje. - Nie przyszło mi to do głowy. Gdybym o tym pomyślała...

— Nie, jasne, że nie — protestuję żarliwie. — Tylko po prostu... — Wzdycham cicho, gdyż nie wiem, co powiedzieć.

Jess ściska mi rękę.

— Wiem. Przepraszam. Może trochę za daleko się posunęłam.

— Trochę za daleko² — Uśmiecham się pobłaźliwie. — Dziwię się, że nie przyniosłaś swoich zapachowych świeczek i olejku do aromaterapii.

— A kto powiedział, że nie przyniosłam⁵ — śmieje się Jess i ja również, wbrew

sobie, nie mogę powstrzymać chichotu.

— Z czego się śmiejecie? — Gabe wraca z łazienki w chwili, gdy Jess napełnia nam kieliszki.

— Z całą pewnością nie z Dave'a Desmonda — oświadcza Jess, czyniąc aluzję do komika występującego na scenie, gdy się poznałyśmy.

Na twarzy Gabe'a wyraźnie widać zmieszanie, ale nic nie komentuje, tylko nachyla się, by dolać sobie wina.

-A więc z jakiej części Stanów pochodzisz? - pyta Jess.

No dobra, może przesadziła, zakładając szpilki-wydymki, ale jednak cieszę się, że Jess tu jest. I, muszę przyznać, świetnie jej idzie pogawędka z Gabe'em.

— Z Los Angeles.

96

odmieni. A twoje życzenia spełnią...".

Wsuwam rękę do tylnej kieszeni dzinsów i moje palce ocierają się o plik banknotów. To czynsz od Gabe'a za cały miesiąc. Okrągłutkie sześćset funtów. Będę w stanie zapłacić w tym miesiącu ratę kredytu, może nawet uda mi się odzyskać kartę kredytową. Czuję jednocześnie przypływ ulgi i radości — bo to wygląda jak spełnione marzenie.

A wtedy nagle zrywa się wiatr, kołysze liśćmi i sprawia, że płomyki z lampek zaczynają tańczyć i migotać jak małe klejnociki w morzu atramentowej ciemności. Kaskada metalowych płytek na dzwoneczkach zaczyna podzwaniać i ogród przez chwilę wygląda jak zaczarowany. Dreszcz

97

przebiega mi po plecach, a na rękach pojawia się gęsia skórka. Co się...'

— Dolać ci, Heather?

Odwracam się, przestraszona, i widzę Jess z butelką wina w ręku.

— Och, yyy, tak, super - mówię, wierząc się nieswojo na miejscu. Gdy podnoszę lampkę, ręce mi się trzęsą. - No to dolej mi — śmieję się i stawiam kieliszek na stole. Więc mi dolewa. I gdy tak na nią patrzę, uświadamiam sobie, że wiatr ucichł tak samo szybko, jak się zerwał. I że światła lampek są teraz tak samo nieruchome jak

gwiazdy na niebie, i ze dzwoneczki ani drgną. Wszystko jest takie, jak było. Gęsia skórka też zniknęła. Jest mi ciepło. I trochę głupio. Co się ze mną dzieje? Cyganki? Magia? Zaklęte ogrody? Szczerze mówiąc, Heather, wyobraźnia trochę cię ponosi. Podnoszę swoją lampkę wina i upijam nieco. Niedługo naprawdę zacznę wierzyć, że marzenia się spełniają.

— Byłeś kiedyś na siłowni „Muscle Beach”?

Dwadzieścia minut i jedną butelkę później Jess wciąż toczy ożywioną rozmowę o plaży w Yonice. Nie miałam pojęcia, że jest takim ekspertem w tej dziedzinie.

— Och, ciągle tam chodzę. — Gabe udaje, że pręży mięśnie. — Myślisz, że takie ciało bierze się z niczego?

Przylapuję go na tym, że szczerzy mi zęby w uśmiechu i nie mogę się oprzeć, by nie odpowiedzieć mu tym samym — w przeciwieństwie do Jess, która podekscytowana alkoholem i flirtowaniem me zauważyła sarkazmu.

— Ooo, nie, od razu widać, że pakujesz na siłowni. Nie to co Anglicy — móyyi Jess, marszcząc nos. — Oni zajęci są tylko pakowaniem w siebie piwa. Prawda, Heather?

9 a

sport, a nie tylko leży na sofie i ogląda, jak robią to inni. To przecież sprawa honoru.

- O, na przykład Ed — rzucam, przypominając sobie o moim bracie. — Gra w rugby.

Ale Jess nie słucha. Jest zbyt zajęta wspomnianiem siłowni „Muscle Beach”.

— Spodobałoby ci się tam, Heather. To siłownia na plaży, pod gołym niebem, z boskim widokiem na tych wszystkich opalonych mięśniaków podnoszących ciężary...

Gdy rozmowa schodzi na temat wysmarowanych olejkami mężczyzn prężących mięśnie, nie mam serca, żeby jej powiedzieć, że dla mnie byłby to koszmar. Więc zamiast tego robię to, co zwykle, gdy nie wiem, co powiedzieć — strzelam coś głupiego.

— Czy to prawda, że w Los Angeles wszyscy mają sztuczne cycki?

Świetna robota, Heather. Dziesięć punktów na dziesięć za takt i dyplomację.

Ale Gabe nie wydaje się obrażony, raczej rozbawiony.

— Nie, chyba nie wszyscy. — Podciąga koszulkę z Mr T i spogląda na swoją klatkę piersiową. — Moje są prawdziwe.

— Naprawdę? Mogę sprawdzić? — Jess chichocze i bez wahania sięga do jego prawej piersi. — Mmm, jędrne i miłe -mruczy z zadowoleniem i ściska ją jak melona. O cholera. Cała nieruchomieję. Jess, co uświadamiam sonie z przerażeniem, jest kompletnie pijana. W niecałe pięć minut przekształciła się z lekko podchmielonej w zalaną w trupa, omijając iazę pośrednią. Zęby określić to bardziej obrazowo, to eśliby spojrzeć na mapę świata, wygląda to jak podróż z Lon-iynu do Los Angeles bez pokonywania Atlantyku.

99

— A więc jesteś aktorem? — pytam, próbując zmienić temat.

— Uwielbiam aktorstwo - wtrąca Jess, i to bardzo głośno. -Może powinnam była zostać aktorką. Grałam kiedyś w szkolnym przedstawieniu, ale nie pamiętam tytułu...

— Powieki opadają jej już zupełnie i z trudem otwiera oczy.

— Ja? Aktorem? - Gabe udaje, że się wzdryga. - Nie ma mowy.

Mój wzrok przenosi się szybko z Gabe'a na Jess, a potem z powrotem na Gabe'a.

Wygląda na to, iż nie zauważył, że Jess przysuwa się coraz bardziej w jego stronę.

Ale ja zauważyłam. Ogarnia mnie przerażenie. Jess jest śpiąca. I pijana. I nie ma faceta. A to jest śmiertelnie niebezpieczne połączenie. Za chwilę zacznie się do niego przystawiać.

— Ale moja dziewczyna jest aktorką i twierdzi, że to ciężka praca.

Słyszę stłumiony bełkot dobiegający z leżaka:

— Dziewczyna?

Jess w oparach alkoholu mogłaby nie być w stanie prowa-dzić samochodu, obsługiwać urządzeń mechanicznych czy rozpiąć sobie stanika, ale wciąż potrafi rozpoznać takie słowa jak...

— Dziewczyna?

— Tak, została w Los Angeles. Właśnie otrzymała niewielką rolę w filmie.

— W f i l m i e? - Jess prostuje się na leżaku jak papuga na gałęzi. Co chyba nie jest złym porównaniem, biorąc pod uwagę, że powtarza każde słowo Gabe'a, skrzecząc głośno.

— Mhm, to może się okazać przełomem w jej karierze -kontynuuje Gabe z

entuzjazmem. — Mia ma ogromny talent, jednak póki co nie zagrała w niczym ważnym. Ale to tylko kwestia czasu. Jestem pewien, że kiedyś dostanie Oscara.

100

— A może zadzwonić ci po taxi: - krzyczę, biegnąc za nią. Słyszę trzaśnięcie drzwi i wyglądam za okno dokładnie w momencie, gdy wskakuje do złapanej na ulicy czarnej taksówki.

— Twoja koleżanka wcześniej wyszła.

Po powrocie do ogrodu zastaję Gabe'a na zbieraniu kieliszków.

— Owszem — kiwam głową. — Jest zmęczona. Musi jutro wcześniej wstać do pracy. Po jego minie poznaję, iż wie, że ściemniam. A ponieważ czuję się niezręcznie, pozostawszy z nim sam na sam, udaję ziewnięcie.

— A skoro już o tym mowa, to chyba też pójdę do łóżka.

— Sen to zdrowie, wiadomo. Uroda zresztą też. — Nie jestem pewna, czy jego komentarz miał mi pochlebić czy też miał mnie obrazić. Ale zanim się zdecyduję, Gabe wydaje z siebie przeciągłe ziewnięcie, tak szerokie, że odsłania przy tym dwa idealne rzędy swoich niesamowicie białych zębów trzonowych. — Ja też zaraz idę spać. Różnica czasu daje mi nieźle popalić.

Wchodzimy razem do środka i krząamy się po kuchni.

— Zatem dobranoc — mówię wreszcie.

— Tak, dobranoc. I znowu cisza.

— Możesz iść pierwszy do łazienki — proponuję mu uprzejmie.

— Nie, nie muszę, idź pierwsza. Panie przodem - odpowiada równie uprzejmie.

— Nie. proszę, jesteś tu gościem.

— Nie, spokojnie, idź.

I tak przez jakiś czas wymieniamy uprzejmości, aż wreszcie stawiam na swoim i Gabe znika w łazience z kosmetyczką

10?

nie większą niż piórnik. Idę do swojej sypialni i zaczynam się rozbierać. Ściągam podkoszulek i dzinsy, po czym sięgam po moją starą kraciastą piżamę. Te, w której gumka wyciągnęła się w pasie, przez co zwisa mi na tyłku jak worek ziemniaków i

wyglądam w niej, jakbym nosiła pieluchę. Pieluchę.

Przejrzawszy się w lustrzewszafe, nieruchomieję. O Boże. Czuję się tak, jakbym się widziała po raz pierwszy. Co ja sobie wyobrażałam? Co wieczór radośnie nakładałam na siebie ten przyodziewek i szwendałam się w nim po mieszkaniu. Spędzam w tym osiem godzin snu. Siedzę w tym w ogrodzie, gdy piję herbatę. Nawet — o zgrozo! — staję w tym czasem w drzwiach, podpisując pokwitowania od listonosza.

Powoli robię obrót. Boję się, co ujrzę z tyłu. Powoli... powoli... Aaa! Jest gorzej, niż myślałam. Fałdy pomiętego kraciastego materiału zwisają luźno z moich pośladków jak dwa wielgachne worki. Przypomina mi się MC Hammer. Przypomina mi się Gandhi.

A zaraz potem przypomina mi się, że w łazience siedzi mój nowy współlokator. Ściągam z siebie piżamę i rzucam na podłogę, szarpnięciem otwieram szuflady i sięgam po moją nocną koszulkę ze Snoopym, a potem odskakuję jak oparzona.

Nocna koszulka ze Snoopym? Nie mogę założyć czegoś takiego. Przetrząsam szafkę w poszukiwaniu kolejnej piżamy, o której wiem, że tam est, ale udaje mi się tylko znaleźć górę. Brakuje trzech guzi-ców, a zamiast tego jest stójka. Pieprzona stójka. Dlaczego ni-*dy przedtem tego nie zauważyłam? Dlaczego tak w ogóle ligdy nie zauważyłam, że mam koszmarne piżamy? I co, do :holery, nosiłam, gdy mieszkałam z Danielem?

Nic — przypominam sobie, wracając myślami do mojego dawnego, wypełnionego seksem życia, kiedy to chodziłam

103

do łóżka, mając na sobie tylko kredkę do oczu i perfumy. To było, zanim zostałam singlem, stereotypową trzydziestką żyjącą w celibacie, która sypia ze swoim kotem, nosi skarpetki, wielgachne majciory i nakłada intensywny krem przeciwzmarszczkowy na noc.

Wzruszam ramionami i biorę się w garść. Mam jeszcze nocną koszulkę, którą Rosemary kupiła mi na gwiazdkę dwa lata temu i która wciąż leży w torbie Marks & Spencer. Przykładam ją do swojego nagiego ciała. Sięga do podłogi, jest ozdobiona pączkami róż i falbankami. Jest bardzo, ale to bardzo falbaniasta.

Ale nie mam wyjścia. Za drzwiami słyszę odkręcanie i zakręcanie kurków, szcztokowanie zębów, spuszczenie wody w toalecie, wyciąganie korka i ściekanie wody z umywalki. Zaraz przyjdzie moja kolej. Postaram się przebyć drogę od mojej sypialni do łazienki niezauważona. A póki co czekam w napięciu na szczęk zamka. Nic. Kaszel. Cisza. Wreszcie jest. Dźwięk przekręcanego klucza, delikatne trzaśnięcie drzwi...

Przyciskam policzek do futryny, żeby ujrzeć coś przez szparę między ścianą a drzwiami. Widzę prostokąt światła, płytki podłogowe i paprotkę, która wręcz błaga, by ją podlać. Jak podczas nauki jazdy — najpierw spoglądam w lewo, potem w prawo, a potem jeszcze raz w lewo. Droga wolna. Z ulgą otwieram drzwi i dzielnie drepczę na korytarz. Krocze za kroczkiem. Wstrzymuję oddech, ściskając koszulę nocną między palcami. Już prawie jestem, już prawie...

- Aaa! - wydobywa się z mojej piersi.

— Ojej, przepraszam, wystraszyłem cię?

Gabe wciąż siedzi w łazience. To znaczy stoi, po prostu. Na mojej grubej włochatej macie. Pośrodku mojej cholernej łazienki.

104

— O Boże, tak... to znaczy nie... nie, wszystko w porządku. -Ściskam swoją ozdobioną koronką pierś i staram się złapać oddech. I wtedy dociera do mnie, że: a) Gabe jest prawie nagi, ma na sobie tylko białe, raczej obcisłe bokserki (nie żebym patrzyła specjalnie, po prostu wzrok sam mi tam powędrował), i b) wyglądam jak czyjaś babcia w długiej do kostek koszuli nocnej, która sięga mi pod szyję ozdobioną marszczonym żabotem.

— O, a tak przy okazji, nie mówiłeś jeszcze, po co tu przyjechałeś — wyrzucam z siebie, próbując nawiązać konwencjonalną rozmowę. Powiedziałam „próbując”, gdyż nie jest to łatwe, gdy on tam stoi, z nagim torsem, kępkami włosów na kłacie i w obcisłych białych slipach.

O Boże, znowu tam spojrzałam. Oczy przed siebie, Heather. Oczy prosto przed siebie.

— Nie mówiłem ci jeszcze? — Przyciska do twarzy ręcznik, którego przedtem nie

zauważyłam w jego ręce. Tak samo jak nie zauważyłam, że łazienka jest nieskazitelnie czysta, deska opuszczona, żadnych mokrych ręczników na podłodze, żadnych resztek zarostu na mydle. Ponieważ jestem grzeczną dziewczynką i nie chcę, by mój wzrok znowu zawędrował w stronę jego slipów, moje oczy biegną szybko wokół ścian w obrzydliwie zielonkawym kolorze, modnym w latach siedemdziesiątych, z powodu którego planowaliśmy z Danielem wyremontować całą łazienkę po urządzeniu reszty mieszkania. Tyle że on mnie zostawił, a ja leczyłam złamane serce terapią zakupową — co oznacza, że wciąż mam nie tylko koszmarne zieloną łazienkę, ale i mnóstwo zapachowych świeczek. - Występuję na festiwalu w Edynburgu.

— O, naprawdę? — Uśmiecham się do niego z zadowoleniem. Rzucają mi się w oczy nasze szczotki do zębów stojące obok siebie w kubku wraz z tubką pasty i zauważam, że

105

jest porządnie zakręcona. Na ten widok stwierdzam z dumą, że jednak podjęłam dobrą decyzję. Świetnie się dogadamy. — A w czym?

Bierze swoje ubrania i wychodzi z łazienki. A potem niszczy wszystko, oznajmiając mi coś, czego naprawdę wolałabym nie słyszeć.

11

— Jest komikiem.

Następnego ranka, gdy tylko Gabe opuszcza mieszkanie, dzwonię do Jess z tą koszmarną wiadomością. Pomimo ka-:a, który zatrzymał ją pod kołdrą z opakowaniem ibuprofenu, Dotrafi wykrzesać z siebie mnóstwo empatii i w jej głosie jest :yle samo przerażenia, co w moim. Dowód na to — o ile w ogóle da się to jakoś udowodnić — że jest przyjaciółką z prawdziwego zdarzenia.

— Chyba żartujesz!

— Nie, to on żartuje. Na scenie. — Przyciskam telefon ramieniem do ucha. W jednej ręce trzymam miskę płatków, i drugą wyciągam mleko z lodówki. — Jest cholernym komikiem robiącym z siebie durnia przed publicznością.

Słyszę stłumiony śmiech.

— Puk, puk... — próbuje żartować Jess.

— Proszę cię, przestań. — Siadam przy kuchennym stole po-trytym czasopismami, nieotwartą pocztą i Bóg wie czym jesz-;ze. Kładę na nim miskę, po czym zaczynam chrupać płatki □ 1 Bran. — To nie jest zabawne — mówię przytłumionym głó-;em, z buzią pełną brązowych płatków o obrzydliwym smaku. Żoże, tak bym chciała wreszcie stracić te kilka kilo. Nie zno-:zę jedzenia tego paskudztwa.

107

— Oni też nigdy nie są zabawni. - Jess śmieje się gardłowo. -Właśnie na tym polega problem.

— No więc jak, dalej jest twoim planem B? - pytam, wciąż chrupiąc płatki.

— Nie, na pewno nie tego szukam. — Brzmi to tak, jakby mówiła o lampie z Ikei. - Jest zbyt amerykański.

— No i co z tego?

— Heather, ja szukam poważnego faceta. Nie chcę związku na odległość. Nie widziałas Zielonej J^arty}

— Ale czy Gerard Depardieu nie grał tam Francuza?

— On gra Francuza w każdym filmie — stwierdza Jess, tłumiąc ziewnięcie. - Tak samo jak Hugh Grant zawsze jest jękającym się angielskim lalusem. Ale nie w tym rzecz. Chodzi o to, że chcę znaleźć mężczyznę spełniającego odpowiednie warunki z mojej listy, a nie stwarzać sobie nowe problemy w postaci użerania się z urzędem imigracyjnym. No i do tego dochodzi zderzenie kultur.

Uwielbiam Jess. Zawsze jest taka romantyczna.

— Skoro tak to teraz widzisz... - mruczę, konsumując kolejną łyżkę płatków i marząc zamiast nich o francuskiej drożdżówce z czekoladą.

— No i co teraz zrobisz? - pyta Jess.

— Z czym? — Dostrzegam nagle mały skórzany notes leżący na stole wśród całego tego bałaganu. Wygląda na ten, w którym Gabe coś bazgrał. Ciekawe, co jest w środku.

— Z tym, że Gabe jest komikiem — mówi, a w jej głosie ciągle daje się wyczuć rozbawienie. Zaczynam podejrzewać, że Jess ma z mojego nieszczęścia niezły ubaw.

— Do tej sytuacji pasuje chyba powiedzenie o tym, że nie wiadomo, czy się śmiać czy płakać - oświadczam, wyciągając rękę po notes. Hm, mały rzut oka na jego zawartość nie zaszkodzi.

108

- Jak najbardziej - wspiera mnie Jess. - Ale on pewnie by wolał, żebyś się śmiała. Na pierwszej stronie, napisane na niebiesko pismem pełnym zawijasów, widnieją słowa: „Moich dziesięć najlepszych dowcipów o teściowej”. Cofam rękę jak oparzona. Tak właściwie, z drugiej strony...

Jak się okazuje, przez następnych kilka dni nie jest mi dane usłyszeć jakichkolwiek żartów o teściowej, gdyż prawie nie widuję mojego nowego współlokatora.

Właściwie, oprócz sporadycznego „Cześć, co słyhać?”, gdy ja wracam do domu, a on wychodzi, wszystko wygląda prawie tak, jak gdyby wcale tu nie mieszkał. Prawie, ale nie do końca.

Pojawiły się pewne drobne rzeczy. Zestaw przypraw w kuchni, karton mleka sojowego w lodówce i nowa gąbka wielkości francuskiej bagietki pod prysznicem. Ale jest jeszcze coś — i nie ma to nic wspólnego z płytą zespołu Wilco, którą znalazłam w wieży, ani z plażowym ręcznikiem w jasne wzory ładnie złożonym obok umywalki. Chodzi o moje samopoczucie.

Przez ostatnie tygodnie z przerażeniem myślałam o tym, że ktoś obcy miałby u mnie mieszkać, wstrętna mi była myśl, że jakiś facet, który nie jest Danielem, miałby się wylegiwać w mojej wannie, ale wszystkie te lęki okazały się bezpodstawne. Miło jest mieć kogoś obok siebie. Może nawet więcej: ja się z tego cieszę.

W jakiś sposób mieszka mi się teraz inaczej. Ja czuję się inaczej. I nie tylko dlatego, że nie spędzam już bezsennych nocy, martwiąc się o to, że bank przejmie moje mieszkanie i wyląduję na ulicy z Billym Smithem i tymi przeklętymi francuskimi garnkami. Mam wrażenie, jak gdyby obecność Gabe'a wypędziła demony przeszłości. Nie licząc szoku, jaki

109

wywołało u mnie odkrycie, że mieszkam pod jednym dachem z komikiem, jestem szczęśliwa. Bardziej optymistycznie nastawiona do życia. I szczuplejsza.

Jest czwartkowe popołudnie, właśnie skoczyłam po pracy do Bootsa po parę wacików i wpadła mi w oko jedna z elektronicznych wag. Pod wpływem impulsu postanowiłam się zważyć. I oto teraz spoglądam na wyświetlacz w osłupieniu. Nie, to niemożliwe. Straciłam dwa i pół kilo? Przez ostatnich parę miesięcy próbowałam na różne sposoby zrzucić kilogramy, które mi przybyły podczas świąt. Zaczęłam biegać — to znaczy zrobiłam to dwa razy — kupiłam nagranie z ćwiczeniami jogi, które ciągle planuję obejrzeć, i poświęciłam moje śniadanie złożone z francuskiej drożdżówki na rzecz płatków Ali Bran, które smakują jak karton. Trudno to nazwać dużą zmianą stylu życia, ale teraz nagle — puf! — te kilka kilo zniknęło. To niesamowite. Niewiarygodne. Dziwne.

Z niedowierzaniem klepię się po brzuchu. Wcale nie czuję się szczuplejsza. Ale przecież trudno samemu stwierdzić takie rzeczy, a poza tym trzeba przyznać, że ostatnio żyłam w dużym napięciu z powodów finansowych. A czy przez to nie traci się na wadze? Czy stres nie pożera kalorii jak Pac-man w tych starych grach komputerowych?

Biorę wydruk z maszyny, schodzę z wagi i idę do kasy. Wreszcie nie ma tu kolejki i, zadowolona, kładę moje waciki na ladzie. Tak, to musi być to. Stres. Wiedziałam, że musi być jakieś rozsądne wyjaśnienie. Bo przecież kilogramy nie mogą zniknąć w ciągu nocy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, prawda?

Uśmiechając się promiennie do kasjerki, wyciągam portfel z kieszeni. Wypada z niej gałązka wrzosu. A t o jak się tu znalazło? Byłam pewna, że zostawiłam ją w domu.
no

wywołało u mnie odkrycie, że mieszkam pod jednym dachem z komikiem, jestem szczęśliwa. Bardziej optymistycznie nastawiona do życia. I szczuplejsza.

Jest czwartkowe popołudnie, właśnie skoczyłam po pracy do Bootsa po parę wacików i wpadła mi w oko jedna z elektronicznych wag. Pod wpływem impulsu postanowiłam się zważyć. I oto teraz spoglądam na wyświetlacz w osłupieniu. Nie, to niemożliwe. Straciłam dwa i pół kilo? Przez ostatnich parę miesięcy próbowałam na różne sposoby zrzucić kilogramy, które mi przybyły podczas świąt. Zaczęłam biegać — to znaczy zrobiłam to dwa razy — kupiłam nagranie z

ćwiczeniami jogi, które ciągle planuję obejrzeć, i poświęciłam moje śniadanie złożone z francuskiej drożdżówki na rzecz płatków Ali Bran, które smakują jak karton. Trudno to nazwać dużą zmianą stylu życia, ale teraz nagle — pufl — te kilka kilo zniknęło. To niesamowite. Niewiarygodne. Dziwne.

Z niedowierzaniem klepię się po brzuchu. Wcale nie czuję się szczuplejsza. Ale przecież trudno samemu stwierdzić takie rzeczy, a poza tym trzeba przyznać, że ostatnio żyłam w dużym napięciu z powodów finansowych. A czy przez to nie traci się na wadze? Czy stres nie pożera kalorii jak Pac-man w tych starych grach komputerowych?

Biorę wydruk z maszyny, schodzę z wagi i idę do kasy. Wreszcie nie ma tu kolejki i, zadowolona, kładę moje waciki na ladzie. Tak, to musi być to. Stres. Wiedziałam, że musi być jakieś rozsądne wyjaśnienie. Bo przecież kilogramy nie mogą zniknąć w ciągu nocy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, prawda?

Uśmiechając się promiennie do kasjerki, wyciągam portfel z kieszeni. Wypada z niej gałązka wrzosu. A t o jak się tu znalazło? Byłam pewna, że zostawiłam ją w domu.
no

— Funt i dwadzieścia pięć pensów — pogania mnie kasjerka.

— A, tak, przepraszam. — Wpycham wrzos z powrotem do kieszeni i radośnie liczę drobne. Niezależnie od przyczyn utraty wagi, spełniło się moje życzenie — nigdy więcej all branów.

Opuszczając Bootsa w radosnym nastroju, przechodzę przez ulicę i idę szybko przez Notting Hill. Jestem umówiona z moim bratem Edem w pobliskim pubie Wolsey Castle i jak zwykle jestem spóźniona. Więc przyśpieszam. Ed jest bardzo, ale to bardzo czuły na punkcie punktualności i nie chcę usłyszeć od niego wykładu, zanim jeszcze dane mi będzie zamówić dżin z tonikiem. Chociaż obawiam się, że wykład i tak się szykuje. Zadzwonił do mnie wczoraj i powiedział, że „chce o czymś porozmawiać”, a w wolnym tłumaczeniu oznacza to, że chce mi strzelić pogadankę na jakiś temat. Jego ulubiony punkt wyjścia to: „Dlaczego nie wyznaczyłaś sobie jeszcze planu emerytalnego?” — co pewnie daje wam ogólne pojęcie, jaką osobą jest Ed.

Ale gdy tylko skręcam w ulicę, na której pełno jest sklepów i restauracji, mój wzrok przykuwa coś, co każe mi się zatrzymać. Różowe, satynowe, z uroczo odkrytym palcem — to najcudowniejsza para butów, jaką kiedykolwiek widziałam! I właśnie one leżą na tej wystawie, czekając, aż będę przechodzić.

Robię krok w tył, żeby sprawdzić nazwę sklepu: Sigerson Morrison. Serce skacze mi z radości. Uwielbiam ten sklep, mają fantastyczne buty. Na które cię nie stać, Heather — odzywa się surowy głosik w mojej głowie. No tak — stwierdzam z rozczerwaniem. Ale przecież nie zaszkodzi popatrzeć. Podchodzę bliżej. I wtedy dostrzegam tabliczkę: „obniżka 75%”.

Serce zaczyna mi bić w piersi jak oszalałe. Nie jestem za-kupoholiczką, ale muszę przyznać, że czasem odczuwam

III

fizyczną potrzebę, by zanurkować w przebieralniach H&M z mnóstwem ciuchów przerzuconych przez ramię. I owszem, często nie muszę niczego kupować, odłożenie kupna na bliżej nieokreśloną przyszłość wystarcza mi w zupełności. Chodzi tu o to, by wczuć się w rolę posiadacza, o błogą świadomość, że to coś może być twoje, jeśli tego zechcesz, ale ciągle jeszcze możesz się rozmyślić. Pewnie dokładnie tak samo jest z zaręczynami.

Ale z butami mam inaczej. Buty to mój konik. Ciuchy mogą sprawić, że twój tyłek wygląda jak szafa trzydrzwiowa, biust się płaszczy, a brzuch zaczyna sterczeć, ale dobre buty zawsze świetnie wyglądają, niezależnie od tego, czy właśnie zjadło się pół paczki czekoladowych ciasteczek. Ale jest jeden haczyk — nie są tanie. Jak mówi Lionel, nie istnieje coś takiego jak darmowy lunch.

Ale istnieją wyprzedaże — szepczegłosikwmojej głowie.

Siedemdziesięciopięcioprocentowe wyprzedaże.

Spoglądam na zegarek w komórce. Już jestem spóźniona. Ed pewnie na mnie czeka.

Waham się przez chwilę, a potem sięgam do klamki czerwonych drzwi z pleksiglasu.

Raz kozie śmierć. Przecież zajmie mi to tylko pięć minut.

Wnętrze sklepu wygląda jak dom wariatów. Dziki tłum kobiet przepycha się w poszukiwaniu odpowiednich rozmiarów, chodzi na czworakach, łapie buty, wkłada je

albo wpycha. Dziesiątki porzuconych cielistych skarpetek do przymierzania poniewierają się po podłodze, puste pudełka leżą porozrzucone bezładnie razem z papierem w środku, a znękanie sprzedawczynie przemykają między kobietami walczącymi o lustra, wzdychającymi i mrużącymi coś pod nosem, gdy zmuszone są czekać na swoją kolej.

112

Ech, kobiety są bezwzględne. Mężczyźni są w stanie zabić za swój kraj, ale kobiety potrafią zamordować za parę turkusowych szpilek z zapinką wysadzaną kamieniami. Wciskam się między półki z butami i zaczynam poszukiwanie owych boskich różowych szpilek w moim rozmiarze. Gdy wreszcie sięgam do półki oznaczonej numerem 38, okazuje się, że stoją tam jedynie jasnozielone buty z klamerką, które do niczego mi nie pasują. Cholera. Moje rozczarowanie jest tym większe, że po mojej lewej, na półce z numerem 41, poniewiera się kilkanaście różowych satynowych butów z odkrytym palcem. Wybieram spośród nich jednego i zaczynam się zastanawiać, czy pasowałby na mnie, gdybym włożyła do środka wkładkę, a może nawet i dwie...

— Czy mogę w czymś pomóc? — atakuje mnie sprzedawczyni. Jest jedną z tych wyniosłych ekspedientek, które spotyka się w renomowanych sklepach, a które mierzą cię wzrokiem z góry na dół, czym sprawiają, że masz ochotę coś kupić właśnie po to, żeby im udowodnić, że stać cię na ten sklep. Co, nagle to do mnie dociera, pewnie jest ich taktyką sprzedaży.

— Hm, nie — odpowiadam i gdy spoglądam w dół, orientuję się, że ja nie tylko trzymam tego buta pod pachą, ale że go głaszczę. — Tylko oglądam.

-Cudowny, prawda? - mówi do mnie konspiracyjnym szeptem. — I siedemdziesiąt pięć procent taniej. — Przewraca oczyma, jak gdyby sama nie mogła w to uwierzyć.

— O, tak... cudowny — potwierdzam. Zwykły but nagle stał się Butem przez duże B, butem określonym, najpiękniejszym, idealnym, najcudowniejszym butem, jaki kiedykolwiek istniał pod słońcem.

— Mam pani przynieść drugi, żeby mogła pani przymierzyć oba?

113

Odkładam go z powrotem na drucianą półkę i uśmiecham się z żalem.

— Obawiam się, że nie ma ich w moim rozmiarze. -Czyli...?

Jak większość sprzedawców, którzy dostają prowizję od sprzedaży, nie poddaje się łatwo. Ale nawet ona nie dokona cudu — myślę z rezygnacją.

— Trzydzieści osiem.

Gdy tylko wymówiłam pechowy numer, jej twarz momentalnie wykrzywia grymas, a jej spragnione prowizji oczy gasną.

— Och, to najpopularniejszy rozmiar.

— Wiem. — Wzruszam niedbale ramionami. — Zawsze tak bywa. Trudno.

— A widziała pani te fantastyczne buty? Te akurat mamy w rozmiarze trzydzieści osiem... — Podnosi brzydką parę kozaków sprzed trzech sezonów i macha mi przed oczami z nadzieją.

— Hm, nie dziękuję — odpowiadam urażona i odwracam się, by wyjść ze sklepu.

Daj spokój, Heather, to tylko buty. Będąc już przy drzwiach, staram się nie spoglądać na wystawę, ale w ostatniej chwili nie mogę się oprzeć, by nie rzucić na nie okiem jeszcze raz, i wzdycham tęsknie. Ech, żeby tak były w moim rozmiarze...

— Proszę pani! - Odwracam się. To ta sama sprzedawczyni, ale teraz na jej twarzy maluje się ekscytacja. — Ma pani szczęście. Znalazłam jeszcze jedną parę. Ktoś je umieścił w złym pudełku. - Wyciąga zza pleców buty, wpycha mi je do rąk i wyrzuca z siebie triumfalnie: — Numer trzydzieści osiem!

— O rany... - mamroczę. Nie mogę w to uwierzyć.

Ale nawet po cenie z wyprzedaży nie możesz sobie na nie pozwolić — szepcze ten sam głos.

114

No tak. To prawda. Pozbawiono mnie karty kredytowej, a przy sobie mam tylko dwadzieścia pięć funtów w gotówce. Cholera, żeby tak były jeszcze tańsze...

Już mam je zwrócić, kiedy dociera do mnie głos sprzedawczyni:

—... ale obawiam się, że na obcasie jest mała skaza, nikt tego nie zauważy, i może być pani pewna, że w żaden sposób nie będzie to pani przeszkadzać podczas noszenia. Oczywiście opuścimy cenę z tego powodu... o kolejne pięćdziesiąt procent.

Zaraz, zaraz. Czy ona mówi to, co mi się wydaje?

— Czyli kosztują tylko...

— Dwadzieścia cztery funty i dziewięćdziesiąt dziewięć pensów — oświadcza jednym tchem.

Kilka minut później stoję przed kasą, obserwuję, jak je pakuje, i słyszę czyjś szept: „O, ale szczęściara, tak marzyłam o tych butach!” — i gdy sprzedawczyni wręcza mi ogromną różową torbę, czuję, jak zalewa mnie fala szczęścia.

— I pens reszty — oznajmia podniecona sprzedawczyni, wyciągając monetę w moją stronę.

Ale ja już jestem w drodze do wyjścia. Gdy idę ulicą z wielką torbą kołyszącą mi się radośnie na ramieniu, moją twarz zdobi ogromny uśmiech i prawie muszę się uszczypnąć. Nie jestem przesadna, ale zaczynam wierzyć, że ten wrzos rzeczywiście przynosi szczęście.

12

— Uuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuu!

Otwieram drzwi pubu i od progu wita mnie ryk testosteronu. Z deszczu pod rynnę, stwierdzam, mając jeszcze świeżo w pamięci szal estrogeneru, który zostawiłam za sobą w sklepie.

Wtykam głowę do środka, przechodzę pod pachą jakiegoś robotnika, po czym zmierzam poprzez gęstą zasłonę papierosowego dymu w stronę baru. Lokal jest szczelnie wypchany facetami — stoją z drinkami w rękach, rozdziawionymi ustami i oczyma wlepionymi w przenośny telewizor ustawiony w kącie pomieszczenia.

Cmokam głośno. No tak. Mogłam się tego domyślić. Futbol.

— Wiedziałem.

Odwracam się i widzę Eda, jak wyłania się z tłumu i spogląda na mnie z wysokości swoich stu osiemdziesięciu centymetrów. Przyszedł prosto po pracy, ma więc na sobie szary garnitur ze spodniami w kant, białą koszulę z kołnierzykiem i brązowe wiązane buty. Zresztą to samo nosi w weekendy.

— Znowu byłaś na zakupach? — Podnosi swoje gęste czarne brwi i spogląda na mnie z dezaprobatą, budząc we mnie kompleks niższości. Na tym właśnie polega

problem z moim bratem. Uwielbia mi psuć zabawę.

116

— Miło cię widzieć. — Ściskam go.

— Mnie również. — Całuje mnie oficjalnie w oba policzki. — A więc co kupiłeś tym razem ?

Rany, zachowuje się jak pies, gdy wyczuje kość.

— A, o tym mówisz ? - pytam jak gdyby nigdy nic, podnosząc rękę i spoglądając na torbę, jakbym dopiero co ją zauważyła. No dalej, Heather, myśl. Szukam w głowie jakiejś sensownej wymówki. Albo coś wymyślę, albo zaraz usłyszę wykład na temat oszczędności. Czasem mam wrażenie, że mój brat powinien być dyrektorem banku, a nie ortodontą. — To prezent — wyrzucam z siebie triumfalnie. Brawo, Heather.

— Dla kogo?

Teraz nie wiem, czy próbuje przyłapać mnie na kłamstwie czy rzeczywiście jest tym zainteresowany, ale, znając mojego brata, zagłosowałabym za pierwszą opcją.

— Yyy, dla... — Przeglądam w myślach listę wszystkich moich znajomych w poszukiwaniu odpowiedniej osoby. Hm, żadnych urodzin, żadnych rocznic, ale jest...

— Rosemary.

— Naprawdę? — pyta Ed zaskoczony. — To bardzo miło z twojej strony, siostrzyczko.

Uśmiecham się kwaśno.

— To naprawdę drobnostka — oświadczam, uświadamiając sobie, że zastawiam na siebie pułapkę i nie wiem, jak z niej wybrnę.

— Cieszę się, że wreszcie zaczynacie się dogadywać — oznajmia Ed, zakładając ręce na piersi i spoglądając na mnie z braterską aprobatą. Mój brat ma zupełnie inne stosunki z Rosemary niż ja. Po części dlatego, że jest znanym i uznanym ortodontą, który ma swój własny gabinet na Harley Street, czym imponuje snobce Rosemary, a częściowo ponieważ jest zawsze tak zajęty pracą, że rzadko jeździ do Bath, a ona nie chce jeździć do Londynu, twierdząc, że to „takie wstrętne, zatłoczone

117

miejsce", więc prawie nigdy nie musi przebywać w jej towarzystwie.

— Lionel na pewno by się ucieszył — mówi Ed, wzbudzając tym we mnie poczucie winy. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnę, jest zranienie mojego ojca.

— Tak a propos, byłam w Bath w zeszły weekend. Lionel świetnie wygląda — próbuję zboczyć z tematu i mam nadzieję, że Ed tego nie zauważy.

— Przypuszczam, że dalej nie przeszedł na dietę, prawda?

— A jak myślisz? — pytam. Cieszę się, że nie jestem jedyną osobą, której dotyczą kazania Eda. Lionel jest wiecznie nagabywany o zrzucenie kilogramów, ale, oczywiście, nigdy nie słucha.

Ed marszczy brwi i kręci głową.

— Musi ograniczyć spożywanie nasyconych tłuszczów i przejść na zdrowe odżywianie. Mówię poważnie, siostrzo. -Spogląda na mnie tak, jak gdybym z jakiegoś dziwnego powodu miała myśleć, że jest inaczej. Czy Ed kiedykolwiek nie bywa poważny? — Z tą ilością nabiału i czerwonego mięsa, które je, musi mieć strasznie wysoki poziom cholesterolu.

— A jak się miewa Lou? — zmieniam temat pytaniem o jego żonę. Lou jest w szóstym miesiącu ciąży. To naprawdę równa babka. Jest przedszkolanką, która nosi różowe plastikowe klapki i potrafi recytować z pamięci Harry'ego Pottera, ale jako nawrócona miłośniczka gotyku ciągle ma przekłuty nos i uwielbia oglądać horrory. Jak mój brat przekonał tę pogodną, dowcipną kobietę, żeby za niego wyszła, na zawsze pozostanie dla mnie zagadką.

— Już wyzdrowiała, na szczęście, ale Boris nabija jej mnóstwo siniaków — mówi ponuro.

— Czyli wiecie już, że to będzie chłopiec? — pytam podniecona. A potem dodaje: — I nazwiecie go Boris?

118

— Nie bądź śmieszna, Heather. Oczywiście, że nie — karci mnie. — Chcemy, żeby płęć dziecka była niespodzianką, ale Lou nalega, żeby nazywać je Boris, na cześć Borisa Kar-loffa, który grał monstrum Frankensteina — wyjaśnia, a potem wzdycha.

— Najwyraźniej wszystkie kobiety w ciąży nadają swoim nienarodzonym pociechom jakieś imiona, co, moim zdaniem, jest tak samo głupie jak nadawanie imion

samochodom...

Wierzcie mi, kocham mojego brata, ale czasem mam ochotę go zastrzelić: jest tak cholernie nietaktowny. Wiem, że w duchu ogromnie cieszy się z tego dziecka, ale na głos nigdy się do tego nie przyzna. Po prostu uwielbia narzekać.

— Napijesz się drinka? — pytam z nadzieją, że dżin z tomkiem poprawi mu humor.

-Jeśli ci się uda... - mruczy Ed, wręczając mi banknot dziesięciofuntowy. — Staralem się zwrócić uwagę barmana przez ostatnie dwadzieścia minut, ale na próżno.

Tak jak przed chwilą powiedziałam, mój brat to urodzony optymista.

Machnąwszy na niego ręką, odwracam się w stronę baru - i już rozumiem, o czym mówił. Wokół lady kłębi się tłum mężczyzn, a każdy z nich trzyma pusty kufel w jednej ręce i banknot w drugiej. Dopchanie się do baru zajmie wieki. Przygaszona stoję na końcu kolejki.

Po chwili człowiek za moimi plecami stuka mnie w ramię.

— Czy jest pani obsługiwana? — pyta z nadzieją, machając mi przed oczami pustym kuflem.

— Chciałabym — wzdygam, kręcąc głową. I wtedy ma miejsce coś bardzo dziwnego.

W trakcie robienia drinków barman odwraca się i spogląda wprost na mnie. Nie na mężczyzn tłoczących się tuż przede mną, ale na mnie. Nasze oczy spotykają się i dostają gęsiej

119

skórki. Co jest dosyć dziwne: facet jest gruby, łysieje i ma minimum pięćdziesiątkę.

— Przykro mi, że musiała pani czekać, co pani podać? — pyta.

— Yyy... — Uśmiecham się niepewnie. - Dwa razy dżin z tomkiem, z lodem i cytryną. Poproszę — dodaję. Nie mogę uwierzyć własnemu szczęściu.

— Już się robi. — Barman mruga okiem, łapie dwie szklan- : ki i odwraca się w stronę baru.

Kilka minut później wracam do Eda, który jest całkowicie pochłonięty meczem, tak jak i reszta facetów w pubie.

— Nieźle, szybko ci poszło — stwierdza z uznaniem i bierze ode mnie szklan- : kę, nie

odrywając oczu od ekranu.

— Nie zgadniesz, co się stało. Obsłużono mnie przed innymi.

— Wykorzystałaś cały swój kobiecy urok? — Popija drinka i dalej gapi się z zadowoleniem w telewizor.

— Nie, to nie o to chodzi, to było naprawdę dziwne.

— Dziwne? To znaczy? - Ed wydaje z siebie jęk, gdy tłum przemieszcza się pod naporem nowego napływu ludzi, i przyciska drinka do piersi, żeby go nie wylać. — Cholera, tu jest po prostu dom wariatów.

Czuję czyjś łokieć na moim ramieniu i wzdycham.

— Wiem. Fajnie by było gdzieś usiąść.

Gdy tylko wypowiadam te słowa, para obok mnie zaczyna zakładać kurtki. Nie, to niemożliwe. Spoglądam zdumiona na kobietę, która dopija wino i poprawia błyszczyk na ustach, podczas gdy mężczyzna wkłada papierosy do kieszonki na piersi. Przecież chyba nie wychodzą. A może jednak?

— Wychodzimy. Chcą państwo usiąść? — zwraca się do mnie mężczyzna. Nie do Eda, ale do mnie.

Nagle zaczyna mi się kręcić w głowie.

120

skórki. Co jest dosyć dziwne: facet jest gruby, łysieje i ma minimum pięćdziesiątkę.

— Przykro mi, że musiała pani czekać, co pani podać r - pyta.

— Yyy... — Uśmiecham się niepewnie. — Dwa razy dzin z tomkiem, z lodem i cytryną. Poproszę — dodają. Nie mogę uwierzyć własnemu szczęściu.

— Już się robi. — Barman mruga okiem, łapie dwie szklanki i odwraca się w stronę baru.

Kilka minut później wracam do Eda, który jest całkowicie pochłonięty meczem, tak jak i reszta facetów w pubie.

— Nieźle, szybko ci poszło — stwierdza z uznaniem i bierze ode mnie szklankę, nie odrywając oczu od ekranu.

— Nie zgadniesz, co się stało. Obsłużono mnie przed innymi. -Wykorzystałaś cały swój kobiecy urok2 - Popija drinka

i dalej gapi się z zadowoleniem w telewizor.

— Nie, to nie o to chodzi, to było naprawdę dziwne.

— Dziwne? To znaczy? - Ed wydaje z siebie jęk, gdy tłum przemieszcza się pod naporem nowego napływu ludzi, i przyciska drinka do piersi, żeby go nie wylać. — Cholera, tu jest po prostu dom wariatów.

Czuję czyjś łokieć na moim ramieniu i wzdycham.

— Wiem. Fajnie by było gdzieś usiąść.

Gdy tylko wypowiadam te słowa, para obok mnie zaczyna zakładać kurtki. Nie, to niemożliwe. Spoglądam zdumiona na kobietę, która dopija wino i poprawia błyszczący na ustach, podczas gdy mężczyzna wkłada papierosy do kieszonki na piersi. Przecież chyba nie wychodzą. A może jednak?

— Tak, jasne, dziękuję. — Uśmiecham się z wdzięcznością i spoglądam na zdumionego Eda. Siada szybko na jednym z wolnych miejsc i podciąga spodnie od garnituru.

— Ale zbieg okoliczności.

Bez słowa osuwam się na krzesło. Myśli mi wirują. Cały mój niepokój i wątpliwości związane z przesadami i amuletami narastają, gdy przed oczyma migają mi wszystkie wydarzenia ostatnich dni, jedno po drugim, jak klatki filmu: wolne miejsce w metrze, brak kolejki w Starbucksie, opakowanie ostrzy do maszynki, miejsce na parkingu, odpowiedź Gabe'a na moje małe ogłoszenie w „Loot”... Obrazy wyrwane z kontekstu zaczynają się mieszać: ważne rzeczy, drobiazgi... Powrót z Bath bez korków, powieszenie płaszcza na pustym kołku w pracy, odnalezienie przez ekspedientkę moich wymarzonych butów w odpowiednim rozmiarze... A potem odkrycie, że podlegają dodatkowej obniżce. Obsługa poza kolejnością w barze, wolne miejsce przy stoliku... Coraz szybciej i szybciej, wszystko zlewa się w jedną całość, aż wyrzucam z siebie:

— Nie, to nie tak. — Serce wali mi jak młot. — To coś więcej niż zbieg okoliczności. Czekam, aż coś powie, ale Ed tylko spogląda na mnie ze zdumieniem.

— Wybacz, Heather, wyłączyłem się — odzywa się wreszcie. — O czym ty mówisz, do cholery?

Milczę przez chwilę. Ponieważ właśnie w tym tkwi problem. Nie jestem pewna, o czym mówię. Zagryzam wargę i postanawiam jednak spróbować.

— Ed, jeśli ci coś powiem, obiecasz mi, że nie będziesz się śmiał?

— A, to akurat nie jest trudne — stwierdza sucho. — Zapomniałaś, że nie mam poczucia humoru? — To aluzja do słów,

121

które rzuciłam mu podczas kłótni kilka lat temu i czego do tej pory mi nie zapomniał.

— Hm, może po prostu jestem stuknięta, ale... — Przerywam i szybko wypuszczam z płuc powietrze. — Nie, zapomnij o tym, chyba zwariowałam.

— Moja mała siostrzyczka? Zwariowała? — Wzrok Eda wraca do piłki nożnej.

Nie wiem, czy jest sens o tym mówić. Pomyśli, że jestem kompletną idiotką. Ale co mi tam. Ed już i tak uważa mnie za idiotkę.

— Ed, wyobraź sobie, że... — Biorę głęboki oddech. Po prostu wyrzucić to z siebie, Heather. Raz kozie śmierć. — Wszystko, o czym tylko pomyślę, spełnia się — mówię na głos.

Ale niewystarczająco głośno, tak że moje słowa giną w wydawanym przez tłum ryku, który wznosi się do góry jak fala pokrzykiwań, gwizdów i wycia, a potem opada w jęku zawodu.

— Cholera! A było tak blisko... — wzdycha Ed. — Mało brakowało, a strzelilibyśmy gola.

— Ed, słyszałeś, co powiedziałam?

— Wybacz, siostruniu. — Kładzie mi przepraszająco rękę na kolanie. — Chwilowy brak koncentracji. Mówiłaś coś o myśleniu życzeniowym...

Wiem, że nie jest tym specjalnie zainteresowany, ale brnę dalej. Ulgą jest powiedzieć to komuś i wyrzucić z siebie podejrzenia, które dręczą mnie od kilku dni.

— Nie, to nie tylko myślenie życzeniowe. To coś więcej. — Gdy wypowiadam te słowa na głos, brzmią jeszcze bardziej nedorzecznie. — W ciągu ostatnich kilku dni każde moje życzenie, nawet to najdrobniejsze, się spełnia.

— Ale wiesz, co mówi stare porzekadło? — rzuca Ed, dopijając dzin z tonikiem.

122

— □□? — pytam z zaciekawieniem. Rozgryzając lód, Ed spogląda na mnie poważnie.

— Ostrożnie z marzeniami, bo jeszcze się spełnią.

— Ostrożnie z marzeniami? — powtarzam ze zdziwieniem. Przytrafiło mi się coś niezwykłego, fantastycznego, cudownego, a mój brat mówi mi, że mam być ostrożna? Chociaż, znając go, nie powinnam się dziwić.

— Weź pod uwagę, co może z tego wyniknąć. Każdemu z nas się wydaje, że wie, czego chce, ale tak naprawdę dowiadujemy się tego dopiero wtedy, gdy to zdobędziemy. A czasem gdy już zdobędziemy, przekonujemy się, że to wcale nie było dla nas najważniejsze — ale wtedy jest już za późno. — Uśmiecha się. — Pamiętam na przykład, że gdy mieliśmy z Lou brać ślub, marzyłem o tym, by mieć trochę wolnego i nie chodzić do pracy. A potem dopadła mnie paskudna grypa i musiałem spędzić tydzień w łóżku z termoforem. Chyba nie tak wygląda spełnione marzenie, prawda?

— Ed, mówię poważnie. — I jak mu to wyjaśnić, skoro jego przykład nie ma żadnego odniesienia do tego, co przytrafia mi się od kilku dni? — To coś o wiele poważniejszego.

Spogląda na mnie spod czarnych brwi.

— Dobrze się czujesz?

— Tak, jak najbardziej. I nie, nie mam grypy — dodaję niecierpliwie.

Podnosi ręce do góry na znak, że się poddaje.

-Dobrze, przepraszam, ale daj spokój. Jak mam się zachowywać poważnie, słysząc coś takiego? Doprawdy, Hea-ther... — w jego głosie słychać kpinę. — Życzenia, które się spełniają?

Zaciskam zęby. No dobra.

— W porządku. Każ mi pomyśleć jakieś życzenie — odpowiadam szorstko.

123

— Heather, błagam, to jakiś idiotyzm. Nie płeć bzdur -wzdycha Ed, najwyraźniej podenerwowany.

— No widzisz? Boisz się — odpowiadam.

— Boję się? — pyta drwiąco. — A czego miałbym się niby bać? Ze moja siostra nagle odkryła w sobie magiczną moc?

Po tych słowach zaczyna się śmiać szyderczo. Tak samo się śmiał, kiedy byłem mała, gdy trzymał mnie za ręce i łaskotał, dopóki nie zaczynałam błagać o litość. I teraz, tak samo jak wtedy, doprowadza mnie to do furii.

— Dobra, skoro to takie śmieszne, to czemu się ze mną nie pobawisz? A może boisz się, że nie masz racji?

O moim bracie jedną rzecz można powiedzieć na pewno, a mianowicie, że nie lubi przegrywać. Lata gry z nim w „Monopol” nauczyły mnie, że zawsze musi wygrywać. Pewnie tak samo, jak zawsze musi mieć rację. Ale ja też tak mam.

— No cóż, jeśli nalegasz... — odpowiada natychmiast. Dokładnie tak, jak przewidziałam. Myśli przez chwilę, po czym pstryka palcami. — Mecz — oświadcza triumfalnie.

— Co z nim? — pytam.

— Teraz mamy remis jeden do jednego, a do końca zostało tylko pięć minut. — Wskazuje ręką na telewizor. — Musimy strzelić Francji jeszcze jednego gola, żeby wygrać mistrzostwa.

— No dobra — odpowiadam bez entuzjazmu. — A kim są „my”? — Jak już mówiłam, nie mam zielonego pojęcia o futbolu. I w niczym mi to nie przeszkadza.

— Anglia — wzdycha Ed. — A kto inny?

— Rozumiem. I...? - poganiam go.

— I skoro spełnia się wszystko, o czym tylko pomyślisz, to może zażyczysz sobie, żeby Anglia strzeliła gola przed ostatnim gwizdkiem? — wyjaśnia.

— Ale to bez sensu, bo wcale mi na tym nie zależy — odpowiadam.

124

\\ szyli „, Io

wylą-

IW1C-

r na

Trzenie, to i /na-

.

. i □ la

13

P r a w d o p o c l □ □ i □ n s t w o.

— Przepraszam, można u pani wysłać totka? — uśmiecham się szeroko do pani Patcl, która stoi za ladą mojego lokalnego sklepiku i układa papierosy na półce. Jej drobne dłonie są bogato ozdobione henną.

Zaskoczona, przerywa swoją czynność i wpatruje się we mnie ze zdziwieniem. Od kiedy się tu wprowadziłam, jestem jej stałą klientką i kupuję wszystko, począwszy od mojego comiesięcznego PMS-owego zestawu głupawych czasopism i czekoladek przez papier toaletowy, który się nagle skończył, po puszki z karmą dla Billyego Smitha. Ale nigdy jeszcze nic wysyłałam totka.

Aż do tej chwili.

— Tak, oczywiście — odpowiada, zarzucając swoje jasnopo-marańcowe sari na pulchne ramię. — Pod oknem. — Jej złote wiszące kolczyki podzwamają, gdy wskazuje mi głową, gdzie mam iść.

— Dziękuję. - Staram się nie okazywać za bardzo swojej ekscytacji i idę spokojnie we wskazanym kierunku. W kącie pod oknem stoi czerwony plastikowy pulpit, którego nigdy przedtem nie zauważyłam. Podchodzę do niego i biorę do ręki leżący na nim długopis, a potem kupon do wypełnienia.

127

Zobaczymy zatem, o co w tym wszystkim chodzi. Przebiegam wzrokiem instrukcję.

— „Wybierz sześć numerów i zaznacz kreską”. - Hm, to nie powinno być trudne. Mój wiek, numer domu... Radośnie kreślę po kuponie. To jest nawet zabawne. Liczba lat, którą przepracowałam w „Na zawsze razem”, dzień urodzin mamy...

Hm. Brakuje mi jeszcze dwóch. Bawię się włosami i spoglądam na liczby z nadzieją, że któraś wpadnie mi w oko, krzyżując: „Wybierz mnie! Mnie wybierz! Ja ci przyniosę wygraną!”.

Wygra n a.

O rany, wyobrażacie sobie.' Jedyłą rzeczą, jaką w życiu wygrałam, była partyjka szachów. Ale gry losowe P Ten pomysł coraz bardziej mi się podoba. Wygrać miliony, miliony funtów, być obrzydliwie bogatą, tak zęby móc beztrósko biegać po sklepach...

Od razu tworzę listę swoich życzeń:

- Dom na Holland Park. Taki z wielkimi białymi filarami i wspaniałym tarasem oraz z widokiem, przy którym dom Rosemary mógłby się schować.
- Letniskowa willa we Włoszech, ukryta gdzieś pośród wzgórz Toskanii, gdzie będę spędzać leniwe wakacje, chodząc po sklepach z galanterią skórzaną i rozmawiając z miejscowymi.
- Za pomocą tłumacza. Najlepiej mężczyzny o ciemnej karnacji ubierającego się u Prądy.
- Matisse. Ulubiony malarz Lionela. Wezmę cokolwiek-nie jestem wybredna.
- Bilet na wszystkie mecze Premier League dla Eda.
- Plan emerytalny, który przebiję wszystkie inne.
- Dwa tygodnie w Chiva Som w Tajlandii. Albo nie. Od razu cały miesiąc.

128

Pasemka u N Nicky'ego (Buty. MnóSi I nowy samochód chodźć. A dokładni*: dziames □

Nagle uświadamiam sobie, że zachowuję się nedorzecznie. No jasne, że to był czysty przypadek, idiotko. Maszyna brzęczy i wypluwa zadrukowany kupon.

— Kto wie — odpowiadam i uśmieciam się z zakłopotaniem, unikając wzroku pani Patel. I wtedy dostrzegam tytuł na pierwszej stronie „Daily Mail”: Angielski cud.

Serce zaczyna mi żywiej bić.

- Może rzeczywiście los mi sprzyja - mruczę, odbierając kupon. Drżącymi palcami składam go na pół i wkładam ostrożnie do portfela.

Cholera.

Opuszczam sklep niepewna i podenerwowana. Na ulicach panuje poranny ścisk, chodniki pełne są ludzi w letnich strojach, którzy cieszą się kolejnym słonecznym dniem. Ale ja jestem tak zaprzątnięta swoimi myślami, że mogłoby być jak z cebra, a peyynie nawet bym tego nie zauważyła.

Idę ze wzrokiem wbitym w ziemię, a w głowie roi mi się od pytań bez odpowiedzi. Chodzą mi po niej słowa takie jak „niemożliwe”, „niedorzeczne” i „zdumiewające”, a w moim umyśle toczy się prawdziwa bitwa. Z jednej strony realistyczna i logicznie myśląca Heather wie, że musi być jakieś racjonalne wyjaśnienie tego, co się stało. A z drugiej strony ta część mnie, która potajemnie czyta horoskopy i unika przechodzenia pod drabiną, daje się ponieść wyobraźni.

Zostawiając za sobą ruch uliczny, kieruję się teraz w stronę kanałów mojej dzielnicy. To jedno z moich ulubionych miejsc w Londynie. Jest przepiękne, jakby żywcem wyjęte z pocztówek. Mogłabym bez końca patrzeć na wąskie, jasno pomalowane łódki i wczytywać się w ich niezwykle nazwy — „Stary Wilk Morski”, „Burza w Szklance Wody”, „Mała Syrenka” — oraz zastanawiać, jak by to było mieszkać na łodzi w centrum Londynu.

130

□ f

Przestraszona, staram się odsunąć od siebie tę myśl i skupić na widoku koszyków wiszących po bokach łodzi, które eksplodują kolorami. Boże. Są śliczne.

Co z dziesiątkami drobnych życzeń, które wypowiadam codziennie, nawet nie zdając sobie z tego sprawy?

I muszę przyznać, że właściciel tej barki wykazał się niezwykłą pomysłowością, używając starych gumiaków jako donic na kwiaty. Patrę spod przymrużonych powiek na drewniany pokład, gdzie stoją w równiutkim rzędzie. Rosną w nich prawie dwumetrowe słoneczniki. Patrząc pod słońce, mrużę oczy i zasłaniam je ręką. Boże,

świeci naprawdę mocno. Przydałyby mi się okulary przeciwsłoneczne.

Co z tymi potajemnymi, s □ □ □ tymi, podświadomymi marzeniami, które są częścią a codziennego życia?

O rany, nie wiem, co się dzisiaj ze mną dzieje. Nic mogę pozbierać myśli. Wtykam ręce do kieszeni — i zastygam w bezruchu. Zaraz, zaraz. Moje palce dotykają czegoś gładkiego jak alastik. Nie, to niemożliwe... Jestem przekonana, że zostawiłam je w domu. Z dziwnym uczuciem wyciągam z kieszeni □ □ □ i □ □ □ przeciwsłoneczne.

A co by było, gdyby te marzenia nagle z a-: z ę ł □ się spełniać?

Drżącymi rękami nakładam okulary na nos i świat nabiera riiedzianej barwy. Biorę głęboki oddech i staram się uspokoić, ale to nie pomaga. To jakiś absurd. Nie mogę skupić myśli.

Vtoże kawa dobrze mi zrobi.

■ □ □ o, g d □ b □ □ a z d e m o j e marzenie m o g l o i ę ziścić?

131

Na litość boską, Heather, skąd ci przychodzą do głowy takie głupoty?

Dostrzegam małą kawiarenkę i porzucam spacer brzegiem kanałów. Po tym jak schudłam, mogę sobie pozwolić na francuską drożdżówkę. Szczerze mówiąc, zastanawiam się, czy aby nie pójść jeszcze dalej i kupić sobie migdałowego rogalika, kiedy nagle dostrzegam dom obłożony rusztowaniami i kontener na gruz stojący na zewnątrz. Serce mi zamiera. Bo to oznacza jedno.

Robotnicy.

Nie cierpię robotników.

Przez chwilę rozważam przejście na drugą stronę ulicy, gdzie mogłabym się zaszyć między rzędem zaparkowanych samochodów, ale kątem oka dostrzegam, że jest już za późno. Dwóch z nich siedzi na murze, pijąc herbatę z termosu i czytając brukowce, a na dźwięk moich kroków podnoszą wzrok.

Zauważyli mnie.

— Cholera! — mruczę i spuszczam głowę, ale czuję, jak podnosi mi się ciśnienie.

Chciałabym, żeby zajęli się swoją robotą i zostawili nas, kobiety, w spokoju. Bo to

takie niesprawiedliwe. Chciałabym, żeby też zobaczyli, jak to jest, gdy ktoś się z nich nabija. Będąc coraz bliżej nich, czekam na nieuniknione: „Masz ochotę na bara-bara, mała?”.

Ale czy uwierzycie? Cisza.

Niemożliwe, żeby mnie nie zauważyli, mówię sobie, przechodząc obok nich i nie słysząc ani jednego gwizdu, a jedynie hałas młotka i wiertarki. Zaciekawiona, podnoszę wzrok, przygotowana na ich spojrzenia i pozdrowienia w stylu „pokaż cycki”, ale... nic takiego nie następuje. Nikt nawet nie patrzy w moim kierunku. Stwierdzam, że to zbyt piękne, żeby było prawdziwe, i idę dalej. I czekam. Gotowa na nieuniknione. Ale wciąż nic. Więc nabieram coraz większej pewności sie-

132

bie. Zwalniam i przechodzę obok — tak, tak, przechodzę tuż obok — murarza z gołym torsem mieszającego cement, który nawet nie próbuje pociągnąć brzegu mojej dzinsowej minispódniczki. Ani nawet nie rzuca mi spojrzenia z ukosa.

A wtedy dostrzegam, co widnieje na pierwszych stronach gazet, które czytają. Tytuł wielkimi czarnymi drukowanymi literami głosi:

KURCZĄCA SIĘ MĘSKOŚĆ:

WEDŁUG NAJNOWSZYCH BADAŃ

NAJMNIEJSZE PENISY NALEŻĄ DO ROBOTNIKÓW

Zatykam usta ręką, żeby stłumić chichot. A potem znowu słyszę w głowie głos: A co by było, gdyby wszystkie twoje życzenia się spełniały?

Ale tym razem nie sprzeczasz się z nim. Wreszcie dałam się przekonać. To jest tak niesamowite, niewyobrażalne i nieprawdopodobne, że musi to być magia. A wtedy sama nie wiem, co mnie nachodzi, ale nim zdążę pomyśleć, wkładam palce do ust i wydaję z siebie długi, przeciągły gwizd. I obserwuję z satysfakcją, jak dwóch murarzy rumieni się ze wstydu. □□ jest ab-so-lut-nie, kurwa, fantastyczne.

A potem robi się jeszcze ciekawiej.

Jak gdyby pękła tama, reszta tygodnia upływa mi w wirze miłych niespodzianek. Zapomniane kremy przeciwzmarszcz-iowe, po użyciu których przedtem nie widać było żadnej różnicy, rzeczywiście zaczynają działać, co stwierdzam po bliższym

przyjrzeniu się w lustrze. Kolczyki, z których utra-:ą dawno już się pogodziłam, a w poszukiwaniu których jrzewróciłam kiedyś całe mieszkanie do góry nogami, nag-e odnajdują się za sofą. Nawet moje włosy, z którymi nic nie

133

Jednak jeszcze bardziej) zadziwiające jest to, że dzisiaj, gdy poszłam kupić nowe opakowanie, wcale nie miałam ochoty na lody. Nie wiem, skąd sic to bierze, ale teraz, kiedy mogę je jeść bez poczucia v\in\', już mmc to tak me bawi. Więc skończyło sic na tym, że zamiast lodów kupiłam sobie kilka bananów.

Ado tego sprawa pogody. (Idy sobie ułożę fryzurę, zawsze pada deszcz. Zawsze. Ale nie w tym tygodniu teraz jest ciepło i sucho i nad włosami nie tworzy mi się aureola. (Unlzien-nie wyglądają cudownie.

Ale najlepsze / tego wszystkiego są światła na sygnaliza torach ulicznych. [adaż z Little Yenice przez Hampscad tło Elephant and C.astle, me napotkałam ani jednego czerwonego. Przez ostatnich kilka dni trafiani ciągle na zielone i przejeżdżam bez zatrzymywania się na pasach i skrzyżowaniach. Jazda przez Londyn stała się teraz przyjemnością. No. może z wyjątkiem sytuacji, kiedy dostałam mandat za szybką jazdę przez Lmbankmcnl (zwykle stoję w korkach i dlatego nie zdawałam sobie spraw \, jak szybko jadę, dopóki nie zat rz.ymał mnie policjant), ale to tylko irzy punkty karne i sześćdziesiąt funtów do za)tat\...

— ... Ale na szczęścił' zaoszczędziłam trochę torsy, ponieważ, wyobraź sobie, strażnik miejski darował mi mandat □□ parkowanie' wykrcz\ kuje.

Jess obserwuje swoje odbicie w lustrze i krzywi sic. [csl piątkowe popołudnie i obu stonm ściśnięte w przymierzał-ni w Żarze. Miałam iść po prai □ prosto do domu i pol wcześniej spać, ale dostałam leielon od |ess: błagała mnie. żebym pomogła jej znaleźć jakiś szalowa ciuch na randkę z (u □ giem na □□ :oi". [o zadami powoli zaczyn

przypom ' misje - Ił laiL \ fiicr ■

— Czy me wyglądałabym w tym lepiej, gdybym miała mniejszy biust?

— Czy ty mnie w ogóle słuchasz5 - pytam nadašana. Spędziłam ostatnią godzinę na

opowiadaniu Jess wszystkiego, ale jakoś me robi to na niej wrażenia. Gdy tak stoję po kolana w bluzkach i wieszakach, mój entuzjazm powoli gaśnie. Najpierw Ed, a teraz Jess. Dlaczego nikt mi nie wierzy?

— Ależ słucham - protestuje Jess, zakładając sukienkę przez ramiona. — Mówiłaś, że dostałaś mandat za parkowanie... - Słysząc ze środka przytłumione mruczenie, gdy pas sukienki utknął jej na ramionach. A za chwilę dochodzą do tego jakieś trzaski. - Heather, możesz mi pomóc? Utknęłam.

Mam ochotę ją tak zostawić, z rękami w górze i głową uwięzioną w tiulowej siatce, ale postanawiam jej łaskawie wybaczyć i ciągnę mocno za sukienkę. Następuje głośne: „au!”, a potem ze środka wyskakuje głowa Jess, jej zmierzwiłone włosy oraz błyszczący rozmazany po całej twarzy. I bez wątpienia również na sukience.

— Cholera, rozwaliłam zamek. — Spogląda na sukienkę z przerażeniem, a potem ciska ją na stos odrzuconych rzeczy leżący na podłodze. — Przypuszczam, że Gregowi by się spodobała. Napisał w mailu, że lubi jak kobieta wygląda kobieco. — W samym staniku i majtkach przeszukuje resztę ciuchów, które przeszmygłowała do przymierzalni, mimo iż mogła wziąć maksymalnie sześć rzeczy. Wybiera obcisłą sukienkę bez ramiączek.

— Wręcz przeciwnie. Nie dostałam mandatu za parkowanie — kontynuuję oburzona, obiecując sobie, że nie dam zbić się z tropu. — Właśnie o to chodzi w całej mojej opowieści. Gdy strażnik wstukował moje dane do komputera, pomyślałam sobie: „O Boże, kolejne pięćdziesiąt funtów, nie mogę sobie na to pozwolić”, i marzyłam tylko o tym, by mi darował

136

triumfalnie. — Nie sądzisz, że to niesamowite!

— Uważam, że bardziej niesamowite by było, gdyby Clive Owen zjawił się u twoich drzwi, padł na kolana i ci się oświadczył — mruczy. — Spójrz tylko na te cycki, są gigantyczne. Wyglądam, jakbym była w ciąży. Boże, tak bym chciała mieć mniejszy biust...

— Clive Owen jest już żonaty — przypominam.

— Ale wiesz, o czym mówię. — Ściąga sukienkę i znowu stoi w samej bieżnie. —

Mecz piłki nożnej, jacyś robotnicy, zielone światła czy mandat za parkowanie nie są zbyt ekscytujące, prawda? — mówi, wyliczając na palcach. — A co z tymi prawdziwymi marzeniami, które wszyscy mamy, co? No wiesz. Sukces. Szczęście. Miłość. — Spogląda na mnie, stojąc z rękami na biodrach, i domyślam się, co się szykuje. — Musisz się zacząć znowu spotykać z facetami.

Biorę do ręki bluzkę i udaję, że jestem zafascynowana haftem na rękawach.

— Tak, tak, Heather, musisz wrócić do obiegu albo problem będzie narastał — ostrzega mnie, wskazując na miejsce między nogami.

— Jess, daj spokój.

— Ale to prawda — protestuje. — Czytałam kiedyś o tym artykuł. Podobno pochwa...

Nagle dociera do mnie, że tracę czas. Co chciałam osiągnąć, mówiąc Jess o wrzosie? Nigdy tego nie zrozumie. Dla tej kobiety zakochywanie się nie ma nic wspólnego z magią, ale ze spełnianiem warunków z jej listy.

Postanawiam zmienić temat.

— A co powiesz o tej czarnej bluzce z opuszczonymi ramionami i džinsach do połowy łydki? — proponuję, wybieram-

137

jąc ze stosu te dwie wspomniane rzeczy i machając jej przed oczyma.

— Nie wydaje ci się, że są trochę, hm, zbyt banalne? Ale wiem, jak ją przekonać.

— Widziałam Sienna Miller w czymś podobnym. - Krzyżuję palce za plecami.

— Naprawdę? — Bierze je ode mnie i zakłada džinsy. — Mhm, i mogę do nich ubrać ten duży luźny pasek, który kupiłam w Grecji, wiesz, ten z wisiorkami. — Zakłada bluzkę i poprawia ramiona. Jess ma ogromny biust i tyłek, ale wygląda w tym wspaniale. — Jesteś geniuszem, Heather! - Zarzuca mi ręce na szyję. — To jest idealne.

Uśmiecham się skromnie. Mam nadzieję, że się nie dowie, że moją inspiracją była nie Sienna Miller, ale manekin na wystawie.

Ściąga z siebie przymierzane ubrania i zakłada swoje stare ciuchy.

— Ale jak mówiłam...

Cholera. Myślałam, że sobie daruje.

— Musisz zapomnieć o Danielu.

— Już o nim nie myślę — protestuję.

— Kogo próbujesz oszukać?

— Nikogo nie oszukuję.

Jess odsuwa zasłonkę i odwraca się do mnie.

— No to na co czekasz?

— Na swój ideał faceta — rzucam, mając nadzieję, że tym zatkam jej usta. Jess bierze swój wielki stos ciuchów i rzuca je na stolik przed ekspedientką, która obdarza ją mrozącym spojrzeniem za przekroczenie limitu zabieranych do przymierzalni rzeczy.

Jess śmieje się ponuro.

— Przykro mi, Heather, że to ja muszę ci przekazać tę smutną wiadomość, ale ideały nie istnieją.

138

— Może i nie. — Idę za nią do kasy. — Ale nie oznacza to, że mam przestać o nich marzyć. — Spoglądam na stojącą w kolejce obok nas parę. Stoją objęci i przytuleni, a kobieta spogląda rozmarzonym wzrokiem na mężczyznę, na którego w tłumie nawet nie zwróciłabym uwagi. Jak dla mnie to łysiejący, bezbarwny facet, któremu przydałoby się przystrzyć włosy w nosie. Ale dla niej ten facet jest idealny. — A poza tym uważam, że się mylisz — mówię. — Moim zdaniem idealny facet istnieje.

— A co się stało z cyniczną i zgorzkniałą Heather?

— Po prostu chcę powiedzieć...

— Ze wszyscy faceci to śwynie? — przerywa mi Jess, całkiem nieźle mnie naśladując. Po rozstaniu z Danielem niczego innego nie mówiłam, w przerwie między zaciąganiem się marlboro lights i upijaniem tequilą.

— Miałam wtedy złamane serce — mówię na swoją obronę. — A tak w ogóle dlaczego jest tak, że jeśli mężczyźni nienawidzą kobiet, nazywani są mizoginami, ale gdy kobiety nienawidzą mężczyzn, to od razu zwie się je zgorzkniałymi?

— Albo lesbijkami — dodaje zimno Jess.

Gdy dociera do nas ta niesprawiedliwość, zapada chwila ciszy, a potem Jess oświadcza: „bydlaki”, spoglądając na kasjera płci męskiej, tak jak gdyby był odpowiedzialny za nierówność płci.

— W każdym razie, tak jak mówiłam — pośpiesznie zmieniam temat — uważam, że idealny facet naprawdę istnieje. Tylko jest po prostu inny dla różnych osób. Spójrz na przykład na Camillę Parker Bowles, to znaczy, przepraszam, panią Windsor. — No cóż, teraz, kiedy zaczęłam, muszę znaleźć jakieś poparcie dla swojej teorii. — Jej ideałem jest książkę Karol.

Jess marszczy nos.

— I na dodatek jest w nim szaleńczo zakochana. Jess krzywi się jeszcze bardziej.

139

— O rany... i te jego uszy... — mówi szeptem tak, jak gdyby się bała, że Jego Wysokość może ją usłyszeć.

— No właśnie. Tak samo jest z kobietą, która poślubiła Robina Williamsa. Moim zdaniem to najmniej zabawny facet świata, ale ona pewnie uważa, że jest idealny.

— Robbie Williams jest żonaty? - Nastolatka stojąca przed nami odwraca się w naszą stronę z przerażeniem.

— Nie, ten aktor. No wiesz, Pani Doubtfire, Hoo\...

Jess robi miny, naśladując Robina Williamsa, a ja zaczynam chichotać.

— A co powiesz o Carrie i Mr Bigu z Seksu w wielkim mieście} — pytam ze śmiechem. — Nigdy nie byłam w stanie tego zrozumieć. A mogła mieć Aidana!

— Mhm - słyszę pomruk aprobaty wydawany przez kobiety wokół nas.

Jess podpisuje paragon z karty kredytowej, bierze swoje zakupy i wsuwa rachunek do torby.

— A zatem - zaczyna, biorąc mnie pod ramię - skoro każda kobieta ma inny ideał mężczyzny, to jaki jest twój? - Prowadzi mnie do wyjścia. - Tak na wypadek, gdybym na niego wpadła. — Uśmiecha się szeroko.

Więc jej odpowiadam.

— Hm, jest przystojny, wiadomo. — Zagryzam wargę w zamyśleniu. — Oczywiście monogamista. — Przebiegam swoją listę cech idealnego mężczyzny, ponieważ, rzecz

jasna, i ja mam taką listę. — Nie znosi sportu, ale uwielbia Dido... — czuję, jak robi mi się ciepło na duszy. — Nie rozrzuca ubrań po podłodze ani nie zostawia sera w lodówce bez opakowania, tak żeby się zeschnął... — Hm, podoba mi się takie wymyślanie. — Nie boi się mówić o tym, co czuje, nie odczuwa lęku przed zaangażowaniem ani nie wstydzi się pytać o drogę, gdy się zgubi... -Przypominam sobie wszystkie rzeczy, które pragnęłam zna-

no

II -■■■

14

— Kilku myśliwych wychodzi z lasu, kiedy nagle jeden z nich pada na ziemię. Wygląda na to, że nie oddycha, więc jego kumple spanikowani łapią za komórki i dzwonią po karetkę...

Stojąc przed wielkim lustrem wiszącym na drzwiach od szafy, ubrany w podkoszulek z Ramones i czarną marynarkę, z niezapalonym papierosem wetkniętym w kącik ust, Gabe przerywa swój monolog, przygląda się swojemu odbiciu w lustrze i ćwiczy różne miny: najpierw zamyślenie (spuszczona głowa, zmarszczone brwi), potem zdumienie (oczy szeroko otwarte, tak samo usta), a na końcu smutek (brwi razem, drżąca dolna warga). A potem wzdycha, ramiona mu opadają i opuszcza okulary z powrotem na nos.

— Rany, ciężka decyzja. — Drapie się po głowie. — Jaką minę trzeba zrobić do tego dowcipu?

Znowu powtarza wszystkie miny, a potem zwraca się do swojego lustrzanego odbicia:

— No dobrze, wyobraźmy sobie, że jestem widownią. -Wskazuje na siebie. - I wyobraźmy sobie, że jestem Jerryem Seinfeldem. — Uśmiecha się z konsternacją. — A może nie, Dennisem Learym. — Krzywi się do lustra. — Ty pierdolony skurwysynu — rzuca ordynarnie, pręży ciało jak do ataku i agresywnie wysuwa szczękę.

142

ir

tem

Całym sercem jestem po jego stronie. Powinnam coś zrobić. Powinnam go powstrzymać. To jak wysyłanie kogoś z szablą na czołgi, czy jak tam brzmi to powiedzenie.

Nagle podłoga pode mną skrzypi.

O cholera, Gabe zaraz wyjdzie z pokoju i mnie przytapie. Na szpiegowaniu. Ale przecież ty go nie szpiegujesz, Heather, po prostu wróciłaś do domu z zakupów i przypadkiem przechodziłaś obok — tłumaczę się szybko, po czym nurkuję w łazience, by nie zostać przyłapaną.

Zamykam drzwi i odkręcam kurki. Musi być jakiś sposób, żeby mu pomóc. Owszem, nie znoszę komedii w stylu stand--up, ale bardzo lubię Gabe'a. Mimo wszystko to naprawdę miły facet, który nawet zakreca pastę do zębów — jak sobie przypominam z zadowoleniem.

— Heather? — Słyszę grzeczne pukanie do drzwi i głos Gabe'a: — Jesteś tam?

— Yyy, tak... — odpowiadam przestraszona. — Przepraszam, czekasz na łazienkę? Jeszcze sekundka! — Bojąc się, że wszystko wyjdzie na jaw, przesuвам z hałasem mydłem po mydel-mezec, żeby mój pobyt w łazience wyglądał realistycznie.

— Nie, w porządku, nie śpiesz się. Ale gdy skończysz, to wyjdź na pole.

— Na pole? — powtarzam bezgłośnie do swojego odbicia w lustrze, zdegowana jego słownictwem i zarazem ciekawa, co knuje. Tak czy owak, cokolwiek to jest, nie może to być gorsze od jego dowcipów.

— Mam dla ciebie niespodziankę — dodaje.

O cholera. Czy mówiłam już, jak bardzo nienawidzę niespodzianek? To nie są moje urodziny, ani też żadna rocznica, więc co to może być, u licha? Wychodzę ostrożnie z łazienki i stąpając boso po korytarzu, zastanawiam się, o co może Gabe'owi chodzić, żeby móc się na to przygotować, a wtedy

144

dociera do mych nozdrzy dziwny zapach. Pociągam nosem zaintrygowana, gdy wchodzę do kuchni. Śmierdzi tak, jakby coś się paliło. A wtedy momentalnie

przyskakuję do okna i wyglądam na ogród. Jest cały zadymiony. Chryste Panie! Coś się pali!

Wpadam w panikę. O cholera! Mój dom się pali! Czy zapłaciłam ubezpieczenie? WTiem, że jest na mojej liście rzeczy do załatwienia, ale... Gorączkowo rozglądam się po kuchni i przypominam sobie, jak nas uczono w dzieciństwie, że płonące garnki gasi się mokrymi ręcznikami.

Ale nie mam żadnych mokrych ręczników - wszystkie są w pralni. Potrzeba mi czegoś takiego jak... flakon. Duży wazon z liliami stoi na środku stołu. Łapię go, wyrzucam kwiatki do zlewu i wybiegam na zewnątrz, a woda przelewa się z brzegów. Szary dym wychodzi zza szopy.

Przeskakuję nad rabatką i biegnę w tamtą stronę, ręce ślizgają mi się po mokrym flaconie, aż wreszcie biorę zamach, by chlusnąć z całej siły. Tyle że za szopą nie ma żadnych płomieni.

Tylko Gabe.

— Tadam! — rozkłada ręce szeroko i uśmiecha się promiennie na mój widok, ale jest za późno. Wzięłam zamach tak mocny, że już się nie cofnę. O Boże.

A potem wszystko odbywa się błyskawicznie. Tyle że ja obserwuję to jak na filmie w zwolnionym tempie: widzę wodę, która wylewa się z wazonu i przecina łukiem powietrze tak, że można rozróżnić wyraźnie każdą kropelkę, i widzę Gabe'a, który stoi na linii strzału, a jego twarz mieni się po kolei wszystkimi emocjami — od radości, przez zdumienie, aż do oszołomienia, gdy woda uderza go prosto w twarz. Bum. Wracamy do normalnego tempa, w którym Gabe, przemoczony do suchej nitki, stoi przede mną, ociekając wodą, mruga oczami i jęczy:

— Jezu, Heather, co się stało?

145

— O cholera - mruczę, obserwując, jak wyciera mokre włosy i twarz fartuchem. Fartu h e m ? Tak jest, Gabe ma na sobie mój ozdobiony różyczkami fartuszek, spod którego wystaje pistacjowa koszula z falbankami. W tym samym momencie dostrzegam, że w jednej ręce trzyma szczypce, a w drugiej paczkę kiełbasek wegetariańskich i stoi przed lśniącem metalowym urządzeniem, które wygląda jak...

— Grill?— wyrzucam z siebie.

— To miał być prezent z okazji mojej przeprowadzki. Myślałem, że ci się spodoba.

— Gdy wypowiada te słowa, spoglądam w dół na jego stopy i dostrzegam, że stoi w kałuży wody. Porusza w śliskich klapkach opalonymi palcami, które wydają przy tym śmieszne skrzypienie. — Ale gdybym przewidział, jak na to zareagujesz, poprzestałbym na świeczce zapachowej.

— Cholera. — Nic więcej nie jestem w stanie powiedzieć. Nie jest to najlepsze słowo, ale w końcu popełnianie gaf jest moją specjalnością.

Gabe potrząsa głową jak pies, ochlapując mnie przy tym kropelkami wody.

Domyślam się, że nie robi tego specjalnie, ale cofam się, żeby mnie nie zamoczył.

— Tak strasznie mi przykro — oświadczam, gdy wyciera się jedną ze ściereczek Briana z wizerunkiem pałacu Buckingham, którą zwinęłam z pracy. — Myślałam, że coś się pali.

— To wegetariańskie kielbaski. — Gabe, w koszuli z przy-klapniętymi falbanami przylegającej mu w kilku miejscach do ciała i ze sterczącymi jasnymi włosami, wskazuje ręką na grilla, znad którego sączy się wątlą strużka dymu. - Kupiłem je specjalnie dla ciebie, skoro nie jadasz mięsa. — Milknie na chwilę. — Może to nie był najlepszy pomysł...

— Nie, nie! — protestuję. — Pomysł był świetny... to znaczy jest świetny. — Łapię za widelec z entuzjazmem i pochylam się, żeby wziąć z grilla osmaloną kielbaskę.

Przez chwilę za-

146

lawiam się, □

nie do Gabe' i ciek □ choler

Przez chwilę stoję zdezorientowana. Aż wreszcie dociera do mnie. To miał być jego żart i po prostu dałam się nabrać.

— Ale miałaś minę podczas jedzenia... - Gabe zwija się ze śmiechu, łapiąc za brzuch. Staram się nie uśmiechać, ale to zbyt trudne zadanie.

— Ty świnió - mruczę, a kąciki ust same wędrują mi do góry.

— No chyba nie masz do mnie pretensji? Wylałaś na mnie cały wazon śmierdzącej

wody!

Na wspomnienie tamtej chwili zaczynam chichotać.

— Szkoda, że nie widziałeś swojej miny. Gabe przestaje się śmiać.

— To chyba jesteśmy kwita. - Wyciąga rękę, żeby przybić piątkę.

Cholera, nie cierpię przybijania piątki! Zawsze czuję się wtedy jak kompletna idiotka.

Niemrawo wyciągam rękę i uderzam o jego dłoń. I nie mogę się powstrzymać od dodania:

— Jak na razie.

Na szczęście mam parę burgerów wegetariańskich ukrytych w zamrażarce, więc kładziemy je na grillu razem z kolbą kukurydzy i pieczonymi ziemniakami zawiniętymi w aluminiową folię.

Po przygotowaniu jedzenia i po tym, jak przebrał się w podkoszulek z MrT (myślałam, że pistacjowa koszula z falbankami wokół guzików była fatalna, ale jego pomarańczowy podkoszulek z Mr T, który przy bliższych oględzinach okazuje się zmechacony, jest jednak dużo gorszy), Gabe wyjmuje z lodówki dwa zimne piwa, starannie kroi limonkę i wciska po kawałku do butelki, po czym wręcza mi jedną. Osobiście wolę wino, ale nie mogę odmówić. Nie chcę wyjść na sztywną Angielkę. Tym bardziej po tym, ile włożył wysiłku w przygotowanie tego grilla.

148

— Ubawiam się, że ta!

— O rany, Heather, nawet nie wiesz, co tracisz. — Z przerażenia upuszcza łyżkę i wyciera ręce w tartuch. Mam wrażenie, że przygotowuje się do wygłoszenia kazania.

I owszem. — Chilli rellenos to rozkosz dla podniebienia. To papryka chilli nadziewana grillowanym serem, którą smaży się na głębokim tłuszczu, potem zanurza w salsie i śmietanie. To niesamowite...

— Rozumiem, że ci to smakuje? — uśmiecham się. Teraz wydaje się zakłopotany.

— To żydowskie jedzenie.

149

— Jesteś żydem?

Odwraca głowę, żebym mogła się przyjrzeć jego profilowi, i przebiega palcem po

linii nosa.

— A co, nie widać?

— Przynajmniej masz wyjaśnienie. — Teraz ja odwracam się bokiem i robię to samo co on. — Gdy byłam małą, często przyglądałam się rysunkom księżniczek w bajkach i wszystkie miały małe, śliczne noski. A haczykowate nosy miały tylko wiedźmy z zatrutymi jabłkami.

— Masz przecież świetny nos - protestuje Gabe. - Wygląda jak dziób tukana.

— Rozumiem, że to miał być komplement — krzywię się. -Ale wracając do twojej pracy... - Zgrabnie zmieniam temat rozmowy, by odwrócić uwagę od mojego nosa. Nauczyłam się tego z czasem: nigdy nie rozmawiaj z mężczyznami o częściach swojego ciała, których nie lubisz. Gdy byłam z Danielem, ciągle narzekałam na swój cellulit, a gdy twierdził, że niczego takiego nie mam, pokazywałam mu swoje pośladki. Aż wreszcie udało mi się go przekonać, że jednak mam. Od tamtego czasu przestał mówić, że mam pupcię gładką jak niemowlę, a zaczął twierdzić, że tak właściwie to miałam rację: wygląda ona raczej jak owsianka w kabaretkach. Możesz sobie pogratulować, Heather.

— Powiedzmy może tak: mój współpracownik był mi winien przysługę, więc na jakiś czas zważyłam wszystkie obowiązki na jego barki. Zresztą za kilka tygodni wracam do domu.

— A co z Mią, twoją dziewczyną? Nic ma nic przeciwko temu, że wyjechałeś? Gabe rumieni się.

— Niecę, zbyt dużo razy widziała mnie w amatorskich klubach. Pewnie nawet chciała się □i□□ pozbyć. - Uśmiecha się, gdy to mówi, tak jak się może tylko uśmiechać osoba, która

150

— A ty? — Odwraca burgera na grillu i spogląda na mnie z ukosa, unosząc jedną brew.

-Ja?

— No wiesz — życie osobiste, praca, rodzina...

— A, to. - Dopijam piwo i kładę butelkę na parapecie. - Jestem sama już od roku,

kiedy to odkryłam, że mój chłopak, z którym wówczas mieszkałam, mnie zdradza. Gabe rzuca mi współczujące spojrzenie, ale szybko zmieniam temat.

— Od sześciu lat pracuję jako fotograf ślubny, ale wszystko wskazuje na to, że wkrótce mogę stracić pracę.

— Aha. Zastanawiałem się właśnie, co robi ten stos CV na kuchennym stole.

— Hm, no cóż, nigdy nie marzyłam o tym, żeby zajmować się robieniem zdjęć na ślubach, więc powiedzmy, że wciąż czekam na swoją życiową szansę.

— A twoja rodzina?

— Mam starszego brata Eda, który ma żonę Lou i właśnie spodziewają się dziecka, jest też mój tata Lionel, który jest artystą malarzem i mężem mojej wrednej macochy Rosemary.

— A twoja mama?

— Zmarła, gdy miałam dwanaście lat. Następuje chwila ciszy.

— Bardzo mi przykro.

— Mnie też - mówię cicho, czując ścisk w gardle, jak zawsze, gdy myślę o mamie. Nawet teraz, prawie dwadzieścia lat później. - Więc jak widzisz, ta historia nie kończy się wesoło. — Uśmiecham się smutno.

151

— Zaraz, zaraz, a kto tu mówi o jakimś końcu? Wiesz, co mój dziadek zwykł mi mawiać? „Synu, jeszcze wszystko przed tobą...” - udaje akcent z Południa.

— No to powiedz swojemu dziadkowi, że mam trzydzieści lat.

— Nie sądzę, żeby zrobiło to na nim wrażenie. Ma dziewięćdziesiąt dwa.

— Czy to jedna z tych anegdot z morałem, że powinniśmy być wdzięczni losowi, bo zawsze może być gorzej ?

— Nie, mój dziadek wiecie wspaniałe życie. Właśnie odkrył porno w Internecie. Wybucham śmiechem, wstaję z leżaka i podchodzę do grilla.

— Mhm, ale cudownie pachnie. Umieram z głodu. — Spoglądam z nadzieją na warzywa w folii.

— Kukurydza będzie gotowa za jakieś piętnaście minut, a jeśli chodzi o ziemniaki...

— wbija nóż w jednego. — Jakie pani woli, twarde czy twarde?

— Skoro tak, to skoczę szybko do sklepu po butelkę wina.

— A co, piwo powoduje u ciebie wzdęcia? Marszczę nos.

— Od razu przepraszam za wszystkie następne razy - mówi Gabe. A potem, widząc zakłopotanie na mojej twarzy, wyjaśnia: — Ale skoro korzystamy ze wspólnej łazienki...

— Och, proszę cię... - jęczę, a potem dodaję: - Za dużo chcesz wiedzieć. — Klepię go poufale po ramieniu.

— Przepraszam. Obawiam się, że to kolejna żydowska obsesja: jedzenie i fizjologia. Wybucham śmiechem, zakładam klapki, po czym wiążę włosy w prowizoryczny kok.

— Będę za chwilę. Czerwone czy białe?

— Jak wolisz.

152

moim fart a podko , ale mar

- Grill ji

15

Gdy wchodzę do sklepiku, wita mnie elektroniczny dzwonek sygnalizujący przybycie nowego klienta oraz głos Bar-bry Streisand dochodzący z magnetofonu. Pani Patel podnosi wzrok znad czegoś purpurowego, co robi na drutach, i zerka na mnie z ukosa sponad okularów tak samo, jak patrzy na wszystkich innych - czoło zmarszczone, zwężone wymalowane oczy i drobne usta wydęte nieufnie. Potrafi zmarszczyć całą twarz tak, że wygląda jak worek ściągnięty sznurkiem.

Uśmiecham się, witam ją nieznacznym skinieniem głowy, a potem kieruję się w głąb sklepu, gdzie znajdują się półki z alkoholem. Gdy się tu wprowadziłam, myślałam, że wybór wina będzie tu ograniczony — zakurzona butelka liebfrau-milch czy przecenione chianti w wiklinowym koszyku to będzie wszystko. Ale myliłam się. Może tak jest w wypadku większości małych sklepików, ale ten nie jest typowy - bo to jedyny i niepowtarzalny sklep pani Patel. I mam czasem wrażenie, że ta drobna Hinduska w barwnym sari wielbiąca Barbrę Streisand i Barry'ego Gibba dzierży klucze do jakichś niezwykłych piwnic.

Teraz, stojąc w głębi sklepu, zastanawiam się nad kupnem butelki sauvignon blanc.

Zwykle wybieram właśnie to wino, ale może tym razem powinnam wziąć coś innego? Podcho-

154

dzę do półki z czerwonymi winami. Nie, zbyt ciężkie, a poza tym czerwone wino brudzi zęby. Wracam znowu do białych. Ale białe z kolei są bardziej pospolite, prawda? I kojarzą się z Bridget Jones.

Wzdycham niecierpliwie. Boże, to trudniejsze, niż myślałam. Normalnie nie jestem aż tak niezdecydowana. Kupowałam tu wino setki razy i nigdy się przy tym nie zastanawiałam... To co się zmieniło? To, że pojawił się Gabe — uświadamiam sobie i przed oczyma staje mi mokry Amerykanin w moim ogrodzie. Powiedział, że jest mu obojętne, co kupię, ale nie chcę wybrać jakiegoś paskudztwa. Chcę zrobić dobre wrażenie, tym bardziej po tej całej historii z wazonem.

Wzdycham zrezygnowana. Cholera, ale to trudne. Po prostu nie potrafię się zdecydować. I wtedy przychodzi mi do głowy pewien pomysł.

Zamykam oczy i zaczynam mruczeć pod nosem:

— Ene, due, rabę... — Nie patrzę i pozwalam, by to mój palec wybrał wino. — ... co z tego wy-ni-ka. — Ale zamiast dotknąć twardej, zimnej powierzchni, czuję coś miękkiego, ciepłego... żywego? Otwieram oczy i spoglądam na swój palec wbity w czyjeś ramię. Męskie ramię. Ramię mojego s a s i a d a.

Żołądek podchodzi mi do gardła, jak gdybym siedziała w samolocie, który wpadł w dziurę powietrzną i runął kilkaset metrów w dół. Łapię oddech na tyle długi, żeby wyrzucić z siebie:

— Och... przepraszam...

Wyobraźcie sobie Hugh Granta w filmie. A teraz wyobraźcie sobie jeszcze, że jest kobietą, ma trzydzieści lat i rude włosy. To właśnie ja. Tyle że to nie jest film, ale życie. Moje życie. Moje wyjątkowo żałosne życie.

— Yyy... przepraszam... Ja tylko...

155

Boże, to naprawdę jakiś koszmar. Dlaczego zawsze wypadam przy nim na idiotkę? Mam chociaż nadzieję, że nie zwraca na mnie uwagi. Odwracam się i udaję, że

intensywnie wpatruję się w półki. Chciałabym chociaż raz normalnie z nim porozmawiać, po to tylko, żeby mu udowodnić, że nie jestem stuknięta.

— Wybór wina nigdy nie należy do łatwości, prawda? Człowiek spędza mnóstwo czasu, czytając informacje na etykietach, a gdy wraca do domu, wino prawie nigdy nie smakuje tak, jak oczekiwał.

Przepraszam? Czy on mówi do mnie? Moje oczy wędrują od jego stóp przez dołeczek w jego podbródku aż do jego ust. Które uśmiechają się do mnie. Jest to jeden z tych miłych, uprzejmych uśmiechów, jakie posyła się staruszkom, którym szwankuje pamięć, albo też dzieciom, gdy oświadczają, że chcą poślubić swojego chomika. To uśmiech, który zawsze doskonale wychodzi Meryl Streep.

Moje serce zamiera. Pewnie mnie nie poznaje.

— Nigdy się sobie nie przedstawiliśmy. Jestem James. Mieszkamy naprzeciwko siebie. — Wyciąga dłoń w moją stronę.

— Tak, tak... Cześć, jestem Heather. — Próbuję odpowiedzieć mu uśmiechem, ale mój jest niepewny i nerwowy, jak dziecka, które się uczy jeździć na rowerze i któremu odpięto dwa boczne kółeczka. Ściskam jego dłoń i mogłabym przysiąc, że on trzyma moją odrobinę za długo. Ale może po prostu chciałabym, żeby tak było.

— Parę dni temu kupiłem tu dobre białe wino. Hm, które to było? O, tu jest. — Wypuszcza moją rękę i sięga po butelkę. Spoglądam na niego pożądliwie. Pewnie przyszedł kupić wino dla siebie i swojej dziewczyny, stwierdzam, mając w pamięci śliczną brunetkę, z którą widziałam go w zeszłym tygodniu. Boże, jaka z niej szczęściara. Tak bym chciała być jego dziewczyną...

156

Nagle uświadamiam sobie, że gapię się na niego z otwartymi ustami, po czym porywam butelkę z jego rąk.

— Yyy, cudownie... dzięki za radę — wyrzucam z siebie i odwracam się, zanim zrobię z siebie jeszcze większą idiotkę.

— Ale z drugiej strony jest tu doskonale chablis... Zrobiłam ledwie dwa kroki, gdy doszedł mnie jego mocny, głęboki głos. Kusi mnie nieco, by iść dalej i udać, że nie słyszałam, ale to jest

silniejsze ode mnie, jak duża paczka mał-tesers. Pragniesz jej. Wiesz, że będziesz tego potem żałować. Ale i tak zjadasz całe opakowanie.

Nie wytrzymuję i oglądam się na Jamesa, który trzyma w ręku butelkę w bursztynowym kolorze.

— Może dasz się skusić. — Uśmiecha się do mnie znowu, ale tym razem nie jest to nijaki uśmiech rzucony do starszków, ale raczej... — Przepraszam, chyba kiepsko mi to idzie. — Czyżby smutny uśmiech? Stoi tam, trzymając w każdej ręce butelkę wina, i wzrusza ramionami. — Pewnie uważasz mnie za idiotę, który potrafi mówić tylko o winie... — A może uśmiech zakłopotania? — ... chociaż przez cały ten czas mam zamiar zapytać cię o... — Nerwowy uśmiech?—... czy dasz się kiedyś zaprosić na drinka. — Hm, uwodzicielski uśmiech?

Przez cały ten jego wywód stoję nieruchomo, zamarła, bo przecież niemożliwe, żeby to się działo naprawdę, i powtarzam jego słowa w myślach, jedno po drugim. A teraz pora na mój ruch. Ale nie jestem w stanie wykonać żadnego — bo jestem w szoku.

Po dwóch i pół roku, podczas których nie zamieniliśmy ani słowa, mój boski, przystojny sąsiad, chodząca doskonałość, zaprasza mnie na randkę.

Zaczyna wreszcie do mnie docierać, co powiedział. Dasz. Się. Kiedyś. Zaprosić. Na. Drinka.

— No więc?

157

Wracam do rzeczywistości — on czeka na moją odpowiedź. Ale czy to nie jest oczywiste? Dlaczego miałabym nie chcieć iść z nim na drinka? Dajcie mi choć jeden powód. Hm, no tak. Tamta brunetka.

Najpierw czuję zawód: on wydaje się taki cudowny. A potem rezygnację: wiedziałam, że to za piękne, żeby mogło być prawdziwe. A zaraz potem wściekłość: kłamliwe bydlę!

— Nie mam szacunku dla facetów, którzy zdradzają swoje dziewczyny.

— Słucham?

— Tym bardziej że mój były facet też mnie zdradzał. Oczekuję, że teraz przyzna się do winy lub obleje się rumieńcem ze wstydu, ale zamiast tego widzę zatroskaną

minę.

— Och... naprawdę? Bardzo mi przykro z tego powodu. -Następuje chwila ciszy, podczas której wpatruje się we mnie pytająco. — Przepraszam, ale chyba czegoś tu nie rozumiem.

Owszem, nie rozumiesz, czym jest szacunek, uczciwość, lojalność — mam ochotę rzucić mu prosto w twarz, gdy przypominam sobie o Danielu. Ale zamiast tego uśmiecham się kwaśno i mówię od niechcienia:

— Przepraszam, nie dosłyszałam, jak ma na imię twoja dziewczyna.

— Moja dziewczyna?

— Ta śliczna brunetka.

— O Jezu.

Ha. Wreszcie zrozumiał, że go przejrzałam. Pociera idealnie ogolony podbródek i spogląda na mnie. Ale nie z miną winowajcy, której się spodziewałam, tylko... czy możliwe, że to ulga?

— Przez chwilę zastanawiałem się, o co może chodzić. Pomyślałem nawet, że może z kimś mnie pomyliłaś. - Uśmiecha się, a potem wyjaśnia: — To Bella, moja młodsza siostra.

158

Siostra? O rany. Nie wiem, czy mam skakać z radości, czy zapaść się pod ziemię ze wstydu.

— Czy chcesz, żeby też poszła z nami na drinka? - Jego usta drgają z rozbawienia. Zaczynam chichotać nerwowo.

— Nie, twoje towarzystwo mi wystarczy.

— Fantastycznie — odpowiada James i na jego twarzy maluje się ulga. I wtedy dociera do mnie pewna rzecz: on jest zdenerwowany.

— Kiedy masz czas w tym tygodniu?

— Czekał, niech pomyślę... — Przecież nie chcę, żeby wiedział, że jedyny plan, jaki mam, to pójść do wypożyczalni, prawda?

— Może jutro? — proponuje.

Przez chwilę zastanawiam się, czy może powinnam to jakoś rozegrać i udać, że

jestem zajęta, ale będzie to oznaczało spędzenie sobotniego wieczoru przed telewizorem. Więc zmieniam zdanie.

— Świetnie — odpowiadam, chwytając się jego propozycji obiema rękami. Mam gdzieś zgrywanie wyluzowanej. Wolę sączyć martini w towarzystwie Jamesa.

— Fantastycznie — powtarza.

I przez chwilę stoimy tak naprzeciwko i uśmiechamy się do siebie, aż przerywa nam facet w średnim wieku ubrany w garnitur w prążki, który podbiega cały zdyszany i czerwony na twarzy, łapie butelkę szampana z półki, po czym mrużąc: „pieprzona rocznica”, przepycha się między nami i pę-izi do kasy.

Oboje rzucamy sobie znaczące spojrzenia.

— Oczywiście, zawsze można wybrać coś innego. Na przy-kład szampana. — James uśmiecha się szeroko, odkładając po-jrzednie butelki na półkę. — Jeśli masz co świętować.

Hm. Zabawne, że to powiedział...

159

Gdy dochodzę do mojego mieszkania i żegnam się z Jamesem, który odprowadza mnie do drzwi i całuje w policzek na pożegnanie, jestem cała w skowronkach.

Zamykam frontowe drzwi, opieram się o nie i biorę kilka głębokich wdechów. Wciąż nie mogę w to uwierzyć. James zaprosił mnie na randkę. James zaprosił mnie na kolację — tak, właśnie tak: w drodze powrotnej ze sklepu zaproszenie zmieniło treść i teraz zamiast na drinka, idę z nim na kolację. James ma wpaść po mnie jutro o ósmej.

Powtarzam to na każdy możliwy sposób, po części dlatego, by sprawdzić, jak to brzmi, a częściowo po to, by mój mózg mógł przyswoić sobie tę informację. Oraz dlatego, że mam ochotę wyjść na dach i ogłosić to całemu światu.

Ja, Heather Hamilton, idę na randkę.

Wniebowzięta, zrzucam klapki z nóg i biegnę do kuchni.

- Gabe, nigdy nie zgadniesz... - Wbiegam do ogrodu. Nie ma go tam.

- Gabe? - Rzucam okiem na pusty leżak, puste butelki po piwie, drewniany stolik i na grilla, który wygląda, jakby zgasi. Podchodzę, by przyjrzeć się wszystkiemu z bliska.

Grill jest pusty i większość węgielków obróciła się w popiół. Już? Zerkam na zegarek i obliczam wszystko w głowie. Skoro wyszłam o... a teraz jest... O cholera, nie było mnie przez ponad godzinę! No tak, szczęśliwi czasu nie liczą.

I wtedy sobie przypominam. Powiedziałam, że wracam za chwilę, że skoczę tylko po alkohol. Robi mi się głupio. Z emocji zapomniałam o Gabie i o grillu, który urządził. Wracam do mieszkania i pukam delikatnie do jego drzwi.

- Gabe? Jesteś tam? — Ze środka nie dochodzi żaden dźwięk, nawet cichy szum odtwarzacza CD. Już mam zamiar iść do salonu, by sprawdzić przez okno, czy jego motor wciąż stoi przed domem, kiedy drzwi otwierają się wreszcie.

160

nie pozwą'

.Następi

)o! '

[ac h -

16

Na zewnątrz Kew Gardens, pod oplecionymi bluszczem ścianami, stoi kilkunastu gości weselnych. Jako że panna młoda jak dotychczas się nie pojawiła, a do rozpoczęcia ceremonii zostało jeszcze pół godziny, goście korzystają z ostatniej okazji, by zapalić papierosa, albo poprawiają niezdarnie ubrania. Wyglądają w większości na dwadzieścia kilka lat i - sądząc po plecionych etnicznych bransoletkach i ostrym makijażu - niedawno ukończyli studia. Całość zaś dopełniają niedopasowane garnitury lub imprezowe sukienki - zbyt krótkie i zbyt wyzywające. A w przypadku pewnej blondynki jest zdecydowanie za ciasna — stwierdzam, ale staram się nie gapić ostentacyjnie na jej czarną minisukienkę z lvcrv, która podkreśla każdą fałdkę na jej ciele, i zaczynam szukać wśród gości kogoś, kto mógłby mnie poczęstować papierosem.

— Sorki, masz może pożyczyć papierosa? — Wykorzystując jak się da swój kobiecy urok, uśmiecham się do chudego dwu-dziesięcikilkulatka, na którego twarzy wciąż

widnieją resztki trądziku młodzieńczego.

N*ieprzyzwyczajony chyba do tego. że jakaś kobieta go zaczepia, chłopak jest wyraźnie speszony.

— Och, yyy, tak — wyrzuca z siebie i zaczyna grzebać w kieszonce marynarki, którą

— sądząc po długości rękawów — po-

!62

życzył od dużo mnic]szego kolegi. — Jesteś znajomą panny młodej: — pyta nieśmiało, wyciągając paczkę papierosów Silk Cut Ultra Low.

Hm, lepsze to niż nic. Biorę więc jednego.

— Nie, skąd. Mam tu robić zdjęcia.

— Jesteś fotografem: Super — oświadcza jego kolega, na którego nawet nie zwróciłam uwagi, gdyż do tej pory stał do mnie plecami i rozmawia! przez telefon.

Jest cholernie przystojny. I zdaje sobie z tego sprawę.

— Może porobiłabyś mi kiedyś zdjęcia? Śpiewam w kapeli rockowej. — Wtrąca tę informację niby mimochodem i rzuca mi dobrze wyćwiczone spojrzenie: ni to grymas, ni uśmiech.

Już mam mu wyjaśnić, że jestem tylko asystentką, kiedy odzywa się chłopak z papierosami.

— Nie przejmuj się Jackiem, zawsze się tak zachowuje. — Wyciąga zapalniczkę. —

A tak w ogóle to mam na imię Francis.

Uśmiecham się do niego z wdzięcznością. Zauważyliście, że gdy spotykacie dwóch facetów, którzy są kumplami, zawsze jeden z nich jest uroczy — taki typ, którego większość kobiet traktuje jak dobrego przyjaciela — a drugi to przystojny bydlak, który zdobywa wszystkie dziewczyny?

— Daj spokój, przyszczolu — rzuca mu Jack, waląc go w ramię podczas naszego powitalnego uścisku. Francis czerwieni się ze wstydu, ale pewny siebie Jack uśmiecha się tylko z wyższością. Boże, co za świnią. Chciałabym, żeby ktoś mu pokazał, gdzie jego miejsce.

Odwracam się do Francis.

— Dzięki. — Uśmiecham się, a potem osłaniam ręką papierosa, żeby chłopak mógł

mi go zapalić. Po paru próbach zapalniczka wreszcie spełnia swoje zadanie.

Zaciągam się i delektuję smakiem dawno niepalonego papierosa. — Miło było cię poznać.

163

— Mnie również — Francis uśmiecha się z wdzięcznością. Jack natomiast mruczy jakieś niecenzuralne słowa na temat mojego braku poczucia humoru i odwraca się ku blondynce w zbyt obcisłej sukience.

Kieruję się w stronę firmowej furgonetki. Rzadko kiedy palę, tym bardziej w pracy, ale dziś jestem trochę podenerwowana. Wypuszczam powoli dym z płuc. A nawet bardzo podenerwowana.

Wiedziałałam, że coś się święci już z samego rana, gdy tylko Brian po mnie przyjechał. Zamiast tradycyjnych żartów i przekomarzań, którymi umilamy sobie czas przed każdym ślubem, jechaliśmy w ciszy, którą zakłócało jedynie stukanie sygnetu Briana o kierownicę. Coś go dręczyło, to było pewne, ale bałam się pytać co. A poza tym miałam myśli zaprzątnięte Jamesem.

Ale ledwo zajechaliśmy na miejsce, zadzwonił telefon Briana. Mój szef rzucił mi tylko, że to bardzo ważna rozmowa, i pokazał, że chce zostać sam. Cała ta tajemnicza otoczka była zupełnie niepodobna do Briana, który zwykle rozmawia przez telefon, trzymając słuchawkę wetkniętą między ramię a podbródek i robi w tym czasie milion innych rzeczy. W przeciwieństwie do większości mężczyzn potrafi skupić się na kilku czynnościach naraz.

Ale nie tym razem. Tym razem poświęca osobie po drugiej stronie słuchawki całą uwagę. Chodzi w kółko po parkingu w swoim szarym garniturze, z komórką przy uchu i z uroczystym wyrazem twarzy, a ciepły wiatr przynosi mi strzępy rozmowy.

- Mhm... tak... oczywiście... najzupełniej rozumiem... Czuję skurcz w żołądku. To pewnie złe wieści. Ostatnimi

czasami tyle się działo, że nie rozmyślałam za bardzo na temat

164

tego, co powiedział mi Brian - że interesy kiepsko idą i że jeśli nie wydarzy się cud w postaci jakiegoś ogromnego zlecenia, będzie musiał pozwolić mi odejść. Ale teraz

tamte myśli powracają ze zdwojoną siłą i żołądek kurczy mi się jeszcze bardziej.

— Więc jakiego rzędu jest to suma? Hm... hmm... doprawdy? Aż tyle?

O Boże. Pewnie ktoś z banku dzwoni w sprawie kredytu. Spoglądam na błyszczące czarne buty Briana skrzypiące miarowo o żwir i czuję narastające napięcie. Tak bym chciała wyczarować z niczego wielkie przyjęcie weselne...

— Heather, muszę z tobą porozmawiać.

Głos Briana przerywa ciąg moich czarnych myśli. Idzie szybko w moją stronę, wiatr rozwiewa mu poły płaszcza, a ręce ma przyciśnięte do piersi, jak gdyby trzymał tam jakieś ważne informacje. Gaszę papierosa obcasem i sięgam do torebki po paczkę miętówek, a potem wkładam jedną do ust.

— O co chodzi? — pytam zaniepokojona, rozgryzając miętówkę.

— Mam dobrą wiadomość. -Dobłą wiadomość? -powtarzam.

— Cudowną — wykrzykuje Brian, a jego twarzy rozjaśnia szeroki uśmiech. Kładzie mi ręce na ramionach. — Może lepiej usiądź.

Sadza mnie na jednej z drewnianych ławek, które otaczają trawnik, a ja spoglądam na niego zdziwiona.

— Myślałam, że chodzi o kredyt? —wskazuję na jego komórkę.

— Nie do końca. — Brian kołysze się na piętach. Jest tak podekscytowany, że nie potrafi spokojnie ustać w miejscu. — Ale owszem, w grę wchodzi duże pieniądze.

— W jaki sposób to może być dobra wiadomość?

165

— To nie jest dobra wiadomość. To jest cudowna wiadomość, Heather — przypomina mi. — Cud o w n a.

Nie do wiary. Mojemu szefowi kompletnie odbiło. Wreszcie nie wytrzymuję:

— Brian, czy mógłbyś wyrażać się jaśniej i wytłumaczyć mi, jak taki ogromny dług może być czymś cudownym?

— A kto powiedział, że chodzi o dług?

— Ty. W zeszłym tygodniu. Gdy wracaliśmy ze ślubu, stwierdziłeś, że pozwolisz mi odejść.

— Zapomnij o tym. — Brian macha ręką. - W ciągu tygodnia wiele się może

zdarzyć. W ciągu tygodnia firma może przejść od ogromnego długu do ogromnej forsy. Tym bardziej gdy składa się tak, że trafia jej się klient w postaci księcia Hurley, którego córka wychodzi za mąż...

Mówisz o lady Charlotte? — przerywam mu.

— Mhm.

— Blondwłosej dziedziczce, o której piszą we wszystkich brukowcach'

Mhm.

— W tym tygodniu widziałam jej zdjęcia z jakiegoś przyjęcia z Paris Hilton. Jak Boga kocham, wyglądały prawie jak dwie krople wody.

— Ale lady Charlotte ma grubsze kostki - informuje mnie Brian konfidencjonalnym szeptem. - Plotka wśród moich dawnych kumpi paparazzich głosi, że ma nogi jak słonica.

— Naprawdę? — szepczę.

— Naprawdę - Brian kiwa głową ze znanstwem. - Ale niemożliwe, że wychodzi za mąż. Ona ma chyba dwadzieścia jeden lat, czy jakoś tak?

— Jeśli o mnie chodzi, może mieć nawet szesnaście, byleby to było zgodne z prawem.

Nagle dociera do mnie znaczenie jego słów.

IW

maluje się gniew i upokorzenie. Na moim natomiast pojawia się uśmiech satysfakcji. Bo czy nie chciałam, by ktoś pokazał mi, gdzie jego miejsce?

- Ty parszywy bigamisto! - Poznaje blondynkę w czarnej obcisłej sukience z lycry. - Myślisz, że kim jesteś? Ogierem? Nie miałabym nic przeciwko temu, ale ty jesteś mocny tylko w gębie, a fiuta masz małego jak...

17

— Jak fistaszek? — zgaduje James, który siedzi przy stoliku w restauracji naprzeciwko mnie i słucha mojej opowieści.

Daj sobie na wstrzymanie, Heather.

Nasza pierwsza randka zaczęła się idealnie. Zamiast bolesnych rozterek, w co się

ubrać, zdecydowałam się na pierwszą rzecz, którą na siebie założyłam — sukienkę z fioletowej satyny, którą kupiłam w sklepie z używaną odzieżą kilka miesięcy temu i która idealnie pasuje do moich nowych różowych szpilek. Nie zakładałam też biżuterii, upięłam tylko włosy małymi błyszczącymi wsuwkami, które od wieków trzymałam w szufladzie, ale nigdy wcześniej nie odważyłam się ich użyć.

Zwykle też nie lubię eksperymentować z fryzurami — zawsze po prostu suszę włosy i nakładam na nie mnóstwo odżywki - ale dzisiaj zamarzyło mi się coś specjalnego. Chciałam się poczuć inaczej, spojrzeć w lustro i ujrzeć kogoś innego niż Heather w dzinsach i podkoszulku, była dziewczyną Daniela, kobietę o masywnych udach i włosach sterczących na wszystkie strony, które wyglądają jak siano. Chciałam ujrzeć powalającą Heather, która idzie na randkę z Jamesem, Heather w seksownej sukience i wyrafinowanej fryzurze, więc zgapiłam ją ze zdjęcia w „Vogue” i wyobraźcie sobie — udała się idealnie. Nawet małe kosmyki przy uszach wyszły tak, jak trzeba.

169

A potem, punktualnie o ósmej, przyszedł po mnie James i pojechaliśmy taksówką do pewnej fantastycznej włoskiej restauracji w Soho. Jej szef wskazał nam stolik ze świecami, ulokowany z dala od innych w romantycznym zakątku ogródka, kelner nalał mi do kieliszka idealnie schłodzonego szampana, a James rzucił mi komplement, że cudownie wyglądam. A potem nastąpiła chwila ciszy.

Ale nie była to długa pauza ani krępujące milczenie, ale raczej cisza pełna oczekiwania. Mogła to być cudowna chwila, podczas której łowilibyśmy swoje spojrzenia, on by się uśmiechał, a ja bym się rumieniła i przelatowałyby między nami iskry.

Zamiast tego zrobiłam coś, co robię zawsze, gdy się denerwuję i czuję się nieswojo: spróbowałam wypełnić ciszę. I, co gorsza, wypełniłam ją pierwszą rzeczą, jaka mi przyszła do głowy, a mianowicie historią o Jacku, który chce być gwiazdą rocka. I jego penisie.

Spoglądam na Jamesa ponad oświetlonym świecami stolikiem i mam ochotę zapaść się pod ziemię.

— Hm... teraz, gdy o tym myślę, nie mogę sobie dokładnie przypomnieć... —

odpowiadam wymijająco. Upijam spory łyk szampana. Wymyśl coś, Heather. Coś zabawnego. Coś, co by udowodniło, że me jesteś idiotką, która ma obsesję na punkcie męskich genitaliów. Coś, czym oboje się interesujecie. Szukam w pamięci. No dalej, Heather, mów!

Nagle spływa na mnie natchnienie.

— Czytam właśnie świetną książkę.

James spogląda na mnie z zainteresowaniem. -Tak?

— Tak. Jest fantastyczna. — Spoglądam mu prosto w oczy. — Nosi tytuł Życie Pi. — Próbuję się nic uśmiechać triumfalnie, ale to trudne. Jestem tak dumna ze swojego pomysłu, że mam ochotę przybić samej sotię piątkę.

170

^^fl^^WW^W

IL11ULIL11

Ltl 14 Iltlll

gdyby nie był świadom, że to powiedział.

Tyle że to powiedział.

Cała moja wcześniejsza niepewność znika jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Własnym uszom nic wierze. Kobiety czasem wieki czekają, żeby usłyszeć coś takiego od

171

mężczyzny, a tu nagle pojawia się James, który mówi do mnie „kochanie” na pierwszej randce.

— Wszystko brzmi apetycznie - odpowiadam, jakby nie stało się nic niezwykłego, podczas gdy w rzeczywistości mam ochotę pobiec do toalety i zadzwonić z komórki do Jess. Ale ona jest właśnie na pierwszej randce z Gregiem. A nawet gdyby nie była, to przecież mam trzydzieści lat i powinnam się zachowywać dojrzałe i z klasą.

Siedzę prosto na krześle i rzucam Jamesowi coś, co mam nadzieję jest wyrafinowanym i dojrzałym uśmiechem.

— Ale jestem wegetarianką — mówię spokojnie. — Chociaż według mojego współlokatora tak właściwie jestem peskowe-getananką, ponieważ jem ryby...

— Poważnie? — przerywa mi James, otwierając szeroko oczy, po czym stuka swoją lampką szampana o moją. Co ja takiego powiedziałam? — Ja też jestem wegetarianinem.

— Co za zbieg okoliczności. — Rany, to naprawdę facet z moich marzeń! James wpatruje się we mnie w taki sposób, który przyprawia mnie o zawroty głowy, i nie ma to nic wspólnego z szampanem.

— Powiedz mi jeszcze, czy jesteś typem wegetarianki, która jada soczewicę i smażone orzechy oraz nosi ubrania tylko z naturalnych materiałów? Czy raczej wolisz makaron z sosem serowym i nie unikasz mikrofalówki?

— Och, zdecydowanie to drugie - uśmiecham się. - Nie jadam orzechów. Mam na nie alergię.

— Poważnie? Ja również!

— Naprawdę?

— Nie, tym razem żartowałem. — James rzuca mi promienny uśmiech i kręci głową.

— Ale mogę mieć, jeśli chcesz.

— Nie, w porządku - śmieję się. - Podobasz mi się taki, jaki jesteś.

172

lampce wina i spleta swoje palce z moimi. Teraz jego kolej, by zadać to pytanie.

— Naprawdę? — pyta cicho.

Spoglądam na jego dłoń, która przykrywa moją, i czuję rozkoszne mrowienie w intymnych częściach ciała.

— Naprawdę.

Kelner kaszle, chcąc zwrócić na siebie naszą uwagę.

— Zdecydowali się państwo? — pyta cierpliwie.

James zamyka kartę z menu, ale dalej trzyma mnie za rękę. I odwracając się do kelnera z uroczym, szerokim uśmiechem, pyta:

— Amozna zamówić dwa razy makaron z sosem serowym?

A potem robi się jeszcze lepiej. Po kolacji, za którą James nie pozwała mi zapłacić, idziemy na kawę i tiramisu do Bar Italia, kafejki w Soho, a potem łapiemy taksówkę do domu. To ogromny plus w umawianiu się na randki z sąsiadem — wracacie do

domu razem.

W drodze James zabawia mnie opowieściami: o tym, jak jego siostra regularnie bije go w scrabble, że umie gotować ri-sotto z borowików, że blizna na jego nadgarstku jest skutkiem wywrotki na sankach w wieku sześciu lat. Najbardziej zaintrygowała mnie opowieść, jak przez miesiące zbierał się na odwagę, żeby mnie zaczepić.

— Nigdy nie było ku temu odpowiedniej pory. Gdy wpadaliśmy na siebie, zawsze bałem się, że wyglądam jak idiota.

— Ty się bałeś? — powtarzam z niedowierzaniem.

— Tak — potwierdza, najwidoczniej nic widząc w tym nic dziwnego. — Za każdym razem, gdy się na siebie natykaliśmy, nie zwracałaś na mnie najmniejszej uwagi i byłem przekonany, że cię nie interesuję...

173

«komentuj tego, H e a t h e □.

obaczyłem cię u pani Patel, pomyślą-u I.imes, najwyżej powie „nie”.

\. Yo chyba jakiś sen i zaraz się

vm\ ze to mówię

ńdzieć o moich uczuciach, □i□ u naszej ulicy i teraz idzie-' gałęziami.

^wyznaje cicho Ja-

tkn /.. flłtrzeba odczekać

joli ci n;i Kimś zależy, to dla-

□? Dlaczego nie możesz

zęby

momencie, kiedy mogło być prawdziwe, ma

Lepiej nie komentuj tego, Heather.

— ... ale wczoraj, gdy zobaczyłem cię u pani Patel, pomyślałem: co mi tam. Poproś ją, James, najwyżej powie „nie”.

Nie wierzę własnym uszom. To chyba jakiś sen i zaraz się obudzę.

— Przepraszam, czy to dziwne, że to mówię?

— Nie, nie... Tak, tak!

— Po prostu chciałem ci opowiedzieć o moich uczuciach. Wysiedliśmy z taksówki na końcu naszej ulicy i teraz idziemy chodnikiem, schylając głowy pod gałęziami.

— Nigdy nie lubiłem gier i udawania — wyznaje cicho James. — Mam gdzieś te wszystkie zasady, że trzeba odczekać trzy dni, zanim się zadzwoni. Jeśli ci na kimś zależy, to dlaczego by tego nie powiedzieć wprost? Dlaczego nie możesz szczerze mówić o tym, co czujesz?

Spoglądałam na niego podejrzliwie i w momencie, kiedy stwierdzam, że to za piękne, żeby mogło być prawdziwe, ma miejsce coś zupełnie nieoczekiwanego. James bierze mnie za rękę. Na ulicy. Chociaż nawet go o to me prosiłam. Może dla większości ludzi to nic niezwykłego, ale dla mnie to taki mały cud. Jestem przyzwyczajona do mężczyzn, którzy mają; alergię na POU (Publiczne Okazywanie Uczuć) i jeśli ich o to poprosić, to przez pięć minut z obowiązku trzymają moją rękę sztywno, a potem udają, że muszą się podrapać po nosie lub robią coś podobnego, żeby się od niej uwolnić. Ale me James. On zaciska swoje palce wokół moich, jakby nigdy nie chciał ich wypuścić.

— No i jesteśmy. — Niechętnie przystaję przed swoimi drzwiami. W środku jest ciemno, domyślam się więc, że Gabe jeszcze nie wrócił. A wtedy James obejmuje mnie w pasie i przyciąga do siebie, mówiąc:

174

całowny wieczór. Stoję tam skąpana w złotym blasku bijącym z ulicznej lampy, radośnie podniecona.

— Ja też — mruczę, spoglądając w jego ciemne oczy.

— I zastanawiam się...

— Tak? — przerywam mu zniecierpliwiona. Chociaż nie mam zbyt dużego doświadczenia w chodzeniu na randki, to wiem, że teraz następuje część, kiedy facet wchodzi do ciebie na kawę. I wiem, że „kawa” to eufemistyczne określenie na te wszystkie rzeczy. Z których żadna nie ma nic wspólnego z neską.

— Spotkamy się jeszcze?

Gdy zastanawiałam się, do czego powinnam się dzisiaj posunąć (całowanie jak na pierwszą randkę jest w porządku, ale gdyby chciał zostać na noc, twardo muszę

powiedzieć „nie”), nie brałam pod uwagę takiego pytania.

— Och, tak, oczywiście — odpowiadam z entuzjazmem, choć muszę przyznać w duchu, że trochę mi żal, że to już koniec na dziś.

— Może by się wybrać jutro wieczorem do kina? — proponuje James.

Teraz przez chwilę zastanawiam się, czy mam udać, że sprawdzam w myślach swój grafik — nie dlatego, że mogę nieć coś do roboty (wiem, że nie mam), ale z przyzwyczajenia, i wtedy przypominam sobie: James nie stosuje takich gier, więc ja też nie będę.

— Jasne — uśmiecham się. Rany, to takie cudowne: spot-cać faceta, który me zgrywa twardziela. Co za ulga. Teraz)rzez najbliższe dni nie muszę się zastanawiać, czy zadzwoli czy nie.

— To może upadnę po ciebie koło siódmej? Możemy iść >rzed filmem na drinka.

175

- Super.

Uśmiecha się uwodzicielsko i pochyla w moją stronę.

- Dobranoc, Heather.

No, nareszcie! Pocałunek. Marzyłam o tym, żeby pocałować Jamesa, odkąd go tylko ujrzałam. Zamykam oczy, podekscytowana, i unoszę twarz wyczekująco.

Nie jestem przygotowana na to, że jego usta muskają tylko mój policzek, ani na słowa:

- Dziękuję za cudowny wieczór.

Otwieram oczy. Ty 1 □ □ tyle." Przez kilka chwil czekam na ciąg dalszy, ale gdy nic więcej się nie dzieje, rzucam pośpiesznie, by zatuszować swoje zakłopotanie:

- Ja też. Dobranoc, James. Do zobaczenia jutro.

Stoi jeszcze przez chwilę, czekając, aż znajdę klucze i wejdę do środka, a potem przechodzi na drugą stronę ulicy do swojego mieszkania.

Stojąc w korytarzu, obserwuję jego oddalającą się sylwetkę, wsłuchuję się w skrzypienie jego butów o asfalt, wspominam naszą randkę oraz myślę o tym, że James ma wszystko, czego szukałam w facetach - jest przystojny, ma coś z dżentelmena i nie należy do typów, którzy myślą tylko o tym, jak cię zaciągnąć do

łóżka. I nie jestem rozczarowana, że nie chciał wejść na kawę. Bynajmniej. Ani tym, że me próbował mnie pocałować. Bo to oznacza, że najpierw chce mnie lepiej poznać.

Moje myśli przerywa głośne miauczenie i widzę Billy'ego Smitha wyłaniającego się z półmroku. Nie, wcale nie jestem rozczarowana. Podnosząc kota, ocieram się o jego miękkie pomarańczowe futro, a potem zamykam za sobą drzwi.

— Ojej, tu jest niesamowicie.

Jest niedzielny ranek, siedzimy właśnie z Gabeem na zewnątrz tłocznej kafejki na Hampstead i jemy śniadanie. Sionce świeci, ale mimo to wieje chłodny wiatr, rozwiewając stertę częściowo przeczytanych gazet. Otulam się szczelnie swetrem i śmieję się:

— Mówisz, jakbyś był turystą.

— W końcu jestem turystą - uśmiecha się Gabe, odkładając sztucce i popijając cappuccino. Rozgląda się wokół, a ja razem z nim: staroangielski pub ze stylowym szyldem, tradycyjna czerwona budka telefoniczna na rogu, wąska brukowana ulica wychodząca na Heath, po obu stronach której stoją schludne wiktoriańskie domy. Muszę przyznać, że widok jest piękny jak na pocztówce, albo jak żywcem wyjęty z filmów Richarda Curtisa.

— Więc to park?

— Nie, to Hampstead Heath, po prostu. To bardzo znane miejsce.

— Z czego jest znane? Co tu robicie ciekawego.5 Hm, to całkiem dobre pytanie.

— No wiesz... — zaczynam niepewnie — przychodzi się tu na spacer, puszcza się latawce...

177

— Lata w □ □ ?

— Mhm — kiwam głową, zdziwiona jego wyrazem twarzy.

— Wy, Brytyjczycy, macie dziwne zwyczaje.

— Jakie dziwne zwyczaje?

Przewraca oczami, jak gdyby długo musiał wymieniać.

— Zacznijmy od jazdy lewa strona.

— Jazda lewą stroną nie jest dziwna, to yyy, którzy jeździecie prawą stroną, jesteście dziwni.

— Razem z resztą świata.- - odgryza mi się.

— A co z Australią? Albo Indiami czy Nową Zelandią, czy...? — Szczerze mówiąc, żaden inny przykład nie przychodzi mi już do głowy. — ... wieloma innymi krajami

— mruczę pod nosem, a Gabe rzuca mi spojrzenie spod uniesionych brwi.

— No i te nieszczęsne flizy — podkreśla Gabe. - Wasze knajpy — a przepraszam, puby - są pełne facetów i ciężko tam dojrzeć kobietę. Nieznajomy powie ci, że pogoda jest piękna, gdy jest zimno i leje, choć jest środek czerwca.

Fu muszę mu przyznać rację.

— No i te kolejki do autobusu.

— To jest po j:>rostu kulturalne zachowanie — staję w obronie naszych zwyczajów.

— Raczej głupie — ripostuje Gabe. — Na dodatek gdy stoisz w kolejce i ktoś się wepcha na początek, nikt nie zwróci mu uwagi. — Kręci głową, bierze nóż i zatapia go w swoim jedzeniu. - No i to wasze uwielbienie dla tych śmiesznych fasolek w keczupie.

Do tej pory wszystko dzielnie znosiłam, ale teraz miarka się przebrała.

— Mówisz o fasolce w sosie pomidorowym Heinza? Nie lubisz jej? - pytam z niedowierzaniem.

— No chyba żartujesz — prycha Gabe i krzywi się.

178

— Mmm — jęczę, robiąc minę Meg Ryan, która udaje orgazm w Kiedy Harry poznał Sally. — Mmmm.

— O, i ostatnia rzecz. -Co:

— Brytyjki. A może powinienem powiedzieć — kociaki⁵

— O co ci chodzi?

Bierze do ręki gazetę i zanim pograża się w lekturze, rzuca jeszcze:

— Wariatki. Bez wyjątku.

To jedna z najbardziej niezwykłych rzeczy w życiu: nie masz pojęcia nawet o istnieniu danej osoby, a po kilku tygodniach dzielisz z nią mieszkanie, pilota i

niedzielne gazety. Gabe i ja jesteśmy jak stare dobre małżeństwo — on z dodatkiem sportowym, ja z magazynem o modzie. I kto by pomyślał?

To pcw nie niesamowite dla każdego, ale dla mnie w szczególności, ponieważ jestem bardzo przywiązana do mojego porannego niedzielnego rytuału. Nic nie sprawia mi większej przyjemności niż siedzenie w kafejkach i czytanie „Style” nad talerzem puszystej, żółtej jajecznicy — i w przeciwieństwie do większości ludzi, którzy uważają to za zajęcie dla par, ja uwielbiam to robić sama.

No dobrze, może jestem dziwna, ale tak już mam. Uwielbiam to, że nie muszę walczyć o gazetę lub czytać jej wymiętej. Uwielbiam to, że mogę rozłożyć ją na stole, nie martwiąc się o to, że dział o podróżach wylądaje w smażonych pieczarkach na którymś talerzu. A już najbardziej ze wszystkiego uwielbiam to, że nikt mi nie przerywa czytania rozmową, że mogę siedzieć w idealnej ciszy, beztrąsko pochłonięta lekturą każdego artykułu, który mi się spodoba. To jedna z tych drobnych przyjemności, które nadają życiu smaczek.

179

Ale tego akurat niedzielnego ranka wpadłam w kuchni na Gabea, który kręcił się po niej w swoich tybetańskich pantoflach i najwyraźniej nie wiedział, co z sobą począć. Ogarnęło mnie poczucie winy. Oto samotny człowiek w obcym kraju, a ja jeszcze ani razu nie zaproponowałam, że pokażę mu okolicę. Wprawdzie nie jest tak, że nie zna w tym mieście nikogo - ma tu przecież wujka. Ale jak mawia Ed: krewni są jak święta — raz do roku wystarczą.

Więc postanowiłam się poświęcić i zaprosić go na śniadanie.

Kończąc jajecznicę, obserwuję Gabe'a, który drapie się po zarośniętym podbródku, cały pochłonięty działem sportowym. Wreszcie podnosi wzrok, odkłada gazetę i odzywa się:

— Nie wspomniałaś jeszcze, jak wypadła twoja wczorajsza randka.

Rumienię się, sama nie wiem czemu.

— Aż tak dobrze? — śmieje się Gabe.

— Tak, chyba tak. — Nagle zawstydzona, wbijam wzrok w talerz i zaczynam zgarniać widelcem okruszki na małą kupkę. — A tak w ogóle to skąd wiedziałeś, że

wczoraj wieczorem byłam na randce.' — pytam niby od niechcenia.

— Telepatia.

— Naprawdę? — Gdy tylko zadaję to pytanie, uświadamiam sobie, że żartowałam.

— Nie, żadna telepatia. Po prostu siedziałam w swoim pokoju i słyszałam, jak wpadł po ciebie.

— Aha.

— Punkt o ósmej. Uśmiewam się z zakłopotaniem.

— Mężczyzna nie powinien pozwolić, żeby kobieta na niego czekała.

ISO

jestem niercformowalny. Wiecznie się spóźniam.

Gdy wspomina o swojej dziewczynie, uśmiewam się ze współczuciem.

— Pewnie bardzo za nią tęsknisz.

— Mhm.

Nie rozwija tematu i mam wrażenie, że nie chce o tym mówić. Więc oczywiście strzelam gafę.

— A jak tam jej film.' - rzucam, tak naprawdę chcąc zapytać: jak się między wami układa?

— W porządku. - Gabe wzdusza ramionami, a potem przejeżdża palcami po kilkudniowym zarostzie i dodaje: - Tak mi się przynajmniej wydaje.

Ha! Tak myślałam. Coś tu nie gra.

— Już dawno nie rozmawialiśmy z sobą. Mia nie może za bardzo dzwonić z planu.

— Przejeżdża łyżeczką wokół kulika, zdrapuje piankę cappuccino i oblizuje łyżeczkę. — I różnica czasu też robi swoje.

Oczywiście próbuje jakoś ją usprawiedliwić, zauważam, i nagle robi mi się zał Gabe'a. Stwierdzam też, że nie lubię Mii, z tymi jej pięknymi włosami i idealnym uśmiechem.

— Uroki związku na odległość, co? — kiwam głową ze zrozumieniem.

Gabe potakuje i zmienia temat.

— A ywięc jak tam ten twój nowy facet? Fajny? Zapomniałam, jak ma na imię.

— Nie mogłeś zapomnieć, bo ci nie mówiłam — uśmiewam się. — A na imię ma

James. I, owszem, jest fajny. — Fajny.' Co ja wygaduję? Jest przecież fantastyczny! -
I wiesz, co jest w tym wszystkim najśmieszniejsze.' Ze najwyraźniej chciał mnie
zaprosić na randkę już dawno temu, ale myślał, że nie jestem nim zainteresowana.

181

— A kiedy następna randka?

— Dziś wieczorem — rzucam od niechcienia, popijając kawę. Przynajmniej staram się
to powiedzieć od niechcienia, ale

(rabę mnie przejrzał.

— Dwa wieczory pod rząd' — Trąca mnie kolanem pod stolikiem.

— □□□, wiem — przyznaję, ale dalej staram się nie okazywać swoich emocji.

James wydaje się tak cudowny, że boję się zapeszyć zbytnim entuzjazmem.

Ale Gabe nie ma takich obaw.

— O rany. Facet musi być na ciebie naprawdę napalony, dziewczyno. — Szczerząc
zęby w uśmiechu, gryzie tosta i przeżuwa go z niedomkniętymi ustami. To zwyczaj,
który u każdego innego wydaje mi się obrzydliwy, ale u Gabea jest w jakiś sposób
rozbawiający.

— Och, sama nie wiem... — mówię skromnie, ale Gabe mi przerywa.

— Heather, posłuchaj mnie. - Milknie na chwilę, by wciągnąć z hałasem przez
słomkę resztki soku pomarańczowego, po czym spogląda na mnie poważnie. - Ten
facet podobał ci się od wieków i sądząc po tym, co mi powiedziałaś, oczywiste jest,
że ty mu również, więc na czym polega problem?

— Dobra, dobra, masz rację. Nie ma żadnego problemu... I w tym tkwi
problem.

Gabe spogląda na mnie z rozbawieniem:

— Czy aby na pewno me jesteś żydówką?

Muszę przyznać, że gdy Gabe nie ćwiczy tych swoich występów, potrafi być całkiem
zabawny. Uderzam go żartobliwie gazetą, gdy ktoś potrąca moje krzesło, przez co
wylewam kawę na kolana.

— Hej! Uważaj, jak chodzisz! — krzyczę, podskakując na krześle.

182

— 'Wszystko w porządku.' — pyta Gabe, podając mi chusteczkę.

— Tak — odpowiadam i zaczynam wycierać kolana.

— Ech, ta dzisiejsza młodzież... — yzdycha Gabe.

Następuje chwila ciszy, podczas której dalej wycieram swoje ubrania, a Gabe zatapia się w lekturze gazety, wyciąga jeden z działów i od razu otwiera na ostatniej stronie. To czynności doświadczonego czytelnika horoskopów.

— Przeczytać ci horoskop? — pyta.

— Eec, to przecież stek bzdur — odpowiadam z lekceważeniem i odkładam wilgotną chusteczkę na stół.

— Jak chcesz. — Gabe wzrusza ramionami i zaczyna czytać dla siebie.

Przez chwilę siedzę beczynn timer, obserwując Gabe'a zaabsorbowanego tym, co ma mu do powiedzenia astrolog. i ogarnia mnie ciekawość. Wykręc am szyję i próbuję czytać do góry nogami. Zastanawiam się, czy mój horoskop mówi coś na temat nowego związku. Nie no. cholera. Niczego nie widzę.

— A zresztą, przeczytaj mi — mówię to takim tonem, jak gdybym właśnie się poddała po dziesięciominutowym wykręcaniu mi ręki. — Jestem Rybą — dodaję.

— Rybą, tak? — Gabe unosi brwi. jak gdyby to była bardzo ważna informacja, ale nawet nie pytam, o co mu chodzi. W końcu to [przecież bzdury, prawda?

— „Patronujące ci planety ustawią się w jednej linii, co oznacza ważny okres dla Ryb w dziedzinie zarówno kariery, jak i rodziny i miłości. W twoim życiu nastąpią ogromne zmiany. Wszystko układa się teraz po twojej myśli, a los ci sprzyja, możesz więc nawet spodziewać się nieoczekiwanego napływu

:35

gotówki". — Podnosi na mnie wzrok. — O rany! Brzmi to tak, jakbyś miała wygrać kupę torsy.

— Jar Nigdy w życiu niczego nie wygrałam. — Śmieję się i nagle przypominam sobie o kuponie totka. Serce zaczyna mi bić bardzo, bardzo szybko. - Gabe, podaj mi gazetę. Muszę coś sprawdzić.

— Nie chcesz się dowiedzieć więcej na temat tego, co przyszykowały ci gwiazdy?

— Za chwilę. — Przerzucam różne działy, aż wreszcie znajduję ten. którego

szukałam, i zaczynam go przeglądać. Nie, nie tutaj... przebiegam oczami po kolejnych stronach. I wreszcie mam: ostatnie wyniki losowania totka.

Przysuwam gazetę, by lepiej widzieć.

Liczyby wyglądają znajomo.

Przez chwilę wstrzymuję oddech. 30 — mój wiek; 14 — numer mojego domu; 6 — tyle lat przepracowałam w „Na zawsze razem”. Mój wzrok powoli biegnie za rzędem cyferek: 27 -urodziny mann' przypadają 27 kwietnia... Staram się przypomnieć sobie ostatnie dwie liczby, które wybrałam w pośpiechu. Jestem prawie pewna, że jedną z nich była 13... Cholera! Tak, a tu trzynastka widnieje czarno na białym. Serce bije mi coraz szybciej, częściowo z podniecenia, a częściowo ze strachu. A teraz ostatnia. To 41 - czy ja wybrałam 41? Wysilam mózgowicę. No dalej, Heather, myśl, myśl!

— Heather?

Podskakuję na krześle. Z tego wszystkiego zapomniałam o Gabie.

— Wszystko w porządku?

— Tak. — Staram się uspokoić skołataną nerwy. O Boże, chyba w gralam w totka!

Wyglądasz, jakby coś się stało. Spogląda na mnie jak na eksponat w muzeum.

184

— Nie wyglądasz za dobrze. Zbladłaś.

— Naprawdę nic mi nie jest. Zostanę milionerką.

— Może powinniśmy pójść do domu. Już proszę o rachunek.— Przywołuje kelnera.

— Zaczekaj chwilę. Chciałabym sprawdzić swój kupon totka.

— Nadal twierdzisz, że horoskopy to stek bzdur? - śmieje się Gabe.

Sięgam gorączkowo po torbę. Wyobrażacie sobie, jaka to będzie sensacja? Co wszyscy powiedzą? Choć może powinnam pozostać anonimowa i unikać rozgłosu — nie potrzeba mi tony listów z prośbą o wsparcie czy ludzi, którzy będą chcieli mnie porwać dla ogromnego okupu.

Zaraz, zaraz. Przejeżdżam ręką po oparciu krzesła w poszukiwaniu skórzanego paska. Narasta we mnie panika, odwracam się i spoglądam tam, gdzie wcześniej powiesiłam swoją torbę.

Nie ma jej.

— Okradziono mnie — szepczę oniemiała.

— Słucham? - Słyszę głos Gabe'a, ale jego słowa do mnie nie docierają.

— Nie ma jej. — Gdy uświadamiam sobie, co się stato, podskakuję przerażona i ogarniam spojrzeniem stół, krzesło i chodnik.

— Heather, o co chodzi?

— Moja torba! — wyję zrozpaczona i zastanawiam się, jak to się mogło stać. A wtedy przypomina mi się grupa chłopców, która potrafiła moje krzesło. Ogarnia mnie wściekłość. Na nich i na siebie. Jezu, Heather, to najstarszy podręcznikowy trik!

135

- To te gnojki ją ukradły! — wyrzucam z siebie zrozpaczona, wciąż rozglądając się po chodniku, jak gdyby brązowa skórzana torba z Ninę West miała nagle wyskoczyć zza krzesła. -Obrabowano mnie.

— O Jezu. — Gabe podnosi się i zaczyna się rozglądać razem ze mną. - Co tam miałaś?

Czuje, że łzy napływają mi do oczu.

- Telefon, klucze od domu, porttel...

- □ dużo gotówki'

Nawet w takich okolicznościach myśl, że mogłabym mieć w portfelu mnóstwo pieniędzy, wydaje mi się zabawna.

— Niezbyt dużo, może dziesięć funtów - mruczę i opadam ciężko na krzesło. — Ale to nie jest ważne.

- Tak, wiem, chodzi o te wszystkie sentymentalne drobiazgi...

— Nie, to nie to... — zaczynam pociągać nosem i milknę. Nie mogę mu powiedzieć o kuponie totka, prawda? Musiałabym go wtedy wtajemniczyć w całą opowieść o Cygance, magicznym wrzosie i o tym, jak nagle wszystkie moje życzenia zaczęły się spełniać. Jeszcze pomyśli, że mieszka pod jednym dachem z kompletną wariatką.

— Ochłonęłaś już trochę! — Gabe ściska mnie za rękę. Kiyyam głową, nie mogąc wymówić ani słowa. Ochłonąć?

Tak szybko? Po czymś takim?

Minutę temu przebywałam w swoim domu na Holland Park, cieszyłam się wioską willą i nowym astone m martinem, a teraz, pyk! - wszystko zniknęło. Wraz z moim portfelem, kluczami, telefonem komórkowym, notesem — gdzie zapisany jest mój adres, co oznacza, że będę musiała zmienić zamki. W ten sposób ten kupon totka będzie mnie □ o s z t o w a 1 fortunę...

186

— Wiem, że niełatwo jest się po czymś takim pozbierać — mówi Gabe — ale chyba za wiele nie da się już zrobić. Powinniśmy wrócić do mieszkania i zgłosić kradzież na policję.

— Chyba lepiej, żebym poszła na policję od razu — mówię, próbując nie myśleć o tym, że do tego wszystkiego straciłam spacer z Gabe'em po Heath, na który miałam ogromną ochotę. — Ale nie musisz iść ze mną.

— Nie no, jasne, że pójdę.

— Nie, naprawdę, nie trzeba. Ciesz się resztą dnia, puść sobie latawca. - Próbuję żartować, wskazując ręką na Heath.

— Jesteś pewna?

— Tak — ucinam dyskusję. — Bank będzie potrzebował numeru sprawy, więc trzeba będzie spisać zeznanie. Lepiej od razu mieć za sobą tę biurokrację. — Super. Właśnie tak chciałam spędzić to niedzielne popołudnie.

— Jak wolisz... — Następuje chwila ciszy, po której Gabe dodaje cicho: — Nie wiem, czy cię to interesuje, ale spotykam się później z wujkiem w jakimś klubie komediowym. Jest tam dzisiaj konkurs i mógłbym trochę poćwiczyć... będziesz bardzo miłe widziana.

Pochlebia mi to zaproszenie, ale słowa „klub komediowy” wystarczają, żebym dostała wysypki. Na szczęście i tak mam już wymówkę.

— Dzięki, ale jestem umówiona z Jamesem — przypominam mu.

— Ach tak, zapomniałem... — Dałabym sobie głowę uciąć, że przez chwilę ujrzałam w jego oczach rozczarowanie, ale saraz potem uśmiecha się i mówi:

— No to może następnym razem?

— Tak, następnym razem. - Kiwam głową i staram się nie "nyśleć, jak wtedy z tego

wybrnę.

187

— No to do zobaczenia później. — Gabe nachyla się do mnie i przypuszczając, że chce mnie pocałować w policzek, odwracam twarz. Tyle że Gabe chciał mnie pocałować z drugiej strony, więc zderzamy się nosami i przez chwilę nasze usta się stykają. Odskakujemy od siebie jak oparzeni.

— Ups! Przepraszam — śmieję się z zakłopotaniem.

— Nie przejmuj się, to przez ten mój nochal. — Gabe szczyrzy zęby w uśmiechu, ale jestem pewna, że jest tak samo zmieszany jak ja.

— No to na razie — mówię szybko.

— Yyy, tak... pa - macha mi niewyraźnie ręką.

Po naszym rozstaniu obserwuję go przez chwilę, jak kieruje się w stronę Heath i dołącza do tłumu ludzi, którzy mają zamiar spędzić leniwe popołudnie na trawie. Zazdroszczę im i klnę na złodziei, którzy ukradli moją torbę. I wtedy nagle przypominają mi się słowa Eda, które wypowiedział wtedy w pubie: „ostrożnie z marzeniami". Teraz wzbudzają one we mnie dziwny niepokój. Czy to, że życzyłam sobie wygranej na loterii, spowodowało w jakiś sposób, że skradziono mi torbę? Ponieważ kupon był w moim portfelu?

Lub ponieważ moje życzenie dotyczyło po prostu wygrania^ nie odebrania wygranej? I nagle ogarnia mnie panika. I strach przed odpowiedzialnością. A zaraz po tym przychodzi opamiętanie. Heather, od kiedy to bierzesz sobie do serca to, co plecie twój brat? I zawstydzona, że chociaż przez chwilę rozważałam te słowa na poważnie, wlokę się zrezygnowana w stronę metra.

Zajechaliśmy właśnie pod mój dom. Zaczynam się zastanawiać, czy James zaprosi mnie na kawę, i w głowie aż roi mi się od kosmatych myśli. Odpowiadam mu jednak uprzejmie:

- Moim zdaniem był świetny.

James parkuje, wyłącza silnik i odwraca twarz w moją stronę. Jest teraz cicho, nie gra muzyka ani nie hałasuje czterocy-lindrowy silnik, więc zastygam w oczekiwaniu na więcej. Ale James zamiast mnie pocałować, mówi tylko:

— Obawiam się, że muszę ci coś wyznać.

- Tak?

— Mhm. — Wpatruje się we mnie, a ja w niego. — Nie mam kawy.

-Aha.

Ten facet sprawia, że posługuję się monosylabami.

— Więc nie mam żadnej wymówki, żeby cię do siebie zaprosić.

A więc to tyle — stwierdzam z rozczarowaniem. A potem przez całe ciało przechodzą mi dreszcze, bo oto James dotyka mojego policzka. Czuję jego oddech na swojej skórze, a potem nagle mnie całuje. Delikatnie muska ustami za uchem, wzdłuż szyi, po karku...

- Ale czy ja potrzebuję wymówki?

Odsuwa się i na chwilę traci oddech. Próbując odzyskać głos, uśmiecham się z zakłopotaniem. I dopiero wtedy udaje mi się wydusić:

-Nie.

Co oczywiście oznacza zgodę na wszystko. Zgodę na to, by całował mnie w swoim korytarzu, zgodę na to, by wsadził mi rękę pod bluzkę, zgodę na to, by przyparł mnie do kaloryfera i zrobił ze mną, co mu się żywnie podoba...

No cóż, zgodziłabym się na wszystko, gdyby tylko któraś z tych rzeczy miała szansę się wydarzyć.

ni. Zamiast sia, zdeimui

— Cokolwiek - rzucam.

— To nazwa zespołu czy tytuł płyty.'

— Nie, nie, chodziło mi o... - zaczynam tłumaczyć, ale postanawiam sobie darować.

— Masz może The White Stripes?

James spogląda na mnie z powątpiewaniem.

— Nie sądzę — odpowiada i przejeżdża palcem po grzbietach płyt, które — jak zdażyłam zauważyć - ułożone są w porządku alfabetycznym, w przeciwieństwie do moich, które leżą porozrzucane na półkach, nawet bez opakowań.

-Nie szkodzi... wobec tego sam coś wybierz — mówię z uśmiechem.

— Dobrze, już ci mówię, co mam... — I zaczyna wymieniać: — Billie Hohday, Bob

Dylan, David Bowie, Coldplay, Sting, Madonna... - Brzmi to prawie tak, jak gdyby czytał zawartość mojej płytki, z wyjątkiem The White Stripes i kilku dziwnych przypadków takich jak mój ukochany album Billie Jo Spears. Mama ją uwielbiała. Pamiętam, jak śpiewała wysokim głosem „Let on the Ground” podczas prasowania. Wspomnienia łapią mnie brutalnie za gardło i muszę przełknąć ślinę, zęby oczy przestały mi łzawić. To zawsze takie drobne rzeczy przypominają mi o niej. Wszystkim się wydaje, że najgorzej jest w urodziny lub święta, ale to w życiu codziennym, w takich drobiazgach, najbardziej dotkliwie odczuwam jej nieobecność.

— ... Roxy Music, The Best of Spandau Ballet... — James spogląda na mnie z ukosa i szybko zwalczam guł w gardle. - Chyba pora, bym zdradził ci swój wstydlivy sekret. James ma wstydlivy sekret?

— Byłem kiedyś fanem muzyki spod znaku New Romantic. Jeśli teraz wyjdiesz i nie będziesz chciała mnie więcej widzieć, zrozumieć.

192

— No proszę, co za zbieg okoliczności. A ja byłem największą fanką Duran Duran — uśmiecham się szeroko.

James wybucha śmiechem i zalewa mnie fala szczęścia. Zawsze chciałem spotkać faceta, który będzie miał podobny do mnie gust muzyczny, ale większość moich dawnych chłopaków słuchała czegoś innego niż ja. Był John, który uwielbiał punka, Marcus zakochany w jazzie, no i Daniel. Przypomina mi się teraz, jak jechaliśmy do Kornwalii i kłóciliśmy się o to, czy słuchać jego Snoop Dogga czy mojej Nory Jones.

— A co powiesz na Dido?

— Rewelacja — rozpromieniam się. Na twarzy Jamesa maluje się ulga.

Rozbraja mnie zupełnie, gdy czymś się tak przejmuję, i z trudem powstrzymuję się, żeby nie podejść i go nie pocałować.

Włącza odtwarzacz, otwiera pudełko na płytę i marszczy brwi.

— Cholera. Tu jest jakaś inna płyta.

Ma taką minę, że nie mogę powstrzymać śmiechu.

— Och, nie przejmuj się. Mnie się to ciągle zdarza.

— Ale mnie nie - mruży James, spoglądając na płytę zdeorientowany.

— Pewnie odłożyłeś ją do złego pudełka przez przypadek.

— Ale to niemożliwe — protestuje James. — Nigdy mi się to nie zdarza.

Mina mi rzednie. Czy to możliwe, żeby taka błahostka popsowała mu nastrój ?

— To może posłuchamy właśnie tej płyty? — proponuję. Zaczynam szybko żałować, że marzyłam o schludnym i uporządkowanym facecie.

James spogląda oskarżycielsko na srebrną płytę w swoich rękach i wkłada ją do odtwarzacza.

193

— Zobaczymy...

Z głośników rozlegają się dźwięki gitary i kobiecego głosu, miękki i seksowny. Śpiewa po francusku.

— Kto to:

Gdy James rozpoznaje te dźwięki, jego twarz rozjaśnia się.

— To Emmanuelle, moja dawna przyjaciółka. Śpiewała w paryskich klubach. O Boże, w ogóle zapomniałem, że to mam.

— Mieszkałeś w Paryżu?

— Przez kilka lat po studiach. — Wspomnienia sprawiają, że Bo mój pęcherz moczowy ma na ten temat inne zdanie.

Au, boli! Próbuję nie zwracać na niego uwagi i nie myśleć o litrze coca-coli light, którą wypiliśmy w kinie. Zakładam więc nogę na nogę i koncentruję się na języku Jamesa, jego rękach, które wędrują mi po brzuchu, i miejmy nadzieję, że wkrótce sięgną wyżej.

Ale nie jest dobrze. Zaraz chyba rozsadzi mi pęcherz.

— Gdzie jest toaleta? — pytam, odrywając się niechętnie od jego ust.

— Po prawej, musisz najpierw przejść przez sypialnię. — Uśmiecha się do mnie i cofa rękę z mojej szyi, żebym mogła wstać.

— Zaraz wracam — szepczę, próbując się uśmiechnąć uwodzicielsko i staram się wyjść z gracją z salonu.

Ale gdy tylko znikam mu z oczu, rzucam się pędem w stronę jego sypialni. Która, tak jak reszta mieszkania, jest nieskazitelna. Żadnych przepełnionych szuflad, żadnych

ubrań czy butów porzucanych po podłodze — co mnie się czasem zdarza. A do tego wszystkiego łóżko — ze świeżutką bawełnianą pościelą, która budzi podejrzenia, że ją prasowano, oraz z równiutko ułożonymi poduszkami. Pomimo ciśnienia w pęcherzu przystaję na chwilę i spoglądam na nie z zadowoleniem. Moje skromne doświadczenie mówi mi, że samotni faceci i ładnie pościelone łóżka wykluczają się. Najczęściej mają oni tylko materac na podłodze, a jeśli chodzi o pościel... to albo jest to jakieś falbaniaste paskudztwo, które dostali od matki, albo łachmany pamiętające ich studenckie czasy. I nigdy jej nie zmieniają. A tak w ogóle to większość samotnych mężczyzn nie ma pojęcia, że źle pościelone łóżko może scementować lub zniszczyć kiełkujący związek. Ale w końcu James to nie jest zwykły łacet.

Podniecona zaczynam wyobrażać sobie nas dwoje w tym łóżku i z tą wizją przed oczyma biegnę do łazienki i włączam

195

światło. Ach, co za ulga! Siedząc na muszli, rozglądam się po łazience, spoglądam na elegancką, stojącą na gryfich nogach wannę, okrągłą lśniąca metalową umywalkę oraz czasopisma ułożone równo na stojaku obok toalety. Szybko zerkam na jego zawartość — „Investement Today”, ulotka z Relais Cha-teaux, „Humor Toaletowy” — czyli stały element wyposażenia ubikacji — po czym usatysfakcjonowana tym, że nie znalazłam niczego sprośnego, na przykład zdartego wielokrotnym oglądaniem świerszczyka, spuszczam wodę i idę umyć ręce.

Odkręcając kurki, przeglądam się w lustrze na szafce toaletowej .

Szafka.

Zaczyna mnie zżerać ciekawość. Ale udaje mi się ją zwalczyć. Przecież nie mogę tam zajrzeć. To prawie jak szpiegowanie. Kto wie, co James tam trzyma?

I wtedy nagle przypominam sobie o Jess, która opowiadała mi, jak raz „przez przypadek” zajrzała pod umywalkę faceta, z którym się umawiała, i znalazła tam, obok dużego opakowania papieru toaletowego, fioletowy koronkowy stanik. Była zdruzgotana. Nie dlatego, że zdradzał ją z pretensjonalną Sabriną, która miała zapędy literackie, ale ponieważ Sabrina miała zgrabne małe miseczki B.

I wtedy przychodzi mi do głowy inny przypadek. Tyle że tym razem z mojego życia, kiedy to szperając w schowku w samochodzie Daniela, znalazłam opakowanie prezerwatyw.

Tak właściwie może jednak powinnam szybko rzucić okiem — na wszelki wypadek. Otwieram drzwi i zerkam do środka. Z ulgą stwierdzam, że wewnątrz jest zupełnie normalnie i niewinnie. Pasta i nitka do zębów, bandaże...

Och, zaraz, zaraz, a co to: Wypatrzywszy tubkę w głębi, sięgam po nią i przewracam butelkę aspiryny. Spada do umy-

196

lam na tubkę, którą trzymam w swoich rękach — krem z wi-taminą E.

I wtedy robi mi się głupio. Co ja wyprawiam? Nie powinnam przeszukiwać

kosmetyków Jamesa. Nie chciałabym, żeby

on zaglądał do mojej szafki, by odkrył moje sekretne opakowanie kremu

wybielającego, tubkę kremu przeciwgrzybicze-go albo wielgachnc podpaski, które

zakładam na noc, gdy mam okres. Wzruszając ramionami, zamykam drzwi i w

pośpiechu poprawiam błyszczyk. Zresztą czemu przejmuję się tym, co James trzyma w łazience, skoro on sam czeka na mnie za drzwiami? Osuszam więc usta chusteczką i szybko gaszę światło.

Wracam do salonu z pustym pęcherzem oraz ustami różowymi, lśniąщими i gotowymi do całowania. Ale sofa jest pusta.

Och.

Stoję przez chwilę w salonie zdezorientowana, a wtedy dostrzegam światło w małym gabinecie na końcu korytarza. Idę w tamtym kierunku i widzę, jak James pochyła się nad laptopem i pisze coś szybko na klawiaturze. Gdy wchodzę do środka, podnosi wzrok.

— Muszę tylko odpowiedzieć na kilka maili. — Wyciąga do mnie rękę. — Mam jednego klienta z Sydney, bardzo niecierpliwego - dodaje, splatając swoje palce z moimi i przyciągając mnie do siebie.

Siadam mu na kolanach i otaczam go ramieniem — no cóż, jego niecierpliwym klient będzie musiał poczekać. Moje myśli wybiegają do przodu i zaczynam się

zastanawiać, czy powinnam zostać u mego na noc, czy też będzie miał do mnie większy szacunek, jeśli pójdę dziś do domu, gdy słyszę jego głos:

197

— Kochanie, czy będziesz mieć coś przeciwko temu, jeśli nasz wieczór na tym się zakończy? — Najwyraźniej moja twarz odzwierciedla dokładnie to, co czuję, ponieważ James dodaje: — Od Australii dzieli nas dziewięć godzin. Jeśli poczekam do jutra rana, będzie za późno. Obawiam się, że naprawdę muszę to załatwić jeszcze dziś.

Ha, ha. Niezły dowcip. Szukam jego wzroku, żeby odnaleźć w nim figlarne iskierki, ale jedyną rzeczą, którą widzę, jest ekran jego laptopa zwrócony w moją stronę. I wtedy dociera do mnie, że James nie żartuje.

— No tak... oczywiście — odpowiadam uprzejmie, choć w środku aż się we mnie gotuje. — W porządku. — Siłę się na uśmiech i próbuję nie myśleć o tym, jakie nadzieje wiązałam z tym wieczorem, ani o całym wysiłku, jaki włożyłam, by się do niego przygotować. Golenie nóg, woskowanie okolic bikini, najseksowniejsza bielizna - „tak na wszelki wypadek”. Ale co mogę na to poradzić, choć diabli mnie biorą i jest mi przykro? Nic. Wierząc się na kolanie Jamesa, staram się uwolnić moje koronkowe stringi spodniędzy pośladków, ale na próżno. — Zresztą i tak chciałam się wcześniej położyć spać. - Udaję, że ziewam.

Odgarniając mi włosy z oczu, James się uśmiecha.

— Jesteś wolna jutro wieczorem?

— Niestety, jestem zajęta. - Już mam wyjaśnić, że wybieram się z Lionelem zobaczyć nową wystawę w Kensington, ale powstrzymuję się. Dziecinada, wiem o tym, ale nic na to nie poradzę. Czuję się urażona tym, że James wysyła mnie do domu i nawet nie próbuje mnie przekonać, żebym została. A jeśli to ma być kolejny przejaw jego dobrych manier, to mógłby to sobie darować.

— A co robisz pojutrze?

— Pracuję.

198

20

Kiedy następnego wieczoru podjeżdżam do Serpentine Gallery w Hyde Parku, okazuje się, że impreza rozkręciła się już na całego. Światła stroboskopowe oświetlają ciemne niebo nad nami, kwartet smyczkowy gra klasyczne utwory w stylu funky, a wielki tłum gromadzi się na trawie przed budynkiem i wypełnia ciepłe wieczorne powietrze kakofonią rozmów, śmiechu i powitalnych cmoknięć. Nie spóźniłam się — a to dzięki mojemu wrzosowi, który włożyłam do swojego nowego portfela, zanim wyszłam z domu (tak jak przypuszczałam — odtworzenie tego, co mi ukradziono, kosztowało mnie niemało). Zazwyczaj czekam wieki na przystanku autobusowym, marząc o tym, by autobus wreszcie przyjechał, ale dziś wieczorem dwudziestka ósemka pojawiła się natychmiast. I chociaż zwykle tkwię w korkach, klnąc pod nosem i pragnąc, by autobus się pośpieszył, to dzisiaj na każdym skrzyżowaniu światła były zielone, tak że nawet nie zdążyłam się obejrzeć, a już byłam na miejscu. To było niesamowite. Nawet Lionel jeszcze nie ma, stwierdzam uszczęśliwiona, postanawiam więc uczcić to niezwykle wydarzenie, jakim był wcześniejszy przyjazd, i rzucam się od razu na darmowe jabłkowe martini, a potem zabijam czas obserwowaniem tłumu.

200

niem znany

Urbanizacja i Poszukiwanie Własnego Ja. Instalacje".

— O Boże, nigdy nie myślałem, że tego doczekam. — Lionel zmierza w moją stronę z uśmiechem przyklejonym do brodatej twarzy. Ma na sobie swój ulubiony garnitur, który sprawił sobie w Maroku w latach siedemdziesiątych. Śliwkowy, z aksamitu, z brązowymi łatami na łokciach, które, jak pamiętam, przyszywała mu mama, i którego nie chce wyrzucić, choć jest dużo za ciasny. Gdy widzę, jak opina jego brzuch, nieomal słyszę trzask pękającego materiału. — O rany, to naprawdę ty?

Na dźwięk jego gromkiego barytonu wszystkie głowy zwracają się w naszą stronę.

— Cześć, Lionel — odpowiadam i wiem już, co się szykuje.

— Moja córka? Na czas:- Lionel zarzuca mi ręce na szyję, by jak zwykle uściskać mocno, przez co wylewam drinka na moje nowe satynowe buty.

— Czy kiedyś musiałeś na mnie czekać? — protestuję, unosząc najpierw jedną, a

potem drugą stopę i strzepując szybko krople z butów.

— Czy kiedyś nie musiałem? — poprawia mnie wesoło Lionel. — Nawet urodziłaś się dwa tygodnie po terminie. — Wypuszcza mnie z objęć i robi krok w tył, by mi się przyjrzeć, jakbym była jednym z jego obrazów. — O rety, rety, fantastycznie wyglądasz —

201

oświadcza głośno. Doprawdy, wie, jak wprawić człowieka w zakłopotanie.

Biorę go pod ramię i kieruje w stronę drinków.

— Weź sobie martini, jest przepyszne — wskazuję na kelnerkę z tacą.

— Nie mają wina? — Lionel marszczy brwi, biorąc do ręki zielonego drinka. —

Jakiegoś przyzwoitego merlota albo pi-not noir⁵

— To coś z wędzonego łososia również jest warte grzechu — próbuję skusić go jego drugą życiową pasją po sztuce: jedzeniem.

— Mmm, tak, masz rację, kochanie mówi z ustami pełnymi okruszków. —

Kruchutkie. Chyba wezmę jeszcze trochę. — Uśmiecha się z zadowoleniem do kelnerki, nakładając kilka przekąsek na serwetkę. Kelnerka chichocze i chociaż może mieć zaledwie jakieś dwadzieścia lat, wygląda to trochę, jakby z sobą flirtowali.

Obserwuję tę scenę z ciepłem i rozbawieniem. Zawsze chyba będzie mnie zdumiewać uwielbienie obcych dla Lionela. Moje jest zupełnie zrozumiałe — w końcu jest moim ojcem, ale oprócz mnie ma on magiczny wpływ na każdego, kogo spotyka. Przez lata straciłam rachubę, ile moich koleżanek się w nim podkocowało, ilu moich chłopaków chciało być takimi jak on i ilu jego studentów wpatrzonych było w niego jak w obrazek. I nie mówię tylko o tych osobach, które znam, ale i o ekspedientkach, policjantach drogówki i tej kelnerce, która oblewa się teraz rumieńcem i wpatruje w niego z uwielbieniem.

— A ty niczego nie jesz? — Lionel zauważył, że jedynie piłę drinka, i marszczy brwi. Mam nadzieję, że nie zamienisz się w jedną z tych dyslektyczek.

— Anorektyczka — poprawiam go szeptem, gdyż dwie nie-wiarygodnie chude modelki przechodzą obok i spoglądają w naszą stronę. - I nie, nie zamienię się. Ale skoro jesteś-

— □ □ □ on mi tam będzie mówił! — prychnął Lionel. Wyzywająco sięga po babeczkę i spogląda na mnie spomiędzy swoich krzaczastych brwi. — Naprawdę powinnaś spróbować. Są przepyszne.

Gdy próbuje odwrócić uwagę od swojej otyłości, mam przez chwilę ochotę, by mu na to nie pozwolić. Może Ed ma rację: Lionel chyba rzeczywiście przytył ostatnio i może powiniem pić mniej wina. Spoglądam na niego, jak wypija jednym haustem swojego merlota, którego zdobyła dla niego pewna „przemiała kelnerka”. Ale przecież on też musi mieć coś z życia. Postanawiam więc sobie odpuścić. Niech się nacieszy dzisiejszym wieczorem. Porozmawiam z nim o tym później, ale teraz...

— Myślałam, że przyszedliśmy tu obejrzeć wystawę, a nie po to, żeby się najść — wypominam mu.

— Ależ oczywiście, oczywiście. — Lionel rzuca kelnerce przepaszające spojrzenie i otwiera ulotkę z taką samą gracją, z jaką hiszpańska tancerka rozkłada wachlarz. — A zatem dobrze... — Podkraża jeszcze jedną babeczkę z tacy, wkłada do ust i otacza mnie swym yyyielkim ramieniem. — Chodźmy rzucić okiem na sztukę.

Wystawa okazuje się nawet ciekawa. Przez następne pół godziny oglądamy przeróżne instalacje i Lionel dzielnie próbuje wytłumaczyć mi symbolikę pralki, która została rozebrana, a jej części poprzyczepiane do zwiniętego w rulon brudnego, kosmatego dywanu.

Ale to nie dla mnie. Jestem kompletną ignorantką, jeśli chodzi o ten rodzaj sztuki.

Nie żebym nie próbowała się do niej przekonać. Mam kartę stałego yystępu do Tate Modern

İ □ □

i byłam kilka razy w Saatchi Gallery, ale po prostu krowa w formalinie nie działa na mnie inspirująco — w przeciwieństwie do Turnera w National Gallery: potrafię stać przed jego obrazem przedstawiającym burzę godzinami, pochłonięta przez niezwykłą emocjonalną siłę kolorów i teksturę malowidła.

Na ironię losu zakrawa, że winien jest temu właśnie Lionel. Dorastałam z ojcem, który zaszywał się w swoim studiu, przez co od wczesnych lat dzieciennych

wierzyłam, że w malarstwie jest coś magicznego. Czasami spotykał nas zaszczyt i przed pójściem do łóżka dane nam było z Edem wejść na chwilę do jego tajemniczego świata. Siadaliśmy wtedy na jego poplamionych farbą kolanach, wdychaliśmy zapach terpentyny, a on snuł niesamowite historie o malarzach, którzy obcinali sobie uszy czy robili telefony z homarów. Kochaliśmy wszystkie te krwawe opowieści, które Lionel opowiadał nam na dobranoc.

Ale wiedzieliśmy też, że to taka nasza mała tajemnica. Mama zabiłaby go chyba, gdyby wiedziała, że to nie bajka o Kopciuszku kołysała nas do snu.

- Co słyszeć, tak w ogóle? - pyta Lionel, który najwyraźniej dostrzegł moje nieobecne spojrzenie i przestał wyjaśniać mi, że pralka jest metaforą globalnego ocieplenia, które wymyka się spod kontroli.

— Wszystko doskonale się układa. — Cieszę się, że wreszcie jest to prawda, a nie mówię tego tylko po to, by się o mnie nie martwił. — Zostaliśmy zatrudnieni do robienia zdjęć przy dużym weselu w wyższych sferach, które odbędzie się za parę tygodni, a to świetnie przysłuży się naszej firmie. Jess poznała faceta, który odpowiada jej pod każdym względem, fa wynajmuję pokój pewnemu Amerykaninowi na kilka tygodni, żeby trochę odciążyć swój budżet... — spoglądam na niego z ukosa, żeby zobaczyć, jak zareaguje na moją następną wiadomość. — A poza tym poznałam kogoś,

204

się na twarzy za każdym razem, gdy o nim myślę. Czyli co kilka sekund. — Wydaje się naprawdę miły.

— Miły yr — powtarza Lionel. — „Miły” to taki blad i nijaki przymiotnik. Gdyby to był kolor, na pewno byłby pastelowy. — Bawiliśmy się w to, gdy byliśmy dziećmi: Ed i ja zawsze kojarzyliśmy słowa, liczby, przedmioty, a nawet ludzi z kolorami — może to przez to, że mieliśmy artystę za ojca. Ale oczywiście, biorąc pod uwagę nasze różne osobowości, zawsze postrzegaliśmy wszystko inaczej i kłóciliśmy się o to zaciekle.

— Dobrze, skoro tak... - chciałam ukryć moje uczucia co do Jamesa, ale teraz zmieniłam zdanie. — Co powiesz na „cudowny”:

— A, to co innego. - Lionel spogląda na mnie z uznaniem. — „Cudowny” to chyba najbardziej odważny z przymiotników. Jako kolor jest jasnoczerwony.

— Chyba raczej zielony.

— Bzdura! Mam go nawet przed oczyma. To piękny cynober.

— Nie ma mowy. To raczej leśna zieleń — argumentuję, myśląc o tym kolorze, i uświadamiam sobie, że w dużym stopniu pasuje do Jamesa. — Klasyczny, wyrafinowany, niedoceniony kolor.

Para w średnim wieku stojąca obok nas rzuca w naszą stronę zaciekawione spojrzenie i uświadamiam sobie wtedy, że stoimy przed wielką purpurową rzeźbą.

— Zielony.1 — Lionel kręci głową. — Ależ skąd!

— W każdym razie na pewno nie czerwony.

205

Wymachując rękami, mój ojciec wzdycha z irytacją.

— Jak u licha możesz twierdzić, że jest „cudowny”... — Nagle milknie i wpatruje się we mnie, jakby ujrzał ducha. - Powiedziałaś: „cudowny”

— Mhm — kiwam głową.

— O Boże... — Szeroki uśmiech rozjaśnia mu twarz. - Heather, kochanie, to fantastyczna wiadomość. — Aby to uczcić, łapie dwa kieliszki martini z tacki obok nas, wręcza mi jeden i rozkazuje: — Opowiedz mi o nim wszystko.

Nie trzeba mi dwa razy powtarzać — przecież czekam na to cały wieczór. Upijam tylko trochę drinka, by przepłukać gardło, i zaraz rozpoczynam opowieść o tym, jak poznałam Jamesa, że od dłuższego czasu mi się podobał i jakie wrażenie zrobiła na mnie wiadomość, że ja też mu się podobałam, choć nie miałam o tym pojęcia.

Opowiadam o tym, że kiedyś pracował w City, ale rzucił tamtą pracę, by założyć firmę obrotu nieruchomościami, że współpracuje z klientami nawet z Australii i ma w planach otwarcie nowego biura w Stanach za pięć lat. Tą całą opowieścią o pracy me ośmieliłabym się zanudzać moich znajomych, ale wiem, jak bardzo interesuje to mojego ojca, który, choć artysta pełną gębą, potrafi być niewiarygodnie tradycyjny jeśli chodzi o mężczyzn, z którymi spotyka się jego córka.

Opowiadam mu też o tym, jaki przystojny jest James, jaki dowcipny i jakie ma

wykwintne maniery, że już byliśmy na dwóch randkach i że w tym tygodniu ma przygotować dla mnie kolację. Opowiadam mu praktycznie wszystko. No, prawie wszystko. Nie mówię mu o tym, że zastanawiam się, dlaczego James nie poprosił mnie, bym została u niego na noc. Ze pocałunek na sofie był fantastyczny, ale miałam wtedy ochotę na więcej, i że chociaż od miesięcy marzyłam o mężczyźnie, który byłby zainteresowany tym, co mam w głowie, a nie tylko moim ciałem, zaczynam mieć wątpliwości.

"06

□□□□ OUCi;

stawiającą nagi tors wykonany z drutów do robótek ręcznych. -Ale martwi mnie jedna rzecz.

Domyślam się, o co mu chodzi.

— O nie, nie musisz się martwić. — Pamiętam przerażenie mojego ojca, gdy Daniel nie mógł wypić z nim sherry przed lunchem. — James nie jest na odwyku. A nawet jest smakoszem win. — Spoglądam z powrotem na rzeźbę i podziwiam inwencję artysty, który wykorzystał różne rodzaje drutów. Mimowolnie myślę o Rosemary, wielbicielce robótek ręcznych, i zastanawiam się, co ona by z tego zrobiła.

— Nie mówię o winie, kochanie, mówię o seksie. Oblewam się gorącym rumieńcem.

— L i o n e l - mruczę karcąco i rozglądam się wokół, czy aby nikt go nie usłyszał.

Tak jak się spodziewałam, nie zwraca uwagi na moje protesty.

— Jeszcze mi o tym nie wspomniałaś — nalega bez skrepowania. — I to mnie martwi. - Na jego twarzy maluje się rodzicielska troska. - No więc.'

Wiem, że to wydaje się dziwne. Większość ojców nie dopuszcza do siebie myśli, że ich mała córeczka dorasta — słyszałam mnóstwo opowieści od koleżanek o ich zazdrosnych ojcach, którzy grożą pobiciem każdego chłopaka, którego zastaną w łóżku z ich córką. Ale mój tata jest inny niż większość ojców. Jako artysta ma bardzo otwarty stosunek do ludzkiego ciała.

— Czy wszystko w porządku?

— Tak, w porządku. James jest dżentelmenem w każdym calu — oświadczam z entuzjazmem, pragnąc go też poniekąd usprawiedliwić. — Co po Danielu... — Mój

głos wyraźnie cichnie. Lionel wie o tamtej sprawie wszystko. Gdy zerwałam z Danielem, spędziłam godziny, wisząc na telefonie, głównie

20/

rycząc do słuchawki, ale mimo to Lionel go nie osądzał. Zamiast tego wysłuchiwał niestrudzenie moich skargi lamentów, aż wreszcie pewnego wieczoru powiedział mi łagodnie: „Zycie to pasmo różnorodnych doświadczeń, Heather. Jedno z nich właśnie się zakończyło, ale to oznacza tylko, że robi miejsce kolejnemu”. Chciałam mu wtedy wyrzucić ze złością: „Tak właśnie było z tobą po śmierci mamy? To dlatego poślubiłeś Rosemary?” — ale przełknęłam łyżę gniewu i spróbowałam wziąć do serca jego słowa. W końcu to nie Lionel mnie zdradził, tylko Daniel, prawda?

— Ach tak, oczywiście. — Lionel kiwa głową ze zrozumieniem. — Nie chcesz kolejnego drania, prawda?

„Drań” przywołuje mi obraz Nigela Haversa w prążkowanym garniturze, czarującego czarnego charakteru, i nie potrafię powstrzymać uśmiechu.

— Ja najczęściej mówię o nim „niewierne bydle”. Lionel wybucha gromkim śmiechem.

— I tak być powinno. — To chyba pierwszy raz, gdy jednoznacznie opowiedział się po mojej stronie. - W moich czasach gdy przyłapano kogoś na zdradzaniu dziewczyny, jej ojciec miał prawo pogonić delikwenta z dubeltówką. — Wypija wino do dna i kręci głową. — Ale wtedy wszystko wyglądało inaczej. Istniał niepisany kodeks zachowania, którego trzeba było przestrzegać. Gdy spotkałem twoją matkę, musiałem najpierw poprosić jej ojca, by wyraził zgodę na moje zaloty.

— Byłeś zdenerwowany?

— Potwornie. Trząsałem się ze strachu jak osika. Próbuję sobie wyobrazić tego rosnącego mężczyznę, jak drzy ze zdenerwowania, ale nie potrafię.

— Twój dziadek naprawdę wzbudzał lęk, nie tylko we mnie — kontynuuje. — Możesz mi wierzyć, wielu śmiazków poległo, starając się o jej względy, zanim się pojawiłem.

208

— Musiałeś być naprawdę zakochany - śmieję się.

— Od chwili, kiedy ją tylko ujrzałem — oświadcza cicho Lionel, ściskając mnie za rękę i spoglądając na mnie tak, jak ma to miejsce czasem, gdy o niej rozmawiamy. Milkniemy oboje i podchodzimy do ostatniego eksponatu, kompozycji z czarnych i białych kostek. Patrzę na nie nieobecny wzrokiem. Bo wciąż myślę o swoich rodzicach i próbuję sobie ich wyobrazić jako dwudziestolatków, kiedy się poznali. Lionel ma rację: to były inne czasy, ale w mojej znajomości z Jamesem jest coś, co mi przypomina ich związek. James zdobywa mnie powoli. Najpierw randka w restauracji, potem kino, a teraz obiecał przygotować dla mnie kolację. I wciąż tylko się całowaliśmy. Dziś wydaje się to niezwykle, ale niegdyś było czymś oczywistym i normalnym, że wszystko miało swoją kolej. I było to dużo bardziej romantyczne, stwierdzam. Mama i tato zakochali się w sobie na długo przed tym, jak wylądowali w łóżku.

Uspokojona tą myślą, odwracam się do Lionela i, nie mogąc się powstrzymać, pytam:

— Powiedz mi, jak długo ty i mama czekaliście? No wiesz, zanim...

— Czekać? — Spogląda na mnie ze zdziwieniem, a potem wybucha głośnym śmiechem. — O Boże, na co czekać? Twoja matka i ja kopulowaliśmy jak króliki już na pierwszej randce.

Bzzzzzzz!

Trzy kwadransy później stoję przed drzwiami Jamesa, z palcem na dzwonku od domofonu, postukując niecierpliwie obcasem.

Bo właśnie straciłam cierpliwość. Mam dość.

Chociaż, jeśli mam się wyrażać precyzyjnie, to nie mam czego mieć dość. Przecież niczego jeszcze nie robiliśmy.

209

i □ □

— Heather, co się dzieje? Wyglądasz na...

Uciszam go, utykając mu język do gardła. Nic opiera mi się. Zresztą na mnie by się to nie /dato. Jestem pijana. Jestem napalona. Nic uprawiałam seksu od prawie roku. Fen

biedny facet nic ma ze mną; i szans.

21

— A wtedy powiedział mi: „Jessico, sprawiasz, że chcę być lepszym człowiekiem”.
Jest następny rano, a ja jestem na zajęciach bikram jogi z Jess. Po niekończącej się i
— dla kogoś, kto potrzebuje półgodzinnej rozgrzewki nawet po to, by sięgnąć palców
u nóg -koszmarnie męczącej serii asan zwanej „powitaniem słońca”, leżę teraz w
pozycji, którą instruktor nazywa „pozycją dziecka”. Czyli po prostu twarzą do maty.
Biorę głęboki oddech. Jest potwornie gorąco. Pot przykleja mi czoło do maty.
Zamykam oczy i próbuję sobie wyobrazić, że leżę na plaży w Goa albo w ogrodzie w
Kornwalii, albo gdziekolwiek, byle nie tu - upakowana jak sardynka pomiędzy
dziesiątkami innych spoconych ciał w Centrum Świętego Ruchu na Notting Hill,
gdzie muszę wysłuchiwać opowieści Jess.

- Czy to nie jest cytat z jakiegoś filmu? - pytam.

Gdy Jess zadzwoniła dziś rano, oświadczając, że wróciła z Sydney i przypomniała
mi, że od tygodni obiecuję jej wybrać się z nią na bikram jogę- „mówię ci, to
niesamowite, podgrzewają salę do czterdziestu stopni, żeby twoje ciało stało się
bardziej elastyczne” - poczułam, że moje czakry nagle zupełnie się zablokowały.
Ćwiczenia? W sali podgrzanej do czterdzie-

212

własnej woli musiałam się z nią spotkać przed pracą, na porannych zajęciach. Ale
gdy tylko przyjechałam, okazało się, że joga była jedynie pretekstem do spotkania ze
mną. Prawdziwym powodem był Greg.

— Heather, czy zawsze musisz być taka cyniczna! — strofuje mnie Jess.

Przez ostatnie trzy kwadranse z rozmarzeniem w oczach szczególnie po szczególe
opowiadała mi o Gregu i jego barwnym życiu — że trenuje triathlon, że właśnie wrócił
z wyprawy na Machu Picchu i włada biegle pięcioma językami. Ale teraz patrzy na
mnie spode łba ze swojej maty.

— Nie jestem cyniczna — protestuję żarliwie. — Po prostu mówiłam... - Heather,
a, j... i był tytuł tego filmu: Teraz będzie mnie to gnębiło.

— No dobra — przerywa mi gniewnie. — Przyznaję, że w przeszłości całowałam

wielu mężczyzn, których uważałam za książęta, a którzy zmieniali się w żaby, ale Greg jest inny. — Na wspomnienie jego imienia Jess odzyskuje rozamelony wyraz twarzy. — Wydaje mi się naprawdę szczerzy i uczciwy. I do tego ma idealną kartotekę, jeśli chodzi o związki — nigdy nie był żonaty, miał kilka dziewczyn, ale żadnej na poważnie... - wylicza punkty na palcach. — ... chce się ustabilizować i mieć dzieci. — Jack Nicholson - rzucam triumfalnie. —W* Lepie/ być me może.

213

-□□3

- □□ były słowa Jacka Nicholsona do Helen Hunt z tego filmu.

Jess spogląda na mnie groźnie. O cholera, powinnam była ugryźć się w język.

- ... a teraz powróćmy do pozycji stojącej i weźmy kilka głębokich oddechów...

- To świetny film — dodaję anemicznie.

Jess przyciska kciuk do jednego nozdra i bierze głęboki wdech. Ubrana w najmodniejszy strój do jogi, kupiony na eBayu, i zdolna do tego, by wyginać ciało do woli, należy do osób, obok których za żadne skarby świata nie chcą ćwiczyć początkujący tacy jak ja.

Natomiast ja, w moim wyciągniętym podkoszulku i szortach, jestem marzeniem każdego nowicjusza. Przy mnie wasze babcie robią wrażenie giętkich jak trzcina.

- Z tego, co mówisz, Greg jest świetnym facetem — oświadczam z entuzjazmem, próbując odkupić swoje winy.

- Bo jest świetnym facetem — rzuca Jess oschle, przerzucając się na drugie nozdrze. I znowu wdech.

- I do tego fantastycznie wysportowany. A potem wydech.

- Triathlonista, niesamowite! - nie daję za wygraną. Znowu nic. Jess stoi, nie reagując na moje słowa. Wdech.

Wydech. Wdech. Wydech. Tyle że nie jest to głębokie, relaksujące oddychanie z gatunku: „pragnę się zestroić ze swoim wewnętrznym głosem”, ale raczej gniewne sapanie z rodzaju: „nienawidzę swojej przyjaciółki Heather”.

Z obawy, że Jess — sądząc po nabrzmiałych żyłach na skroniach — zaraz eksploduje, robię jeszcze jeden krok w celu zawarcia pokoju.

- Uprawiałam seks.

214

I to wystarcza — Jess momentalnie zapomina o tym, że była na mnie obrażona.

— Seks?— przerywa sapanie. — Z kim?

— Hm, nigdy w to nie uwierzysz...

— Z kim? Z kim? Gadaj szybko, z kim...

— Z moim boskim sąsiadem.

Jess otwiera oczy szeroko ze zdziwienia.

— Mówisz poważnie?

— Śmiertelnie poważnie.

— Ja pierdolę.

Ćwicząca obok nas kobieta odziana w trykot, który wygląda, jakby należał do jej córki, wpatruje się w nas potępieńczo. Podekscytowana Jess łapie mnie za rękę.

— Własnym uszom nie wierzę.

— ... a teraz powoli przechodzimy do pierwszej pozycji wojownika...

Jess puszcza mnie i wykonujemy polecenie — Jess z gracją i łatwością kogoś, kto w dzieciństwie uprawiał gimnastykę, a ja przy wtórze trzeszczących stawów, co wywołuje grymas na twarzy mojej, jak i kobiety obok.

— Dawaj daty, godziny, miejsca i rozmiar — domaga się Jess.

Uśmiecham się tajemniczo.

— Ma na imię James i mieliśmy do tej pory dyyie randki.

— ... a teraz do wojownika dwa... Kobieta obok mnie wzdycha głośno.

— Przepraszam panie, ale staram się odnaleźć wewnętrzny spokój.

— Pieprz się ze swoim wewnętrznym spokojem! — Jess wykonuje polecaną asanę. Zaskoczona kobieta oblewa się rumieńcem.

— Wystarczy, że nie ma mnie kilka dni, i czeka na mnie po powrocie taka sensacja!

— ciągnie Jess.

215

— ... a teraz zginamy prawe kolano i wysuwamy biodra do przodu, by przejść do pozycji trójkąta...

Próbuję wykonać polecenie, a wtedy przypominam sobie, że mam wyjątkowe ciało. Takie, które się nie wygina.

— No, dalej, uchyl rąbka tajemnicy, opowiedz mi coś o nim.

— Oddychając głęboko, przechodzimy do pozycji drzewa... Stojąc na jednej nodze, Jess przenosi płynnie ręce przed klatkę piersiową i składa je jak do modlitwy.

— Jest niesamowity. — Stają mi przed oczyma scenki z ubiegłej nocy, w płataninie pościeli Jamesa. Jego nagie ciało. Jego pocałunki znaczące każdy fragment mojej skóry, począwszy od palców u nóg, kierując się w stronę...

— ... starajcie się skoncentrować ze wszystkich sił... Oddając się wspomnieniom, tracę równowagę.

— Wręcz niewiarygodny — szepczę, próbując stanąć prosto.

— To fantastycznie. — Na twarzy Jess pojawia się rozanielony uśmiech, a potem pyta bez ogródek: — Jaki przedział wiekowy?

To cała Jess. Nie jest zainteresowana tym, że James przyprawia mnie o dreszcze, ani jego leniwym uśmiechem, ani tym, w jaki sposób mówi do mnie „skarbie”. Interesuje ją marka, model i dochody.

— Trzydzieści sześć lat - odpowiadam, starając się skoncentrować na wykonywanej asanie.

— Idealnie. - Jess kiwa głową ze znanstwem. - Ci między dwudziestym szóstym a trzydziestym piątym rokiem życia są zbyt niedojrzali, od czterdziestu jeden do czterdziestu pięciu lat są już zepsuci, ale faceci pomiędzy są gotowi na związek. -

Pochyla się w moją stronę jak gdyby wyjawiała mi jakiś sekret. — Bierz przykład ze mnie, jeśli uda ci się spotkać właściwego faceta, trzymaj się go rękami i nogami.

216

— ... a teraz zginamy prawe kolano i wysuwamy biodra do przodu, by przejść do pozycji trójkąta...

Próbuję wykonać polecenie, a wtedy przypominam sobie, że mam wyjątkowe ciało. Takie, które się nie wygina.

— No, dalej, uchyl rąbka tajemnicy, opowiedz mi coś o nim.

— Oddychając głęboko, przechodzimy do pozycji drzewa... Stojąc na jednej nodze, Jess przenosi płynnie ręce przed klatkę piersiową i składa je jak do modlitwy.

— Jest niesamowity. — Stają mi przed oczyma scenki z ubiegłej nocy, w płątaniu pościeli Jamesa. Jego nagie ciało. Jego pocałunki znaczące każdy fragment mojej skóry, począwszy od palców u nóg, kierując się w stronę...

— ... starajcie się skoncentrować ze wszystkich sił... Oddając się wspomnieniom, tracę równowagę.

— Wręcz niewiarygodny — szepczę, próbując stanąć prosto.

— To fantastycznie. - Na twarzy Jess pojawia się rozanielony uśmiech, a potem pyta bez ogródek: — Jaki przedział wiekowy?

To cała Jess. Nie jest zainteresowana tym, że James przyprawia mnie o dreszcze, ani jego leniwym uśmiechem, ani tym, w jaki sposób mówi do mnie „skarbie”. Interesuje ją marka, model i dochody.

— Trzydzieści sześć lat — odpowiadam, starając się skoncentrować na wykonywanej asanie.

— Idealnie. — Jess kiwa głową ze znanstwem. — Ci między dwudziestym szóstym a trzydziestym piątym rokiem życia są zbyt niedojrzali, od czterdziestu jeden do czterdziestu pięciu lat są już zepsuci, ale faceci pomiędzy są gotowi na związek. — Pochyla się w moją stronę jak gdyby wyjawiała mi jakiś sekret. — Bierz przykład ze mnie, jeśli uda ci się spotkać właściwego faceta, trzymaj się go rękami i nogami.

216

:akolvviel iśnie zur

— Z tego, co wiem, wróciła do Kapsztadu... — mruczę. Cholera, to trudniejsze, niż myślałam.

— Ma poczucie humoru?

— ... i spróbujemy wytrzymać w tej pozycji trzy minuty. Spoglądam na instruktora. Trzy minuty? Na głowę upadł

czy co? Pot spływa na moje rozszerzone palce i mam wrażenie, że zaraz coś rozsadzi

mi klatkę piersiową. Spoglądam na Jess. Ani kropelki potu.

— Hm, no cóż... jest raczej poważny. Muszę się położyć.

— Poważny facet to dobra rzecz. Niepotrzebny ci żartowniś. Trzy minuty musiały już minąć. Po prostu musiały.

— Jakieś denerwujące nawyki?

— Niiieeee — jęczę, marząc o tym, żeby było już po zajęciach.

— A teraz pora na relaks. Kładziemy się na matach i zamykamy oczy...

Z ulgą wykonuję to, co mi powiedziano. To jest fantastyczne. Przyzwyczajam się już do tego, że wszystkie moje drobne życzenia się spełniają.

— Stan konta? — głos Jess przywraca mnie do rzeczywistości.

— O Boże — wzdycham. — Nie wiem i zupełnie mnie to nie obchodzi.

— Przystaniesz tak mówić, gdy nie będzie cię stać na latanie pierwszą klasą - ostrzega, jak przystało na stewardesę. -Moja mama zayysze powtarza, że w biedzie nie ma nic romantycznego.

— Ale twoja mama nie jest biedna! — protestuję zniecierpliwiona. Rodzice less są cholernie bogaci i mieszkają w domu za milion funtów na Muswell Hill.

— No właśnie — móyyi Jess bez emocji. — Bo nie jest głupia.

— ... a teraz spróbujcie odpłynąć...

218

uciąć dziesięciminutową drzemkę.

— Więc jeszcze ostatnie pytanie — rzuca Jess triumfalnie. Jestem tak zmordowana, że naprawdę wolałabym nie pytać, ale niestety jestem też zbyt ciekawska.

-Co5

— Seks.

Staje mi przed oczyma wczorajsza scenka, kiedy to rzuciłam się na Jamesa.

— Powiedzmy może, że z czystym sumieniem mogę odfaj-kować to okienko.

— Poważnie?

— Mhm — ciesząc się, że zaspokoiliam jej ciekawość, układam się i zamykam oczy.

— A co z grą wstępną?

Kobieta yv trykocie sapie gniewnie.

— Jess, błagam - wierzę się na macie z zażenowaniem. Ale Jess nie daje za wygraną.

— Muszę to wiedzieć. To ważne. Nie spotykałaś się z facetami od lat. Zaufaj mi, jestem w; tym specjalistką.

Otwieram jedno oko i rzucam jej groźnie spojrzenie.

— Nie musisz opowiadać mi szczegółów - Jess próbuje mnie przekonać do dalszych zwierzeń. — Po prostu kiwaj głową na „tak”, albo na „nie”.

Naprawdę mam ochotę ją zignorować, ale gdy się przysuwa i pyta:

— Mniej niż dziesięć minut? — me potrafię nie pokręcić głową.

— Dłużej niż dziesięć minut? Kiwam głową z niejaką dumą.

— Więcej niż dwadzieścia?

Znowu kiwam głową, przeżywając wydarzenia ostatniej nocy po raz nie wiadomo który. Jako kochanek James jest — jak

219

by to ująć? — absolutnym zaprzeczeniem egoisty: po wszystkim mocno przytulił mnie do siebie, ucałował w powieki i powiedział mi przed zaśnięciem, jaka jestem piękna. -Trzydzieści?

— Całe pół godziny - wyznaję. - Poświęcone na mnie.

— O rany! A więc twoje marzenie się spełniło!

— Moje marzenie? — powtarzam, starając się, by brzmiało to obojętnie, gdyż znajome mrowienie pojawia się nagle w koniuszkach palców u nóg i wędruje wyżej. Ogarnia mnie podekscytowanie i przerażenie zarazem, jak wtedy, gdy byłam dzieckiem i jechałam na karuzeli.

— Tak. Nie pamiętasz, jak mi opowiadałaś o swoim wymarzonym mężczyźnie?

Aż do tej chwili nie przyszło mi to do głowy, ale teraz uświadamiam sobie, że Jess ma rację. James posiada wszystkie cechy, których szukałam w facecie. Nawet tego ranka, gdy zaczęłam się uskarżać na ból brzucha, zaproponował, że skoczy do sklepu kupić mi tampony. Jak się okazało, była to tylko wina szampana wypitego poprzedniego wieczoru, ale mimo to: zaproponował, że kupi mi tampony. Te słowa powinny zostać wyryte na kamiennej tablicy.

— Oczyśćmy swój umysł i pozwólmy mu odpłynąć.

Para stóp należących do instruktora pojawia się obok nas i dzięki temu mogę zostawić pytanie Jess bez odpowiedzi. To coś więcej niż ulga. W głowie mi się kręci, gdy instruktor masuje mi delikatnie plecy, i próbuję robić to, co każe. Przestać myśleć o Jamesie. Wyobrazić sobie, że mój umysł to balon wypełniony helem, który odlatuje w siną dal...

Zamykam oczy i zasypiam.

:st piątko

z Danielem, zawsze marzyłam o tym, by jakoś bardziej okazywał mi, że o mnie myśli, ale James już bardziej mi tego okazywać nie może — ciągle dzwoni i wysyła mi esemesy... co mogłoby być trochę przytłaczające, gdyby chodziło o kogoś innego, ale nie w przypadku Jamesa.

Przyciskając kwiaty do piersi, odwracam się, żeby wejść do środka, ale bukiet jest trochę za duży i przesłania mi widok. Próbuję iść przed siebie w wąskim korytarzu, ale utykam z różami w drzwiach. Pociągam za celofan i niestety łamię przy tym kilka łodyg.

Cholera.

Szkarłatne główki róż opadają z ułamanymi szyjkami. Przerazona, wkładam palce do celofanu i próbuję je wyprostować. A wtedy cierń kłuje mnie w palec, który zaczyna krwawić. Auć! Biorę go do ust i zaczynam ssać. Ale piecze...

Spoglądam oskarżycielsko na biedne kwiaty. W sumie nie mówiłam o tym Jamesowi, ale nie przepadam za czerwonymi różami. Uważam, że są zbyt banalne — zresztą, jeśli mam być szczerą, w ogóle nie lubię kwiatów ciętych. Zaraz nasuwają mi się na myśl szpitale, moje dzieciństwo i odwiedziny u mamy, gdy była chora. Zawsze była otoczona flakonami pełnymi jej ulubionych różowych goździków i pamiętam, jak siedziałam w nogach jej łóżka i jak było mi smutno, że ich piękno obumrze za kilka dni. Pragnęłam wtedy, żeby mogły żyć wiecznie.

Ale nie chcę wyjść na niewdzięcznicę. Przecież najważniejsze są intencje, prawda? A te róże są piękne, w ten nieskazitelny, idealny, tradycyjny sposób. Oprócz tych złamanych, ale te zaraz wyrzucę. Przecież nikt nie będzie ich liczył, prawda?

Idąc korytarzem, wtykam nos między płatki i wdycham ich zapach. Mhm, jest

naprawdę intensywny. Biorę głęboki

222

dowała jego nawrót. To naprawdę dziwne, nie cierpiałam na to już od lat, myślałam nawet, że zupełnie mi przeszło, ale te wszystkie róże musiały... och...

I wtedy kicham potężnie.

Mam przez chwilę wrażenie, że kichnięcie się powtórzy, ale na szczęście świdrowanie w nosie ustąpiło. Otwieram załzawione oczy i pociągam nosem. Co za koszmar. Mój piękny bukiet jest teraz upstrzony małymi kropelkami. Staram się wytrzeć celofan rękawem, ale efekt jest jeszcze gorszy.

Okropność. Lepiej użyję ściereczki.

Gdy wchodzę do kuchni, zastaję tam Gabe'a w białym zmiętym podkoszulku i kwiecistych bokserkach. Stoi pochylony nad tosterem z pałeczką do jedzenia w ręku i próbuje wygrzebać coś, co utknęło w środku i wydaje dziwną woń. Która przypomina palące się truskawki.

— Czego szukasz:

— Kolejnej cholernej grzanki nadziewanej dżemem — mruczy Gabe, poprawiając okulary na nosie. Twarz rozjaśnia mu się na mój widok. — O, tajemniczy wielbiciel? Z rozczarowaniem stwierdzam, że to bukiet, a nie ja, wywołał uśmiech na jego twarzy.

— Niekoniecznie tajemniczy. Raczej się z tym nie kryje. Patrzymy na siebie przez chwilę i nagle robi mi się trochę głupio.

— Rany, facet już chyba popadł w nałóg. — Gabe drapie się po głowie i włosy zaczynają mu sterczeć komicznie do góry. — Powinien wstąpić do Towarzystwa Anonimowych Ogrodników.

— To nie było zabawne. — Wygrzebawszy z kieszeni szlafroka spray do nosa. biorę głęboki wdech. Przez te wszystkie kwiaty zostawiłam w aptece fortunę: na krople do oczu,

223

spraye, dwa opakowania antyhistaminowych leków i mnóstwo chusteczek. Ale i tak

warto było.

— Nie było zabawne? — Gabe spogląda na mnie wyraźnie zmartwiony.

Ale przecież nie mogę wyznać mu, że dla mnie komicy w wersji stand-up w ogóle nie są zabawni, nawet jeśli akurat jest to prawda.

— Żartowałam — próbuję zatuszować swoją poprzednią uwagę. — Jesteś przezabawny. — Kładę bukiet obok zlewu i zaczynam przeszukiwać kuchenne szafki w poszukiwaniu czegoś, w czym mogłabym umieścić róże.

— Szukasz wazonu? Widziałem jeden na polu — oświadcza Gabe po chwili.

— Gdzie? - pytam, kucając i wtykając głowę między garnki.

— Na polu — powtarza, tyle że głośniej.

Wyłaniam się z kredensu pod zlewem z pustymi rękami i spoglądam na niego zde gustowana.

— Na jakim polu:

— Jak to na jakim? W ogródku za twoim domem.

— Czyli na dwór z e.

— Nie na dworze. To nie żaden dwór. To pole. Wybucham śmiechem.

— Rany, ale jesteś uparty Tobie też nic nie brakuje.

— No cóż, w końcu jestem Rybą. Wszystkie Ryby są uparte. Gabe mierzy mnie wzrokiem rozbawiony.

— To jest raczej cecha Byków. I myślałem, że nie wierzysz w horoskopy.

-Ale w Ameryce mówi się „pole”.

— Ale jesteśmy w Anglii — nie daję za wygraną.

Sama nie wiem, jak doszło do tej sprzeczki - a skoro już się wywiązała, to muszę ją wygrać.

— No i co z tego? Ja jestem Amerykaninem.

— No to proszę bardzo, rób jak chcesz, nazywaj flizy - glazurą, ziemniaki - kartoflami, podwórze - polem, a ubrania ubieraj, a nie zakładaj. Ale dla każdego Anglika wyda się to żenujące. Tak samo jak większość waszych określeń na czynności związane z seksem. Ostatnio dowiedziałam się, co u was znaczy „kiszanie ogóra”. Macie wyobrażnię, nie ma co.

W nastroju: „a nie mówiłam?”, wychodzę do ogródka w poszukiwaniu wazonu. Ale tamten mi nie pasuje. Wracam zatem do mieszkania.

— Więc tobie „kiszanie ogóra” z niczym się nie kojarzy? -pyta mnie Gabe.

— No jasne, że nie — śmieję się, oglądając teraz stary dzbanek.

— To jakbym ci zaproponował wzięcie ogórka do buzi, to byłaby to dla ciebie zupełnie niewinna propozycja?

— Ogórka do buzi? — powtarzam niepewnie. Hm, zastanawiam się, czy mogłabym wcisnąć do tego dzbanka dwanaście róż, czy też się przewróci. — Jasne, że niewinna... — O cholera. Zatrzymuję się nagle - jak te postaci z kreskówek, które biegną, choć ziemia pod nimi dawno się skończyła, aż wreszcie przystają i spoglądają w dół. A wtedy spadają w przepaść. Mam właśnie wrażenie, jakbym leciała w dół.

— Yyy, no cóż... — gdy czuję, jak czerwone plamy wyskakują mi na dekolcie, otulam się szczerzej szlafrokiem. No dalej, Heather, nie zachowuj się jak dziecko. Oboje jesteście dorośli, nie masz się czego wstydzić. — Dla mnie ogórek... — zaczynam, ale nie kończę.

225

Przepraszam, ale nie potrafię dokończyć. Nazwijcie mnie pruderyjną, ale czuję się, jakby mi właśnie złożono propozycję seksualną. A może i kulinarną. Sama nie wiem.

— Co mówiłaś? — pyta spokojnie Gabe.

Przyznaję, chyba przegrałam, ale teraz, spoglądając w błękitne oczy Gabc'a, powiększone przez okulary, stwierdzam,

miesiący temu. — Ale jednak nie — dodaję, biorąc ją z jego rąk i stawiając na blacie.

— Kolor będzie się gryzł z czerwienią róż. A poza tym jest za duża.

— Jezu, czy ty aby nie jesteś Wagą? — mruczy.

Obserwuję go z zadartą głową, jak bada ręką górną półkę w szatce, aż zaczyna mnie boleć szyja i opuszczam głowę. A wtedy mój wzrok pada na jego owłosione, umięśnione łydki rozparte na blacie. Nigdy przedtem nic zwróciłam na to uwagi, ale Gabe ma bardzo fajne łydki. Są pokryte jasnobrązowymi włoskami i z daleka wydają się bardzo opalone, ale jeśli przyjrzeć im się z bliska — przesuwam twarz

tak, że o mało nie dotknę nosem jego nóg — to okazuje się, że są pokryte milionami małych piegów, które zlewają się w jedną całość i dają wrażenie opalenizny. To trochę tak jak przystawienie twarzy do ekranu telewizora, przez co obraz rozbija się na maciupeńkie plamki.

— G e n i a l n e.

Wymachując jakimś okropieństwem, Gabe spogląda na mnie w dół.

— Zgadnij, co...

I wtedy uświadamiam sobie, że mam głowę dosłownie wetkniętą między jego nogi. więc odskakuję.

— ... znalazłem. O cholera.

Staram się zrobić minę niewinnej dziewczynki, by nie uznał mnie za starą zboczoną wariatkę, i wyciągam rękę, by zabrać □□i niego to coś. To okropny ceramiczny wazon, który dała mi kiedyś Rosemary i który od tamtej pory trzymałam w szafce. Ale darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby.

— Super, dzięki! — wyrzucam z entuzjazmem, aż robi mi się gorąco ze wstydu.

Wkładam go do miski i staram się wyglądać na bardzo, bardzo, bardzo zajętą - odkręcam kurek.

227

łapię parę żółtych gumowych rękawiczek spod zlewu i wyciskam energicznie zielony płyn do naczyń.

— Daj, ja to zrobię. Spóźnisz się do pracy.

— Nie, poradzę sobie. Zresztą mam dziś wolne. — Łapię ściereczkę i pokrywam flakon spienioną wodą.

— Jak chcesz — odpowiada Gabe beztróska i przez chwilę mam nadzieję, że zaraz wyjdzie z kuchni. Ale słyszę, że ciągle kręci się za moimi plecami.

Kątem oka obserwuję, jak odwraca się w stronę tosterka. Tym razem udało mu się nadziać to zwęglone coś na pałeczkę. Nadgryza i żuje powoli, wędrując po kuchni.

— A co do tego ogóra... — zaczyna obojętnym tonem, zatrzymując się w drzwiach. Nieruchomieję.

— Tak5

Nasze oczy się spotykają i w momencie, gdy czuję, że zaraz spalę się ze wstydu, Gabe puszcza mi oczko.

— To był głupi żart.

Bierze papierosy, a ja odprowadzam go wzrokiem. Gdy już znika w ogrodzie ze swoim marlboro, uderza mnie jedna myśl.

Dostałam to, czego chciałam. Bez wątpienia przegrałam tę kłótnię.

23

No dobra, to co teraz?

Po tym jak wyrzuciłam złamane róże i ustawiłam resztę na parapecie, zrobiłam sobie jeszcze jedną filiżankę rozpuszczalnej kawy i zjadłam kilka nadziewanych czekoladek na śniadanie, siadłam przy stole w kuchni i zaczęłam się zastanawiać, co zrobić z resztą wolnego dnia. Zwykle lubię się wylegiwać do południa, ale mój nowy budzik - kurier z kwiaciarni - udaremnił mi ten plan. Bębnię palcami o kubek.

Wiem! Obejrzę telewizję śniadaniową.

Pomysł jest przedni. Uwielbiam telewizję śniadaniową — to taka wstydliva przyjemność, jak noszenie wielkich majtek czy wielbienie Enriague Iglesiasa.

Radośnie wyciągam rękę, by włączyć mały telewizor wetknięty obok mikrofalówki, i mimochodem zerkam na elektroniczny wyświetlacz. Serce mi staje. Nie ma jeszcze dziewiątej rano. Ale mój ulubiony program zdjęli z anteny...

A więc nici z tego. Piję więc dalej kawę i zastanawiam się, co porabia Gabe.

Rozsuwam listewki żaluzji i wyglądam na ogród. Leży na brzuchu na leżaku, otoczony stosem książek z dowcipami, i pisze coś w tym swoim notatniku, z którym nigdy się nie rozstaje. Lepiej mu nie przeszkadzać - chyba jest zajęty.

229

da, ochrona), ale jest po prostu ozdobą. Droga, niewygodną ozdobą, której pranie to po prostu koszmar.

- Znalezienie wymarzonej posady w branży fotograficznej.

Cholera.

Najpierw nachodzi mnie ochota, zęby ominąć ten punkt i przejść od razu do następnego, który brzmi: „kupić nową zasłonkę pod prysznic”, gdyż nawet mam chęć

wybrać się do Ikei, ale stwierdzam, że nie mogę go opuścić. Nie tylko dlatego, że podkreśliłam go podwójną linią, ale przede wszystkim z tego powodu, że okupuje szczyty moich list od sześciu lat i podczas gdy pozostałe punkty z czasem zostały wykreślone, ten pozostał. I wpatruje się we mnie bezczelnie. I śmieje mi się prosto w twarz.

I właśnie to sprawia, że kilka godzin później siedzę przed komputerem i wpisuję w wyszukiwarce: „praca” i „fotograf”.

— Cześć, co słychać?

Gabe wtyka głowę do mojego pokoju. Trzyma w ręku dwa parujące kubki herbatki miętowej i nierozpoczęte opakowanie nadziewanych czekoladek.

— W porządku - odpowiadam smętnie, biorąc od niego kubek. Dmucham na jego zawartość i upijam duży łyk. Siedzę przy komputerze od jakichś czterech godzin i do tej pory jedyną ofertą pracy, jaką udało mi się znaleźć, była posada fotografa w miesięczniku poświęconym maszynom rolniczym. Biorę do ręki materiał, który sobie wydrukowałam.

-O, jest. - Chrząkam i zaczynam czytać: — „Niezwykła okazja dla doświadczonego fotografa. Wiedza na temat traktorów i siewników mile widziana. Wymagana sympatia dla bydła i odporność na zmienne yearunki pogodowe”.

231

Gabe spogląda na mnie pytająco i podaje mi nadziewaną czekoladkę.

— Szukam pracy—wyjaśniam, wgrzyzając się w żółtą pomadkę. Przysiada na skraju mojego niepościelonego łóżka i żując

powoli, głaszcze Billv'ego Smitha, który zwinął się w kłębek na kołdrze.

— Ale mówiłaś, że teraz, skoro macie pracować przy tym królewskim weselu, nie musisz się bać o pracę.

Choć nie jest mi do śmiechu, uśmiecham się na te słowa.

— To nie jest królewskie wesele. Za mąż wychodzi córka księcia i księżnej Hurley

— wyjaśniam, rozbawiona zdezorientowaną miną Gabea. — Co oznacza, że nie jest księżniczką, tylko lady. Dawniej] jakby damą dworu.

— Co nie znaczy, że ma coś wspólnego z damą — śmieje się Gabe.

— Wiem, że to wszystko bzdury — przyznaję z uśmiechem. — Ale patrząc od strony interesów, to świetna sprawa. Płacą mojemu szefowi kupę forsy, a do tego jedno z dużych kolorowych pism zaproponowało, że odkupi nasze zdjęcia, co oznacza, że w prasie ukażą się nasze nazwiska. — I tu milknę na chwilę.

— Ale...: — Gabe wyczuł, że nie do końca mnie to uszczęśliwia. Już mam go zbyć. że wszystko jest w porządku i nie ma żadnego „ale”, jednak postanawiam się trochę otworzyć. Gabe wydaje się naprawdę przejęty.

— Ale gdy marzyłam o tym, żeby gdzieś kiedyś opublikowano moje zdjęcia, to niekoniecznie miało to być w gazecie, która rozpisuje się na temat Jadę z „Big Brothera” — wyznaję.

— A kim jest Jadę z „Big Brothera”?

— No właśnie.

Bynajmniej niezbity z tropu Gabe macha przed moimi oczyma torebką z czekoladkami.

232

bardziej od tych z niebieską i różową galaretką w środku.

— Bomba. Bo ja właśnie za tymi nie przepadam. Na twarzy Gabe'a maluje się zdziwienie.

— Rany, a ja nie mogę się od nich oderwać. Za to nie znoszę kokosowych.

Na to ja wyjmuję jedną kokosową czekoladkę.

— Mmm, a ja je uwielbiam.

— No to chyba dobraliśmy się idealnie, jeśli chodzi o konsumpcję tej oto torebki.

Rozgryzając w buzi pomadkę, kiwam głową radośnie:

— Chyba tak.

Przez chwilę uśmiechamy się do siebie, a mój ponury nastrój na chwilę ustępuje. W Gabie wkurzające jest czasem właśnie to: nigdy nie pozwala mi się nad sobą uzalać ani narzekać, jak to my, Brytyjczycy, mamy w zwyczaju. On jest zawsze do wszystkiego pozytywnie nastawiony. To chyba kwestia amerykańskiego podejścia do życia.

— Wobec tego o czym marzysz? — pyta. — Gdzie chciałabyś, by opublikowano twoje zdjęcia?

Rumienię się zakłopotana. Nikt nigdy mnie o to nie pytał.

— No więc? — Gabe nie daje za wygraną.

Choć marzę o tym od czasów, gdy byłam nastolatką, to dziwnie mi się do tego przyznać.

— „Sunday Herald” - wyrzucam z siebie cicho. A że Gabe nie wybucha śmiechem, nabieram nieco pewności siebie. — Chciałabym, żeby moje zdjęcia były na pierwszej stronie—ciągnę i wracam pamięcią do niedzielnych poranków w Kornwailii, kiedy to Lionel okupował dział poświęcony sztuce, Ed chował się za stronami ekonomicznymi, a ja przeglądałam kolorowy dodatek.

— No to dlaczego się do nich nie zgłosisz? — pyta Gabe, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie.

333

— Czy ty masz pojęcie, jak ciężko się tam dostać? Każdy fotograf na świecie chciałby u nich pracować. Ja staram się o to od lat.

— To czemu nie spróbujesz raz jeszcze? — nalega Gabe, przytulając Billy'ego Smitha, który teraz leży zwinięty na jego kolanach i mruczy z zadowoleniem.

Powoli tracę cierpliwość. Jako Amerykanin Gabe najwyraźniej nic ma pojęcia, jak ciężko jest w ogóle dopchać się na rozmowę kwalifikacyjną do „Sunday Herald”, a co dopiero dostać tam pracę.

— A po co? Po to tylko, żeby dostać list odmowny?

— Niekoniecznie. Może tym razem będzie inaczej. Może tym razem będziesz mieć szczęście.

Spoglądam teraz na Gabe'a i nie wiem, czy sprawiło to coś w jego głosie czy wyrazie twarzy, ale mam wrażenie, jakby ktoś zapalił mały płomynek nadziei w moim sercu.

Oczywiście. Tym razem jest inaczej. Może tym razem wypowiem życzenie, żeby zdobyć tę pracę?

I wtedy dostrzegam szczęśliwy wrzos leżący obok mojego komputera. Dziwne.

Jestem pewna, że przedtem go tam nie było. Ale nie zastanawiam się nad tym zbyt

długo, gdyż podekscytowanie bierze górę. Oczywiście. Dlaczego, do licha, nie pomyślałam o tym wcześniej? Skoro mogę marzyć o takich błahostkach jak miejsce parkingowe czy wyprzedaż butów w markowym sklepie i marzenia te się spełniają, to czemu by sobie nie zażyczyć czegoś poważniejszego? Czegoś, o czym marzyłam od dziecka? X a p r z □ k i a d p □ □ □ □ w „S u n d □ □ H e r a l d”?

— Dobra. To co powinnam im napisać? - Otwieram nowy dokument w Wordzie i zaczynam stukać w klawiaturę. - Szanowni Państwo...

Gabe, widząc mój entuzjazm, uśmiecha się szeroko.

— Napisz, że jesteś genialnym fotografem i musieliby upaść na głowę, żeby cię z miejsca nie zatrudnić.

2 34

— No co ty, nie mogę tak napisać.

— Heather, w tym biznesie nie ma miejsca na skromność. — Pogania mnie ręką, żebym pisała. — Podyktuję ci...

I dyktuje. Wędruje po pokoju, pocierając swój szczecinia-sty podbródek, podczas gdy ja siedzę pochylona nad komputerem i zapisuję jego słowa. Aż wreszcie kończę list, w którym moim zdaniem aż roi się od przechwałek, ale według Gabe'a to tylko „sprzedawanie siebie”.

Już ma wybuchnąć między nami sprzeczka, kiedy rozlega się dzwonek u drzwi.

— Spodziewasz się kogoś? — Gabe poprawia okulary i wygląda w stronę drzwi wejściowych, jak gdyby posiadał umiejętność widzenia przez ściany.

— Nie, nie mam pojęcia kto to — odpowiadam, podnosząc się. Ale Gabe mnie powstrzymuje.

— Nie, wydrukuj list i podpisz go. Ja się tym zajmę. — Odkłada kubek obok łóżka i tuląc Billy'ego Smitha do piersi, wychodzi bosy na korytarz. Odwracam się do komputera i słyszę jego krzyk: „To pewnie kolejne kwiaty!”, a potem śmiech, gdy otwiera drzwi. Nie zwracam już na to uwagi. Cursor mruga na mnie z ekranu, więc koncentruję się na tym, jak zakończyć ten list. „Z poważaniem” czy „Z wyrazami szacunku”? Nigdy nie wiem, co lepsze. Wybieram jedną z opcji i obserwuję, jak drukarka wypluwa mój list, a wtedy dociera do moich uszu:

— Heather?

W drzwiach mojego pokoju stoi James ze ściągniętymi brwiami, a jego oczy szukają moich, domagając się wyjaśnień.

— James? Co ty tu robisz? — pytam, a potem nagle doznaję olśnienia. Nasza romantyczna kolacja. Boże. Jak mogłam zapomnieć?

— Czekałem na ciebie. Zaczynałem się poważnie niepokoić — oświadcza James urażonym tonem, a tymczasem ja

235

siedzę na krześle zupełnie nieruchoma i oniemiała z szoku, jaki wywołało jego przybycie. A zaraz potem przypominam sobie, że mam na sobie kosmatą kraciastą piżamę i włosy upięte w palmę na czubku głowy. I aż podskakuję na krześle z przerażenia.

— Przepraszam, ale... — już mam opowiedzieć Jamesowi o moim poszukiwaniu pracy, kiedy zmieniam zdanie. — Zresztą nic, nieważne. — Zamykam laptopa i uśmiecham się przepraszająco. - Proszę, rozgość się. Muszę się najpierw ogarnąć. — Staram się unikać kontaktu wzrokowego z Jamesem, gdyż jestem zupełnie bez makijażu, i pokazuję gestem ręki na pokój. Któremu jeszcze kilka chwil temu nie miałam nic do zarzucenia, ale który teraz, gdy próbuję spojrzeć na niego pedantycznymi oczyma Jamesa, wygląda nagle, co uświadamiam sobie z przerażeniem, jak chlew.

- Hm... - James uśmiecha się niepewnie, ale się nie rusza - jedynie jego oczy biegają po pokoju, aż wreszcie wlepia wzrok w podłogę, tuż obok swoich stóp. Gdzie leżą moje wczorajsze stringi, porzucone bezładnie, krocem do góry, na powitanie. I natychmiast przychodzą mi do głowy dwie myśli:

a) Cholera, zapomniałam o nich. A pranie ręczne już robiłam;

b) chciałabym się zapaść pod ziemię.

Przez moment jestem tak przerażona, że nie potrafię wydusić z siebie ani słowa. Z jednej strony James, który przysyła mi bukiety róż i przygotowuje dla mnie kolację przy świecach, a z drugiej strony ja, która mam dla niego w zamian brudne majtki i koszmarne wspomnienia. Spoglądam na niego. Idealnie ogolony, czyściutki i

cudownie pachnący. W tej jasnoniebieskiej koszuli i dżinsach wygląda bosko, jak zwykle.

A ja wyglądam jak nieboskie stworzenie. Gdzie mi do niego? On jest tak czuły, wrażliwy, troskliwy, i po prostu dosko-

236

Ja natom

' Jestem uosobieni

- Mam sklerozę, za i muszę sobie pis przylepnych kartt rzeć.
- Zostawiam na po
- Moja sofa p>
- Nie używa n
- Nie posi
- Czasem się upijam.
- Fatalnie śpiewam karaoke.
- Nie rozmrażałam lodówki od ponad roku i skutkiem tego z mojego zamrażalnika wyrasta góra lodowa, która mogłaby zatopić Titanica.
- Nie mam pojęcia, do czego służą oliwy smakowe, a te, które stoją koło kuchenki i pokrywają się warstwą kurzu, służą po prostu za dekorację.
- Moje kulinarne doświadczenie sprowadza się do wyjmowania dań Marks & Spencer z kartonowego pudełka, przekłuwania celofanu widelcem i wkładania ich do mikrofalówki.
- Z kubka obok mojego łóżka wyrasta pleśń, która przypomina wielką pieczarkę.
- Czasem między kolejnymi zabiegami woskowania okolic bikini wyrywam wrastające włosy łonowe pęsetą.
- Jedno czekoladowe ciasteczko nigdy mi nie wystarczy. Słynę z tego, że pochłaniam od razu całe opakowanie. Albo i dwa.
- Nie potrafię parkować. Za to potrafię się do tego przyznać. Najwyżej feministki mnie ukamieniają.
- Nie noszę skąpej koronkowej bielizny. Zamiast tego zakładam na tylek szare nie wiadomo co z rozciągniętą gumką.

- Mam niezapłacone mandaty za nieprawidłowe parkowanie. Duuużo niezapłaconych mandatów.

- Rzadko bywam na siłowni, a gdy już się tam wybiorę, dociera do mnie głos Jamesa.

Wracam do rzeczywistości i widzę, że James cofa się do drzwi. Chryste, Heather. co ty wyprawiasz? I w chwili gdy zaczynam sobie robić wyrzuty, że wszystko zepsułam, James przydepuje ogon Billy'ego Smitha.

Rozlega się przeraźliwy pisk. Mój kot pręży się, otwiera szeroko pyszczek i zatapia pazury w nodze Jamesa. I wszystko nagle zaczyna się dziać w przyśpieszonym tempie. James drze się wniebogłosy i zaczyna skakać po korytarzu, a ja natychmiast podbiegam do niego i pytam, czy nic mu nic jest. Wtedy pojawia się Gabe ze środkiem dezynfekującym i sprawdza, czy James krwawi. Wygląda to jak gag filmowy, tyle że jak dla mnie nie jest ani trochę zabawny.

Na szczęście dziesięć minut później wszystko się uspokaja i przy bliższych oględzinach okazuje się, że to tylko małe zadrapanie. James jest jednak nieco speszony, że wywołał tyle zamieszania, ale, jak mówi Gabe, krzyczał raczej w wyniku doznanego szoku, a nie z bólu.

— W każdym razie dobrze, że nic ci nic jest - oświadczam, nalewając mu lampkę wina.

James upija tyk.

— Na szczęście, choć te pazur}' są naprawdę ostre. Czy nigdy nie myślałaś, zęby mu je usunąć?

Zamurowuje mnie.

— U s u n ą ć m u p a z u □ □:

— Alhm — kiwa głową James, najwyraźniej nie dojrząwszy przerażenia na mojej twarzy.

□ □

-Ale to przecież okrutne! - protestuję, biorąc na ręce Billy'ego Smitha i przytulając go mocno do piersi. Biedny mały kotek...

— Takie jedno małe okrucieństwo wobec niego wszystkim innym wyjdzie na dobre

— oświadcza James.

— Innym, czyli komu: Albo czemu.' — pytam.

— Chociażby twoim meblom — odpowiada James, wskazując na sofę, której nogi przez lata działalności Billy'ego Smitha zostały pocięte w prążki. — Przecież strasznie je poniszczą.

Spoglądam bezsilnie na solę i czuje, jak moja wizja mnie i Jamesa, żyjących razem długo i szczęśliwie, nagle się rozplywa.

— Ale to przecież stara sofa i kto by się nią przejmował?

— Właśnie widzę, że się nią nie przejmujesz — śmieje się James, siadając na sofie i strzepując kocią sierść, która momentalnie przyczepiła się do jego spodni.

— Chyba nie przepadasz za kotami - stwierdza Gabe, kucając i przywołując Billy'ego Smitha gestem ręki, a ten natychmiast zeskakuje mi z ramion i podchodzi do Gabe'a.

— Ależ nie, uwielbiam zyyierzęta - protestuje James. — A one zwykle lubią mnie.

Ale twój kot jest pewnie zazdrosny, że inny samiec absorbuje twoją uwagę. —

Uśmiecha się do mnie zalotnie.

Zawstydzona tym nieoczekiwanym komplementem na oczach Gabe'a, uśmiecham się z zakłopotaniem. To pierwsze spotkanie Gabe'a i Jamesa i mam wrażenie, że wyczuwam między nimi chłód. Ale może to tylko moja wyobraźnia.

— I wcale mu się nie dziwię — dodaje James, wyciągając rękę i pociągając mnie na swoje kolana. Przebiega mi przez głowę myśl, że zachowanie Jamesa może się yyydawać nieco zaborcze. Ale ja oczywiście dobrze wiem, że to nie o to chodzi.

— Heather, wychodzę. Mam wystać te listy za ciebie? — Gabe wstaje i unosi brwi pytająco.

?40

— Rachunki i takie tam - rzucam od niechcienia i zaraz zaczynam się zastanawiać, dlaczego nie powiedziałam mu prawdy. W końcu nie powinniśmy mieć przed sobą tajemnic, co nie? Ale z drugiej strony nigdy nie mówiłam Jamesowi o swojej pracy ani nie zwierzałam mu się ze swoich ambicji. Nie żeby nie okazywał żadnego zainteresowania tym, co robię. Wręcz przeciwnie. Po prostu gdy mnie o to zapytał, czułam się tak onieśmielona jego sukcesami w życiu zawodowym, że omijałam ten

temat.

— Chwila. List jest w moim pokoju, skoczę po niego. -Schodzę z kolan Jamesa i idę do siebie, biorę list, wkładam go do koperty, adresuję ją, a potem kieruję się do korytarza, gdzie czeka na mnie Gabe.

— Dzięki — szepczę, wręczając mu kopertę.

— Nie ma sprawy.

— Heatherr — głowa Jamesa pokazuje się w drzwiach i jego wzrok wędruje ode mnie do Gabea. — Możemy już iść'

Oblewam się rumieńcem. Nie wiem czemu, ale czuję się tak, jakbym właśnie została przyłapana na gorącym uczynku.

— Jasne! Rany, która już jest godzina...

-A zatem bawcie się dobrze! — Gabe otwiera drzwi wejściowe. — Miło cię było poznać, James.

— Mnie również, Dave.

— Gabe — poprawiam go.

— Przepraszam, Gabe — rzuca James, obejmując mnie w pasie, gdy Gabe znika nam z oczu.

Spoglądam na niego podejrzliwie. Czy zrobił to specjalnie.'

— Idziesz w tym stroju? - James mierzy mnie wzrokiem i przypominam sobie, że wciąż jestem w piżamie.

241

— Ach, rzeczywiście... - Co się ze mną dzieje?! — To zajmie chwilę — dodaje pośpiesznie. Cholera, chciałabym mieć czas, żeby wziąć prysznic i umyć głowę. Wyglądam kos/marnie.

— Nic przejmuj się, mogę poczekać — mówi wtedy James.

— Ale myślałam, że...

Możesz się przygotowywać tak długo, jak tylko zechcesz. — Całuje mnie w policzek i wraca do salonu.

□□ □ długo jak zechcę? Spoglądam na niego z niedowierzaniem. O tym marzy chyba każda kobieta. Więc pozbywszy się wszelkich trosk, zmierzam do łazienki,

żeby wziąć prysznic i odpowiednio się przygotować. W końcu czeka mnie romantyczna kolacja, prawda?

24

Zaraz po wejściu okazuje się, że mieszkanie Jamesa oświetlone jest blaskiem świec, duży dębowy stół nakryty jest dla dwóch osób, a szampan czeka na nas w wiaderku z lodem. Rany, jakie to romantyczne — zupełnie jak w książkach i na filmach. Ale gdy James bierze ode mnie płaszcz, odsuwa krzesło i otwiera szampana, którym okazuje się veuve clicquot, czuję, że to chyba trochę za dużo.

— Wznieśmy toast — oświadcza James, podając mi j)ćłcn kieliszek.

Gładzę fragment sukienki, który ominęło żelazko, i spoglądam na Jamesa. Stuka kieliszkiem o mój i wpatruje się we mnie namiętnie.

— Za nas — oświadcza czule.

Wiem, że i to powinno mnie zachwycać swoim romantyzmem. Ale zamiast tego cała ta sytuacja wydaje mi się nieco pompatyczna.

— Za nas - szepczę. Nagle nachodzi mnie ochota, żeby się roześmiać. Strzelić jakiś głupi dowcip, który nawet nie jest zabawny. Tak jak to robił Gabe pewnego wieczoru, gdy oglądałam To właśnie miłość na DVD i musiałam go uciszać, rzucając w niego poduszką.

— A więc — zaczyna James, dotykając mojego policzka — podobały ci się róże?

243

— Są piękne — odpowiadam, próbując odsunąć od siebie wszystkie myśli związane z Gabe'em i jego koszmarnymi dowcipami, które chodzą mi teraz po głowie. -

Zostawiłam ci wiadomość. Nie odsłuchałeś jej?

— Odsłuchałem — uśmiecha się James. — Ale chciałem się upewnić. — Po czym dotyka ustami mojej szyi.

— Aha — szepczę, stojąc bez ruchu, bo ochota na śmiech przeszła mi zupełnie.

Trzeba przyznać Jamesowi, że ma zdumiewający talent całowania mnie dokładnie tam, gdzie... Oooch. Gdy jego usta muskają skórę pod moim podbródkiem, bezwstydnie przechylam głowę i czekam na więcej.

— Ponieważ zauważyłem przypadkiem... — zaczyna James.

Bąbelki szampana cudownie musują mi na języku, a usta Jamesa wędrują delikatnie po moich policzkach, znacząc je miękkimi, delikatnymi pocałunkami. Przemykam powieki i czuję, jak odpływam.

— ... że przesłali tylko dziewięć róż. Nagle otwieram oczy.

— A ty nie zauważyłaś" — pyta James z zatroskaną miną. Nie do wiary. Z a u w a z □ ł.

— Yyy... nie, nie sędzę.

Cały czas mam odchyloną głowę i wpatruję się teraz wzwyż.

— Tak. z całą pewnością było ich tylko dziewięć — odpowiada James, całując znowu moją szyję, tyle że teraz raczej mnie to drażni, niż podnieca. - Liczyłem je, gdy się ubierałaś. Jutro zadzwonię z tym do kwiaciarni.

— Nie, nie. Po co? To przecież bez znaczenia. — Sama nie wiem, co jest gorsze: to, że James chce zadzwonić z tym do kwiaciarni, czy to, że liczył kwiaty. Odsuwam się, by sięgnąć po butelkę szampana, po czym napełniam kieliszek, ale robię to zbyt szybko, przez co szampan przelewa się i spływa po ściankach kieliszka.

24J

— Ale przecież zamówiłem dwanaście róż - kontynuuje James, szybko łapiąc serwetkę i przyciskając ją do kieliszka, żeby wytrzeć to, co się wylało.

— Nie przejmuj się, dostałam ich przecież od ciebie mnóstwo. — Ściskam go za ramię.

— Wiem, ale nie w tym rzecz — odpowiada James, rzucając się na podłogę i gorączkowo wycierając dywan, chociaż jestem pewna, że aż tyle nie wylałam. To była przecież tylko odrobina. - Nie wysłała się dziewięciu kwiatów - mruczy.

— Dlaczego by nie? — pytam, siląc się na żartobliwy ton. Biorę kolejną starannie złożoną serwetkę ze stolika i schylam się, by mu pomóc, ale James odsuwa mnie, mówiąc, że jestem gościem. Dziwnie się z tym czuję i, zanim zdążę pomyśleć, pytam:

-A kto w ogóle wymyślił, że to musi być dwanaście róż? Co jest nie tak z dziewięcioma?

— Po prostu tak się nie robi — odpowiada James zdezorientowany, jak gdybym

próbowała podważyć jakąś uniwersalną prawdę, mówiąc na przykład, że Ziemia jest płaska albo że mężczyźni potrafią robić kilka rzeczy na raz. — Są pewne zasady.

Zasady czego? Jak przebiega romans?

Spoglądałam na Jamesa kucającego na podłodze i ogarnia mnie nagle wrażenie, że cały mój system wartości drży w posadach. Spędziłam całe swoje życie, spotykając się z nieromantycznymi mężczyznami, marząc, by dostawać kwiaty i jadać kolacje przy świecach, a teraz, gdy spoglądam na świece na stole, na chłodzącego się szampana, lśniące kieliszki, których nieskazitelne piękno psują jedynie nasze odciski palców, to wcale nie wydaje mi się to romantyczne, a te wszystkie zasady i cała ta formalność robią na mnie wrażenie nieco sztucznych.

245

— James, nie mówmy już o tym, dobrze? — Uśmiecham się delikatnie, wyciągając serwetkę z jego ręki i zastępując ją kieliszkiem szampana. - Niech ten incydent nie psuje nam wieczoru.

— Masz rację. Przepraszam, kochanie. — James podnosi się i odgarnia włosy z mojego czoła. — Chciałem tylko, żeby wszystko dla ciebie było doskonałe.

— I wszystko jest doskonałe — zapewniam go i zakładam mu ręce na szyję. Ma tak smutną minę, że chcę go jakoś pocieszyć. — Wiesz, jutro rano wybieram się do Kornwalii. Mamy tam nasze doroczne spotkanie rodzinne i zastanawiam się, czy chciałbyś ze mną pojechać?

Rodzinne spotkania są dla wielu mężczyzn koszmarem, ale nie dla Jamesa — jego twarz natychmiast się rozjaśnia.

— Mamy mały domek w Port Isaac, nic specjalnego, ale jest naprawdę uroczy — kontynuuję. — Położony jest na szczycie wzgórza.

— Brzmi fantastycznie. Już nie mogę się doczekać. - James obejmuje mnie, a potem spogląda na mnie poważnie. — A więc poznam jutro twoich rodziców?

— Och, nie przejmuj się, to takie kameralne spotkanie -staram się go uspokoić, podejrzewając, że się wystraszył.

Ale najwyraźniej źle go zrozumiałam: James wydaje się jeszcze bardziej podekscytowany.

— Bardzo chciałem ich poznać - odpowiada, całując mnie w czubek nosa.

— Poważnie? Hurra!

— Oczywiście. A moi nie mogą się doczekać, żeby poznać ciebie.

— Naprawdę?

-1 to jeszcze jak! Tyle im o tobie opowiadałem... Może pojechalibyśmy w przyszłym tygodniu do Kentu, aby ich odwiedzić ?

246

Nie wiem, co powiedzieć. Boże, to wszystko robi się takie poważne. I dzieje się stanowczo za szybko — słyszę w myślach ostrzegawczy głos.

— Co ty na to?

— Jasne. — Ogarnięta paniką na myśl, że miałabym poznać jego rodziców, upijam spory łyk szampana, by uciszyć swoje lęki. - Brzmi fantastycznie!

Reszta wieczoru upływa nam na jedzeniu, piciu i słuchaniu muzyki. James jest fantastycznym kucharzem, przygotował ostrygi, risotto z dynią i własnoręcznie zrobiony przepyszny sorbet z marakui, a do tego wszystkiego trzy różne rodzaje wina. Tak więc w chwili gdy kolacja się kończy i James prosi mnie do tańca, jestem już nieco pijana.

— Ale wypadaloby włączyć muzykę — chichoczę po pijacku. James bierze pilota i wymierza go w wieżę.

— Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem — mruczy.

Gdy płyta w środku zaczyna się obracać ze świstem, James przyciąga mnie do siebie i obejmuje mocno w pasie. No, to już jest stuprocentowo romantyczne.

Splatając swoje palce z jego, kładę głowę marzycielsko na jego piersi i czekam na pierwsze dźwięki muzyki, którą wybrał. Pewnie coś delikatnego, jak Simon & Garfunkel, albo jakiś romantyczny standard jak Something George'a Harrisona — mój faworyt.

Piosenka zaczyna się wreszcie i zamykam oczy. Poznają te dźwięki. Brzmia znajomo, jak...

Nieruchomieję. Nie. To niemożliwe.

A jednak.

Wet, Wet, Wet.

Gdy James prowadzi mnie w tańcu po salonie, słyszę przerażona, że dołącza do wokalisty i śpiewa o tym, co czuje w swoich paluszkach. Tych u rąk i nóg. Czy to ma być dowcip?

247

— Bardzo lubię słowa tej piosenki, a ty?

Czy on na głowę upadł? Otwieram oczy i napotykam poważny wzrok Jamesa.

— Mhm - kiwam głową. Bo co mam powiedzieć? Ze ten zespół jest straszliwie banalny? Staje mi przed oczyma Marti Pellow z szerokim uśmiechem na twarzy.

— Pomyślałem właśnie, że ci się spodoba — mówi James. — To może być teraz nasza piosenka.

O. Mój. Boże. Z zakłopotania wykrzywiam twarz, a nogi robią mi się jak z ołowiu. Ta piosenka zdaje się nie mieć końca, a uwodzicielski nastrój szybko się ulatnia. Jeszcze chwila i zniknie zupełnie.

Gdy tak snujemy się w tańcu po pokoju, czekam z nadzieją na następny ruch Jamesa. Kolacja, szampan, muzyka... Pewnie według zasad następna na liście jest sypialnia. Nie mogę się już doczekać. Myślę tylko o tym. Aż wreszcie mam już po dziurki w nosie Martiego Pellowa i postanawiam przejąć inicjatywę, kieruję więc Jamesa do sypialni i zaczynam rozpinać mu koszulę.

Na szczęście łapie w lot, o co mi chodzi, i teraz ściągamy z siebie nawzajem ubrania, aż wreszcie leżę naga na jego ogromnym łóżu, a James... No właśnie, gdzie jest James?

Otwieram z trudem oczy i przez kilka sekund mój wzrok przystosowuje się do ciemności. I wtedy go dostrzegam. Jak stoi obok łóżka. Z członkiem w erekcji. I składa nasze ubrania.

— James, czy musisz to robić teraz? — pytam, podnosząc się na rękach.

— Momencik, kochanie, już kończę.

Spoglądam na niego z niedowierzaniem. Leżę na jego łóżku. Naga. Rozgrzana. I gotowa na seks. A mój facet zwija skarpetki w małe kulki. Urażona, zakrywam biust rękoma

i obserwuję, jak James bierze moją sukienkę, którą rzuciłam na podłogę, i wiesz ją na wieszaku. No wiecie co? Czysty i schludny to jedno — ale to już chyba przesada...

— Zrobione.

Podchodzi do łóżka, kładzie się nagi obok mnie i obejmuje mnie w pasie.

— Na czym skończyliśmy?

Mam ochotę postroić sobie fochy—w końcu człowiek masie prawo obrazić, gdy schodzi na drugi plan, bo czyjeś gacie wydają się ważniejsze - ale ciężko się gniewać, gdy James całuje rozkosznie erogenne strefy za moimi uszami — powoli, łagodnie, delikatnie. Wydaję z siebie jęk. Mmm, to niesamowite — to mogłoby trwać wiecznie.

Poddaję się zupełnie doznaniom, jakie wywołują jego pocałunki na mojej szyi, i zamykam oczy. O rany, chyba umarłam i poszłam do raju gry wstępnej. Czuję, jak jego sztywny członek ociera się o moje udo. Sięgam do niego, ale James odpycha moją rękę i zasypuje mój brzuch drobnymi pocałunkami.

Urocze jest to, jak się ze mną drażni, uśmiecham się więc i czekam. Ale po chwili moja ręka znów wędruje w tamte rejony.

— Po co ten pośpiech? — szepcze James, odpychając ją znowu, tyle że tym razem bardziej zdecydowanie.

No dobra. Leżę więc bezczynnie, a on dalej wędruje rękami po moim ciele i całuje moje sutki. Ech, to niesamowite... To fenomenalne... To...

Tłumię ziewnięcie.

Nieco nudne.

Sama jestem ogromnie zaskoczona tą myślą. Nigdy nie sądziłam, że można mieć dosyć gry wstępnej. A jednak można — uświadamiam sobie, wysyłając mu całym ciałem sygnały, żeby się pośpieszył. James konsekwentnie ignoruje mnie i teraz muska ustami moją twarz.

Więc znowu przejmuję inicjatywę.

— Hm, gdzie są prezerwatywy? — mruczę, gdy James zanurza twarz w moich piersiach. Nie do końca to subtelne z mojej strony, wiem, ale co ma u licha zrobić

dziewczyna, by dostać trochę bzykanka?

Ale James nie łapie mojej wskazówki, tylko mruczy:

— Ciii... — I zaczyna zabawnie łaskotać rzęsami moje sutki.

Rzucam okiem na błyszczący w ciemności wyświetlacz zegarka. Jest prawie druga w nocy. Jesteśmy w sypialni od ponad godziny.

— Mmm, cudownie pachniesz — jęczy James przytłumionym głosem, kryjąc twarz w moich włosach i tuląc mnie do siebie.

— Mmm, ty też — mruczę w odpowiedzi.

To może pora wreszcie, żebyśmy przeszli do rzeczy?— błagam w myślach, przyciskając swoje ciało do jego i próbując odpowiednio ustawić biodra. Zwykle to działało, ale teraz James tylko tuli mnie do siebie i przez chwilę tak sobie leżymy.

Przytulając się.

Próbuję znaleźć dobre strony tej sytuacji. Przecież tak trudno spotkać faceta, który lubi się przytulać: normalnie wystarczy, że im stanie, od razu jest fiku-miku i po krzyku. Ale nie z Jamesem. James uwielbia przytulanie. Ostatnim razem, gdy spaliśmy z sobą, obejmował mnie całą noc. Szczerze mówiąc, było mi trochę ciężko spać tak jak lubię, czyli na brzuchu i z rozwalonymi nogami, i następnego dnia czułam się tak zmęczona, że podsypiałam w pracy — ale jednak było to bardzo romantyczne. Obudzić się w ramionach ukochanego. Z idealnie ułożonymi włosami i makijażem. Czy nie tak jest na filmach?

Chociaż mój makijaż nie był idealny. Szczerze mówiąc, gdy się obudziłam, cały tusz był rozmazany na tych jego eleganckich poduszkach.

250

— Heather? — jak z oddali dochodzi mnie głos Jamesa. — Spisz? — Kręcę sennie głową. James milknie na chwilę, ale gdy odpływam, słyszę znowu jego głos: — Kocham cię.

Odwracam gwałtownie głowę w jego stronę. Ogarnia mnie panika. Nie aż taka straszna, po prostu taka sobie — zresztą to pewnie zupełnie normalna reakcja, gdyż nie jestem przyzwyczajona do mężczyzn, którzy pierwsi wyznają mi miłość. Zwykle trafiałam na emocjonalne kaleki, które miały problemy z wyrażaniem uczuć.

Tak, to chyba dlatego tak się przeraziłam i poczułam, jak gdyby ktoś mnie zamknął w ciasnej klatce. Tak, to pewnie przez to, że nie jestem przyzwyczajona, a do tego ta ciepła kołdra i ciało Jamesa... to przez to ciężko mi oddychać.

Wyplątnę się nieco z jego objęć i odsuwam kołdrę, by złapać trochę powietrza. O, teraz lepiej. Przestaję się wiercić i spoglądam uwodzicielsko na Jamesa, tyle że on nie odpowiada mi uśmiechem.

I wtedy do mnie dociera: on czeka na odpowiedź.

O kurwa. Ja tu czekam na seks, a James wyznaje mi miłość. Teoretycznie powinnam być zachwycona. Nieziemsko szczęśliwa. Skakać z radości. W końcu o tym marzyłam i tego pragnęłam. Ale najdziwniejsze jest to, że wcale nie jestem zachwycona. Czuję się raczej przytłoczona. Naprawdę lubię Jamesa. Podoba mi się, i to bardzo. Jest taki miły i uroczy i ostatnią rzeczą, jakiej pragnę, jest zranienie jego uczuć.

Ale?

Ale ty go nie kochasz, Heather.

Gdy tylko słyszę w środku ten głos, ogarnia mnie przerażenie. Nie, to nieprawda. James ma wszystko to, czego szukałam w facetach. I co z tego, że to dopiero... szybko liczę dni. Tydzień?

251

25

— (id/ie jesteś- słyszę oskarżycielski głos I □ la w słuca w ce, która prz\' □/□ □□□ podbródkiem.

— Hm, niedaleko odpowiadam wymijająco.

Siedzę / zapuchiuetvmi oczami na lo/ku i wpycham rzeczy jak popadnie do skórzane] torln. [csl sobota, pi i James mieliśmy w\ jechać wczesnym rankiem do Kornwaln na moje rod/inne spotkanie i zgodnie z planem powinniśmy być na miejscu spoglądam / przerażeniem na zegarek - dziesięć minut Kinu.

O cholera.

Pod czaszk;i ' upnc/c mi cale stado białych mew. (Micjmujc. rękami pulsującą głowe i biorę kilka głębokich wdechów. Powiedziałam „powinniśmy”, po me w a/ nie

uslyszehśim budzi ka. a tera/ |est prawic pora lunchu.

— \ie mozesz tego określic dokladniej" b.d niecier) domaga sic pełniejszej odpowiedzi.

— Och, /nasz □□□ śmieje sic w stylu: „o, ia głupia . Mam kiepska i >nent renie.

Bzdura. Mam w gl udowam kompas. Ale pr/

nie mogli pod.u balowi swoich namiarów i:()ii|«

myśli, ze i ś □□ auti >si radzie, a m na

czworak,- oko] ; -/nk.ini suszarki do włosów.

- Jakie jest najblizsze miasto5

- Yyy... Brighton — rzucam pierwszą lepszą nazwę, jaka przychodzi mi do głowy.

- Brighton5! Przeciez to jest cholernie daleko! — krzyczy Ed. — Co robilas przez cały ten czas2

Bzykalam się — mam ochotę odpowiedziec, ale własn timer zauwazam suszarkę pod szafą, więc rzucam sluchawkę, mruzcąc:

— Czeka j chwile, muszę zmienić biegi.

Lezac na brzuchu, siegam pod szate, a gdy się spod niej wyłaniam, słyszę marudzenie Eda po drugiej stronie sluchawki, przytlumione przez moją kołdrę:

— ... Rozmawiasz podczas jazdy1 Nie masz wolnych rąk? Na pewno jesteś świadoma, ze rozmowa przez telefon podczas prowadzenia samochodu jest niedozwolona...

Gdy Ed zaczyna swój kolejny wyklad, zaczynam przekopywać się przez bezładną plataninę, jaką stanowi moja szuflada z bielizną, ale poddaję się. Trudno. Za bardzo boli mnie głowa, żeby m próbowała znaleźć cokolwiek, co mi pasuje, wyciągam więc szufladę i wyrzucam całą jej zawartość do torby.

— ... policja jest teraz surowa wobec tych, którzy łamią przepisy, wlepia im wysokie mandaty i punkty karne, więc nie sądzę...

Głos Eda jest naprawdę przejęty. Postanawiam więc mu tego oszczędzić. I sobie również.

— Dobra, dobra, Ed, uspokój się — mówię, podnosząc sluchawkę. — Nie musisz się

martwić. Nic prowadzę.

— Żartujesz: - prycha Ed. - A może siedzisz teraz w pociągu ?

O Boże. nie powinnam była zaczynać z tymi niewinnymi kłamstewkami. To zawsze pakuje cię w kłopot}, Heather — przypomina mi wewnętrzny głos. I staje mi przed oczyma ostatnia noc. W łóżku z Jamesem. Jak mówię mu, że go kocham. Robi mi się teraz tak cholernie głupio. Boże, po co ja to

254

bą za dużo ciuchów, potem nienoszouych, i dla którego pod czas trzech ostatnich podróży samolotem musiałam płacić /a nadbagaż. Powinnam się uczyć od Jess. Jako stewardesa jest mistrzynią w minimalistycznym pakowaniu. \a podróż w \siarczą jej dwa białe podkoszulki i para czarnych wygodnych spodni. Z rozpaczą spoglądam na moją przepełnioną torbę. Przecież wyjeżdżam tylko na weekend, a spakowałam już kilkanaście bluzek i cztery pary spodni. □, i wypadałoby jesz cze wziąć jasnoniebieskie sztruksy, bojówki i białe džinsy.

255

których nigdy nie nosiłam, gdyż nie jestem pewna, czy dobrze w nich wyglądam. Próbuje łyżką do butów upchać je w rogu obok kosmetyczki. Hm, chyba jeszcze nie nabrałam odpowiedniej wprawy.

— ... I mam nadzieję, że weźmiesz samochód z wypożyczalni, zamiast brać swój. On nie jest specjalnie bezpieczny, Heather. Najlepiej by było, gdybyś poszła po rozum do głowy i wreszcie go sprzedała. Po co ci sportowy samochód w Londynie, skoro i tak przeważnie jeździsz autobusami5 To przecież bez sensu.

— Pojadę samochodem mojego chłopaka — rzucam bez zastanowienia. Boże, jakie to dziwne. To pierwszy raz, kiedy wyraziłam się o Jamesie „mój chłopak”, i trochę dziwacznie się z tym czuję: jak wtedy, gdy po raz pierwszy zakłada się nowe buty. Ale z pewnością się do tego przyzwyczaję. Weźmy na przykład te satynowe szpilki. Czar nowości juz prysi i teraz są dla mnie jak para starych kapci.

Łapię się na tym, że myśl, iż wkrótce zacznę traktować Jamesa jak stare kapcie, nie jest mi miła, ale raczej niepokojąca -ale to, że mnie to niepokoi, to chyba dobry znak. - I będziemy się zmieniać za kierownicą - dodaję pośpiesznie. Siadam okrakiem na

starej, podniszczonej torbie i skaczę po niej, by wszystko upchać. — I nic jest to sportowy samochód, ale bardzo bezpieczny rangę rover.

Czekam na jego reakcję, ale w telefonie zapada zupełna cisza.

- Ed, jesteś tam?

Dochodzą mnie przytłumione szepty po drugiej stronie słuchawki. Widzę oczyma wyobraźni, jak przekazuje najświeższe wieści całej rodzinie, zgromadzonej wokół telefonu, ciekawej, w co tym razem wpakowała się ta wariatka Heather. Ogarnia mnie złość. Kie jestem w stanie usłyszeć, co mówi,

256

Tak myślałam.

— Ale mnie tam nie ma — oświadczam z werwą, wkładając stopy do błyszczących sandałów. - I dlatego nie zamierzam tu stać i rozmawiać z tobą przez cały dzień, Ed. Bo macze] nigdy tam nie dotrę. — Po czym się rozłączam i zadowolona z siebie uśmiecham się szeroko, ponieważ nareszcie udało mi się powiedzieć ostatnie słowo w rozmowie z moim bratem.

Dziesięć minut później nie jestem już taka pewna siebie.

— Nie możesz jechać? — jęczę, bo James właśnie oświadcza mi, że musi nagle lecieć do Paryża na kryzysowe rozmowy z pewnym ważnym klientem i w żaden sposób nie może się z tego wypłatać.

— Wiem, co czujesz. Ja też jestem rozczarowany, kochanie. Naprawdę chciałem poznać twoją rodzinę.

No tak. Moja rodzina. Na myśl o niej robi mi się słabo. O Boże, mój brat przez ten weekend będzie nieznośny. Podobnie jak Rosemary. Zegnam się z Jamesem i sięgam zrezygnowana po klucze do swojego samochodu, leżące na parapecie obok gałązki wrzosu.

Gdy mój wzrok na nim spoczywa, przystaję na chwilę i robi mi się ciepło na sercu. Obserwuję z zachwytem snop światła słonecznego, który wpada przez drewniane żaluzje i oblewa małe białe kwiatuszki jasnym blaskiem. Sama nie mogę uwierzyć, jak długo się trzyma. Można by to przypisać mojej opiece — teraz stoi w kieliszku na jajka, w którym często wymieniam wodę — ale biorąc pod uwagę mój „dar” do

pielęgnacji kwiatów, sprawiający, że nawet zwykła zielistka, która ma nieszczęście się ze mną spotkać, momentalnie schnie i brązowieje,

257

oraz to, że zamordowałam swoją orchideę, umieszczając ją w nasłonecznionym miejscu, jest oczywiste, że działa tu jakaś wyższa siła.

Można by to nazwać szczęściem.

A l e j a w o l e n a z w a ć t o m a g i ą.

I wtedy dzieje się coś niezwykłego. Stoję w małym kręgu światła rzucanym przez promienie słoneczne i rozkoszuję się ich delikatnym ciepłem, kiedy nagle staje się ono silniejsze, tak że prawie parzy i ciepło to przepływa przez moje ciało. A do tego ogarnia mnie przedziwne uczucie. Mam wrażenie, jakbym... była podglądana.

Odruchowo spoglądam w okno, spodziewając się jednak, że niczego tam nie zobaczę i że wyjdę sama przed sobą na idiotkę. Ale gdy wyglądam przez szpary w żaluzjach, mój wzrok napotyka błyszczącą hipnotycznie parę szmaragdowych oczu. Dreszcze przechodzą mi po całym ciele. Bo oczy te wydają mi się znajome. Nie, to niemożliwe.

To ta stara CA'ganka.

- Heatherr

Serce mało co nie wyskoczy mi z piersi. Biorę szybko oddech, odwracam się i widzę w drzwiach jakąś [wstać. Przez chwilę jestem taka przerażona, że z trudem rozpoznaję w niej Gabe'a. Ma na sobie kolejne cudo ze swojej garderoby — jasno-pomarańczowy kombinezon i klapki.

— Och... cześć. — Wgłowie mi się kręci od nadmiaru myśli,

oraz to, że zamordowałam swoją orchideę, umieszczając ją w nasłonecznionym miejscu, jest oczywiste, że działa tu jakaś wyższa siła.

Można by to nazwać szczęściem.

A l e j a w o l e n a z w a ć t o m a g i ą.

I wtedy dzieje się coś niezwykłego. Stoję w małym kręgu światła rzucanym przez promienie słoneczne i rozkoszuję się ich delikatnym ciepłem, kiedy nagle staje się ono silniejsze, tak że prawie parzy i ciepło to przepływa przez moje ciało. A do tego

ogarnia mnie przedziwne uczucie. Mam wrażenie, jakbym... była podglądana. Odruchowo spoglądam w okno, spodziewając się jednak, że niczego tam nie zobaczę i że wyjdę sama przed sobą na idiotkę. Ale gdy wyglądam przez szpary w żaluzjach, mój wzrok napotyka błyszczącą hipnotycznie parę szmaragdowych oczu. Dreszcze przechodzą mi po całym ciele. Bo oczy te wydają mi się znajome. Nie, to niemożliwe.

To ta stara Cyganka.

- Heather:

Serce mało co nie wyskoczy mi z piersi. Biorę szybko oddech, odwracam się i widzę w drzwiach jakąś postać. Przez chwilę jestem taka przerażona, że z trudem rozpoznaję w niej Gabea. Ma na sobie kolejne cudo ze swojej garderoby — jasno-pomarańczowy kombinezon i klapki.

- Och... cześć. -W głowie mi się kręci od nadmiaru myśli, gdy pragnę jakoś zracjonalizować to, co przed chwilą widziałam. Czy to naprawdę była...: Czy to mogła być...: Spoglądam nerwowo w okno, szukając odpowiedzi na moje wątpliwości. A wtedy dochodzi mnie miauczenie i miga mi przed oczami kawałek rudej sierści, gdy Billy Smith zeskakuje z parapetu. Mozę więc było to tylko przywidzenie wywołane blaskiem słonecznym:

mruczę, wciąż nieco oszołomiona. Wtykam zdecydowanym ruchem włosy za uszy i staram się wrócić do rzeczywistości. — To znaczy ja jadę. — Siadam przy kuchennym stole i kładę ręce na jego porysowanej drewnianej powierzchni. Wydaje się ciepły i solidny w dotyku. —James miał jechać ze mną. Ale wypadło mu ważne spotkanie - wyjaśniam.

— Aha. — Gabe wpatruje się we mnie przez chwilę, a potem pyta: — Bardzo jesteś rozczarowana?

Myślałam, że tak, ale teraz, gdy się nad tym zastanawiam. moje początkowe rozczarowanie znika i dociera do mnie, że tak właściwie jest mi z tym dobrze. Szczerze mówiąc, im więcej o tym myślę, tym większą odczuwam ulgę. że James i ja odpoczniemy od siebie przez chwilę. Ostatnia noc była urocza, ale pozostał mi po niej pewien niesmak.

— Chodzi o to, że to długa podróż. I z tymi korkami... -dodaję, a wtedy uświadamiam sobie, że mówię dokładnie jak mój brat, więc silę się na żart: — Będę musiała zaopatrzyć się w dużo czekoladek do towarzystwa.

— Zawsze możesz zabrać z sobą mnie. — Gabe śmieje się, ja natomiast stoję zamurowana. - Nie mam żadnych planów na weekend, a mówiłaś, że są tam niezłe lale do surfowania... — ciągnie, szurając przy tym nogami i drapiąc się po nosie. — ... więc pomyślałem sobie... — milknie i czeka na moją reakcję.

Tyle że nic wiem, co powiedzieć.

Gabe2 Miałby spędzić weekend z moją rodziną w Kornwalii2 Wiem, że nie mieliby nic przeciwko temu, ale co powiedziałby na to James.' A zresztą — co miałby powiedzieć2 Gabe i ja jesteśmy kumplami, i wiem, że mu się tam spodoba. I osurtuje sobie, że kornwalijskie babeczki i pobawi się

^59

w prawdziwego turystę. Bo jeśli Hampstead wydaje mu się niezwykle, to na punkcie Port Isaac po prostu oszaleje.

A ty, Heather? Przez chwilę nie myśl o innych. Zastanów się, czego ty chcesz?

Daję więc sobie chwilę na zastanowienie. Nie dlatego, że nie wiem, co zrobić, tylko dlatego, że uważam, że powinnam się zastanowić. Ale znam odpowiedź, a nawet znałam ją, zanim zaczęłam myśleć nad tym wszystkim. Chcę, żeby Gabe ze mną jechał.

— Na pewno ci się tam spodoba — uśmiecham się z zakłopotaniem.

— Genialnie! — wykrzykuje Gabe, wyciągając rękę, żeby przybić mi piątkę.

Niechętnie odpowiadam mu tym samym. Rany, jak ja nie znoszę tego przybijania piątek!

— A czy mogę coś zaproponować2 — pyta. Obraca na palcu kluczyki od mojego samochodu i rzuca je na stół. — Nie przejmuj się korkami. Pojedziemy na motorze.

26

Zaraz chyba umrę.

Śmiertelnie przerażona, trzymam się kurczowo skórzanej kurtki Gabe'a. Lada moment się rozbijemy. Zginiemy w jakimś strasznym wypadku. Zostaniemy tak

zmasakrowani, że trzeba będzie identyfikować nasze zwłoki na podstawie kartotek dentystycznych!

Gdy tak pędzimy po autostradzie, zamykam mocno oczy pod osłaniającym mi twarz kaskiem i obejmuję Gabe'a jeszcze mocniej w pasie. Gdy wyruszyliśmy, kazał mi się dobrze trzymać, więc zarzuciłam mu ręce na szyję (w końcu kazał mi się trzymać, no nie5), ale gdy zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej, powiedział, że wygodniej mi będzie trzymać się tego metalowego uchwytu z tyłu siodełka.

Nie ma mowy. Wygodniej5 Czy on upadł na głowę2 Mam gdzieś wygodę — pędzimy sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę bez pasów, siedzimy na małym skórzanym siodełku i próbujemy się na nim utrzymać, walcząc o przetrwanie. Ale i tak, jeśli przeżyjemy, to ogłuchniemy — stwierdzam z rozpaczą — gdyż silnik ryczy tak potwornie, że mało nie pękną mi bębni. To czysta tortura. Niedobrze mi. W głowie mi się kręci. Całe ciało mi podskakuje. Nerwy mam w strzępach. To przerażające. Śmiertelnie.

261

Gabe przyśpiesza i wyprzedza jadącego przed nami jaguara.

A l e p r z v t v m □ h o l e r n i e e k s c y t u j □ □ □ .

A wtedy nagle rozlega się wycie syreny.

Oglądam się za siebie i widzę policyjny radiowóz pędzący za nami na sygnale.

Cholera. Ukarzą nas za przekroczenie prędkości.

Gabe zjeżdża na pas awaryjny, po czym schodzimy z motoru, a policjant z surową miną wychodzi z radiowozu i zmierza w naszą stronę.

— Czy wie pan, z jaką jechał pan prędkością, młody człowieku : — zwraca się do Gabca.

— Bardzo przepraszam. Nie jestem stąd. Przyjechałem z Kalifornii, by trochę pozwiedzać. — Gabe zaczyna zgrywać niewinnego turystę.

Ale niestety, z członkiem brytyjskiej drogówki nie pójdzie tak łatwo. Mina policjanta robi się jeszcze bardziej zacięta.

— Czy w Kalifornii wolno jeździć sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę2 Szczerze wątpię. - Unosi brew. - Mogę zobaczyć pańskie prawo jazdy i dowód rejestracyjny:

Gabe posłusznie podaje mu swoje prawo jazdy.

— Ale nic mam z sobą dokumentów. Wie pan, mam ten motor dopiero od kilkunastu dni.

Twarz policjanta promienieje triumfem.

— Skoro tak, to będziemy musieli jechać na komisariat. Serce mi staje. O Boże, mandat byłby straszny, ale to już

kompletna katastrofa. W ten sposób nigdy nie dotrzemy do Kornwalii.

Gabe wyraźnie przygnębiony spogląda na mnie i wzrusza ramionami, a potem odwraca się do policjanta, który włącza krótkofalówkę.

lak bym chciała, żeby wypuścił nas z samym ostrzeżeniem...

— Pan Gabriel Hoffman5

262

Policjant oddaje Gabe'owi prawo jazdy.

— Tym razem poprzestanę na ostrzeżeniu. Ale w przyszłości proszę przestrzegać ograniczeń prędkości.

— Bardzo dziękuję — odpowiada Gabe i rzuca mi z ukosa zdziwione spojrzenie.

Udaję, że sama też jestem zaskoczona. — Słyszałem wiele dobrego o brytyjskich policjantach i widzę, że to wszystko była prawda.

Gliniarz o mało nie pęknie z dumy. Już zmierza w stronę radiowozu, kiedy odwraca się i pyta:

— Czy jest pan może hollywoodzkim aktorem: Mam wrażenie, że skądś pana znam.

Gabe rumieni się, a ja tłumię śmiech.

— Nie, obawiam się, że nie — kręci głową Gabe. -Hmra. - Policjant wzrusza ramionami, najwyraźniej

nieprzekonany, a potem zegna nas krótkim skinieniem głowy i pakuje się do radiowozu.

Docieramy do Port Isaac dopiero pod wieczór. Gdy zjeżdżamy z autostrady, (!)abe zwalnia i motor sunie teraz wzdłuż krętych ścieżek z leniwym mruczeniem. Podnoszę osłonę kasku i wdycham głęboko kornwalijskie powietrze. Mmm, jest cudowne.

Pachnie solą, morzem oraz dymem z ognisk i jak zwykle w takich chwilach nachodzą

mnie wspomnienia. To zapach mojego dzieciństwa. Dni spędzanych na zbieraniu muszelek na plaży i wypisywaniu mojego imienia na wilgotnym żółtym piasku. Spacerów po klifach, kiedy to trzymałam rodziców za ręce, a oni, kołysząc mnie, podnosili wysoko do góry, podczas gdy ja piszczałam ze śmiechu i błagałam o więcej. Zabawy w chowanego w drewnianych łodziach rybackich przycumowanych tło brzegu i kłótnie z Edem, który groził, że zdradzi moją kryjówkę.

?n3

Silnik zaczyna huczeć głośniej. Kluczemy teraz wzdłuż wąskich ścieżek biegnących pośród szachownicy pól, gdzie pasą się owce, które na nasz widok podnoszą głowy zaciekawione. Uśmiecham się do nich, a one odpowiadają mi znużonym spojrzeniem. I najwyraźniej zupełnie nie robi na nich wrażenia motocykl prowadzony przez amerykańskiego turystę z rudowłosą miejscową dziewczyną jadącą na tylnym siodełku.

Stopniowo zielone łąki ustępują rzędom kamiennych chatek i gdy tak jedziemy pod górę, mijając kolejne z nich, ogarnia mnie coraz większe podniecenie. Uwielbiam tę część podróży. To takie samo uczucie, jak przy odpakowywaniu prezentu, gdy człowiek nie może się doczekać, by sprawdzić, co jest w środku. Bo wiem, że za chwilę po raz pierwszy zobaczymy morze. Obejmuję Gabe'a mocno. Mam ochotę pokazać ręką i zdradzić mu, co zaraz ujrzy. Ale powstrzymuję się, choć z trudem. Nie chcę mu zepsuć niespodzianki.

A teraz wjeżdżamy na szczyt wzgórza i oto jest. Srebrzy-stoniebieskie pasmo w białym klinem w horyzont.

— Juhuuuu! — głos Gabe'a rozchodzi się na wietrze. Morze rozciąga się przed nami jak scena w teatrze przed spektaklem — coraz szerzej i szerzej, aż wypełnia cały horyzont. Skłębione grzbiety tal mieniają się na różowo, czerwono i pomarańczowo w promieniach zachodzącego słońca.

Gabe zatrzymuje się na poboczu i wyłącza silnik. Motocykl cichnie.

Zdejmuję kask z głowy i otrzepuję włosy. W uszach mi dzwoni. Po hałasie silnika wydaje się tu teraz niezwykle cicho.

— Niesamowite!

Gabe podchodzi do krawędzi klifu i wpatruje się w horyzont. Odrętwiała gramolę się z motoru i zmięram w jego stronę. Stoi zupełnie nieruchomo i nie porusza się nawet wtedy, gdy do niego podchodzę. Wędruję za jego wzrokiem — wpatruje się w słońce chowające się powoli w morzu. Stoimy tak przez chwilę. Tuż obok siebie. Przed nami rozciąga się niebo, które zmienia kolor z pomarańczowego na czerwony i purpurowy, a z dołu dobiega nas cichy szum fal uderzających o wyludnioną plażę.

A wtedy kątem oka dostrzegam, że Gabe odwraca się w moją stronę. Wstrzymuję mocno oddech. Czy on robi to, co myślę? Powietrze między nami zdaje się iskrzyć. Podnoszę twarz i nieśmiało patrzę mu w oczy. Czy on robi to, co chciałabym, żeby zrobił?

— Idziemy już?

Jego głos przywołuje mnie do rzeczywistości. Wstyd zalewa mnie jak fale morski brzeg.

— Yyy... tak... — odpowiadam zmieszana.

To wszystko przez ten przekłety zachód słońca. Źle zinterpretowałam całą sytuację i dałam się ponieść nastrojowi. Samotny szczyt klifu, piękna sceneria, atrakcyjny mężczyzna u mojego boku...

Który nie jest twoim facetem.

— A tak w ogóle, to muszę cię ostrzec przed moją macochą -wyrzucam z siebie.

— Dlaczego? Czy ona gryzie? Wbrew sobie zaczynam chichotać. Gabe spogląda na mnie poważnie.

— Czy wiesz, że to pierwszy raz, gdy śmiejesz się z mojego dowcipu? — mówi.

— Przecież śmieję się z ciebie cały czas!

— Ze mnie owszem, ale nie z moich dowcipów — oświadcza Gabe, udając obrażonego.

A przynajmniej myślę, że udaje, bo nie jestem tego pewna. Sytuacja jest trochę niezręczna. Nie mogę się przyznać,

Jak się okazuje, Gabe od razu nawiązuje świetny kontakt z moją rodziną, nawet z Rosemary. która od momentu gdy wszedł do kuchni, uściskał jej odzianą w gumową rękawiczkę dłoń i powiedział: „Pani jest macochą Heathera! Nie do wiary! Wygląda pani raczej na jej siostrę!” - po prostu je mu z ręki. Oblewając się rumieńcem jak nastolatka, nalewa mu sherry do swoich najlepszych kieliszków i nawet nie każe mu zdejmować butów, natomiast reszta rodzin}” tłoczy się wokół niego zaciekawiona, ściska mu rękę, lub — jak mój ojciec - wali go energicznie po ramieniu, jak przy trzepaniu dywanu.

Tymczasem ja muszę sobie sama nalewać sherry i nie wolno mi zejść z wycieraczki, dopóki nie zdejmę butów. Robią wokół niego tyle zamieszania, że zaraz się chyba obrazę.

— I co, już się jej nie boisz? — szepczę, gdy powitania dobiegły końca i nadeszła pora, by zasiąść do stołu, na którym smakowicie lśni pieczeń.

- Wydaje się całkiem sympatyczna... — wzrusza ramionami Gabe, przechodząc obok Lou, żony Eda, która słucha uprzejmie Annabel, córki Rosemary, i jej męża Milesa, jak wyjaśniają, że zdecydowali się na panele zamiast dywanu z powodu bliźniaków - ... chociaż dała mi to śmieszne brązowe coś do picia.

267

— To sherry — informuję go i zauważywszy nagle, że zaraz wejdzie prosto w za niskie dla siebie odrzwia, krzyczę: — Uwaga!

Ale jest już za późno. Gabe uderza się mocno w głowę i krzywi z bólu.

— Auć! Booooli!

— No właśnie, uważaj na głowę — mówi Ed. Mój brat należy do tych denerwujących ludzi, którzy ostrzegają cię o wszystkim po fakcie. — Te stare, niskie futryny bywają niebezpieczne.

— Przekonałem się na własnej skórze, że masz rację. — Pocierając skroń, Gabe sili się na uśmiech. Siada na krześle i stara się wcisnąć swoje długie nogi pod stołem. Wciąż ma na sobie ten pomarańczowy kombinezon, ale moja rodzina udaje, że tego nie zauważa.

— Ludzie, którzy zbudowali ten dom, musieli być naprawdę niscy.

— Owszem. — Ed, który z powodu swojego wzrostu musi się pochyłać nisko nad stołem, kiwa poważnie głową. — Uboga dieta zatrzymała ich wzrost.

— O rany, to straszne — mówi Gabe z zatroskaną miną. — Znałeś ich osobiście? Lionel, który wchodzi właśnie do pokoju z kieliszkami na wino i dwiema zakurzonymi butelkami cabernet sauvignon przyniesionymi z piwnicy, wybucha gromkim, ochrypłym śmiechem.

— Drogi chłopcze, ten dom wybudowano w 1642 roku. Ma ponad trzysta pięćdziesiąt lat.

Następuje chwila ciszy i już zaczynam się niepokoić, że mój współlokator mógł się poczuć obrażony bezceremonialnością mojego ojca, kiedy Gabe odpowiada pogodnie:

— No cóż, nie znam się na tym. Jestem Amerykaninem, a najstarszym zabytkiem, jakim możemy się poszczycić, jest Joan Rivers.

268

bpogłą.

jęcia, o i

— Więc, Gabrielu, co cię sprowadza do Anglii? — pyta, uśmiechając się do niego przyjaźnie i podając mu miskę z brukselkami. Gabe przez chwilę wpatruje się w nie niepewnie, nie mając zielonego pojęcia, co to takiego, a potem z wahaniem nabiera na talerz.

— Festiwal w Edynburgu — odpowiada, a potem podejrzliwie bierze do ust jedną brukselkę. — Mam tam występ za dwa tygodnie.

Za dwa tygodnie? Aż trudno w to uwierzyć. Jak szybko to zleciało! Niedługo Gabe wyjedzie. Spoglądam na niego z ukosa i ogarnia mnie przy tym jakiś dziwny smutek.

— Ooo, człowiek teatru, brawo! — krzyczy gromko Lionel z przeciwległej strony stołu, gdzie kroi mięso. Jest wniebowzięty: mój ojciec uwielbia Teatr: taki przez duże „te”.

— Nie do końca, zajmuję się komedią — wyjaśnia Gabe, przełykając brukselkę z wyraźnym trudem. Gdy myśli, że nikt na niego nie patrzy, ukradkiem ześlizguje z widelca to, co z niej zostało. — W wersji stand-up.

— Więc jak się poznaliście? — pyta Rosemary, dotykając delikatnie kącików ust.

— Przez ogłoszenie w gazecie — wyjaśnia Gabe i, uświadamiając sobie, jak to zabrzmiało, uśmiecha się. — Nie tego rodzaju ogłoszenie, pani Hamilton. Heather szukała współ-lokatora, a ja potrzebowałem zaczepić się gdzieś na kilka tygodni.

— Więc nie jesteś nowym chłopakiem Heather? — dopytuje się Ed.

— Z rangę roverem — dodaje z wyrzutem Rosemary. Jej ton wyraźnie daje mi do zrozumienia, że nie wierzy w ani jedno moje słowo. Spoglądam na nią i oblewam się rumieńcem.

— Nie, to nie ja — odpowiada beztrąsko Gabe.

— Więc gdzie jest twój nowy chłopak, Heather?

270

wymyśliła i próbowała go bronić:

— Tak, z pewnością - mruży Rosemary, nakładając sobie na talerz małą porcję gotowanych marchewek. — Skoro tak cię wystawił w ostatniej chwili. - Mówi to tak, że można by pomyśleć, że naprawdę mi współczuje, ale za dobrze ją znam.

— Czy Heather opowiadała wam o bukietach kwiatów? — wtrąca Gabe, ściskając mi rękę pod stołem, by dodać mi otuchy. Spoglądam na niego z wdzięcznością. On jest cudowny.

— O bukiet □ □ h □ w i a t ó w? — powtarza Lou z błyskiem w ciemnych oczach.

— Ooo, Heather, jakie to romantyczne. Jedynymi kwiatami, jakie kiedykolwiek dostałam od Eda, było parę żonkili. - Odwracając się w stronę męża, wydyma usta żartobliwie i udaje obrażoną.

— Tak, wysiał jej ostatnio trzy bukiety, po dwanaście róż w każdym - ciągnie Gabe, przesadnie się tym emocjonując. -Facet oszalał na jej punkcie.

— I trudno mu się dziwić — oświadcza Lionel z ojcowską dumą. — Prawda, Rosemary?

Rosemary dziwnie umilkła. Z pewnością zaniemówiła z wrażenia, skoro okazało się, że owszem, rzeczywiście mam faceta, który przysyła mi kwiaty, i że go sobie nie wymyśliłam.

— Tak, oczywiście — odpowiada sucho. — Dołożyć komuś brukselki?

Po obiedzie każdy idzie do łóżka, a w salonie zostajemy tylko ja i chłopaki, którzy jedzą dokładkę jabłkowej kruszonki oraz budyni i rozmawiają — tak, tak, nietrudno się domyślić — o futbolu.

— Jesteś kibicem piłki nożnej? — pyta Gabe, dźgając niepewnie łyżką swoją porcję budyniu. Przygotowałam go, by udowodnić, że nie jestem kompletną oferą w kuchni, chociaż trzeba przyznać, że zrobienie budyniu z torebki nie wymaga specjalnych umiejętności.

— Oczywiście — odpowiada z dumą Ed.

— Jasne, stary - odzywa się Miles, klepiąc Eda po ramieniu. -Niedawno odnieśliśmy fantastyczne zwycięstwo. Mieliśmy cholernego fuksa, a gazety opisywały to nawet jako cud.

Ed i ja wymieniamy znaczące spojrzenia.

— Uhm... tak było — odpowiada Ed i napełnia usta kru-szonką. Od pamiętnego wieczoru w pubie minęło kilka tygodni i chociaż rozmawiał ze mną od tego czasu przez telefon, ani razu nie wrócił do tamtego incydentu. I jakoś wcale mnie to nie dziwi. Ed radzi sobie z rzeczami, których nie rozumie, w prosty sposób: najzwyczajniej je ignoruje.

— Tak, słyszałem, że Anglia wygrała ważny mecz — mówi Gabe. — Genialnie.

— Mamy kilku naprawdę dobrych zawodników, jeśli tylko odpowiednio się nimi pokieruje, stworzą świetną drużynę -uśmiecha się szeroko Ed, zachwycony, że może porozmawiać o swojej ukochanej dyscyplinie sportu. — Jeśli nic mi w tym nie przeszkodzi, spędzę ten weekend przed telewizorem. Dzięki niebiosom za Sky Sport!

— Założę się, że twoja żonka ma na ten temat nieco inne zdanie — szczerzy się Miles w uśmiechu i szturcha Eda znacząco.

Mój brat uśmiecha się krzywo i mam wrażenie, że Miles dotknął drażliwego tematu. O Boże, mam nadzieję, że to moje głupie życzenie nie wywołało problemów!

— Hm, Heather? — Gabe spogląda na mnie nerwowo. — Wiem, że wy, Anglicy, uwielbiacie jeść takie rzeczy...

Spoglądałam na jego salaterkę, w której łyżka stoi w budyniu na sztorc.

— Nie masz może lodów? - pyta przepraszającym tonem.

— Czy to jest aż tak paskudne? — Cholera, muszę być naprawdę fatalnym kucharzem, skoro nie potrafię nawet zrobić budyniu z torebki.

— Gorzej — wyznaje Gabe, próbując się nie uśmiechać.

— Chyba zostały jakieś po tym, jak byłam tu ostatnim razem — mówię szeptem, nie chcąc, by Miles i Ed mnie usłyszeli i żebyśmy nie musieli się z nimi dzielić. Ale na szczęście nas ignorują, zajęci rozmową na temat rynku nieruchomości. — Zaraz zerknę do zamrażarki. — A potem pochylam się i szepczę mu do ucha: — Spotkajmy się za pięć minut w sypialni na górze.

I wtedy uświadamiam sobie, jak to może brzmieć.

— Żebyśmy nie musieli się z nimi dzielić lodami — wyjaśniam pośpiesznie, wskazując na Eda i Milesa, którzy także niepewnie grzebią w swoich salaterkach. Ale jeśli Gabe dostrzeżł moje zakłopotanie, nie daje tego po sobie poznać.

— A gdzie jest nasza sypialnia? — pyta.

— Na górze, pierwsze drzwi po prawej.

— Super.

— Nie będziesz tak mówił, jak zobaczysz tapetę w kwiatuszki. — Uśmiecham się krzywo, biorąc od niego miskę nie-dojeźdzonego budyniu, po czym wyruszam z misją zdobycia czekoladowych lodów.

— Wolisz na dole czy na górze? — pyta Gabe jedno opakowanie lodów później, spoglądając na mnie z uniesioną brwią.

273

— Hmm - udaję przez chwilę, że się zastanawiam. -No i...?

— Zawsze wolałam na górze — wyznaję, wbijając łyżkę z powrotem do lodów i podając mu je.

Gabe grzebie w pudełku, poszukując kawałków czekolady, aż natrafia na dużą zbitkę.

— No to świetnie. — Wkłada łyżkę do ust i przeżuwa z niedomkniętymi ustami, przez co lody skapują mu po podbródku. - Ja wolę na dole.

Od pięciu minut stoimy razem z Gabe'em w drzwiach mojej starej sypialni, jemy lody

i wpatrujemy się w drewniane piętrowe łóżko, na którym będziemy spać tej nocy. Gdy miałam dziesięć lat, spanie na piętrowych łóżkach wydawało się wielką frajdą. Dwadzieścia lat później patrzę na to nieco inaczej.

Na szczęście dla Gabe'a to nie żaden problem, a nawet śmieszy go cała ta sytuacja.

Stąd nasza nasycona dwuznacznościami rozmowa. Bardzo zabawna.

To nie jest zabawa, Heather. To flirt.

O mój Boże, no właśnie. Co ja wyprawiam? Przecież mam chłopaka. Idealnego, cudownego chłopaka.

— Przepraszam, zachowałem się jak świnia. Nic ci nie zostawiłem — mówi Gabe przepraszająco, skrobiąc łyżką po dnie opakowania.

A Gabe ma dziewczynę — powtarzam sobie. Piękną dziewczynę, aktorkę z Hollywood.

— Nie przejmuj się, ja już się najadłam - odpowiadam speszona.

— Dzięki. - Nieco zdezorientowany moją nagłą zmianą nastroju, Gabe przestaje się wygłupiać i odkłada pusty pojemnik. — To co teraz? Do łóżka?

274

To przecież zupełnie niewinne pytanie, ale jest mi tak głupio, że wszystko wydaje mi się teraz nacechowane dwuznacznością.

— Tak, stanowczo. Jeśli chcesz posurfować, musimy jutro wcześniej wstać. — I żeby się upewnić, że nie ma miejsca na żadne nieporozumienia, ziewam ostentacyjnie. — Poza tym jestem wykończona.

— Więc jeśli chcesz pierwsza skorzystać z łazienki...

— Nie, możesz iść — mówię szybko. Łapię poduszkę i ubijam ją energicznie, żeby się czymś zająć. Jego obecność w mojej sypialni trochę mnie kępuje. — Pójdę po tobie. Łazienka jest na końcu korytarza.

— Jesteś pewna, że mam iść pierwszy? -Tak.

Gabe pochyla się i szpera w swojej torbie w poszukiwaniu szczoteczki do zębów.

Kątem oka widzę, jak poprawia okulary, które ciągle zjeżdżają mu z nosa, i próbuję odsunąć myśli o tym, jak bardzo mu z tym gestem do twarzy. Bez wątplenia

poprawiał okulary wczoraj, przedwczoraj i jeszcze wcześniej. Więc dlaczego dopiero

teraz to zauważyłam ? I dlaczego myślę, że wygląda z tym rozkosznie?

— Wracam za pięć minut. — Gabe wyjmuje szczoteczkę, nakłada na nią nieco pasty i tuż po wyjściu wsuwa jeszcze głowę przez drzwi. — Aha, byłbym zapomniiał.

Chciałem powiedzieć, że masz fantastyczną rodzinę. I świetnie się dziś bawiłem.

— Ja też — odpowiadam i robi mi się wstyd z powodu mojej wcześniejszej oschłości.

— Ale jest jeszcze coś... coś, o czym powinienem był ci powiedzieć...

Nieruchomieję. O Boże, co on mi chce wyznać? Gabe bierze głęboki oddech i wyrzuca z siebie:

— Chrapię.

28

Następny ranek zwiastuje kolejny piękny, sierpniowy dzień. Port Isaac rozciąga się przed nami jak kot wygrzewający się w słońcu, a jego kręte uliczki i pobielane domy błyszczą w porannych promieniach. Jest wcześnie, więc większość wioski jest jeszcze pogrążona we śnie. W porcie widać przycupnięte sennie drewniane łodzie rybackie, a wokół zatoczki, u podnóża stromych trawiastych klifów, świeci pustkami półkolista plaża.

Taki sam spokój panuje wzdłuż skalistego wybrzeża prowadzącego do Newquay.

Trasa wolna jest jeszcze od niedzielnych turystów, więc jedynym widokiem przez wiele mil są skłębione fale, którym towarzyszy odległe skrzeczenie stada mew krążących nad naszymi głowami.

Ale nie wszyscy śpią. Nieco dalej od brzegu, tam gdzie światło płąsa po mieniących się diamentowo falach, kołysze się na wodzie kilkanaście postaci. Ich błyszczące czarne ciała przypominają foki, ale gdy przyjrzeć się dokładniej, widać, że to surferzy oczekujący na falę. Większość to miejscowi, którzy wstają codziennie o świcie, czy to lato czy zima, i biegną na plażę, by skorzystać z porannych fal.

Ale jest tam również Gabe.

276

Siedzi okrakiem na desce, którą wypożyczył dziś rano, odgarnia z oczu mokre, oproszone solą włosy i wpatruje się z uwagą w horyzont. Stoi tak do paru minut i

czeka na lalę. Na razie do brzegu przybiło ich tylko kilka, i to niezbyt dużych, ale teraz najwyraźniej Gabe wypatrzył coś lepszego.

Rzuca swoje ciało płasko na deskę i zaczyna wściekle młócić rękami. Jego ręce obracają się w wodzie jak mała turbina. Esencją tego sportu jest koordynacja ruchów. Wycucie fali. Umiejętności. Jak myśliwy tropiący zwierzynę, Gabe wpatruje się uważnie w zbliżającą się falę, aż wreszcie energicznie podnosi się na deskę, ustawia mocno stopy, rozkłada ramiona na boki, jakby chodził po linie, i wślizguje się na wierzchołek fali.

Utrzymuje równowagę bez wysiłku, sunie po fali zygzakiem, coraz szybciej i szybciej, płynie prędko w dół, a fala za jego plecami wygina się w łuk, starając się zrzucić go z grzbietu jak ujeżdżany koń.

Pstryk.

Wraz z każdym ruchem migawki aparatu czuję narastającą satysfakcję. Od jakiejś godziny czekałam na to idealne ujęcie. Siedząc na zboczu wzgórza otaczającego plażę, obserwuję Gabe'a przez obiektyw mojego nikona i staram się zrobić zdjęcie, które w jednym ujęciu mogłoby oddać w pełni emocje towarzyszące surfingowi. Już zapomniałam, ile czasu i trudu może kosztować robienie zdjęć — i jaką może dawać satysfakcję. Po skończeniu studiów ciągle robiłam zdjęcia — to było dla mnie jak oddychanie, nie potrafiłam przeżyć nawet dnia bez tego — ale w ostatnich latach przestałam fotografować dla siebie. Wmawiałam sobie, iż to dlatego, że zarabiam na życie, robiąc zdjęcia, ale w głębi duszy wiem, że powód jest inny — ponieważ to za

bardzo
277

boli, ponieważ jest to smutnym przypomnieniem moich dawnych nadziei i dawnych marzeń oraz tego, że żadnego z nich nie udało mi się spełnić.

A przynajmniej na r a z i e. Na myśl o liście wysłanym do „Sunday Herald” zapala się we mnie iskra nadziei. Gabe wysłał go w piątek, więc przy odrobinie szczęścia - poprawka: z moim ogromnym szczęściem — może w tym tygodniu dostanę odpowiedź.

Ogarnia mnie radość i podniecenie - pod wpływem tych samych emocji wzięłam

wczoraj aparat z szafki koło łóżka, gdzie leżał od miesięcy, oczyściłam zakurzony obiektyw i zabrałam go z sobą do Kornwalii. Te same emocje obudziły mnie dziś wczesnym rankiem — nie mogłam się doczekać zdjęć, które zrobię.

Nastawiam ostrość raz jeszcze. Gabe wciąż unosi się na fali, ale teraz jego postać staje się nieco rozmazana, więc robię większe zbliżenie, żeby uchwycić wyraz skupienia na jego twarzy. Szczękę ma zaciśniętą i cały pokryty jest warstewką soli. Nawet udaje mi się uchwycić błysk w jego oczach, skrytych do połowy pod krzaczastymi brwiami. Wygląda tak, jakby patrzył prosto na mnie, a wtedy...

Bach. Zakrywa go woda.

Przestraszona, wyglądam zza aparatu i spoglądam na morze. Bez powiększenia, jakie daje mi obiektyw, wszyscy surferzy wydają mi się teraz małymi figurkami unoszącymi się na wodzie. Przebiegam wzrokiem fale błyszczące w jasnym słońcu. Ale nie widzę ani śladu Gabe'a.

— Gabe! — krzyczę, po czym podnoszę się i zaczynam machać rękami nad głową, żeby mnie lepiej widział. Nie żebym się martwiła, czy coś, bo wiem, że dobrze pływa. Sam przecież mówił, że całe życie mieszka nad oceanem i czuje się w wodzie jak ryba. Ale prądy są tutaj zdradliwe i jeśli się ich nie

278

zna, mogą człowieka porwać i wciągnąć pod wodę... Robi mi się słabo na tę myśl.

— Gabe! — krzyczę ponownie, tym razem głośniej. Cholera, jeśli coś mu się stało, nigdy sobie tego nie daruję. Mogłam mu powiedzieć, żeby był bardziej ostrożny, ostrzec go przed tutejszymi prądami, wykazać większą odpowiedzialność...

Zakrywam obiektyw dekielkiem, zdejmuję aparat z szyi i trzymając go, zbiegam w dół wzgórza, potykając się o kępki trawy.

Droga w dół zdaje się trwać wieki, ale wreszcie docieram do parkingu u podnóża i spoglądam jeszcze raz na plażę. Po Gabie ani śladu.

Teraz zaczynam się niepokoić nie na żarty. Pewnie coś mu się stało. Ściągam skarpetki i buty, zostawiam je koło motoru i przeskakuję murek. Łąduję bosymi stopami na miękkim wilgotnym piasku, po czym biegnę w stronę morza.

Wstrzymując oddech, przebiegam wzrokiem wodę. Widzę wielu innych surferów,

ale nie Gabe'a. Gdzie on się podział, do cholery?

Panika dławi mnie coraz mocniej. A co, jeśli uderzył się w głowę i leży teraz nieprzytomny pod wodą, albo nawet ciężko ranny, albo...

Nie mogę tak stać beczynnienie — muszę pobiec po ratownika albo zadzwonić po karetkę...

Zbiera mi się na płacz. Tak bardzo bym chciała, żeby tu był...

-Hu!

Podskakuję jak oparzona i odwracam się, trzymając się za serce.

Gabe stoi za moimi plecami z deską pod pachą i szerokim uśmiechem na twarzy.

Najpierw czuję ogromną ulgę — a zaraz potem ogarnia mnie wściekłość.

279

— Co ty wyprawiasz, do cholery! — drę się na niego. — O mało nie zesłam przez ciebie na zawał!

— Spoko, Heather, to miał być tylko żart.

— Żart? Myślałam, że utonąłeś!

— Zgarnęła mnie fala, a gdy wypłynąłem na powierzchnię, okazało się, że uniosła mnie na drugą stronę zatoki.

— Ale szukałam cię i krzyczałam... — przerywam, wściekła tym bardziej, że czuję, jak łzy napływają mi do oczu.

— Wyglądasz słodko, gdy się złościysz. Rzucam mu gniewne spojrzenie.

— Nie jesteś ani trochę zabawny.

— Oczywiście, że jestem zabawny. Nie mam wyjścia. W końcu to moja praca — śmieje się Gabe, udając oburzenie. - Nie zapominaj, że jestem komikiem.

— A to już inna sprawa.

Teraz pewnie powinnam trzymać język za zębami. Tyle że nie potrafię. Więc wypalam:

— Bo tak się składa, że ja nienawidzę komedii w stylu stand-up. Jeszcze dobrze nie przebrzmiały moje słowa, a już chciałabym je cofnąć.

Na moment zapada cisza, a potem następuje pytanie:

— Nienawidzisz komedii w stylu stand-up ? - Gabe spogląda na mnie ze

zdumieniem. -1 uważasz, że nie jestem zabawny?

Cholera. Przez chwilę mam ochotę nazmyślać, że to wcale nie tak, że żartowałam, ale uświadamiam sobie, że nic to nie da, więc tylko kręcę głową łagodnie.

— W ogóle?

Wykonuję głową tylko nieznaczny ruch, a gdy zdobywam się wreszcie na odwagę, by spojrzeć mu w oczy, widzę jego poważne niebieskie oczy przepełnione bólem. Niech to szlag! Ja i ten mój cholerny długi język. Po co ja to w ogóle mówiłam? Co za kretynka ze mnie.

280

I gdy tak wyrzucam sobie to, co powiedziałam, Gabe nagle odchyła głowę do tyłu i zaczyna ryczeć ze śmiechu. I to dosłownie ryczeć, z szeroko otwartymi ustami, że widać nawet jego bielutkie zęby trzonowe.

Spoglądam na niego zdeorientowana, aż wreszcie Gabe łapie mnie za rękę i wyrzuca z siebie:

— Może ja nie jestem zabawny, ale ty, Heather, potrafisz rozbawić człowieka do łez. Nie wiem, o co mu chodzi, ale czuję się upokorzona jego zachowaniem.

— Myślałam, że nie żyjesz!

Gabe uśmiecha się z zakłopotaniem.

— Wiem i przepraszam. Nie powinienem się śmiać. — Bierze deskę, wkłada ją pod pachę i kierujemy się w stronę parkingu. Maszerujemy przez chwilę w ciszy, aż wreszcie Gabe odwraca się w moją stronę z uniesionymi brwiami.

— Powiedz mi, bo mnie zeżre ciekawość: dlaczego twoim zdaniem nie jestem zabawny?

Spoglądam na niego krzywo. Chyba nie ma szans, żeby puścił to w niepamięć.

Zresztą może powinnam mu to powiedzieć, w ramach konstruktywnej krytyki. Może nawet będzie mi za to wdzięczny.

— Widziałam twoją próbę i uważam, że nie powinieneś udawać kogoś, kim nie jesteś

— wyrzucam z siebie wreszcie.

— Co przez to rozumiesz? - Gabe chyba naprawdę poczuł się urażony i już żałuję, że postanowiłam być z nim tak szczerą. Ale gdy się powiedziało A, trzeba powiedzieć i

B.

— No wiesz, udawanie takiego sfrustrowanego kolesia z papierosem w zębach, naśladowanie czyjegoś głosu, jakieś chore żarty, ten cały gniew i plucie jadem...

-Ale od komików oczekuje się, że będą pluć jadem -stwierdza Gabe.

281

— Tyle że ty taki nie jesteś — oświadczam. — Jesteś łagodnym, pogodnym człowiekiem, raczej zadowolonym z życia. — I tu pozwalam sobie na żart. - Jesteś Amerykaninem, więc trudno, żeby było inaczej. Przecież ciągle życzyście sobie miłego dnia.

— Ale takie są reguły gry — protestuje Gabe, odgarniając mokre włosy z twarzy.

— No właśnie. To jest gra. Dlaczego nie możesz być sobą?

— Wydałem tysiące dolarów, zadając mojemu psychologowi to samo pytanie — odpowiada Gabe.

Następuje chwila ciszy.

— Żartowałem. — Nagle poważnieje i spogląda na mnie z ukosa, a wtedy uświadamiam sobie, że ten żart miał ukryć coś ważnego. — Tak właściwie nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale chyba myślę, że taki zwykły Gabe nie jest zabawny.

— Ale jesteś dużo zabawniejszy, gdy jesteś tym zwykłym Gabe'em. Daruj sobie wymyślanie dowcipów i mów o sobie.

— Ale czy ktokolwiek ma ochotę słuchać opowieści na mój temat?

— Spróbuj, inaczej nigdy się nie przekonasz.

Gdy dochodzimy do motoru, Gabe wyjmuje ręcznik, który spakował pod siedzeniem, i siada na murku, by wytrzeć włosy.

— Jak na osobę, która nie znosi komedii w stylu stand-up, masz na ten temat niezłe wyrobioną opinię — stwierdza.

Wzruszam ramionami.

— Przepraszam, mam za długi język. Następnym razem, gdy powiem coś takiego, każ mi się po prostu zamknąć.

Gabe wybucha śmiechem.

— To co teraz?

— A na co masz ochotę?

— Jestem wolny — odpowiada, rozpinając kostium.

282

□ i

Przez chwilę mam ochotę wykorzystać to dwuznaczne stwierdzenie, ale postanawiam sobie darować.

— A co powiesz na wycieczkę z przewodnikiem po okolicy, zanim pójdziemy na lunch? - proponuję.

— Super. Czyli tak, jakbym był prawdziwym amerykańskim turystą?

— Ale przecież ty jesteś prawdziwym amerykańskim turystą — przypominam mu ze śmiechem.

Gabe zwija ręcznik i rzuca nim we mnie:

— Zamknij się, Heather.

- Musisz kiedyś do mnie przylecieć i zobaczyć na własne oczy. Mam w olśnieniu pokój.

— Nic kuś mmm.

- □ i □ będę musiał wymyślić kilka zasad, których będziesz musiała przestrzegać...
uśmiecha się szeroko Ga be, □ ja rumienię się na wspomnienie listy moich zasad,
długiej □ □ kilka stron.

- □ tu ca Iowa łam się po raz pierwszy oświadczam, wskazując na rozłożysty dąb
w głębi pola. Miałam wtedy trzynasto lat, a chłopak nazywał się Seb Roberts.

- (idealne miejsce na pierwszy pocałunek. Mój miał miejsce u mnie w domu w
pokoju telewizyjnym i mama mnie na tym przyłapała. Irzymafajkę ręce na
podkoszulku □ □ □ □ \ Smith i czułem pod palcami jej stanik. () rany. myślałem, że
się spalę ze wstydu.

Zaczynam się śmiać, ale nagle coś mnie łapie za gardło. I'amiętam, jakbym chciała
pobiec do domu i opowiedzieć mamie wszystko o Sebie, ale zmarła rok wcześniej]...

□ □ □ be w □ aaga ręce i ścisła moja

- Przepraszam, Heather, myślałem.

-- Nie, nic stało uspokojać go. tylko po prostu;

takie drobne rzeczy mi o mej przypominają.

W patrucie -; w i'iosle, powykęcane konary. Uświadamiam sobie, że stoi tu od lał i będzie s' I je; długo, może nawet gdy nas |uz me b'

- i zamiast lego mai /asie pował mi mamę'. (,d\ dorasta-ai
rzałam mu się /■ wszystkiego, i dalej t< bię. I i i |i -sm\ / s< ibą tak I
- I dl ją ma<

Zacz\ :

- ('n ni

— Że poniekąd wtrąciła się w wasze życie i zabrała ci ojca...

— Nie, nie o to chodzi. Po prostu nie należy do szczególnie miłych osób. Jest chłodna i wyniosła, zawsze taka była. Nigdy nie znalazłyśmy wspólnego języka.

— Ale twojemu ojcu coś musi się w niej podobać.

— Pewnie tak. Ale nie mam pojęcia co. Mama była taka pełna życia, dowcipna, dużo się śmiała. Rosmary jest poważna, ciągle każe mu robić to czy tamto. Doprowadza mnie tym do szalu.

— Możę w ten sposób okazuje mu swoją troskę?

— Jeśli tak, to jest to trochę dziwny sposób — mruczę. — Ale nie mówmy już o

Rosmary. — Staję przed wejściem do baru. — Czy zwiedzanie zaostrzyło ci apetyt?

— Zjadłbym konia z kopytami.

— Nie wiem, czy mają tu konie — śmieję się - ale co powiesz na „oracza”?

— O rany, a co to takiego:

— Ha! - Otwieram drzwi i przytrzymuję, żeby wszedł do środka. — Zaraz się dowiesz.

Po złożeniu zamówienia bierzemy dwa kufle cyclru i wychodzimy do ogródka, gdzie przy drewnianym stole siedzi już moja rodzina i zajada lunch.

— Zastanawialiśmy się, gdzie się podziewacie — odzywa się gromkim głosem

Lionel z ustami pełnymi sera. Właśnie odrywa kawałek chleba i uśmiecha się do nas promiennie.

— Wstaliśmy wcześniej, żeby Gabe mógł postulować. - Kładę kufel na stole i całuję

Lionela w policzek.

— Jak sutnng w Kornwaln ma się do Kalifornu" — pyta Ed, wyłaniając się zza stron działu sportowego „Sunday Timesa”, który, sądząc po tytule, poświęcony jest angielskiej reprezentacji w piłce nożnej.

286

Wszyscy wybuchają śmiechem. Widok jego miny jest po prostu bezcenny. Nawet się popłakałam, więc sięgam po chusteczkę, a wtedy słyszę:

— HeatherP Zamurow-uje mnie.

— James? — Śmiech więźnie mi w gardle. — Co ty tu robisz? — rzucam, a potem dodaję jeszcze: — Myślałam, że jesteś w Paryżu?

— Udało mi się wrócić wcześniej. -Ale jak...

— Miałem twój adres, więc pojechałem prosto do waszego domu. Skoro was tam nie było, to domyśliłem się, że w niedzielę w porze lunchu musicie być w barze. A to chyba jedyny w okolicy.

Przy stole zapada cisza, ale czuję, że wszyscy spoglądają na siebie znacząco. I wtedy uświadamiam sobie, jak to musi wyglądać. Oto Gabe, ja i moja rodzina siedzimy wszyscy razem, roześmiani, rozkoszując się swoim towarzystwem. I uświadamiam sobie też, że nie powinnam teraz siedzieć beztrosko przy stole i patrzeć na Jamesa, stojącego po drugiej stronie. Powinnam od razu zerwać się od stołu i paść mu w ramiona. Powinnam być przeszczęśliwa, że zdobył się na taki wysiłek i przebył dla mnie taką drogę. Powinnam podekscytowana przedstawiać go teraz swojej rodzinie. Podnoszę się więc i obejmuję go.

— Moi drodzy, to jest James. Mój chłopak - wyjaśniam. Gdy wypowiadam słowa „mój chłopak”, napotykam spojrzenie Gabe'a i speszona odwracam wzrok.

Następuje chór pomruków: „milo cię poznać”, ale - co tu kryć — nie umywa się to do entuzjazmu, z jakim witano Gabe'a. Nawet Rosemary, o której myślałam, że będzie zarzucać Jamesa pytaniami, jest teraz tak zajęta Gabe'em, że James zszedł na drugi plan.

?88

— Chcesz zamówić coś do jedzenia? — próbuję troskliwością odkupić swoje winy,

ale James kręci głową.

— Nie, dzięki. Już jadłem. Wezmę sobie tylko coś do picia. Zamówić komuś coś jeszcze?

— Jeszcze jedną lampkę merlota — odpowiada pogodnie Lionel.

— Pójdę z tobą — proponuję.

— Nie, nie trzeba, skończ jedzenie — mówi James niby bez wyrzutu, ale jednak kłują mnie jego słowa.

— Jesteś pewien?

— Tak — odpowiada i odwraca się, a potem idzie sztywnym krokiem przez trawnik i znika we wnętrzu lokalu.

-Ale dlaczego nie powiedziałeś mi, że przyjeżdżasz.- — Przytrzymując włosy, które rozwiewa mi wiatr, odwracam się w stronę Jamesa. Zostawiliśmy moją rodzinę i Gabea w barze i spacerujemy teraz, trzymając się za ręce, wzdłuż skalistego szczytu klifu otaczającego plażę. Tę samą, po której spacerowaliśmy z Gabe'em zaledwie parę godzin wcześniej].

— Chciałem ci zrobić niespodziankę. Wierzę mu.

— Czuję się potwornie, że odwołałem swój przyjazd w ostatniej chwili — dodaje.

— Nic się nie stało. Nie przejmuj się. Gabe mnie podwiózł.

— Zauważyłem - oświadcza James oschłym tonem i z jego miny mogę wywnioskować, iż nie jest zachwycony tym, że jechałam na tylnym siedzeniu motoru mojego współlokatora.

— Wiesz, pomyślałam, że skoro jest z Kalifornii, to chciałby posurfować, a że do tego nigdy przedtem nie był w Kornwalii... — zaczynam się usprawiedliwiać. - Ale trochę przerażała mnie ta jazda na motorze - przyznaję.

289

— Potrafię to sobie wyobrazić. — Twarz Jamesa łagodnieje. — Ale nie martw się, do domu wrócisz rangę rowerem. Podgrzewane siedzenia i inne wygody.

Hm. Nagle zaczynam tego żałować. Motocykl owszem, był przerażający, ale jazda na nim dostarczała niesamowitych emocji.

— I przywiozłem z sobą kilka ulotek o willach w Toskanii, więc będziesz mogła je

sobie przejrzeć w drodze powrotnej. Pamiętam, jak mówiłaś, że zayysze chciałaś mieć taką willę na własność, i wiem wprawdzie, że to nie to samo, ale pomyślałem, że moglibyśmy wynająć jakąś na lato.

Spoglądałam na niego zdumiona. On myśli o wszystkim. Nie pamiętam, żebym mu o tym wspominała, ale najwyraźniej musiałam. James przyciąga mnie do siebie i obejmuje.

— Zarezerwowałem już wstępnie jedną willę we Florencji. Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Wiem, że James miał dottre intencje, ale jego zachowanie trochę mnie drażni i nic na to nie poradzę. Nagle moje marzenia o spędzaniu leniwych dzionków w toskańskiej wili przestają być moje — należą do Jamesa i jego ulotek.

— Jesteś pewien, że chcesz wracać dziś wieczorem? - pytam, zmieniając temat. — Ty możesz zostać, ja to co innego. Z samego rana mam spotkanie z lady Charlotte — mówiąc to,

zapomniałam o jego istnieniu. Ale to pewnie tylko dlatego, że byłam tak zajęta rodziną, Gabc'cm i... hm, masą innych rzeczy, mówię sobie twardo. I odsuwając na bok wątpliwości, odpowiadam mu pocałunkiem.

— Ja też za tobą tęskniłam.

— Już wyjeżdżasz? — Jest późne popołudnie, stoimy właśnie na trawniku przed domem, a Lionel ściska mnie na pożegnanie. — Na pewno mc możesz zostać ani trochę dłużej r Forresterowie organizują dziś wieczorem konkurs zagadek. Może by tak do nich pojechać i złoić im skórę.' — mówi z nadzieją. Ściskam go mocno i uśmiecham się przepraszająco.

— Chciałabym zostać, ale muszę wrócić do Londynu. Praca — dodaję z grymasem.

— Miło mi było pana poznać, [□□□i□ Hamilton - James wyciąga sztywno rękę. Lionel nie zwraca na niego uwagi.

— Mam fantastyczny dojrzwały brie i butelkę shiraza, którą trzymałem na specjalną okazję — ciągnie, udając, że nie słyszał moich słów. Zawsze to robi, gdy ludzie mówią coś, czego nie chce przyjąć do wiadomości. Zwykle ma to miejsce wtedy, gdy Ed nakłania go do przejścia na dietę i do ruchu fizycznego. — Możemy się go napić

później, by świętować nasze zwycięstwo.

— Lionel — karci go Rosemary, kładąc kościstą dłoń na jego ramieniu, jak gdyby miała go tym powstrzymać. — Nie słyszałeś, co mówiła Heatherr Musi iść jutro do pracy. Ludzie me przestaną brać ślubów tylko dlatego, że masz fantastyczny brie. — Uśmiecha się do Jamesa i ściska jego dłoń. — Miło cię było wreszcie poznać, James. Zaczynaliśmy się już

291

zastanawiać, czy aby nie jesteś wymysłem bujnej wyobraźni Heather.

Przewracam oczyma, ale James uśmiecha się tylko, po czym oświadcza, że poczeka na mnie w samochodzie i kieruje się w stronę rangę rovera. Natomiast Gabe, który właśnie pakuje swoje rzeczy do toreb umieszczonych po bokach motocykla, podnosi wzrok i rzuca mi spojrzenie pełne empatii.

— Tak właściwie to nikt jutro nie bierze ślubu — wyjaśniam. -Chodzi o wielkie wesele w wyższych sferach, które odbędzie się dopiero za parę tygodni — mówię z dumą do Rosemary. Wiem, że miało to zostać tajemnicą, ale nie mogę się oprzeć: -Za mąż wychodzi córka księcia i księżnej Hurley.

— Mówisz o lady Charlotte? — pyta Rosemary, najwyraźniej pod wrażeniem. — Pisali o niej w zeszłym tygodniu w „OK!”, w dziale o modzie!

-Chciałaś powiedzieć: w „Lady”: - pyta Annabel złośliwie.

— Och tak, oczywiście, kochanie — odpowiada Rosemary potulnie.

— Naprawdę świetnie się z wami bawiłem. - Ubrany w skórę Gabe ściska się ze wszystkimi serdecznie, nawet z Edem. Annabel z bliźniakami biegną w naszą stronę, wyciągając do niego ramiona.

— Zobaczymy się na mieszkaniu - zwraca się do mnie Gabe.

— W mieszkaniu — poprawiam go i ściskam na pożegnanie.

— Na mieszkaniu — powtarza Gabe uparcie. Podchodzi do motocykla, a ja odwracam się do Lionela.

— James na mnie czeka. Pójdę już. — Obejmuję go raz jeszcze i całuję w policzek.

— Ale wkrótce się zobaczymy

James zatrzymuje się obok nas, wsiadam więc do samochodu i opuszczam szybę, a

mój ojciec, który po śmierci mamy przysiągł Edowi i mnie, że nigdy nie powie nam „żegnaj”, macha mi tylko na pożegnanie.

— Do zobaczenia, córciu — mówi miękko.

— Do zobaczenia, tatusiu — odpowiadam jak zwykle. Zapinam pasy, gdy ruszamy w chmurze pyłu i spalin, po czym macham im ze wszystkich sił. I przestaję dopiero wtedy, gdy nadgarstki odmawiają mi posłuszeństwa.

□□

— Żadnych zdjęć pani krostek, pod żadnym pozorem... to znaczy kostek — powtarzam. — Yyy, tak, jestem pewna, że to się da zrobić.

Jest wczesny ranek następnego dnia, siedzę właśnie w biurze i rozmawiam z łady Charlotte, która zadzwoniła dokładnie w momencie, gdy pojawiłam się w drzwiach. Zwykle to Brian odbiera poranne telefony, a ja w tym czasie przeglądam pocztę i robię kawę, ale dziś mój szef od razu uciekł do kuchni z pytaniem: „Masz ochotę na kawę?” — co nie jest niczym innym, jak wymigiwaniem się od odpowiedzialności. Choć akurat wcale mu się nie dziwię.

Otwieram leżący na biurku ogromny skórzany terminarz na dacie jej ślubu — strona jest już wypełniona dziesiątkami notatek — i zrezygnowana łapię za długopis.

Chociaż dla naszej firmy obsługa tego wesela to fantastyczna sprawa, jednak pod innymi względami praca przy nim to po prostu koszmar. Ta kobieta jest niewiarygodnie męcząca. A jeszcze bardziej niewiarygodne jest to, że ktoś zdecydował się ją poślubić. Zapewne jest to typ lalusiowatego arystokraty, z którymi zwykła się fotografować.

— Proszę się nie martwić, pani kostki będą, yyy, strefą zakazaną — odpowiadam, a z słuchawki ciągle wylewa się potok

294

jej słów. - Och, dobrze. Zamiast tego ma być dużo zdjęć... -Chyba się przesłyszałam. A może jednak nie? — Przepraszam, mogłaby pani powtórzyć? — pytam niepewnie. Brian pojawia się w pokoju i zagląda mi przez ramię, żeby sprawdzić, co właśnie napisałam.

— Cycki? — pyta na głos.

Uderzam go ręką, żeby się uciszył i wyteżam słuch, by dosłyszeć, co mówi lady Charlotte — a to wcale nie jest łatwym zadaniem, gdyż kobieta mówi przez nos.

— Mamusia i tatuś wydali niedawno fortunę na powiększenie moich piersi. To jest ich prezent ślubny dla nas obojga. Powiedziałam mojemu narzeczonemu, Danielowi: co wolisz? Jakiś paskudny porcelanowy antyk czy idealne cycuszki?

— Danielowi? — powtarzam odruchowo. Na dźwięk tego imienia ciągle przechodzą mi ciarki na plecach.

— Tak, Daniel Dąbrowski. Jest rzeźbiarzem.

Mam wrażenie, jakby ktoś wymierzył mi cios prosto w brzuch.

— Pochodzi z Rosji — ciągnie lady Charlotte.

— Nie z Rosji, tylko z Polski — poprawiam ją bezwiednie. To nie może być przypadkowa zbieżność. Nie może być w Anglii dwóch Danielów Dąbrowskich, którzy są rzeźbiarzami. — Urodził się w Krakowie.

— Słucham?

Jej oburzony głos przywołuje mnie do rzeczywistości, więc biorę się w garść. Nie możemy przeze mnie stracić tego zlecenia.

— Raz byłam na jego wystawie... — rzucam drżącym głosem naprędce wymyśloną wymówkę — i czytałam tam informację na jego temat.

Jak mogę jej powiedzieć, że to mój były chłopak i że wiem o nim wszystko? A może raczej „wiedziałam”, czas przeszły,

295

stwierdzam, gdy jego narzeczona zgryźliwie informuje mnie, że właśnie przyjechała jej manikiurzystka i bezczelnie się rozłącza. Bo uświadamiam sobie, że teraz nic o nim nie wiem.

— No i...? - pyta Brian, pojawiając się w drzwiach z dwoma parującymi kubkami rozpuszczalnej kawy i dwiema jagodowymi babeczkami ze sklepu na rogu.

Uwielbiam je, ale nagle straciłam apetyt. — Czego chciała tym razem ta bestia? — Brian siada na taborecie i zakłada nogę na nogę, wpatrując się we mnie z mieszaniną współczucia i rozbawienia.

Upijam duży łyk kawy.

— Zapisałam wszystko w terminarzu — wyjaśniam, podając mu go. Nie mogę się otrząsnąć z szoku. Daniel? Żeni się? I to z kim? Z młodziutką dziedziczką?

— Co to ma być? Wesele czy sesja zdjęciowa? — mruczy Brian, odgryzając kawałek babeczki.

To straszne. Marzyłam o cudzie, żeby nasza firma wyszła z długów, i oto się zdarzył. Ale nigdy nie chciałam, żeby cudem tym był ślub mojego byłego.

— Heather? Wszystko w porządku? Strasznie zbladłaś.

— Nie, nic mi nie jest. — Próbuję wziąć się w garść, ale nie jest to łatwe.

— Ciekaw jestem, co wymyśli następnym razem.

— Myślisz, że będzie następny raz? — Przez krótką chwilę mam ochotę wyjaśnić Brianowi, że nie jestem w stanie podjąć się tego zadania, ale wtedy mój wzrok pada na leżącą na biurku pocztę. Rachunki, rachunki, i jeszcze raz rachunki. Układam je na sporym stosiku obok komputera. Nie mogę powiedzieć o tym Brianowi. I nie mogę się wycofać.

— Oczywiście - mówi Brian, spoglądając na zegar wiszący na ścianie. To oficjalna pamiątka z okazji ślubu księcia Karola i księżnej Diany, na którego tarczy widnieje ich portret

296

iiowa:

)dzii

o Brian;

□□ ryl \iię< I/□ mm ,i nasza ■ ■ : i/.ujc się

□ lk:i, ali mmii > ui □□□ ntwa.

Hnan mówię □I□□□i□i□. ale len, u izlacane

Łiii/.ik i r\ inlkur/ai . Ir/wi.

Nu martw sic, wróe□ w □□i□□□i □□□. Ierc Ierc. Jakbym e Ni □□

nic ro lin -ika Nad v\ sz\ urn s|a sic □□ii/.□□□□.

\>>I□□ legn wlac/c .1 iit* .□ i krci irki urozę,

W lec będziesz

: ■' □I□I□□',

upiera ni

norki,

R/□□□ni v\ ni

, i]ę eał-

i□□□□□ konfetti s□□□ hen ■

który

■.□ blask. ido-

1

1□. I CO

■opro-

się icwaz ni Ja-i', □

ilaga-! rchi-/x zac

Znajduję je wreszcie po piętnastu minutach poszukiwań, po czym włączam odtwarzacz CD. Tym razem z głośników dobiega Chess i, przygotowując kuwety do wywoływania zdjęć, mruczę zadowolona melodię. Zaczynam lubić te musicale i z satysfakcją stwierdzam, że rozpoznaję początek duetu Elaine Page i Barbary Dickson. Pochylam się, by pogłodzić, i w tym momencie rozlega się dzwonek mojej komórki.

Serce mi staje. Lady Charlotte5 Już5

Chwytam komórkę i spoglądam na wyświetlacz. Numer prywatny Zwykle nie odbieram telefonów, jeśli nie wiem, od kogo są, bo albo dzwonią wtedy z banku z działu kart kredytowych i dopominają się o pieniądze, albo z wypożyczalni, z pytaniem, co zrobiłam z Rejsem w nieznane. Ale tym razem obie możliwości odpadają. Wpłaciłam w tym miesiącu minimalną opłatę za kartę kredytową, a film parę dni temu odnalazł się nagle na telewizorze, zupełnie niespodziewanie.

No, może niezupełnie — poprawiam się, myśląc z radością o magicznym wrzosie.

Ostatnimi czasy przecież ciągle zdarzają mi się takie niespodzianki.

— Słucham. — Zastanawiając się, co tym razem ubzdurzyła sobie lady Charlotte, od razu łapię kawałek papieru i zaczynam szukać długopisu.

— Dzień dobry. Czy mogę mówić z panią Heather Hamilton5

Ku mojemu zaskoczeniu słyszę męski głos, mówiący piękną, staranną angielszczyzną. Pewnie jej kamerdyner.

— Przy telefonie — mruczę, otwierając szufladę. Cholera, jak ja mam znaleźć cokolwiek w tym bałaganie?

— O, witam panią, pani Hamilton, mówi...

— Przepraszam pana na chwilę. — Przyciskam rękę do szuflady, sięgam głęboko do środka i szukam długopisu po omacku. Boże, przecież jakiś gdzieś tu musi być!

299

— Jeśli to nie jest odpowiednia pora... — słyszę głos w leżącej obok słuchawce. Cholera. Trudno. Użyję konturówki do powiek.

— ... mogę zadzwonić później.

Wyciągam rękę z szuflady i gapię się na słuchawkę. Czy on powiedział: „później”? W głowie łęgnie mi się złośliwa myśl. No cóż, w końcu to kolej Briana, więc przez chwilę mam ochotę powiedzieć kamerdynerowi, żeby owszem, zadzwonił do biura później. Ale wtedy bierze we mnie górę rozsądna asystentka. Lady Charlotte może i jest bestią i może wychodzi za mojego byłego, ale jej ślub wyciągnie naszą firmę z koszmarnych długów. I ocali moją pracę.

— Nie, w porządku — odpowiadam zrezygnowana, wyjmując konturówkę z kosmetyczki. — No dobrze, jakie są kolejne zachcianki Charlotte? To znaczy, przepraszam, życzenia?

— Charlotte5 — powtarza energiczny głos po drugiej stronie słuchawki.

— Przepraszam, lady Charlotte - poprawiam się szybko.

— Przepraszam, chodzi o te trzysta funtów, które wydałam w zeszłym tygodniu na bieliznę5

— Nie, nie o to — mówi głos niecierpliwie. — Chodzi o pracę.

— W American Expressr

Marszczę brwi. Ale to dziwne. Pewnie wymyślili sobie teraz taką dziwną promocję.

— Nie, w „Sunday Herald”.

Trwa kilka sekund, zanim docierają do mnie te słowa.

— Powiedział pan: w „Sunday Herald” — szepczę. -Tak.

Przez chwilę ciężko mi oddychać.

— A pan nazywa się...5

— Victor Maxfield, jestem redaktorem naczelnym.

O Boże, to się stało. To naprawdę się stało. Rozmawiam z redaktorem naczelnym „Sunday Herald”. Właśnie teraz. Przez komórkę. A zaraz chyba zemdleję z braku tlenu, uświadamiam sobie, bo zapomniałam o oddychaniu. Siadam na taborecie i biorę głęboki wdech.

— O rany, nie spodziewałam się tego. Widzi pan, wzięłam pana za kogoś innego.

— Domyśliłem się — odpowiada głos i chociaż nie widzę Victora Maxfielda, to mogę przysiąc, że się teraz uśmiecha. — Stwierdziłem, że zadzwonię już dziś, bo od środy nie ma mnie w biurze. Co roku o tej porze wybieram się na ryby do Szkocji, do małej miejscowości zwanej Loch Kulloch...

Słuchając go, mam ochotę się uszczypnąć — to takie nierealne.

— Była pani kiedyś w Szkocji, pani Hamilton5

— Nie, nigdy... - bąkam.

— Zatem powinna pani pojechać, moja droga. To niesamowite miejsce. Jestem Amerykaninem i widziałem w Stanach wiele pięknych miejsc, ale od kiedy przeprowadziłem się na

301

waszą wysepkę, a było to ponad dwadzieścia lat temu, stwierdziłem, że Szkocja bije wszystko na głowę — te góry, pola, no i, oczywiście, pani imię.

— Słucham?

— Mówię o wrzosach, droga Heather! O cudownych wrzosowiskach, pokrytych jak okiem sięgnąć fioletowymi i białymi kwiatuśkami.

Słyszając jego głęboki głos, odczuwam mrowienie w całym ciele. Wrzos. Szczęśliwy wrzos. Mój szczęśliwy wrzos. Nagle czuję zawroty głowy, jak gdybym kręciła się szybko wokół własnej osi i otworzyła oczy — pokój kołysze się i rozmazuje w karma-zynowym świetle. Przytrzymuję się taboretu, by odzyskać równowagę, ale serce o mało nie wyrwie mi się z piersi, która faluje szybko, a w uszach dziwnie mi

brzęczy. To może być po prostu z nerwów, zaskoczenia albo osłabienia, ale mam wrażenie, że to coś więcej. Jakby wszystkie moje marzenia płynęły prądem od moich stóp do rąk, a potem po linii telefonicznej. Do Victo-ra Maxfielda, człowieka, który ma moc wcielenia ich w życie.

- Więc ma pani czas jutro rano, żeby przyjść na rozmowę? Wiem, że to dosyć szybko, ale tak właściwie nie ma na co czekać, prawda?

- Tak, oczywiście. Jutro jak najbardziej mi pasuje.

— Fantastycznie. Zatem do zobaczenia jutro o dziewiątej. Zakładam, że zna pani adres?

-Tak, dziękuję. - Jak mogłabym nie znać? Przez te lata nauczyłam się go na pamięć.

A potem Victor Maxfield się rozłącza. Rozmowa kwalifikacyjna. W „Sunday Herald”. Dokładnie tak, jak powiedział Gabe. I jak sobie wymarzyłam.

- Heather?

Wystraszona mocnym pukaniem do drzwi, podskakuję. To Brian już wrócił.

302

*

Otwieram zamek i chwytam klamkę. Z drugiej strony chyba lepiej być szczerym i powiedzieć mu o rozmowie. Nie lubię mieć przed nim tajemnic, a on pewnie i tak będzie się cieszył moim szczęściem.

— Brian, nigdy nie zgadniesz... — Pociągam drzwi do siebie.

— Tadam!

Otwieram usta, a potem je zamykam. Przede mną stoi □ h □ r.

— I co o tym sądzisz?

W drzwiach stoi postać w podwiązkach, kabaretkach i długich, czarnych kręconych włosach.

— Jestem trrrransseksualistą z Transylwanii. — Brian wydyma usta i wykonuje niebezpieczny wymach nogą.

Spoglądam na niego, me mogąc wydusić z siebie słowa. Muszę przyznać, że mój szef ma niesamowicie zgrabne nogi.

Brian przestaje się wygłupiać i uśmiecha się do mnie speszony.

— Przepraszam, dałem się nieco ponieść emocjom. Co mówiłaś?

— Och, nic — odpowiadam. Teraz nie jest chyba najlepszy czas, żeby mówić mu o rozmowy kwalifikacyjnej. Wyciągam rękę i strzelam jego gumką od podwiązki. — Opowiem ci później.

31

Biata furgonetka trąbi głośno, jej kierowca wychyla się przez okno i krzyczy coś, czego nie jestem w stanie dosłyszeć —

a zresztą ujrzawszy, co robi z językiem, nawet cieszę się, że nie słyszę.

Idąc z Brianem przez szarą betonową dżunglę dzielnicy Hammersmith, głowę mam spuszczoną, a oczy wlepione w chodnik upstrzony gumami do żucia. Wszystko, byleby uniknąć wścibskich spojrzeń. Koszmar ten trwa przez całą drogę od biura: gapią się na nas emerycy z zakupami, zastygający na nasz widok w szoku przed Marks & Spencer, chichoczące grupy nastolatków⁷, trącających się wściekle łokciami, pijani biznesmeni sączący piwo w oknach pubu, którzy milkną, gdy przechodzimy obok. A wcześniej japońscy turyści spytali nas, czy mogą sobie z nami zrobić zdjęcie. Tak jakby nikt nigdy przedtem me widział faceta po sześćdziesiątce chy. Cmokając niecierpliwie, próbuje poprawić klamerki swoimi smukłymi dłońmi, niewiarygodnie zręcznymi, jeśli chodzi o obsługę najbardziej skomplikowanych aparatów, a zupełnie niezdarnymi w zetknięciu z damską garderobą. — Jezu, kociaki, jak wy sobie z tym radzicie?

— Kociaki mają ogony, Brian — oświadczam zimno. — Kobiety ich nie mają.

Splatając ręce na piersiach, zerkam z ukosa na szybę Star-bucksa, by sprawdzić, jak wyglądam. Mam na sobie różową plisowaną spódnicę, zapinany sweterek w tym samym kolorze, brązowe rajstopy i sznurowane buty, które kupiłam, gdy miałam siedemnaście lat i dorabiałam w niedziele jako sprzedawczyni w Dolcis.

Strój ten był pomysłem Jess. Należy do wielkich fanów musicalu, którzy widzieli przedstawienie ze sto razy i znają wszystkie kroki do piosenki Niech znów zapętlili się czas. To ona wszystko zorganizowała, zamówiła parę miesięcy temu bilety, pożyczyła mi kostium i stwierdziła podekscytowana, że będę „idealną Janet”. Uwierzyłam w jej komplement i nawet udzielił mi się jej entuzjazm. Problem z Jess polega jednak na

tym, że lubi przesadzać. Spoglądam teraz niepewnie na moje koszarne odbicie w wystawowej szybie. Przez Jess wyglądam właśnie jak Doris Day w mokasynach. Nie chcę, żeby wyszło, że się nie znam na zabawie, ale jeśli ludzie mówią, że jakaś sukienka jest śmieszna, to kogo ma to śmieszyć, osobę ubraną czy całą resztę? Gdy docieramy do Apollo Theatre, robi się już ciemno. Purpurowo-szare pasma chmur wiszą ponad drzewami jak wielkie siniaki, tworząc tło do napisu The Rocky Horror Show, połyskującego białymi światłami nad budynkiem teatru. Tłumy wyzywająco ubranych ludzi gromadzą się przed wejściem, ćwiczą kroki i porównują swoje kostiumy. Szukając w tłumie

□□□

Jamesa, z którym umówiłam się właśnie tu, oraz Jess, która miała się zjawić wraz z tłumem znajomych stewardów, przeciskam się obok ogromnego faceta pokrytego tatuażami, ubranego w czarne podwiązki i kabaretki, takie jak ma Brian. Na początku dziwnie się z tym czuję, ale po chwili oswajam się z tym widokiem. Każdy - powtarzam: każdy, niezależnie od płci — ma na sobie kabaretki.

Brian idzie przodem, więc wchodzę za nim do hallu. I od razu do moich uszu dociera wybuch gardłowego śmiechu, wybijający się ponad gwar rozmów. Rozpoznaję go natychmiast

— Jess! — krzyczę, dostrzegłszy ją w grupie przystojnych mężczyzn z wielkimi bicepsami. To muszą być stewardzi. Jess zarzuca mi ręce na szyję i ściska mnie. — Wyglądasz fantastycznie! — wyrzucam z siebie.

— □□□ myślisz.' — pyta i odwraca się, by zademonstrować się w całej okazałości. Ma na sobie obowiązkowy gorset, kabaretki i szpilki, ale cała ta bikram joga opłaciła się. Obiecuję sobie spróbować następnym razem kilku powitań słońca, zamiast spędzić całe zajęcia w pozycji dziecka, udając, że mam okres i nie mogę się wysilać.

— Ty też — odpowiada Jess, po czym marszczy brwi. — Heather, wszystko w porządku

— Z kim? - dopytuje się Jess.

— Z lady Charlotte. Jess opada szczęką.

— Mówisz poważnie:

— Śmiertelnie poważnie.

— Jasna cholera, Heather. I jak się czujesz: Wzruszam ramionami.

— No wiesz — odpowiadam, a Jess kiwa głową ze zrozumieniem. — Ale co gorsza...

— To może być coś jeszcze gorszego.' — Dla Jess nic gorszego nie wydaje się możliwe. Dla niej małżeństwo jest wyścigiem, w którym powinno się walczyć ze swoim byłym o palmę pierwszeństwa. I rzuciwszy obrót sprawy jest sromotną porażką.

— Bnan i ja jesteśmy oficjalnymi fotografami na ich ślubie. — Jess odbiera mowę, a to się rzadko zdarza. Ale potem wreszcie odzyskuje głos:

— Spokojnie, jesteś od niej dużo ładniejsza. Poza tym ona ma nogi jak słonica.

Uśmiecham się mimo woli: najwyraźniej nogi lady Charlotte zdążyły już zyskać złą sławę.

— A jeśli chodzi o tego bydlaka Daniela, to spotkałaś teraz kogoś o niebo lepszego. Jak sama powiedziałaś. James jest doskonały.

— Masz rację. Wszystko jest w porządku, naprawdę...

— Jol, zdziro! — słyszę czyjś szyderczy okrzyk i odwracam się, żeby sprawdzić, kto jest adresatem tego zawołania. A wtedy uświadamiam sobie z niedowierzaniem, że to ja.

— Słyszałaś, jak mnie nazwano? — wyrzucam z siebie oburzona.

— Przyzwyczaj się do tego, skarbie — chichocze jeden ze stewardów, który przedstawił się jako Neil i częstuje nas teraz orzeszkami w miodzie. — To część zabawy. Za każdym razem

307

gdv na scenie pojawia się Brad, krzyczy się „dupek”, a gdy Ja-net, trzeba zawołać: „zdzira”. — Puszczą oczko do Briana, który z rumieńcem na twarzy przyjmuje orzeszka. Dziwne, mogłabym przysiąc, że ma na nic alergię.

Odwracam się znowu do Jess i kładę ręce na biodrach, udając obrażoną.

— Czy próbujesz mi coś powiedzieć? - wydymam usta.

Ale Jess nie zwraca już na mnie uwagi, tylko łapie za łokieć dużego, muskularnego mężczyznę, który stoi plecami do mnie.

— Chciałabym, żebyś kogoś poznała - mówi z dumą w głosie. — Heather, to jest Greg.

Mężczyzna odwraca się teraz i mruga na mnie sztucznymi rzęsami.

— Miło mi — mówi i uśmiecha się. I właśnie ten uśmiech przykuwa moją uwagę: gdy rozciąga usta, rzuca się w oczy jasna blizna, biegnąca mu nad górną wargą. Wydaje mi się, że skądś go znam.

— Mnie również — odpowiadam mu z uśmiechem i staram się przypomnieć sobie, gdzie go już widziałam. Co nie jest łatwe, skoro tacet ma doklejone sztuczne rzęsy i nosi damską bieliznę. — Mam wrażenie, że gdzieś już się poznaliśmy — mówię.

— O, nie, to niemożliwe — odpowiada. — Na pewno bym cię zapamiętał. — I spogląda na mnie w taki sposób, że gdyby nie to, że przyszedł z moją najlepszą przyjaciółką Jess, pomyślałabym, że ze mną flirtuje.

— A gdzie jest ten twój? — pyta Jess.

— Gabe wspominał coś o kolacji u wujka. — Wciąż niepokoi mnie: gdzie to ja widziałam Grega wcześniej? To takie samo uczucie jak wtedy, gdy ogląda się film i nie można sobie przypomnieć nazwiska aktora.

308

Powinien tu być łąda chwila. Pewnie utknął w korku.

— Ale przedstawienie zaraz się zaczyna. Wypadałoby już wejść do środka. — Steward przychodzi mi na ratunek.

— No to chodźmy poszukać swoich miejsc. — Jess bierze Grega pod ramię. Wszyscy powoli /micrzają na widownię, a ja zostaję w pustoszejącym hallu, czekając na Jamesa. Robi się coraz później. Gdzie on się podziewa?

— Przepraszam panią. — Czuję, że ktoś mnie uderza w ramię, odwracam się i widzę chłopaka z obsługi widowni. — Musi pani wejść do środka. Jak już się zacznie przedstawienie, nie będę mógł pani wpuścić.

Kolorowy dywan w hallu opustoszał, zdobią go jedynie od-darte kupony biletowe i porozrzucany popcorn. Możliwe, że w całym tym zamieszaniu nie usłyszałam telefonu Jamesa. Grzebię w torbie w poszukiwaniu komórki, ale okazuje się, że nie mam żadnych nieodebranych połączeń.

— Proszę pani'

Chłopak wciąż czeka na mnie cierpliwie.

— Och, przepraszam.

Rzucam jeszcze ostatnie pełne nadziei spojrzenie na drzwi, a potem niechętnie wręczam mu bilet. Oddziera kupon kontrolny i oddaje mi bilet z powrotem, a potem czeka, aż wejdem do środka. Przystaję.

— Jeśli zjawi się taki wysoki brunet... — Wyciągam bilet Jamesa.

— Oczywiście. — Chłopak wsuwa go do kieszonki na piersi. I gdy rzuca mi współczujące spojrzenie, staje się jasne, iż myśli, że zostałam wystawiona, więc odwracam się i pośpiesznie wchodzę do środka.

32

Strojenie instrumentów przez orkiestrę zwiastuje, że spektakl zaraz się rozpocznie, więc szybko zaczynam szukać swojego miejsca w wypchanym po brzegi teatrze. Na pewno jak zwykle wyląduję gdzieś z tyłu, w samym środku rzędu, i będę musiała się przepychać między ludźmi, przepraszając ich i starając się nie potknąć o ich stopy. Spoglądam na numery rzędów i rzucam tęskne spojrzenie na miejsca przy scenie. Jest tam jeszcze kilka wolnych siedzeń tuż przy przejściu. Hm, ciekawe, czyje one są. Gdyby tak tylko były moje...

Zaraz, zaraz... W całym tym zamieszaniu i oczekiwaniu na Jamesa nawet nie spojrzałam na bilet, by sprawdzić, w którym rzędzie mam miejsce, ale teraz...

Spoglądam na niego — tak, to moje miejsca! W pierwszym rzędzie! Wreszcie będę widzieć to, co się dzieje na scenie, a nie tylko tył czyjejs gło-
obcej osoby. Hm, no trudno. W końcu jestem dużą dziewczynką.

Tylko że z mojej drugiej strony znajduje się puste miejsce Jamesa. Spoglądam na nie i resztki dobrego humoru ulatują już zupełnie. Gdy minęła radość z posiadania miejsca w pierwszym rzędzie, zaczynam się nad sobą użalać, że oto zostałam wystawiona, że czeka mnie z pewnością koszmarne wieczór i że tak właściwie mogłabym już iść do domu — a wtedy orkiestra zaczyna grać, kurtyna idzie w górę i rozpoczyna się The Rocky Horror Show.

W ciągu następnej godziny przenoszę się do niezwykłego świata transwestytów z

Transseksualnej Transylwanii. Reszta widowni chyba zna całe przedstawienie na pamięć i za każdym razem, gdy Brad albo Janct pojawiają się na scenie, pozdrawiają ich okrzykami: „dupek!” i „zdzira!” i machają latarkami. Ja natomiast nie bardzo jestem w stanie połapać się, o co chodzi, ale staram się usilnie.

Co nie jest proste, zwłaszcza że ktoś ni z tego, ni z owego podaje mi gazetę. I co ja mam z tym zrobić.: Chyba nie czytać, to pewne — mówię sobie, rzucając na nią okiem. Okazuje się, że to „Evening Standard”. Nagle znów ogarnia mnie to dziwne uczucie, czuję wibrowanie w końcówkach palców, pobrudzonych teraz tarhą drukarską od tytułu, który głosi: „Główna WYGRANA W TOTKA WCIAŻ NIEODEBRANA! ZWYCIĘSKI KUPON WYŚLANY ZOSTAŁ W" ZACHODNIM LONDYNIE".

O Boże! To musi być ten mój, który mi skradziono!

Wpatruję się intensywnie w gazetę i zaczyna mi się kręcić w głowie, aż nagle rozbrzmiewają początkowe nuty piosenki Niech zapęth się czas, ktoś porywa mnie do tańca, wszyscy kładą ręce na biodrach i nie mam czasu, by myśleć o czymkolwiek, bo do reszty pochłania mnie głupia, absurdalna, kosmiczna zabawa.

311

— Podobało ci się?

Przedstawienie już się skończyło i ściśnięci w tłumie opuszczamy teatr. Uśmiecham się szeroko do Jess, która oplata Gre-ga jak bluszcz.

— I to jeszcze jak! - odpowiadam, łapiąc się na tym, że wciąż mruczę Niech znów zapęthli się czas. - Boże, ta piosenka ciągle chodzi mi po głowie.

— Nawet lepsze niż Upiór w operze - stwierdza Neil i widzę, że policzki Briana pałają szczęściem — nawet mimo tego, że twarz ma opuchniętą i pokrytą krostami. Ha! Wiedziałam, że ma alergię na orzechy.

— Jesteście głodni? Znam fantastyczną knajpkę, gdzie podają świetnego kurczaka tikka — mówi jeden ze stewardów, którego imienia nie pamiętam, choć naprawdę bym chciała.

A wtedy oczywiście jego imię błyska mi w głowie: Rick.

— Nie, to nie dla mnie, stary - mruczy chyba lekko podenerwowany Greg. - Muszę

wracać do Kentu. Jutro wcześniej wstaję — wyjaśnia i otula ramieniem wyraźnie rozczarowaną Jess.

Gdy już udało nam się wyjść na chłodną, ciemną ulicę, przez chwilę przypatruję im się razem i ogarnia mnie dziwny niepokój. Próbuję dojść, skąd się bierze, ale nie potrafię tego odgadnąć. Może nie ma żadnej konkretnej przyczyny. Może po prostu jestem nadopiekuńcza. Przecież widać na pierwszy rzut oka, że Jess jest w nim zakochana po uszy.

— Heather? Czy to ty?

Czyjś głos przerywa mi rozmyślenia i widzę męską sylwet-

— Hej, patrzcie, to Brad - wykrzykuje Rick. - Dupek! — Już ma wybuchnąć histerycznym śmiechem, kiedy gasi go moje krzywe spojrzenie.

— Przepraszam, spóźniłem się. Gdy zajechałem na miejsce, przedstawienie już trwało. Próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale na próżno.

— W teatrze nie było zasięgu — wyjaśniam. — Długo czekałeś ?

— Wypiłem w pubie drinka i obejrzałem fragment meczu rugby. - Wskazuje na lokal po drugiej stronie ulicy. - Ale w tym przebraniu ludzie jakoś dziwnie na mnie patrzyli. — Przejeżdża ręką po marynarce.

Kąciki ust wędrują mi do góry.

— Przecież nie musiałeś na mnie czekać, wiesz o tym.

— Wiem. — A potem przez chwilę w milczeniu spoglądamy na siebie. Może to tylko moja wyobraźnia, ale wyczuwam między nami jakieś dziwne napięcie. - Podwieźć cię do domu? Zaparkowałem niedaleko.

— Byłoby genialnie. - Uświadamiam sobie, że przejęłam to wyrażenie od Gabe'a, więc dodaję jeszcze: - Byłabym ci wdzięczna, dzięki.

Odwracam się, by pożegnać się ze wszystkimi, ale gdy widzę, że się kłóć, czy wybrać restaurację indyjską, czy chińską, postanawiam sobie darować. Najlepiej po prostu ulotnię się po cichutku. Oznajmiam tylko szeptem Brianowi, że znikam, po czym wracam szybko do Jamesa, zanim dojrzy go Jess. Wiem, że nie może się doczekać, by go poznać, i jeśli go zobaczy, to zacznie się przesłuchanie.

— A więc jak tam przedstawienie? — pyta James w drodze do samochodu.

— Super — odpowiadam. — Kompletne wariactwo, muszę przyznać. — Trudno mi nie zauważyć, że nie trzyma mnie za rękę. Stanowczo coś tu nie gra.

— To dobrze — odpowiada James chłodno.

313

Rozmowa się urywa i zapada milczenie.

Dochodzimy do samochodu, James wyłącza alarm i wsiadamy do środka. Sadowię się na miękkim skórzanym siedzeniu i wyglądam przez okno, a James wyjeżdża na ulicę. I tutaj też żadne z nas się nie odzywa i milczenie to trwa wieczność. To znaczy mniej niż dwie minuty - zerkam ukradkiem na zegarek na desce rozdzielczej — ale w każdym razie mam wrażenie, że trwa to wieczność. To taka niezręczna, wręcz złowroga cisza. Znam pary, które są dumne z tego, że potrafią z sobą dobrze milczeć, lecz ja nigdy nie byłam w stanie ich pojąć. Ale teraz nagle zaczynam ich rozumieć. I dużo bym oddała za takie „dobre” milczenie. Bo teraz, siedząc w klaustrofobicznej ciszy w samochodzie Jamesa, mam wrażenie, że się duszę.

— Czekałem, bo to dla mnie bardzo ważne.

Przez chwilę wydaje mi się, że James mówi do siebie. Ale potem zwraca się bezpośrednio do mnie:

— Czekałem, ponieważ musimy porozmawiać. Najpierw oddycham z ulgą, a potem zaczynam się bać.

Bo w wolnym tłumaczeniu oznacza to, że to James chce, żebym ja mu coś wyjaśniła. Wiem, bo kiedyś mówiłam to z krzykiem do Daniela, pełna pretensji, że się przede mną nie otwiera. James natomiast nie mógłby być już bardziej otwarty: zawsze chce, żebyśmy o czymś rozmawiali. Aż czasem naprawdę jestem tym zmęczona.

Spoglądam na niego, jak przeczesuje włosy palcami, i zaczynam w pośpiechu przygotowywać mowę o tym, że bardzo go lubię, ale że jak dla mnie, wszystko to dzieje się nieco za szybko.

- Nie kochasz mnie, prawda.' - patia nagle z jego ust. Za mu rowu je mnie.

- No cóż... - Teraz już mogę sobie darować swoją przemowę. Najpierw mam ochotę zaprzeczyć i w mawiać mu, że jest

□İ4

inaczej. Ale tak właściwie po co?, pytam się w myślach. Po co chcesz przekonywać jego, skoro nie potrafisz przekonać samej siebie?

— Nie, nie kocham - przyznaję. - Kocham w tobie wszystko, ale ciebie nie kocham.

— Gdy wreszcie wyrzucam z siebie te słowa, czuję nieopisaną ulgę. — Przykro mi.

— W porządku. Domyślałem się tego - odpowiada James i rzuca mi słaby uśmiech, jak gdyby chciał pokazać, że nie jest na mnie zły. — Tej nocy po kolacji, gdy byliśmy w łóżku i powiedziałem, że cię kocham, miałem nadzieję, że usłyszę od ciebie to samo...

Nagle robi mi się potwornie przykro.

— ... ale nie usłyszałem.

— Nie powiedziałam tego? Ale myślałam... — Nie kończę zdania. Pamięć może mi płać figle z powodu szampana wypitego tamtego wieczoru, ale jestem pewna, że powiedziałam mu, że go kocham. Choć żałuję, że to zrobiłam, i wolałabym cofnąć tamte słowa.

— Powiedziałaś: „ja ciebie też” - odpowiada cicho James, gdy zatrzymujemy się na światłach. - A oboje dobrze wiemy, że to nie to samo co „kocham cię”.

On ma rację. Nikogo nie udało mi się oszukać. Nawet samej siebie. A już na pewno nie Jamesa. Gdy moje oczy napotykają jego wzrok, uświadamiam sobie, że jednak spełniło się moje życzenie. Mimo to zamiast ulgi czuję tylko smutek.

— Powiedziałaś to, żeby nie ranić moich uczuć, i doceniam twój gest — mówi James. — Ale to nie wystarczy. Jeśli nie mogę mieć w całości osoby, którą pragnę, wolę nie mieć jej wcale.

Nagle czuję się jak kompletna kretyńka.

— Przepraszam, nie wiem, co się ze mną dzieje.

— Wszystko z tobą w porządku, Heather. — James wyciąga rękę i przejeżdża kciukiem po moim policzku. - Ale nic nie można na to poradzić, skoro jesteś zakochana w kimś innym.

315

Co on wygaduje?

— Mówisz o moim byłym? Nie, to nie tak! — zaprzeczam żarliwie. Owszem,

zaskoczyła mnie wiadomość, że Daniel się żeni, ale już od dawna go nie kocham.

— Nie mówię o twoim byłym. Marszczę brwi. A zatem o co mu chodzi?

— Mówię o twoim współlokatorze.

— Myślisz, że jestem zakochana w G a b i e? — Wiem, że to absurd, ale przez króciutki, przelotny moment przemyka mi przez głowę, że może coś w tym jest. Może to właśnie dlatego nie zakochałam się w Jamesie? Ale od razu odsuwam od siebie tę myśl. — Co za bzdura — mówię z oburzeniem.

— Widziałem was razem w Kornwalii - odparowuje James.

— Ale nigdy do niczego między nami nie doszło. Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

— Wierzę ci. Ale to nie znaczy, że nie łączą was żadne uczucia. — Przerywa, a potem dodaje delikatnie: — Może ty tego nie widzisz, Heather, ale ja tak.

Światła wreszcie się zmieniają i gdy wzrok Jamesa z powrotem kieruje się na drogę, spoglądam na jego twarz z profilu. Mimo wszystko przepelnia mnie czułość do niego. Wciąż uważam, że jest uroczy, nawet teraz, gdy zrywamy z sobą i kiedy myśli, słusznie lub nie, że kocham innego faceta. Zaczynam wątpić, czy jestem zdrowa na umyśle. Bo przecież nigdy się nie kłóciliśmy, jest uczciwy, romantyczny i fantastyczny podczas gry wstępnej — może nawet zbyt fantastyczny. Ten człowiek nie ma wad. On naprawdę jest facetem idealnym.

I dopiero teraz dociera to do mnie z całą oczywistością.

— Jesteś mężczyzną idealnym, James - mówię cicho. -1 po prostu zbyt idealnym dla mnie.

James spogląda zaskoczony.

316

— Nie dziw się, to prawda. Nigdy się nie kłócimy, lubisz tę samą muzykę co ja, uwielbiasz komedie romantyczne, jesteś wegetarianinem, byłbyś w stanie kupić mi tampony, wiesz, jak znaleźć punkt „G” bez pytania o wskazówki... Jak ty to robisz?

— Tajne łamane przez poufne. — James udaje, że zamyka usta na kłódkę.

— I nawet ubrałaś się jak Brad dla swojej Janet, choć wcale ci o tym nie mówiłam.

— Osuwam się ciężko na siedzeniu. — To cały ty. I jesteś tak cholernie doskonała, że

przy tobie czuję się taka niepokładana, chaotyczna...

— Hm, jeśli tak jak twój pokój... — James krzywi się.

Rumienię się ze wstydu. A potem skręcamy w naszą uliczkę i James zatrzymuje się przed moim domem, nie gasząc silnika.

— Muszę jeszcze poszukać miejsca do parkowania — wyjaśnia. — Wiesz, jak to jest. No, nie bardzo. Od kiedy mam mój wrzos, zawsze bez problemu znajduję miejsce parkingowe. Ale mimo to kiwam głową. I wtedy spoglądamy na siebie tak jakoś dziwnie.

— No cóż, to chyba tyle — odzywa się James po chwili.

— Chyba tak — przytakuję, nie do końca świadoma, co się właśnie dzieje. Jestem przyzwyczajona do rozstań we łzach, po kłótniach, w czasie których powietrze aż iskrzy od emocji, ale to rozstanie jest tak przyjazne, że aż absurdalne. Pochylam się w jego stronę i całuję go w policzek.

— Pa, James.

— Pa, Heather — odpowiada serdecznie, a potem odwzajemnia pocałunek.

Wychodzę z samochodu.

— Trzymaj się. I nie podglądaj mnie więcej przez żaluzje, bo wezwę policję — krzyczy za mną, gdy wspinam się po schodach do drzwi. Odwracam się.

317

33

k'! noc\ miałam przedziwn sen. L brana w elegancki ko stium uchodzę prze/
obrotowe drzwi do budynku -.Sn Herald". W kraezam do gabinetu / w vw ieszką „Ri
i >□□i"<)| CZKi.\~i i widzę \ ictora \laxhclda za biurkiem. Ali udv się podnosi,
b\ uścisnąć mi rękę, okazii]e się, ze ma na sobie pończochy i gorset i nie jcslcsim]liz
u lego biurze . ale na weselu i właśnie tancz\ do □/□□;; za pęt Ił <icczas,\ Brian
totograki]c go i posvpu]e koniell i.

Twie ze to nie konktti, ale miliom malutkich ścinków □□ zety. □ potem A.-n' zena
padać deszcz i skra w ki papieru zlew a], i się w i□□i□□ i ' Iną dtizą
gazetę. ..Sumko. 1 lerald . na

pierwszej -ironii które] w id me] e moje zdjęcia . a palem biegnę do domu przez

burzę i trzymam tę gazetę nad głową. W te dni dostrzegani siarą < \gankc i spoglądam je] prosto w oczy. które błyszczą jak m.ile szmaragdy, a po chwili zmienia] w ciemnioblękitne i ikazu]c się, że me patrzę \'

ale u ocz\ (i.ib< a.

Aon su mnieje i smieji . lv k' ze to nie biz im ja i; śmie» h. ale racze] jak u \ • usz\ i starań uciec. '

ona. I o u □ 'K' bud mojej.

zanurkować pod kołdrą, kiedy uświadamiam sobie, że mam dziś rozmowę kwalifikacyjną.

Podnoszę się na łóżku nagle zupełnie przytomna, przerzucam nogi na jedną stronę łóżka i zanurzam stopy w wełniane buty, które kupiłam do normalnego chodzenia, a teraz służą mi raczej jako drogie kapcie — ot, kaprysy mody. Dźwigam się z łóżka, zakładam szlafrok i otwieram drzwi mojego pokoju.

Z korytarza dobiega mnie cichy dźwięk radia oraz mdląco słodki sztuczny zapach. Przez ostatnich kilka tygodni nauczyłam się go rozpoznawać — to grzanki z dżemem.

— Cześć — mówię, zanim jeszcze dobrze nie wejdę do kuchni, gdyż wiem, że zastanę yy niej Gabe'a pochylonego nad tosterem z pałeczką w dłoni. No i oczywiście jest - wygląda z tą pałeczką jak rybak z harpunem, który czeka na moment, gdy będzie mógł uderzyć. Ale dzisiaj jest tak pochłonięty śpiewaniem wraz z Eddiem Yedderem, którego głos dobiega z radia, że mnie nie słyszy, przez co w drzwiach zostaję uraczona nieoczekiwanym widokiem drapania się po jajach. Wygląda to prawie tak, jakby grał na wyimaginowanej gitarze basowej, tyle że jej struny mieszczą się w kwiecistych bokserkach. Jego ręka wędruje w górę i w dół, w górę i w dół, a koścista stopa ze śmiesznie wykrzywionym paluchem postukuje do rytmu granego przez Pearl Jam. Komicznego widoku dopełniają zmierzwione włosy z tyłu głowy.

Zamarła w drzwiach, przypominam sobie słowa Jamesa: „Ale nic nie można na to poradzić, skoro jesteś zakochana w kimś innym... w twoim współlokatorze...”

No dajcie spokój. To jakieś kpiny. Co ten James sobie myśli? Jar Zakochana w tym czy m ś?

Gabe nagle ziewa przeciągle jak hipopotam — z rozszerzonymi nozdrzami, eksponując przy tym mnóstwo wielkich białych zębów i mrużąc głośno, a w połowie tej czynności od-

3?G

wraca się i dostrzega moją obecność. I natychmiast zamyka usta.

— O. cześć, Heather. — Jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku, z ręką, nawet dosłownie, na klejnotach królewskich, wyszarpuje ją z bokserek i poprawia okulary.

— Nie zauważyłem, kiedy weszłaś.

— He, he. Tak myślałam. - Uśmiecham się słodko, włączam czajnik i wyciągam kubek z kredensu. Czuję, że zakłopotanie bije od mego na kilometr, wyjmuję herbatę z saszetki, jak gdyby nigdy nic, wsypuję łyżeczkę cukru i biorę nierozpo-częty karton mleka z lodówki.

— Jak ci minął poprzedni wieczór: — pyta Galie, udając, że nic się nie stało.

Krzyżuje nogi i opierając się o blat, pociąga w dół swój podkoszulek z Mr T.

— Chodzi ci o The Rock[^]y Honor Show- — pytam, starając się otworzyć karton mleka. Już odgięłam oba rogi, jak to pokazują na obrazku, a teraz ściskam je, żeby stworzyć dzióbek. Cholera, nigdy nie potrafię zrobić tego jak trzeba. Zrezygnowana, oddzieram róg palcem, tak jak zawsze. — Czy o tę część wieczoru, kiedy to James mnie rzucił?

Gabe spogląda na mnie w osłupieniu.

— Mówisz poważnie.' — pyta.

— Mhm. — Czajnik pstryka, więc zalewam herbatę.

Gabe grzebie językiem w zębach, a potem robi długi wydech.

— Cholera — mówi wreszcie. — To znaczy przykro mi. Pewnie strasznie się czujesz.

— Nie, jest w jorządku. — Wzruszam ramionami i dolewam mleka do herbaty, ale rozlewam je po blacie. Oddzieram kawałek papierowego ręcznika, po czym zaczynam wycierać rozlane mleko. To prawda. Jest mi zupełnie dobrze po rozstaniu z Jamesem, ponieważ ostatniego wieczoru zdałam sobie sprawę, że nie byłam w nim

zakochana. Byłam tylko zakochana

321

w" m o i m w v o b rażeni u)ego osoby. — 'Ib było bardzo przyjazne rozstanie — dodaję.

Spoglądam na Gabea, który spuszcza wzrok, zakłopotany, i wlepia go w swoje stopy, jakby się bał, że zaraz zacznę się uzewnętrzniać. I chociaż normalnie by mnie to wkurzyło, to teraz to typowe dla facetów unikanie rozmów o uczuciach cholernie mi się podoba. Po znajomości z Jamesem z ulgą przyjmuję fakt, że nikt nie każe mi opowiadać o swoich przeżyciach.

Na szczęście naszą uwagę przyciąga teraz kłapnięcie drzwiczek dla kota i pojawienie się umorusanego Billy'ego Smitha, miauczącego głośno.

— Patrzcie, kto przyszedł na śniadanie. - Billy Smith ociera mi się o nogi, a ja głaszczę jego miękkie futerko.

— Pewnie jest głodny, i nic dziwnego. Ostatniej nocy był dosyć zajęty. Fen kociak ciągle odbiera telefony alarmowe od byłych lasek.

— Te l e l o n □ a l a r m o w e?

— No wiesz, te telefony późnym wieczorem od byłej partnerki, która zaprasza cię na seks... Nie znałaś tego określenia?

Nie, nie znałam — udaję, że pierwsze słyszę o czymś takim. I staram się nic myśleć o esemesie z drugiej w nocy, który wysłałam do Daniela parę tygodni temu.

— Ale Billy Smith z pewnością tak — śmieje się Gabe. — Gdy obudziłem się w nocy, widziałem dwie zabłąkane kotki snujące się pod naszymi drzwiami.

Ja też wybucham śmiechem, bo trudno się nie śmiać. A potem łapię puszkę whiskasa i wsypuję jego zawartość do miski, podczas gdy Billy Smith zatacza wokół mnie kręgi jak rekin wokół upatrzonej ofiary. Stawiam miskę na podłodze i obserwuję, jak do niej przyskakuje. Jego mały różowy szorstki języczek pochłania jedzenie łapczywie.

322

wiedzieć, i teraz już dłużej nie mogę czekać: — Bo widzisz... Ale Gabe przerywa mi:

— Ej, nie martw się. Wszystko będzie dobrze. — Delikatnie kładzie rękę na moim

gołym przedramieniu. — Masz przecież Billy'ego Smitha i mnie... - Wpatruje się we mnie tak, że robi mi się nieswojo.

...

— Nie, nic chodzi o rozstanie z Jamesem — poprawiam go szybko.

Gabe rumieni się i cofa rękę.

— Och, źle cię zrozumiałem, myślałem, że...

— Denerwuję się przed rozmową kwalifikacyjną. Na twarzy Gabca maluje się zdziwienie.

— W „Sunday Herald” — dodaję nieśmiało.

— fuhuuu! — Gabe zarzuca mi ręce na szyję. — To genialnie! Podnosi mnie do góry i obraca wokół, a ja śmieję się zakłopotana.

— Daj spokój, to tylko rozmowa — protestuję, ale jego entuzjazm jest zaraźliwy i gdy stawia mnie z powrotem na ziemię, twarz zdobi mi szeroki uśmiech. A potem zastyga, bo Gabe wyciąga rękę, by przybić mi piątkę. Boże, tylko nie to...

— Hm, nieważne — śmieje się, me przejmując się moim niechętnym gestem, i pociera kark z zakłopotaniem. A potem, nie chcąc, zęby amerykański optymizm został pokonany przez angielski realizm, dodaje pewnie: — Wiem, że dostaniesz tę pracę.

Biorąc kubek w obie ręce, siadam na krześle i upijam łyk herbaty. Nogi mi się nieco trzęsą i to nie z powodu tego, że tak mną wyobracano.

323

— Tak myślisz? — pytam, starając się, by brzmiało to niedbale, ale na próżno.

Nadzieja tak bardzo przebija z mojego głosu, że słychać w nim tylko ją.

— Ja to wiem — odpowiada Gabe, wlepiając we mnie spojrzenie, które mają często na zdjęciach autorzy poradników psychologicznych. Mówi ono: „jesteś w stanie to zrobić, nawet jeśli myślisz, że jesteś zerem”.

— Dzięki za pokładane we mnie zaufanie, ale...

— Żadnego „ale”. Dlaczego zawsze musi być jakieś „ale”?

— Bo zawsze jest.

— Jezu, Heather. — Gabe wzdycha z rezygnacją. — Jesteś taką cholerną pesymistką. Przestań myśleć, że szklanka jest do połowy pusta. To, że zaproszono cię na tę rozmowę, jest fantastyczne — nie potrafisz się tym cieszyć?

-Ależ cieszę się - protestuję żarliwie, a potem, zwięzając oczy, zaciągam z amerykańska: — To genialne. — To wredna parodia jego osoby, ale Gabe tylko wybucha śmiechem.

— Tak jest dużo lepiej. Uwierz mi, dostaniesz tę pracę. Musieliby upaść na głowę, żeby ci jej nie dać. Gdy zobaczą, jaką fantastyczną, utalentowaną i uroczą osobą... Rumienię się i przewracam oczyma na tę obfitość komplementów. Oj, bez przesady...

— ... jest twój współlokator, którego zdjęcia im pokażesz.

— Aaa! - chwytam łyżeczkę, do której wciąż jest przyczepiona mokra torebka herbaty, i rzucam w niego.

— Ej! — krzyczy Gabe, gdy torebka uderza z płaskiem o jego pierś.

— Strzał w dziesiątkę! - drę się i oboje wybuchamy śmiechem, gdyż twarz Mr T zdobi teraz mokra plama.

A wtedy dostrzegam na wyświetlaczu mikrofalówki, która jest godzina, i przywołuję się do porządku.

— O cholera, już późno. Idę wziąć prysznic.

324

-Na pewno nie chcesz zjeść ze mną śniadania? - Gabe wyjmuję wreszcie zwęglone resztki z tosteru i macha nimi w geście, który zapewne miał uchodzić za uwodzicielski, mrugając przy tym zalotnie oczami.

— Hmm, brzmi kusząco — przyznaję, robiąc to samo, gdy napotykam jego wzrok.

A wtedy nieoczekiwanie serce zaczyna mi szybciej bić.

O co chodzi? Gdy tak patrzę w te jego niebieskie oczy, dzieje się coś dziwnego.

Nagle znika mój współlokator w bie-liźnie, a zamiast niego widzę flirtującego, półnagięgo Amerykanina, który w gruncie rzeczy jest całkiem przystojny... Heather, co z tobą?

Natychmiast przywołuję się do porządku. Chryste, to pewnie skutki uboczne rozstania z Jamesem. Przecież Gabe mi się nie podoba. Nasza znajomość jest czysto

platoniczna. A poza tym on chodzi z Mią, modelką i aktorką z Hollywood. Jakim cudem miałby mnie pociągać ten facet w moim szlafroku z frotte i z zarośniętymi brwiami, he?

Spoglądam na Gabe'a, który szczyrzy zęby w uśmiechu, i nagle ogarnia mnie na niego złość.

— Może kiedy indziej — odpowiadam sucho i wychodzę z kuchni, starając się kroczyć jak modelka.

Pół godziny później znajduję się już w swoim pokoju. Wykąpana, z wysuszonymi włosami i spryskana dezodorantem, otwieram drzwi od szafy.

Do dzieła. Operacja: Rozmowa Kwalifikacyjna. Zaczynam krytycznym okiem przeglądać zawartość wieszaków. Nie, nie, nie, nie... no, może. Zatrzymuję się na różowej wełnianej spódnicy, na którą wydałam fortunę w jakimś małym ekskluzywnym butik, ale to jedna z tych rzeczy, które wyglądają fantastycznie na wieszaku, a koszmarnie na moim ciele. Zresztą

325

mam mnóstwo właśnie takich ciuchów. Na przykład koronkowy top w stylu retro, w którym wyglądam jak czyjaś babcia, i boską haftowaną marynarkę ze sklepu indyjskiego, z tymi lustrzanymi paciorkami, które pewnie ktoś naszywał przez wieki i w której według Jess wyglądam jak choinka. Czasem mam wrażenie, że mogłabym zacząć oprawiać niektóre z tych ciuchów i wieszać je na ścianach zamiast obrazów. Nie, potrzebuję kostiumu. Każdy zakłada na rozmowę kwalifikacyjną kostium. A ja kiedyś miałam taki jeden, naprawdę niezły... Żeby go tak jeszcze miała...

Dotykam jakiejś naelektryzowanej rzeczy i kopie mnie prąd, że aż podskakuję. Co to było? Zaglądam do szafy i okazuje się, że przejechałam ręką po poduszkach marynarki. Marynarki od kostiumu. Ha! Wiedziałam, że nie mogłam go wyrzucić.

Kupiłam go na wyprzedaży w Jig-saw, a nawet wtedy kosztował niezłą sumę.

Wygrzebuję go więc z otchłani garderoby. Dobrze pamiętałam. Ciemnoszary w drobne prążki. W stylu Wielkiego Gatsby'ego. Jak przystało na superprofesjonalnego fotografa. Jak przystało na „Sun-day Herald”.

Przepełniona optymizmem, zdejmuję marynarkę z wieszaka i zakładam na gołe ciało.

Hurra! Wciąż pasuje. Co jest podwójnym sukcesem, bo oznacza, że noszę ten sam rozmiar, co... robię w głowie obliczenia... No cóż, nie pamiętam dokładnie kiedy, ale były wtedy modne chodaki, więc musiało to być dawno, dawno temu.

Podniesiona na duchu sukcesem z marynarką, zdejmuję z wieszaka spodnie. Super! Zrobię w tym fantastyczne wrażenie, to pewne. Mogę to połączyć ze śliczną białą spódnicą, którą dała mi Jess, i z moimi wiązanymi butami i będę wyglądać jak Dianę Keaton w Annie Hall, albo raczej założyć do tego podkoszulek i adidas i wyglądać androgynicznie, jak Jude

326

Law... Poniesiona fantazją przez taką gamę możliwości, zakładam spodnie i podciągam je do góry.

I jeszcze. I wyżej. I jeszcze trochę.

Cholera.

Zapinam guzik i spoglądam na swoje odbicie w lustrze.

Przychodzi mi na myśl tylko jedno nazwisko: Charlie Chaplin.

Nie, to niemożliwe. Myślałam o seksownych rozszerzanych biodrówkach. A nie o pasie, który sięga mi tak wysoko, że prawie ociera mi się o sutki. Plus jeszcze jedno — i uwierzcie mi, że to nie jest plus — spodnie są w kant.

Jestem przerażona. Autorki ja\ się nie ubierać nie musiałyby mnie wytykać palcami, sama od razu widzę, że te spodnie to katastrofa. Obracam się nerwowo i zerkam na swój tyłek. A przynajmniej wydaje mi się, że gdzieś tam jest mój tyłek. Zagubiony pod zwałami materiału wygląda, jakby sięgał od połowy kręgosłupa aż do kolan.

Wzdrygam się. To jest najkoszmarniejsza para spodni, jaką kiedykolwiek widziałam.

Kiedykolwiek. Czy ja naprawdę kiedyś to nosiłam? Przy ludziach?

Nie mam więc czasu do stracenia. Rozmowa jest o dziewiątej, a zaraz po niej muszę iść do pracy. Co oznacza — stwierdzam, ściągając kostium i rzucając go na podłogę — że czas na plan B. Zaglądam do wnętrza szafy, zaczynam znowu przerzucać wieszaki. A więc gdzie była ta różowa wełniana spódnica i koronkowy top?

Dwa prysnięcia perfum później jestem już gotowa. Łapię czarne skórzane portfolio i zaczynam szukać kluczy i telefonu. Gdzie się podziały? Wbiegam do kuchni i

przerzucam stosy gazet na stole, a potem sprawdzam salaterkę na owoce, do której zamiast owoców wrzucamy drobne. Oby się szybko znalazły...

327

Zaraz, zaraz, a to co?

Dostrzegam breloczek od moich kluczy pod serwetką. Rewelacja. A co z tele... widzę teraz, że w salaterce leży moja komórka. Ale jak to możliwe? Przecież przed sekundą tam zaglądałam. Zupełnie zbita z tropu, wyciągam ją i wrzucam do torebki. Dzięki niebiosom za ten magiczny wrzos. Co ja bym bez niego zrobiła? Biorę głęboki oddech. Czy mam z sobą wszystko, czego mi trzeba?

Szybko w myślach przebiegam listę rzeczy niezbędnych do rozmowy kwalifikacyjnej i rozglądając się po kuchni, zauważam, że zniknęły trampki Gabe'a. Pewnie wyszedł pobiegać, stwierdzam, i robi mi się trochę głupio, że byłam przedtem wobec niego taka opryskliwa. Dostrzegam jeszcze, że zostawił otwarte okno, więc podchodzę, by je zamknąć.

A wtedy rzuca mi się w oczy mój wrzos leżący na parapecie. Boże, jak mogłam o nim zapomnieć? Wyjmuję go z jego prowizorycznego flakonika i ściskam mocno w dłoni. Niemal natychmiast się uspokajam. Gabe ma rację. Wszystko będzie dobrze. A nawet więcej - będzie fantastycznie! Victorowi Maxfieldowi opadnie szczęka na widok przejawu moich fotograficznych zdolności i będzie mnie prosił, żebym dla nich pracowała. A nawet błagał - mówię sobie, nagle szczęśliwa i pewna siebie.

A potem pojawia się kolejna radosna wizja — jak opowiadam rodzinie o mojej fantastycznej pracy. Tato będzie w siódmym niebie, bo wie, jak bardzo o tym marzyłam. Edowi oczy wyjdą na wierzch ze zdumienia. A Rosemary nigdy więcej nie będzie się chwalić swoją Annabel. Bo będę mieć coś o wiele lepszego niż wypasiony apartament i francuskojęzyczna niania. Będę mieć fantastyczną pracę i perspektywę wspaniałej kariery!

Biorę głęboki oddech. Moje najskrytsze marzenie z dzieciństwa jest tak blisko, na wyciągnięcie ręki. Wkładam szczęś-

328

liwy wrzos do kieszeni, biorę portfolio pod pachę i idę szybko korytarzem na

spotkanie swojej świetlistej przyszłości. Oto ja. Heather Hamilton. Jako fotograf pracujący dla „Sunday Herald”. I otwierając drzwi obiema dłońmi, czynię niewielki krok dla ludzkości, ale za to ogromny w moim nowym życiu.

34

Chyba zaraz zwymiotuje.

Siedzący za biurkiem w eleganckim fotelu z czarnej skóry—jak wszystkie grube ryby — Victor Maxfield opowiada mi, co sprawia, że „Sunday Herald” jest najlepiej sprzedającą się gazetą w Wielkiej Brytanii. Usadowiona naprzeciwko niego w jego dużym gabinecie, którego ogromne okna dają wspaniały widok na London Eye, robię wszystko to, co zalecają na rozmowie kwalifikacyjnej poradniki z gatunku „jak zdobyć pracę”. Nawiązuję kontakt wzrokowy, bije ze mnie entuzjazm i żywe zainteresowanie tematem, co jakiś czas potakuję, przechylam głowę na bok i mrużę: „Naprawdę?” oraz: „Ależ oczywiście”, i śmieję się w odpowiednich miejscach z jego dowcipów — nawet jeśli w duchu uważam, że wcale nie są zabawne. Ale ciągle mam wrażenie, że z nerwów zaraz zwymiotuję.

Szczerze mówiąc, nie miałam pojęcia, że będzie aż tak źle. Gdy przyjechałam piętnaście minut temu i powiedziano mi, że mam poczekać na recepcji, byłam całkiem spokojna. Wypiłam kubek wody z dystrybutora stojącego w rogu i przejrzałam kilka gazet. Gdy Margot, sekretarka Victora Maxfielda, przyszła, by zabrać mnie do jego gabinetu, w windzie przeprowadziłyśmy niezobowiązującą pogawędkę o pogodzie i my-

330

słałam sobie: „Tylko spójrzcie: jestem dojrzałą, pewną siebie kobietą, nie denerwuję się nic a nic”. Wyglądało to trochę tak, jakbym w myślach próbowała się uspokajać. Czułam się dobrze nawet wtedy, gdy wędrowałam za Margot przez salę, w której wrzało jak w ulu, chociaż przyznaję, że szłam przez cały czas ze wzrokiem wbitym w ziemię, bo czułam się nieco onieśmielona. Ale dalej nic mi nie było. Ze stoickim spokojem poprawiałam włosy, wymachiwałam moim portfolio i myślałam o tym, że wreszcie w grze zwanej życiem wspinam się do góry.

A wtedy zobaczyłam je. Drzwi z napisem: „Redaktor naczelny”, ułożonym z

błyszczących srebrnych liter. Tak jak w moim śnie.

I wtedy cała pewność siebie mnie opuściła.

— ... i gdy nasza sprzedaż przewyższyła wyniki innych gazet, wróciłem do domu i przekazałem żonie te dobre wieści. A ona na to: „Brawo! Zaslugujesz na filiżankę dobrej herbaty”.

— Naprawdę? — odpowiadam mu uśmiechem.

Czuję, że jestem już spocona jak mysz. I że wilgoć rozprzestrzenia się pod moimi koronkowymi pachami, tworząc dwie obrzydliwie lepkie plamy. Fuj! Czując się jeszcze bardziej nieswojo, wiercę się na krześle i trzymam ramiona sztywno przy ciele.

— Mieszkam tu od dwudziestu lat, ale takie rzeczy wciąż mnie zaskakują. To chyba tkwi w brytyjskiej naturze, prawda? — Victor Maxfield śmieje się przyjacielsko.

— Też tak myślę. — Mój pęcherz moczowy zaczyna boleśnie dawać o sobie znać.

Cholera, i po co ja piłam tę drugą filiżankę kawy? Zakładam nogę na nogę, ściskam mocno uda i uśmiecham się niewyraźnie.

— Ale może skończmy już o mnie i gazecie. Przyszliśmy tu przecież, żeby mówić o tobie...

331

Słyszę głos Victora Maxfielda niejako w tle, bo rozproszył mnie jakiś człowiek przechodzący obok gabinetu i zerkający do środka.

— Powiedz mi, Heather, co sprawiło, że zapragnęłaś zostać fotografem?

Wiedziałam, że nie powinnam zakładać tej głupiej wełnianej spódnicy i koronkowej bluzki. Wszyscy tutaj są w dżinsach i podkoszulkach, zupełnie na luzie, jak prawdziwi dziennikarze i fotografowie. A nie takie zero jak ja z nie wiadomo jakimi aspiracjami. Skromna asystentka ślubnego fotografa. O Boże, co ja sobie w ogóle wyobrażałam? Nie pasuję do tych ludzi. Za wysokie progi...

— Heather?

Otrząsnąwszy się, wracam szybko z Planety Porażka i widzę, że Victor Maxfield czeka na moją odpowiedź.

— Och, jak najbardziej. — Przybieram pewny siebie wyraz twarzy. Który przylega

do mojej twarzy jak maska. I widzę, jak oczekiwanie na twarzy Victora Maxfielda ustępuje zmieszaniu. — To znaczy... Uważam, że... Przepraszam, jak brzmiało pańskie pytanie? — pytam cieniutkim głosem.

— Jestem ciekaw, co wzbudziło twoje zainteresowanie dla fotografii — powtarza Victor Maxfield cierpliwie, ale wiem, że za jego uprzejmością kryje się żelazny charakter.

Prostuję się na krześle i udaję, że zastanawiam się poważnie nad tym pytaniem (zasada numer dwa: nigdy nie śpiesz się z odpowiedzią), ale znów rozprasza mnie jakiś człowiek przechodzący obok i zaglądający do środka. Boże, tak bym chciała, żeby przestali się na mnie gapić...

— Nie martw się, on nie patrzy na ciebie. Podskakuję, gdy Victor Maxfield wskazuje w tamtą stronę.

— Spogląda na własne odbicie. Moi pracownicy to banda megalomanów. — Zaczyna chichotać. — Nie wiem, czy zwróci-

332

łaś na to wcześniej uwagę, ale szyby w moim gabinecie to weneckie lustra — wyjaśnia.

— Naprawdę? — śmieję się uprzejmie. Teraz czuję się jak jeszcze większa idiotka. No tak, przez cały czas myślałam, że gapią się na mnie, a w rzeczywistości patrzyli na siebie.

— A zatem? — Victor Maxfield łączy palce i opiera o rękę podbródek. Wygląda tak, jakby analizował moją osobę, i coś mi mówi, że życiowa szansa, która była tuż, tuż, wymyka mi się z rąk.

Pograżając się coraz bardziej w niepewności, spoglądam na niego przez półprzymknięte powieki. Victor Maxfield to interesujący człowiek. Choć pewnie zbliża się do sześćdziesiątki, wciąż jest atrakcyjnym mężczyzną. Jego opalona, piegowata twarz porwana jest głębokimi bruzdami, które mężczyznom dodają powagi, a u kobiet są przyczyną, dla której chirurdzy plastyczni wożą się najdroższymi mercedesami. Włosy ma wciąż gęste, aczkolwiek przyprószone gdzieś tam siwizną. Ale największą uwagę przykuwają jego oczy, częściowo

skryte pod opadającymi powiekami, których kolor podkreśla jeszcze bardziej bladoniebieska koszula od Ralpa Laurena. Gdy tak w nie patrzę, przez chwilę przypominają mi się oczy Gabe'a, w które spoglądałam tego ranka, przepełnione wiarą, że mi się uda.

— Miałam wtedy osiem lat - zaczynam cicho - i moja rodzina właśnie przeprowadzała się z Yorkshire do Kornwalii. — Wspomnienia odzywają, jakby działo się to wczoraj. — Zegnaliśmy się ze wszystkimi sąsiadami i przyjaciółmi. Pamiętam, jak spoglądałam wtedy na ich twarze i chciałam je uwiecznić. Była pani Bird, która mieszkała obok nas i nigdy nie zakładała sztucznej szczęki, i mała Andrea, która lubiła się huśtać na bramie wejściowej. Oraz wilczur Buster, który na wszystkich szczekał i machał ogonem. Nie chciałam, by ulecieli z mojej pamięci.

333

Przez następne pół godzin

u lii u\ \ □□/□□ . kcdaktor □□ï / .Su ni la v I Ii □□ Id ' □

m <) j i

listę] ■ ■ | □"□ ii v,

sta)i ii ^ na ni uz\ w ai

□□□i do to.i

II ■: II! i I (i / I gól iv

ką 1□□

ok

Yicr< □□ □□□ï i;/ iniilno nu

wrazi nu. /i

R

z □/□.

brwi,

□ w 'i mit |r sit

□i□ |i b.d.i d: □□□□

z ap :

lach. I </ , u. I

nvm a/

I i / \ :

i. \ I a -

ma n ustać!

□□□

SjIOi i

kilka

c/ ,<^-

o fotel. Opuszcza rękawy, zwinnym ruchem zakłada spinki do mankietów i wbija we mnie uważne spojrzenie. — Masz jeszcze pięć minut? Chciałbym, żebyś poznała naszego szefa działu fotograficznego.

- Jasne - odpowiadam. Jakby to nie było oczywiste. Victor Maxfield podnosi słuchawkę i naciska guzik. Osoba po drugiej stronie zgłasza się natychmiast.

-Yvonne? Cześć, tu \ lctor. Masz chwilkę: Chciałbym ci przedstawić pewnego fotografa. - Nie czekając na odpowiedź, odkłada słuchawkę z pewnością człowieka, który zadaje tylko pytania retoryczne.

— Zaraz tu będzie. - W dobrym nastroju podnosi się, a ja razem z nim. A potem \ lctor Maxfield wychodzi zza biurka i wyciąga do mnie rękę.

35

Yvonne, choć z początku budzi moje przerażenie, okazuje się sympatyczną osobą. Oprowadza mnie szybko po swoim dziale, przedstawia mnie swojej asystentce, której imię natychmiast wylatuje mi z pamięci, i flirtuje agresywnie z fotografem, który przyszedł po zlecenie („Nigdy się nie bój nadużywać swojej władzy” — radzi mi, załatwiwszy z nim sprawę), a potem ściska moją dłoń, pokazuje mi drogę do windy i znika „na łajkę”.

Myślę o niej przez całą podróż metrem do pracy. No, może nie o samej Wonne, ale o niej w kontekście „Sunday Herald”, Victora Maxfielda i mojej rozmowy. Czuję się coraz bardziej podekscytowana. Jeśli dostanę tę pracę, całe moje życie ulegnie zmianie. Dając się ponieść wyobraźni, zamykam oczy, a metro linii Piccadilly

przenosi mnie z wymarzonej przyszłości do prozaicznej rzeczywistości.

Gdy przyjeżdżam do biura, odkrywam ze zdumieniem, że ciągle jest zamknięte.

Gdzie się podziewa Brian: Zerkam na zegarek — jest prawie jedenasta.

Zastanawiając się, co się stało, otwieram drzwi własnymi kluczami, wyłączam alarm i podciągam żaluzje. Promienie słoneczne zalewają biuro, oświetlając cząsteczki kurzu wirujące w powietrzu jak kontetti, a ja podnoszę pocztę z wycieraczki i podchodzę do biurka.

33?

Jak zwykle większość korespondencji to rachunki, ale gdy jeszcze kilka tygodni temu nie było nadziei na ich zapłatę, to teraz, mając w perspektywie wesele lady Charlotte, nie musimy się o nic martwić. A to cudowna sprawa, stwierdzam, zmierzając do kuchni, by zrobić sobie kawę. Chociaż z mojego punktu widzenia nie wygląda to wcale różowo. Na myśl o tym dniu żołądek kurczy mi się ze strachu.

Staram się lednak odsunąć od siebie te myśli. Nasypuję so-

— Może ja mogłabym pani pomóc — proponuję niepewnie.

Nie mogę pozwolić, by moje osobiste uprzedzenia wpływały na sprawy zawodowe. Muszę zachować pełen dystans.

— Może. - Pociąga nosem i jej spojrzenie mówi mi, że raczej w to wątpi. Chociaż z braku innych osób, nie ma za dużego wyboru. - Chyba zdarzyło nam się raz rozmawiać przez telefon.

Raz2 Kilkadziesiąt razy! - mam ochotę zakrzyknąć. Ale w porę gryzę się w język i ze wszystkich sił staram się być dale) miła i uprzejma. Miła i uprzejma. Miła i uprzejma. Powtarzając w myślach te słowa jak mantrę, przerzucam jakieś papiery na biurku, zęby zrobić wrażenie profesjonalistki.

— Przyszłam w sprawie mojego wesela.

— Pewnie jest pani bardzo podekscytowana — rzucam z entuzjazmem.

— Tak, bardzo — odpowiada lady Charlotte głosem absolutnie wyzbytym entuzjazmu. — Ale, szczerze mówiąc, chciałabym już mieć to za sobą. Organizacja wesela na pięćset osób jest bardzo, ale to bardzo stresująca. Musimy jeszcze sprowadzić kwartet smyczkowy z Pragi, w Harrodsie powiedzieli nam, że nie znajdują

czasu na ozdobienie tortu złotem, a do tego moja makijażystka złamała nadgarstek...

— Przewraca dramatycznie oczyma. — Ale to cała ja. Zawsze biorę na siebie za dużo. Mój lekarz ostrzegł mnie, że jeśli nie zacznę się oszczędzać, wyląduję w szpitalu z wyczerpania. Ale powiedziałam mu: „Panie doktorze, poradzę sobie ze wszystkim. Nie mam wyjścia. To moje wesele i nawet jeśli będę sama musiała pomalować solne oczy, zrobię to, choćby nie wiem co”.

— Bravo! — znowu udaję entuzjazm. Ze co? Czy ta kobieta spadła z księżycy? Mam ochotę zapytać ją, czy znajdzie w sobie na tyle siły, by własnoręcznie pomalować sobie i usta, ale moją uwagę przykuwa jej torebka: rusza się.

339

— O Boże! - odskakuję od biurka. - Tam coś jest! - Torebka rusza się znowu i wychyla się z niej czarny nos. — O rany, to szczur!

Na twarzy lady Charlotte pojawia się pierwszy szczery uśmiech, po czym wyjmuje ze środka małego, łysego, a do tego najbrzydszego psa, jakiego kiedykolwiek widziałam, i zaczyna go drapać po jego małej, szczurzej głowie, szczebiocząc:

— Ooo, czy ta okropna pani cię wystraszyła, Pupuńko? Pupuńko?

— To Pollyanna, moja suczka chihuahua — wyjaśnia, rzucając mi gniewne spojrzenie.

— O rany, przepraszam. Myślałam... ma takie małe błysz-i-... hm... - Przerywa mi elektroniczny

spod półprzymkniętych oczu. — James ci się oświadczył.

— No nie bardzo. — Uśmiecham się z zakłopotaniem, a potem szybko zmieniam temat: — Miałaś już zaszczyt poznać lady Charlotte?

Przykro mi, że muszę mu popsuć humor, ale ignorowana lady Charlotte stoi tu z grobową miną. Jakby przyszła w sprawie pogrzebu, me ślubu.

— Bardzo miło mi pana poznać — mruczy, wyciągając zwiotczałą rękę.

Spodziewałam się, że Brianowi od razu zrzędzie mina, ale pomyliłam się.

— Lady Charlotte! Co za niespodzianka! Nie mogłem się doczekać, aż wreszcie poznam panią osobiście. To dla mnie zaszczyt! — Klaszcze w dłonie z radości i uśmiecha się do niej od ucha do ucha. Obserwując to entuzjastyczne powitanie,

stwierdzam, że Brian chyba postradał zmysły.

A wtedy dostrzegam purpurową plamę na jego szyi.

I niczym poszczególne elementy układanki, wszystko nagle zaczyna do siebie pasować. Ostatni wieczór. The RocAy Horror Show. Neil, przystojny steward. Ten rano. Spóźnienie do pracy. Niewiarygodnie dobry humor. Malinka.

Łowię jego spojrzenie ponad ramieniem lady Charlotte, uśmiecham się znacząco i unoszę kciuk do góry.

Brian czerwieni się i zwraca całą uwagę na lady Charlotte, która skarży się, że jej bukiet może gryźć się z jej cerą i przez to wyjdzie koszmarnie na zdjęciach.

341

- Och, trzeba się natychmiast zająć tą sprawą. Najlepiej by było iść do kwaciarni i zrobić kwiatkom kilka zdjęć polaroi-dem... - Udaje, że nie widział moich gestów.

- Och, mógłby pan to dla mnie zrobić? Naprawdę? - mówi z nadzieją lady Charlotte, a jej ochryply głos pełen jest tenz wdzięczności.

Wdzięczność' U lady Charlotte Nie do wiary! Brian to cudotwórca.

- Ale musiałbym przez to odwołać kilka spotkań.

- Oczywiście zwróciłabym panu poniesione straty.

- Tylko że to byłyby naprawdę spore sumy.

- To bez znaczenia. Mam dostęp do konta tatusia. Mogę panu od razu wypisać czek.

— Sięga po pióro.

- Nie, obawiam się, że nie mógłbym narażać pani na takie koszty. Byłaby to kwota rzędu kilku tysięcy. - Wyciąga przed siebie ręce, jak gdyby musiał się bronić przed czekiem.

Spoglądam na niego w osłupieniu. Ten człowiek to geniusz. Z pustym terminarzem i stosem rachunków do zapłacenia, nasz przychód dzisiaj byłby zerowy.

- Czy to pokryje koszty? - pyta błagalnie lady Charlotte,

— Och, to cudownie! — lady Charlotte skacze z radości i klaszcze w dłonie. — Jak ja się wam za to odwdzięczę?

— Ależ proszę nawet o tym nie wspominać — protestuje Brian. — Tu, w „Na zawsze

razem", najważniejsze jest dobro naszych klientów. — Uśmiechając się ze swojego dowcipu, chowa czek do kieszonki na piersi i kładąc rękę na wąskiej talii lady Charlotte, wyprowadza ją z biura.

Pół godziny później, po zjedzeniu połowy francuskiej drożdżówki z czekoladą stwierdzam, że chyba jednak mam ochotę na płatki i właśnie zastanawiam się, czy nie wyskoczyć z pracy po all brany, kiedy rozlega się telefon. To jeden z naszych klientów z prośbą o dodatkowe odbitki ze swojego ślubu, który miał miejsce parę miesięcy temu.

Oczywiście, nie ma problemu, mamy je w naszym archiwum — zapewniam go i postanawiam najpierw zająć się tym, a zakupy odłożyć na później. Udaję się do małego pomieszczenia na zapleczu, gdzie zaczynam przeglądać przepełnione szarki na dokumenty i półki zawałone stertami teczek i rolek filmów. I to jest sposób Briana na archiwizację danych... Wzdycham i jak zwykle obiecuję sobie, że zrobię z tym porządek, po czym włączam odtwarzacz CD, podwijam rękawy i zabieram się do poszukiwań.

Państwo Peck. Nie, to nie ci. Sięgam po kolejną teczkę, na której nabazgrane jest: STAR... coś tam. Ech, ten Brian bazgrze jak kura pazurem. START-R-E... A, to para ustylizowana na Star Trek, która brała ślub w Klingon. Rzucam okiem na fotografię korpulentnego pana młodego w średnim wieku ubranego w strój załogi statku Enterprise, a potem wkładam teczkę z powrotem do szafki i wyciągam następną. O, tutaj panna młoda była w czerni, a ten ślub odbył się na Londyn Eye... To była urocza para. Mam też pięknie ubraną

343

hinduską pannę młodą ze świeżo upieczonym mężem, przypominam sobie jej haftowane złotem czerwone sari, bębny, stoły uginające się od przepysznego jedzenia... Ale to nie tej pary szukam. Przeglądam jeszcze leżące luzem stykówki, ale również bez powodzenia.

Siadam zrezygnowana na taborecie i zaczynam się zastanawiać co dalej, aż mój wzrok spoczywa na kartonie oznaczonym napisem: „Czerwiec 2005”. Wyciągam plik fotografii i kieruję je do światła.

Serce mi staje.

Nie, to niemożliwe...

Przy wtórce crescendo Michaela Crawforda wpatruję się w zdjęcie z przerażeniem: panna młoda uśmiecha się do obiektywu, a pan młody do niej, pocierając swym nosem o jej. Spoglądam jeszcze raz na datę. Ósmy czerwca. Za ledwie dwa miesiące temu. Przez chwilę zastanawiam się, co powinnam teraz zrobić. A potem dociera do mnie, że mogę zrobić tylko jedno.

Łapię za telefon i zaczynam wybierać numer.

36

— Jest żonaty?

Spoglądam na Jess w uniformie stewardesy, która w jednej ręce trzyma papierosa, a w drugiej czarno-białe zdjęcie uśmiechniętej pary młodej. Pana Gregory'ego de Souza z małżonką, znanego także jako...

— G r e g? — powtarza Jess. — Greg jest żonaty? Siedzimy w hotelowym barze niedaleko lotniska Heath-

row. Jest prawie siódma wieczór. Po odkryciu rano tej fotografii zadzwoniłam do Jess i powiedziałam, że muszę się z nią pilnie zobaczyć, ale była właśnie z Gregiem na śniadaniu w jakiejś małej kawiarence. Oznajmiła, że wylatuje dziś wieczorem do Kapsztadu i wróci za dwa tygodnie. Czy nie mogę z tym poczekać do jej powrotu? Nie, nie mogłam. Choć wołałabym.

Wolałabym odwlec to nawet na wieczność. Wolałabym nigdy nie znaleźć tej fotografii, nie rozpoznać jasnej blizny nad górną wargą pana młodego i uświadomić sobie, dlaczego uśmiech Grega wydawał mi się taki znajomy. Wolałabym nie rozwiewać jej złudzeń, mówiąc, że facet, w którym się właśnie zakochała, jest żonaty, i że robiłam zdjęcia na jego ślubie niecałe dwa miesiące temu.

345

Ale nie miałam wyjścia. Więc spędziłam cały dzień, walcząc z samą sobą i zastanawiając się, jak jej to powiedzieć. Wreszcie po prostu pokazałam jej fotografię. W końcu zdjęcie mówi tyle co tysiące słów. Albo dokładnie jedno słowo, jak w tym przypadku.

— Skurwiel. Otrząsam się.

— Może nastąpiła jakaś pomyłka... — Ale oczywiście nie może być mowy o żadnej pomyłce. Wszystko jest czarno na białym.

Jess zaciska zęby i mam wrażenie, że zaraz wybuchnie. Ale wkrótce potem wyraz jej twarzy się zmienia, jakby wszystko gdzieś się rozpląnęło, jakby to był dla niej zbyt duży wysiłek. Pochyla się nad barem i opiera głowę o rękę.

— Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

Spoglądam na nią bezradnie. Nigdy nie widziałam Jess tak załamanej.

— Może ślub został anulowany — rzuca z nadzieją. Jess podnosi głowę i spogląda na mnie spode łba.

— A może nie.

Następuje pełna napięcia cisza. Jess zaciąga się papierosem, a potem wypuszcza przez nos dwa strumienie dymu.

— Myślałam, że to było coś poważnego, ale dla niego najwyraźniej był to mały, nic nieznaczący romans. Zwykły skok w bok. — Gasi papierosa w popielniczce i upija łyk czerwonego wina. — O Boże, gdy pomyślę, że spałam z czyimś mężem...

W milczeniu potrząsam szklanką, grzechocząc lodem w dżynie z tonikiem. Nie mam pojęcia, co powiedzieć. Jess mylnie bierze moje milczenie za potępienie.

— I nie patrz na mnie w ten sposób. -W jaki?

346

— Może i spałam z kilkoma facetami... no dobra, może nawet z mnóstwem facetów...

Po drugiej stronie baru siedzi para w średnim wieku, a obok nich spoczywają walizki.

Sączą kawę i czekając na transport na lotnisko, rozglądają się wokół. Na widok wścieklej stewardesy z papierosem i czerwonym winem w ręku rzednie im mina.

— ... Ale nigdy nie sypiałam z żonatymi facetami — oświadcza Jess. — To moja jedyna zasada, Heather, moja jedyna zasada. — Kładzie rękę na ladzie i zaciska dłoń wokół tekturowej podkładki. Zgniatając ją, pociąga wściekle nosem. W jej oczach błyszczą łzy. — Moja jedyna zasada — powtarza, a wtedy łza toczy jej się po policzku i spada na kontuar.

— Och, Jess, chodź do mnie. — Otaczam ją ramionami i przytulam. I dopiero teraz,

gdy słucham jej przytłumionych szlochów, dociera do mnie, że po rozstaniu z Jamesem nie wylałam ani jednej łzy.

— Czuję się jak skończona idiotka — odzywa się wreszcie, chlipiąc dalej na mojej koronkowej bluzce i pociągając nosem. Czuję wilgoć jej łez na moim ramieniu. Gdy podnosi głowę, przesuwając palcem wskazującym pod oczami, żeby wytrzeć rozmazany tusz. — Myślałam, że tym razem dobrze trafiłam. Naprawdę uważałam. Upewniłam się, że odfajkowałam wszystkie okienka.

-Ale to nie jest żadna gwarancja - mówię cicho, myśląc o Jamesie.

— Teraz już to wiem. — Jess podnosi kieliszek do ust. Przełyka kolejną porcję wina, spogląda przed siebie, a potem mówi cicho: — Nigdy nie wspominałam ci o moim ojcu, prawda? — Ale brzmi to tak, jakby pytała samą siebie, a nie mnie, więc po prostu pozwalam jej mówić. — A to dlatego, że nigdy go nie znałam. Widziałam go tylko na paru zdjęciach. Grał na saksofonie w jakimś zespole. Był bardzo przystojny. Mama mówiła,

347

□□□]□□□

□, i laniasiyc/.□□□□ seksu dodaie po. chwili. - No właśnie, powiedz mi, diac/□□□
.! wszyscy skurwiele są tacy dnbrz\ w łózku ;

l. śnueeliaui sie imiin > woli.

- Ak be/ ivch mo!vlko\\ twoja mama nie imalaby ciebie odzywam sie w reszcie 1
zaioze sic. ze tego nie żałuje.

□ d' 1 >.iiiiiclm.- Przecież złamał ci serce.

Ale lo mc znaczy, /c nic chce sie zakochać ponownie odpow i.uiam delikat nu .

Iylki i po co: d' >pyl uje si

Ho to najcudi 'w i • i cc i □ 1 >la ktoregi >

warto zar\zvkw. I.ko. I ni. ; .' lviii po

rów nać.

- \l< cis zranić...
-- lo pra • przytakuje. l to |est nap: '.crazaiaj □ .

- □ □ □ □ \\ \, \ •-. i brakuje na to o
Milknę. N dałam o tym u len sposób, al

ze Jess ni

- □ IЄ W 1 (
i utracie mik >si . ni/ nie kochać -
Skadhicr/i s/tem.idrosei/□. cio\\e: /zakręt!

- Nie mam p j □ vznaje. I cha sie,
sfru -.•

- Kurw 'l' a)

- W 's/ ądku.

podsta .

- N ic| iv

Uwierz mi, kiedy odznaczałam poszczególne okienka, nie było wśród nich pozycji:
„żonaty”. — Spogląda na fotografię na barze i odkłada kieliszek z winem. —
Wszyscy inni potrafią stworzyć udany związek. Na przykład ty i James...
— Nic jesteśmy już razem.

Jess zastyga w połowie rozdzierania podstawki.

— Zerwałaś z Jamesem?

— To on zerwał ze mną — poprawiam ją.

Jej zdumienie przekształca się we współczucie.

— Cholera, I leather —szepcze.— Tak mi przykro. Ja tu ciągle nawijam o głupim
Gregu...

Nic ma sprawy, Jess, nic mi nie jest — mówię szybko.

nc Jess oburzone spojrzenia.

— Mam nadzieję, Margarct, że nie będzie leciała naszym samolotem.

— Moim zdaniem ona jest pijana, Leonardzie. Widziałam też, jak paliła. Kto wie, co
to było.

Jess i ja zaczynamy chichotać.

— Obyś nie miała żadnych kłopotów — mówię.

— Wypiję kawę.

— Ale co, jeśli oni rzeczywiście lecą tym samym samolotem? Jess macha niedbale ręką.

— Nie wyłączę znaku każącego zapiąć pasy. Xie będą więc sprawiać problemów.

— Możesz tak zrobić?

— Przecież robimy to cały czas. Jeśli mamy dość pasażerów włączających się po samolocie i męczących nas o byle co i gdy chcemy mieć trochę spokoju. —

Dostrzega zdziwienie na mojej twarzy. — A co, Heather, wierzyłaś, że jest aż tyle dziur powietrznych ?

Zamurowuje mnie. (żuję się jak ofiara spisku.

— Mozę kiedyś tego spróbuję — oznajmia Jess po chwili milczenia.

— Czego? Dziur powietrznych! - Krzywię się na myśl o tych wszystkich sytuacjach, kiedy to siedziałam posłusznie na miejscu, bojąc się nawet skorzystać z toalety z powodu włączonego znaku zapięcia pasów.

— Nie, głupia. - Jess marszczy bryvi. — .Motylków.

Mówi to z takim optymizmem, że trudno się nie uśmiechnąć.

— Wypijmy za to - oświadczam i podnosząc swój kieliszek, stukam o jej. — Za motylki.

37

Następnego dnia, gdy w porze lunchu stoję z Brianem w kolejce w małym pobliskim barze, okazuje się, że nie tylko ja i Jess myślimy o motylkach. Tyle że podczas gdy my ciągle

czekać w kolejce, ale nie chciałam, żeby odbyło się to w taki właśnie sposób.

Na szczęście Maria obsługuje nas szybko. Kilka minut później podaje nam kanapki, a Brian wręcza jej dziesięcio-funtowy banknot.

— Nie chciałem ci nic mówić ze względu na ciebie i twojego faceta - wyjaśnia,

nawiązując do mojego rozstania z Jamesem, którego szczegóły opowiedziałam mu przed chw ilą — ale po prostu musiałem się komuś wygadać. — Wrzuca otrzymaną resztę do stojącego na ladzie koszyka na napiwki. — Już od lat nie czułem czegoś podobnego — dodaje cicho, tak zęby tym razem nikt go nie dosłyszał.

— To fantastycznie! — Biorę nasze kanapki. Czuję się w tym małym barze nieco klaustrofobicznie, przepraszając więc, toruję sobie drogę wśród ludzi stojących w kolejce aż do wyjścia i z ulgą witam jasne słońce na zewnątrz. — Rozumiem, że chodzi o Neila?

— Skąd wiesz.' — pyta Brian zaskoczony. Przechodzimy przez ulicę i kierujemy się w stronę biura.

— Strzelałam. Chociaż w sumie nietrudno się było domyślić: zamiana miejsc w teatrze, spóźnienie do pracy następnego dnia, malinka... — Brian rumieni się. - Neil wygląda na fajnego faceta - uspokajam go. Sprawdzam zawartość kanapek i podaję Brianowi tę z kurczakiem.

— Tak, jest świetnym facetem — potwierdza Brian, jak gdyby wciąż nie mógł w to uwierzyć. Odpakowuje swoje panini, nadgryza i żuje zamysłony. — Ale zastanawiam się, czy różnica wieku między nami nie jest zbyt duża.

-A ile ma lat' — pytam, zakładając na nos okulary przeciwsłoneczne.

— Trzydzieści dwa — wyznaje Brian. — Jest ode mnie o połowę młodszy.

353

— Ooo, rzeczywiście miody.

— I właśnie to mnie martwi. Ludzie będą się z nas wyśmiewać.

— Nie, no co ty. Spójrz na Michaela Douglasa i Catherine Zeta-Jones.

— No właśnie — odpowiada ponuro Brian. — Wygląda jak jej ojciec.

— Albo raczej jak dziadek — stwierdzam, ale ujrzawszy jego minę, reflektuję się: — No co ty, nie martw się. Jesteś naprawdę przystojny jak na swój wiek. A twoje nogi wyglądają bosko w kabaretkach — dodaję przekonująco.

Brian wybuchając śmiechem i wkłada do ust ostatni kęs kanapki, podczas gdy ja dopiero zaczynam swoją. Zwykle chodziłam w czasie lunchu do Marks & Spencer, chociaż nigdy nie mogłam trafić na moje ulubione kanapki, gdyż zawsze były już

wyprzedane. Ale w ciągu ostatnich kilku tygodni wszystko się zmieniło i teraz, szczerze mówiąc, już mi się przejadły. Dlatego postanowiłam dzisiaj przyjść do tego baru.

Na chwilę zapada cisza, którą zakłóca jedynie odgłos naszych kroków. A wtedy rozlega się przytłumiony dzwonek mojej komórki. Wolną ręką wygrzebuje telefon z torebki i spoglądam na wyświetlacz. Numer prywatny. Ale to pewnie Jess z hotelu w Kapsztadzie — stwierdzam, po czym naciskam mały zielony przycisk.

— Witam, czy rozmawiam może z Heather Hamilton? Tyle że to nie Jess, a ja mam usta zapchane stopionym serem, pomidorami i chlebfjem.

— Mówi Wonne z „Sunday Herald”.

— Naprawdę? — wyrzucam z siebie między pokasływaniami. Brian wyciąga w moją stronę butelkę wody mineralnej, biorę ją od niego z wdzięcznością i popijam.

— Dziękuję - mówię.

— Nie ma za co — odpowiadają jednocześnie Yvonne i Brian.

— Dostaniesz z naszego działu kadr oficjalny list na potwierdzenie - mówi dalej Yvonne. — Dla dopełnienia formalności. No wiesz, ostateczny kształt umowy, kwestie urlopowe, pensja... — I dodaje zaraz: - Mówiliście już o wynagrodzeniu?

— Chyba nie... - Spoglądam zakłopotana na Briana, który idzie obok mnie i ogląda sklepowe wystawy. Nagle czuję się jak zdraczym spiskująca za jego plecami.

— Mam tu napisane, że trzydzieści pięć tysięcy funtów. Serce mi podskakuje.

— Naprawdę? —szepczę. Trzydzieści pięć tysięcy! To prawie... cholera, to o wicie więcej, niż zarabiam teraz.

— A [io jiól roku podwyżka.

— Mhmm — mruczę, jak gdybym się nad tym poważnie zastanawiała, ale w myślach już biegam po sklepach niczym

355

Julia Roberts w Pretty Woman. Wyobraźcie to sobie! Będę sobie mogła pozwolić na fantastyczne wakacje, na nowe ciuchy i ten boski srebrny naszyjnik z małą granatową łązką, który widziałam na wystawie w Dinny Hall w drodze na siłownię!

— Jest tylko jedna rzecz.

Głos Yvonne przywołuje mnie do porządku.

— Tak? — pytam, choć myśli wciąż mi wirują.

— Victor chciałby, żebyś zaczęła w ten poniedziałek. Pasuje ci to?

Czuję, jak moje szczęście kurczy się w oczach, jak balon przekłuty szpilką. W poniedziałek? Spoglądam na Briana. Pali papierosa, rozkoszując się słońcem i tym, że wreszcie jest zakochany. Nie mogę odejść tak szybko i zostawić go na lodzie.

Nawet jeśli jest zastój w interesach...

I wtedy sobie przypominam. Ś1 ub lady Charlotte. W przyszłym tygodniu.

No właśnie. Nie mam wyjścia. Muszę odmówić.

— Hm... — zaczynam, ale Yvonne przerywa mi.

— Świetnie. Nie sądziłam, żeby to miało sprawić jakiś problem. Victor Maxfield zawsze dostaje to, czego chce, prawda? — Wybuchu krótkim, sarkastycznym śmiechem. — No to załatwione. Do zobaczenia w poniedziałek. O dziesiątej, dobrze?

— I nie czekając na odpowiedź, odkłada słuchawkę.

— Jakieś dobre wieści? — Brian unosi brwi.

Wszystko dzieje się w tak zawrotnym tempie, że sama nie jestem pewna.

— Yyy, tak, dobre wieści. — Do jasnej cholery, jak ja mu to powiem? -Widzisz, chodzi, o to, że... - Zastanawiam się, jak mu to przekazać, ale żaden sposób nie wydaje mi się dobry. To jest trudniejsze, niż myślałam.

356

Zaszliśmy właśnie przed biuro i wchodząc za Brianem do środka, uświadamiam sobie jedno. Marzenia o fantastycznej pracy i dostanie jej to dwie zupełnie różne rzeczy.

— Dostałam pracę. W „Sunday Herald”. Chcą żebyś zaczęła w poniedziałek — wyrzucam wreszcie jednym tchem.

Na twarzy Briana przez chwilę maluje się kompletne oszołomienie - tylko przez sekundę, tak krótko, że z trudem je wyłowiłam - ale momentalnie odzyskuje zimną krew.

— Heather, to fantastycznie! — Na jego ustach pojawia się teraz szeroki uśmiech. —

Brawo! — Siada na krześle, ale natychmiast podrywa się z niego, żeby mnie uściskać. — Jestem z ciebie naprawdę dumny!

— A co ze ślubem lady Charlotte?

— A co ma być? — Brian krzywi się. — Znajdę sobie kogoś do pomocy. W końcu to tylko ślub.

Uśmiecham się do niego z wdzięcznością. Brian jest prze-cudowny

— Ale nie mogę cię zostawić na lodzie. Nie po tylu przygotowaniach. Może uda mi się jakoś im to wytłumaczyć — proponuję. — Zresztą moim zdaniem należy ci się z mojej strony miesięczny okres wypowiedzenia. — Teraz, kiedy stało się to faktem, okazuje się, że wcale nie zależy mi aż tak bardzo, żeby szybko stąd odejść.

— Heather, daj spokój. Po co to zawracanie głowy z okresem wypowiedzenia?

Wiem, że jestem twoim szefem... — spogląda na mnie ciepło — ale przede wszystkim jestem twoim przyjacielem. Weź wolne do końca tygodnia. Zrób sobie kilkudniowe wakacje. Uwierz mi, będziesz mi za to wdzięczna, gdy tylko zaczniesz pracę w gazecie. — Uśmiecha się na wspomnienie własnej przeszłości.

— Jesteś pewien? - pytam z wahaniem.

357

— Posłuchaj, Heather, ja już mam karierę za sobą. Teraz twoja kolej. Idź do „Sunday Herald”. Porób wreszcie fantastyczne zdjęcia, na których nie ma konfetti. — Brian cmoka. — Do diabła, Heather, pieprz ten ślubny interes. Najważniejsze są twoje marzenia. A oto jedno z nich właśnie się spełnia.

Brian ma rację. Oto moje marzenie się spełnia. Ale gdy rozglądam się po biurze „Na zawsze razem”, gdy spoglądam na znajome ściany, obwieszane fotografiami nowożeńców, zegar z podobizną księcia Karola i Diany oraz czarno-białe zdjęcie Briana z czasów młodości, dociera do mnie, że byłam tak pochłonięta marzeniami o karierze, że nigdy nie zatrzymałam się na chwilę, by docenić to miejsce.

— Wiem, że większość osób, odchodząc z pracy, dostaje na pamiątkę złoty zegarek...

Widzę, że Brian otwiera szufladę swojego biurka.

— Czy to aby nie przy przejściu na emeryturę? — pytam. Ale Brian mnie nie słyszy.

— ... pomyślałem jednak, że może wolałabyś to. — Wyciąga płytę kompaktową.

— Co to jest? — pytam. Ale zaraz poznaję.

— Taka mała pamiątka — mówi Brian cicho. Obracam plastikowe pudełko w dłoniach.

— Upiór w operze Andrew Lloyda Webbera. — Łzy napływają mi do oczu.

— To mój egzemplarz z autografem - dodaje Brian z wyraźną dumą w głosie, wskazując na podpis flamastrem: Mi-chael Crawford.

Jestem wzruszona. Wiem, ile znaczy dla niego ta płyta.

— Od tej chwili to będzie mój skarb - mówię z wdzięcznością, całując go w policzek.

— Mam nadzieję. Stałem dwie godziny w deszczu, żeby go zdobyć. — Głos Briana aż drży z emocji.

358

— Dobra, chyba zacznę już pakować swoje rzeczy — mówię po chwili milczenia i silę się na uśmiech.

- Jasne. — Brian bierze do ręki jakiś dokument i udaje, że czyta.

Ze ściśniętym gardłem wędruję na zaplecze. Nie tak sobie to wszystko wyobrażałam.

Mrugając oczami, żeby powstrzymać łzy, otwieram szufladę pełną moich rzeczy, po czym biorę worek na śmieci i zaczynam ją opróżniać. I zastanawiam się — jeśli to jest to, o czym marzyłam całe swoje życie, to czemu czuję się tak, jakbym traciła coś ważnego?

38

O szóstej przychodzi pora na ostateczne pożegnanie. Oboje, aby ukryć wzruszenie, silimy się na dziarskie miny, rzucamy kiepskie dowcipy i obiecujemy sobie, że będziemy utrzymywać kontakt. Aż wreszcie muszę iść. Przez całe popołudnie sprzątałam szafki i szuflady zapchane tym, co zdołałam zgromadzić podczas ostatnich sześciu lat, aż nappełniłam tym dwie olbrzymie torby. Ale gdy Brian zaproponował mi podwiezienie, oświadczyłam, że nie, nie trzeba, są naprawdę lekkie, a poza tym jestem umówiona z Jess na obłowanie.

Co nie było prawdą. Ani jedno, ani drugie.

Wychodzę z trudem ze stacji metra, targając z sobą ciężkie torby, które uderzają mnie o łydki i zostawiają małe czerwone ślady, a te, jak dobrze wiem, przekształcą się w

dwa purpurowe siniaki, po czym zaczynam się wlec w stronę mojego mieszkania. Jest godzina szczytu, natężenie ruchu, hałasu, spalin i dymu papierosowego wokół mnie osiąga swoje maksimum, ale prawie nie zwracam na to uwagi. Strzępy mojej rozmowy z Yvonne, reakcja Briana, obrazy ze spotkania z Victorem Maxfieldem, mnóstwo wspomnień z sześciu lat pracy w „Na zawsze razem” - wszystkie te urywki zlewają się w jeden film, który wyświetla się na okrągło w mojej głowie.

360

Słyszałam o ludziach, którzy nie mogą się otrząsnąć po wypadku lub innym traumatycznym wydarzeniu, ale żeby po spełnieniu największego marzenia życia? Pochłonięta rozmyślaniami nie zauważyłam nawet, jak doszłam na róg swojej ulicy. Nagle mój wzrok przykuwa widok zgarbionej postaci w oknie wystawowym sklepiku pani Patel. To ja.

Nieruchomieję. Heather, co z tobą? Zobacz, jaką masz żalowaną minę. Można by raczej pomyśleć, że właśnie straciłaś pracę. Powinnaś skakać z radości. Powinnaś biec do domu i łapać za słuchawkę, by dzielić się z Lionelem i Edem tą radosną nowiną. Powinnaś świętować to szampanem, a potem ubzdryngolona oświadczać wszystkim bełkotliwym głosem, że ich kochasz.

No dobra, tu może trochę przesadziłam.

Ściągam łopatki i uśmiecham się sztucznie, jak człowiek, który pozuje za długo do zdjęcia i jest już tym znużony. Pomyśl tylko, Heather. Nigdy więcej głupich przyjęć, na których ktoś ci mówi, co masz robić. Nigdy więcej porównań ze znajomymi na Internecie, przy których czujesz się jak jedna wielka — a do tego gruba — porażka. Nigdy więcej spoglądania przez obiektyw i marzeń o tym, żeby fotografować coś innego niż rumiane panny młode w karmelowej satynie. No i masz! Osiągnęłaś to! Odniosłaś sukces!

Nie zwracając uwagi na ułożoną na wystawie piramidkę z zupek błyskawicznych w promocji, wpatruję się intensywnie w swoje odbicie. Dziwne, ale zawsze myślałam, że sukces ma inne oblicze.

Po przyjsciu do mieszkania rzucam torby na podłogę w kuchni i postanawiam rozpocząć świętowanie od wykonania kilku telefonów. Przez następne pół godziny

opowiadam rozemocjonowana o swoim sukcesie Lionelowi, poczcie

361

głosowej Jess oraz Lou, od której dowiaduję się, że Ed jest w Las Vegas na zjeździe ortodontów, „i może lepiej niech tam siedzi, skoro w domu ciągle kłócimy się o ten głupi futbol” — prycha gniewnie Lou. A potem, gdy już obdzwoniłam wszystkich, odbierając gratulacje i obietnice „wypicia za moje zdrowie”, odwieszam słuchawkę i rozglądam się pustym wzrokiem po kuchni.

No dobra, to co teraz?

Bębniąc palcami o blat, spoglądam na zegarek na mikrofalówce: 19.03. Hm, ciekawe gdzie się podziewa Gabe. Na myśl o nim zalewa mnie nowa fala radości. Nie mogę się doczekać, aż mu o tym powiem, ale ponieważ Gabe nie ma komórki, więc muszę z tym poczekać, aż wróci. Na pewno bardzo się ucieszy. W końcu to był jego pomysł. Otwieram lodówkę i zaglądam do środka. Butelka szampana, którą kupiłam, gdy Gabe się wprowadził, wciąż się chłodzi, jakby czekała na specjalną okazję. A chyba lepsza się już nie nadarzy. Z podnieceniem zaciskam palce wokół złotej folii na korku, ostrożnie kładę butelkę na stole i wyciągam dwa kieliszki.

Ślinka mi cieknie. Szampan jest zimniutki. Zamrożona para wodna skropliła się już na ciemnym szkle i przez chwilę wpatruję się w butelkę pożądlivym wzrokiem. Nie, Heather, mówię sobie surowo. Musisz poczekać na Gabe'a.

Spoglądam ponownie na zegarek. 19.07. Pewnie wróci lada chwila. Krzątam się po mieszkaniu, żeby czymś się zająć: nasypuję karmę dla Billy'ego Smitha, później biorę się za czyszczenie kuchenki, a potem jeszcze przekładam magnesy na lodówce.

Ale jedna lampka chyba nie zaszkodzi?

Heather! Nikt nie pije szampana sam. Zawsze pije się go z kimś. Nie wiedząc, co z sobą zrobić, biorę mandarynkę

362

i obieram ją, oddzierając starannie białe włókna od każdej cząstki, a potem wkładam je do ust jedną za drugą i delektuję się słodkim sokiem.

Co zajmuje mi jakieś trzy minuty.

Hm, może tak choć jedną maciupeńką kropelkę?

Spoglądałam na szampana z pożądaniem. Czuję, że mięknię coraz bardziej. W końcu dlaczego niby nie mogę się napić szampana sama? Dlaczego społeczeństwo ma mi narzucać, że pije się go tylko we dwoje? Przecież i tak nie mam zamiaru wypić całej butelki. Tylko troszkę, tak na smaczek. Podważam więc korek kciukiem, szampan eksploduje z głośnym puknięciem, a potem podkładam kieliszek pod spód, żeby nałapać do niego piankę złocistego płynu.

Trzy kieliszki później jestem już pijana. Wtóruję Michaelowi Crawfordowi, kręcąc piruety po kuchni w moich satynowych szpilkach, wyrzucając przy tym ramiona na boki i zamykając oczy, gdy dochodzimy razem do crescendo. Czuję się bosko. Czuję, że żyję. Czuję, że chyba zaraz pęknię ze szczęścia. Biorę głęboki wdech, odchylam głowę do tyłu i daję z siebie wszystko. Wiecie, muszę powiedzieć, że mam naprawdę dobry głos. Jestem takim nieoszlifowanym talentem. Powinnam chyba występować na scenie. Wystarczyłoby trochę poćwiczyć, a byłabym naprawdę świetną tancerką. No bo spójrzcie na Catherine Zetę-Jones. Trochę praktyki plus kabaretki i jaki efekt? I mogłabym mieć boskie uda od tych wszystkich wymachów kończynami.

Na przykład takich, jak ten... szampan wylewa mi się z kieliszka, gdy wyrzucam nogę w powietrze — tadam! A wtedy obcas ślizga się po mokrym linoleum i z hukiem ląduje na tyłku. Auć! Hm, chyba muszę jeszcze trochę poćwiczyć.

363

Podnoszę się chwiejnie i kulejąc, podchodzę do taboretu, po czym nalewam sobie kolejny kieliszek szampana. Krzywię się, bo już przestał mi smakować. Czegoś mi brakuje... już wiem, papierosa! Zastanawiam się, czy nie lecieć po paczkę marlboro lights do sklepiku, ale za bardzo mnie boli wykrecona kostka. A zresztą, chrzanić to. Na pocieszenie upijam kolejny łyk szampana.

Ale to już nie to.

Ech, królestwo za papierosa.

A wtedy przychodzi mi do głowy genialna myśl. Przecież Gabe pali.

Uradowana, wychodzę na korytarz i kuśtykam w stronę jego pokoju. Jestem pewna, że nie będzie miał nic przeciwko, wie przecież, że czasem to dosłownie „paląca” potrzeba. Już mam otworzyć drzwi, kiedy coś w kącie pod schodami przyciąga moją

uwagę. To zielone światełko na sekretarce stojącej obok wazonu wędnących róż. Mruga na mnie, żeby mi powiedzieć, że ktoś zostawił mi wiadomość. Bo przez to całe zamieszanie zapomniałam to sprawdzić zaraz po przyjsciu do domu.

Podchodzę do stolika, utykając i spoglądam na wyświetlacz. Trzy wiadomości.

Naciskam „play” i czekam z niecierpliwością. Słyszę pierwszy sygnał.

- Witamy, proszę nie odkładać słuchawki. Tu IPC Finan-ce. Dzięki nam zaoszczędzisz tysiące funtów na kredycie...

Szybko to kasuję i maszyna pstryknięciem oznajmia następną wiadomość:

— Cześć, skarbie, to ja, leżę właśnie na basenie...

Jess! Uradowana, wsłuchuję się w potok jej słów o tym, jak dobrze bawi się w Kapsztadzie i że postanowiła na jakiś czas dać sobie spokój z facetami. Słyszę, jak wypuszcza dym z papierosa, co przypomina mi, po co tu przyszłam. Otwieram drzwi od pokoju Gabe'a.

364

— ... więc pomyślałam sobie: „Wiesz co, Jess? Co będzie, to będzie...”

Słyszac w tle jej gadaninę, rozglądam się po pokoju w poszukiwaniu znajomego widoku czerwono-białej paczki. Wreszcie mój wzrok spoczywa na półce w kącie. Jest. Triumfalnie doskakuję do niej i wyciągam marlborasa.

— ... masz rację, lepiej kochać i utracić miłość niż... Piii!

Sekretarka przerywa jej w połowie zdania. To cała Jess. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek zostawiła krótką i zwięzłą wiadomość. W przeciwieństwie do właściciela następnego głosu, który brzmi rozsądnie i rzeczowo, jak gdyby miał mnóstwo na głowie.

— Cześć, Gabe.

Ech, szkoda. Miałam nadzieję, że to będzie właśnie Gabe...

— Mówi wujek...

A, to jest ten słynny wujek, o którym ciągle wspomina Gabe. Zapalam papierosa i odwracam się do wyjścia. Powinam się była domyślić. Ma amerykański akcent, ale dużo łagodniejszy niż Gabe. To zabawne, bo trochę brzmi on jak...

— ... Victor — słycać głos z sekretarki. Maxfield — kończę w myśli.

Nieruchomieję. Victor Maxfield jest wujkiem Gabe'a? Mój współlokator jest siostrzeńcem mojego nowego szefa? Przez chwilę zamurówuje mnie zupełnie. A potem wszystko staje się dla mnie jasne.

To dlatego dostałam tę pracę.

Victor Maxfield dalej mówi, wspomina coś o zmianie restauracji, w której mieli się spotkać wieczorem, ale ja już się nie wsłuchuję, bo myśli mam teraz zajęte czymś innym. To dlatego Gabe nalegał, żebym złożyła podanie do „Sunday Herald”. To dlatego po sześciu latach nieudanych prób...

365

Nagle robi mi się niedobrze. Zakrywam rękami usta i osuwam się na kolana. O Boże.

— Cześć, Heather, gdzie jesteś?

Nie wiem, jak długo siedziałam na dywanie, ogłuszona hukami, z jakim rozpadały się moje marzenia, gdy dobiegł mnie ten głos. Wciąż oszołomiona tym, co przed chwilą usłyszałam, podnoszę oczy i spoglądam na stojącą przede mną postać. To Gabe. Stoi w drzwiach w motocyklowej kurtce i wpatruje się we mnie pytającym wzrokiem. Odpowiadam mu gniewnym spojrzeniem i czuję, jak moje oszołomienie i ból zamieniają się we wściekłość.

- Skurwiel.

39

Gabe momentalnie blednie.

- O co chodzi? - szepcze, szukając wzrokiem moich oczu.

- Nie zgrywaj niewiniątka, już ty dobrze wiesz, o co chodzi! — uśmiecham się szyderczo, próbując podnieść się z dywanu. Nagle wszystko zaczyna mi się układać w jedną całość jak elementy jakiejś koszmarnej układanki: Gabe dyktujący mi list motywacyjny, ta jego pewność, że mi się uda, a potem entuzjazm Victora Maxfielda... Wspomnienie, jak siedziałam w jego gabinecie i pokazywałam mu swoje fotografie, dumy, jaka mnie rozpierała po jego komplementach — wszystko to przelatuje mi teraz przed oczyma. — Boże, jaka ja jestem głupia...

Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłam taka wściekła.

- Heather, uspokój się, proszę... - próbuje mnie udobruchać Gabe.

- Mam się uspokoić?! — Wiem, że krzyczę, ale nie potrafię się powstrzymać.

Alkohol krąży mi w żyłach, pomieszany z adrenaliną i wściekłością. A to zabójcze połączenie. — Jak śmiesz mi jeszcze mówić, że mam się uspokoić, po tym wszystkim, co zrobiłeś?

- A co ja takiego zrobiłem? — Gabe spogląda na mnie zdezorientowany. Przejeżdża palcami po włosach i czeka na moją

367

odpowieź. Aż wreszcie wzdycha zniecierpliwiony, odwraca się i rzuca kask na swoje łóżko. - Na litość boską - mruczy, zdejmując powoli okulary i masując nasadę nosa. — Wracam do domu, na powitanie nazywasz mnie skurwielem i nawet nie zamierzasz mi wyjaśnić dlaczego.

— Victor Maxfield — oświadczam krótko.

Wpatrzona w jego plecy dostrzegam, że sztywnieją, i wyczuwam w jego ruchach lekkie wahanie. A potem Gabe spogląda na mnie bezczelnie.

— I co z nim? — wzrusza ramionami, ale to, co maluje się w jego oczach, to bez wątpienia poczucie winy.

— Nie kłam — warczę.

— Czy kiedyś cię okłamałem?

Spoglądam na niego z dywanu i cała aż kipię od gniewu.

— Wiem, że to twój wujek — mówię bezbarwnym głosem i dostrzegam błysk zrozumienia w jego oczach. — Usłyszałam na sekretarce wiadomość, którą ci zostawił. Gra skończona, Gabe — rzucam ostro.

— To nigdy nie była żadna gra... — protestuje Gabe, ale w jego głosie jest już mniej pewności.

— O, doprawdy? — przerywam mu szyderczym głosem. — Udawałeś, że wpadłeś na pomysł, by wysłać do nich podanie, potem udawałeś zaskoczenie, gdy zostałam zaproszona na rozmowę. Byłbyś świetnym aktorem, pewnie nawet lepszym niż Mia.

-Wypity szampan powiększa jeszcze moje wzburzenie i rozluźnia język. Zaraz zrobię mu karczemną awanturę.

Ale Gabe próbuje jeszcze ją powstrzymać. Z zaciśniętą szczęką wbija wzrok przed siebie i tylko kręci głową, jak gdyby nie wierzył własnym uszom.

— Nie masz mi nic do powiedzenia? - pytam ze złością. Jego milczenie doprowadza mnie do jeszcze większej furii.

Gabe odwraca się od okna i spogląda na mnie.

368

— Heather, rozumiem, że masz prawo pozłościć się trochę, ale moim zdaniem robisz z igły widły. — Próbuje się uśmiechnąć, ale to jeszcze powiększa moją wściekłość, bo mam wrażenie, że sobie ze mnie kpi.

— Przestań traktować mnie jak dziecko! — krzyczę wściekła i czuję, jak do oczu napływają mi łzy. Staram się przegonić je, mrugając powiekami. — Jak śmiesz mi mówić, że robię z igły widły? Jakby to, czego się dowiedziałam, nie miało żadnego znaczenia.

— Bo nie ma — stwierdza Gabe cicho.

— I kto to mówi? Ty? Za kogo się uważasz, do cholery?! Za Boga? Kto ci dał prawo, by bawić się moim życiem? To było moje największe marzenie! Tak trudno to pojąć?

— Przecież wiem o tym — protestuje Gabe gwałtownie. — I właśnie dlatego to zrobiłem. Wiedziałem, jak bardzo tego pragnęłaś.

— Ale nie chciałam tego osiągnąć w ten sposób — jęczę. — Nie rozumiesz? Chciałam dostać tę pracę dzięki własnym umiejętnościom, dzięki własnemu talentowi. Chciałam, żeby Victor Maxfield dał mi ją dlatego, że uważa mnie za świetnego fotografa...

— Ale przecież jesteś świetnym fotografem! Następuje chwila ciszy.

— Miałem nadzieję, że się nie dowiesz o całej sprawie — dodaje cicho.

— Dlaczego? Bo wiedziałeś, że właśnie tak na to zareaguję, prawda? — mój głos jest nabrzmiały gniewem. O Boże, co ja sobie wyobrażałam? Czy naprawdę myślałam, że jestem taka rewelacyjna, że mogę dostać tę pracę dzięki własnym umiejętnościom?

-Nie - odpowiada cicho Gabe, ze wszystkich sił starając się zachować spokój. — Bo naprawdę masz talent, Heather.

369

□

czyłem twoje zdjęcia i wiedziałem, że potrzebujesz jedynie ktoś dał ci szansę... zresztą każdy z nas tego potrze - Jego głos na chwilę się załamuje, a grdyka aż skacze cji. - I w dniu kiedy powiedziałaś, że od dzieciństwa ma-o pracy w „Sunday Herald”, uznałem to, że mój wujek t tam redaktorem naczelnym, za cudowny zbieg okoliczności. Bo czy takie rzeczy zdarzają się przypadkiem? - Przez chwilę w jego oczach maluje się zdumienie. — To wyglądało jak przeznaczenie.

- powtarzam piskliwym głosem. — To lo przeznaczenie. To było oszustwo, (ttieepopielaty na twarzy.

■ waleś mi ten głupi list — ciągnę. — Czy to twoich genialnych dowcipów? — Już w trak... tych słów zdaję sobie sprawę, że jestem okpluję jadem. — To wyobraź sobie, że ani troi: i nagle czuję, że role się odwracają, fcież oczywiste, prawda? — Jego głos jest „... pełen gol □□- □□ przecież wcale nie jestem zabawny, ied/.iałaś wtedy na plaży? Moje żarty są beznadziejni komicznym nieudacznikiem... się. Czy naprawdę tak powiedziałam? Coś tak e, nie powiedziałam tego w ten sposób... przerywa mi.

im, powiedziałaś. I kto tu teraz kłamie, Heather? Kwilę odbiera mi mowę. Twarz Gabe'a jest teraz > jak ściana, z wyjątkiem dwóch czerwonych plam na ich. ie masz rację, pojedę do Edynburga i zrobię z siebie idiotę.

370

Zobaczyłem twoje zdjęcia i wiedziałem, że potrzebujesz jedynie, żeby ktoś dał ci szansę... zresztą każdy z nas tego potrzebuje. - Jego głos na chwilę się załamuje, a grdyka aż skacze z emocji. — I w dniu kiedy powiedziałaś, że od dzieciństwa marzyłaś o pracy w „Sunday Herald”, uznałem to, że mój wujek jest tam redaktorem naczelnym, za cudowny zbieg okoliczności. Bo czy takie rzeczy zdarzają się przypadkiem? — Przez chwilę w jego oczach maluje się zdumienie. — To wyglądało

jak przeznaczenie.

— Przeznaczenie? — powtarzam piskliwym głosem. — To nie było przeznaczenie. To było oszustwo.

Gabe robi się popielaty na twarzy.

— Nawet podyktowałeś mi ten głupi list — ciągnę. — Czy to miał być kolejny z twoich genialnych dowcipów? — Już w trakcie wypowiedzania tych słów zdaję sobie sprawę, że jestem okrutna, ale dalej pluje jadem. — To wyobraź sobie, że ani trochę nie był zabawny.

Twarz Gabe'a tężeje i nagle czuję, że role się odwracają.

— No tak, to przecież oczywiste, prawda? — Jego głos jest teraz pełen goryczy. - Bo przecież wcale nie jestem zabawny. Jak to powiedziałaś wtedy na plaży? Moje żarty są beznadziejne. A ja jestem komicznym nieudacznikiem...

Wzdrygam się. Czy naprawdę tak powiedziałam? Coś tak okrutnego?

— Nie, nie powiedziałam tego w ten sposób... Gabe przerywa mi.

— Owszem, powiedziałaś. I kto tu teraz kłamie, Heather? Na chwilę odbiera mi mowę. Twarz Gabe'a jest teraz

biała jak ściana, z wyjątkiem dwóch czerwonych plam na policzkach.

— I pewnie masz rację, pojedę do Edynburga i zrobię z siebie idiotę.

370

Jak rzeka, która wylewa się z koryta, kłótnia ta nagle zmienia kierunek, a wymknąwszy się spod kontroli, niszczy wszystko na swojej drodze.

— To nieprawda, ja...

Ale Gabe już mnie nie słucha. Nagle robi mi się niedobrze i zaczyna mi się kręcić w głowie. Jak doszło do tej kłótni? Serce wali mi jak młot, gdy spoglądam z lękiem na Gabe'a. W jego niebieskich oczach widać gniew i zaciętość i niczego bardziej teraz nie pragnę, jak zatrzymać tę kłótnię. Przewinać wstecz. Wrócić do punktu wyjścia.

— Nie tylko ty masz marzenia, Heather — odzywa się wreszcie Gabe, a ja czuję się jeszcze podlej.

— Wiem — szepczę. Boże, to jakiś koszmar. Dlaczego usłyszałam tę wiadomość? Po co piłam tego cholernego szampana? Zalewa mnie kolejna fala mdłości.

— Pora na mnie.

Podnoszę wzrok. Twarz Gabe'a jest zacięta. Serce mi się kraje.

— To znaczy?

— Idę się pakować. — W jego oczach maluje się teraz ból. — I tak miałem wyjechać w przyszłym tygodniu.

Waham się przez chwilę. Wiem, że jeśli teraz go przeproszę, to pewnie uda mi się go przekonać, żeby został, a jeśli nie powiem czegoś za chwilę, Gabe opuści moje życie i nigdy go już nie zobaczę, i że jeśli teraz wyjedzie, nigdy sobie tego nie daruję.

Ale jest we mnie zbyt dużo zaciętości, dumy, złości i bólu, żeby zastanawiać się poważnie nad tym, co będzie potem.

— To idź — mówię beznamiętnym głosem.

Przez chwilę wydaje mi się, że widzę w jego oczach rozczarowanie, ale tylko przez chwilę.

— W porządku. — Kiwa głową. — Wyjadę jutro z samego rana.

371

Nasze oczy spotykają się, ale przez tę mgłę gniewu już się nie widzimy. Podnoszę się chwiejnie i kieruję się w stronę drzwi.

— I masz rację... Oglądam się za siebie.

Gabe nadal wpatruje się we mnie, ale zamiast smutku na jego twarzy maluje się coś gorszego, coś, co wygląda jak pogarda.

— Popelnilem wielki błąd — oznajmia cicho, ale twardym głosem i wiem, że nie mówi teraz o podaniu.

Przełykam ciężko ślinę i znów odzywa się we mnie duma. Nie mam zamiaru pokazać po sobie, że bolą mnie jego słowa.

— Ja też — odpowiadam wyzywającym tonem i trzymając się twardo swojego postanowienia, opuszczam pokój.

40

Promienie słoneczne przedzierają się przez szpary w żaluzjach, atakując moje oczy nagłą jasnością. Wydaję z siebie zboląły jęk.

-Auuuu!

Billy Smith miauczy przestraszony i zeskakuje z kołdry.

Boże, ale mam koszmarne kaca. Co ja takiego wypilałam? Myśli w moim zamroczonym umyśle wirują jak koła w jednorękim bandycie, aż wreszcie wirowanie ustaje, koła zatrzymują się i przed moimi oczyma pojawia się odpowiedź. Szampan. Szampan. Szampan.

O cholera. G a b e.

Przypominając sobie naszą kłótnię, podnoszę się szybko na łóżku, aż kręci mi się w głowie, po czym chwiejnym krokiem wygrzebuje się z pościeli. Sięgam po szlafrok — stopy płaczą mi się między ciuchami porozrzucanymi po podłodze -i owijam nim szczelnie nagie ciało. W lustrze na szafie łowię widok swojej zapuchniętej i pokrytej plamami twarzy. No tak, wodoodporny tusz.

Wracają do mnie wspomnienia ostatniego wieczoru. Przypomina mi się, jak usłyszałam wiadomość na sekretarce, jak odkryłam, że Victor Maxfield jest wujkiem Gabe'a, i jak nazwałam tego ostatniego „skurwielem”. Wzdrygam się, a gdy wychodzę na korytarz, w głowie aż mi huczy.

373

„Co powiedziałaś wtedy na plaży? Ze moje dowcipy są beznadziejne. Ze jestem komicznym nieudacznikiem...”

Drzwi od jego pokoju są uchylone i otwieram je pełna złych przeczuć.

„Wyjadę jutro z samego rana”.

Stoję w progu nieruchomo, a gdy drzwi otwierają się coraz szerzej, potwierdzają się moje najgorsze obawy. Jego pokój jest pusty. Półki, jeszcze do niedawna wypełnione książkami z dowcipami, zostały opróżnione. Nad małym drewnianym biurkiem wisi korkowa tablica, do której były przypinane zdjęcia, a teraz został po nich jedynie ślad w postaci pinezek. W kącie leżała jego gitara — choć tylko raz słyszałam, jak grał. Nie najlepiej, przypominam sobie i uśmiecham się na wspomnienie, jak siedział w ogrodzie i niezdarnie brzdąkał akordy Life on Mars Davida Bowiego.

Spoglądam na łóżko i uśmiech znika z moich ust. Pościel leży złożona równiutko na materacu. Siadam na krawędzi łóżka i przyciskam kolana do piersi. Zaczynam myśleć

O wszystkich tych drobiazgach, których będzie mi teraz brakować — o tym, że wejść do kuchni i już go nie zobaczę pochylonego nad tosterem, nie będę już udawać, że nie słucham, gdy czyta mi mój codzienny horoskop, nie pojedę z nim więcej do Kornwalii na tylnym siedzeniu jego motocykla.

Przypomniawszy sobie nasz wspólny wyjazd, wzdycham ciężko. O Boże, ja już za nim tęsknię. Wprowadził się zaledwie parę tygodni temu, ale teraz to mieszkanie bez niego wydaje się takie puste. Bez niego i bez jego energii.

I uświadamiam sobie, że zaczynam mówić i myśleć jak on. Po amerykańsku. Ale właśnie to był cały Gabe. Ta pozytywna energia, która - jak obiektyw aparatu - sprawiała, że patrzyłam na życie inaczej, pogodniej.

A teraz Gabe wyjechał.

374

Kosmata ruda głowa pojawia się w drzwiach i do środka wchodzi Billy Smith. Obwąchuje pusty pokój, a potem miauczy oskarżycielsko. Jakbym się nie czuła dosyć winna, to jeszcze mój kot oskarża mnie o to, że wyгнаłam stąd tego miłego pana, na którego ciepłych kolanach mógł się wylegiwać godzinami i który drapał go rozkosznie za uchem.

- Kici-kici... - Wyciągam rękę, żeby go pogłaskać, ale Billy Smith ucieka ode mnie i wskakując na parapet, przewraca kosz na śmieci. Nie może uciec za daleko. Ale na każdego tak działałam, prawda? Każdy po jakimś czasie ucieka. Najpierw Daniel, potem Gabe, a teraz mój kot...

Przerażona tym odkryciem odprowadzam go wzrokiem, gdy znika w ogrodzie, a potem schylam się, żeby pozbierać rozsypane na dywanie śmieci. Pudełka po papierosach, puste puszki po coca-coli, stary egzemplarz „Loot”...

Serce mi staje.

To wydanie sprzed pary tygodni, to samo, w którym zamieściłam ogłoszenie, że poszukuję współlokatora — ale nie to wprawia mnie w osłupienie. Tylko serce narysowane czarnym długopisem wokół ogłoszenia. Przeze mnie.

Zapomniałam o tamtym incydencie, ale teraz przypominam sobie, że tego popołudnia, kiedy wracałam do domu metrem, wybiegając z wagonu w pośpiechu,

upuściłam „Loot” i nie udało mi się pozbierać wszystkich stron. Gabe musiał znaleźć te porzucone, zauważył serce wokół mojego ogłoszenia i zadzwonił do mnie.

Przypadek za przypadkiem. Ale czy na pewno tylko to?

Nagle staje mi przed oczyma wspomnienie tamtego dnia: jechałam w zatłoczonym metrze, wiedziałam, że jestem splukana, czułam się samotna i w ogóle nieszczęśliwa i wpatrzona w ciemność tunelu marzyłam tylko o tym, by znaleźć odpowiedź na wszystkie swoje problemy.

375

A potem kolejne wspomnienie: jak biegnę do domu w deszczu i spotykam Cyganek ze szczęśliwym wrzosem, która obiecuje, że mój los się odmieni i wszystkie moje marzenia się spełnią.

A wtedy nagle — pstryk! W moich drzwiach zjawia się Gabe, niczym dobra wróżka z czarodziejską różdżką. Zapłaciwszy czynsz, odsuwa niebezpieczeństwo przejęcia domu przez bank, a swoim entuzjazmem sprawia, że znowu zaczynam robić zdjęcia. A potem okazuje się jeszcze, że jest spokrewniony z redaktorem naczelnym „Sunday Herald”.

Dreszcz przechodzi mi wzdłuż kręgosłupa i otulam się szczelniej szlafrokiem. Czy właśnie dlatego dostałam tę pracę? Nie dzięki interwencji Gabe'a, ale ponieważ właśnie o tym marzyłam i takie wypowiedziałam życzenie?

Osuwam się na podłogę i gapię się na strony, które trzymam w ręku. Jeszcze kilka tygodni temu wyśmiałabym ten pomysł jako coś absurdalnego, ale od tamtego czasu wiele się zmieniło i teraz myśl ta eksploduje w moim umyśle i zasypuje mnie mnóstwem pytań. Czy to wszystko moja wina? Czy to ja jestem za to wszystko odpowiedzialna? Gabe może i szepnął za mną słówko, ale tak naprawdę ja byłam główną sprawczynią wszystkiego - ponieważ ja pragnęłam tej pracy. Gdyby nie ja, żadne z późniejszych wydarzeń nie miałyby miejsca.

Żadna z tych rzeczy by się nie wydarzyła. I nagle przypominają mi się słowa Eda: „ostrożnie z marzeniami, Heather”, ale tym razem nie traktuję ich jako złośliwości starszego brata, który chce popsuć mi zabawę. Wreszcie biorę je na poważnie. I po raz pierwszy — i pewnie ostatni — muszę przyznać mu rację. Powinno się ostrożnie

formułować swoje marzenia - bo możliwe, że jednak się spełnią.

376

Tak jak spełniło się to wszystko, czego pragnęłam, prawda? Ale podczas gdy jeszcze kilka tygodni temu po tym, jak dostałabym wymarzoną pracę, olbrzymią pensję i uznanie, o których zawsze marzyłam, skakałabym ze szczęścia, to teraz wcale ich nie chcę. Nie chcę żadnej z tych rzeczy. Bo to niczego nie gwarantuje. Nie dostałam pracy z powodu mojego talentu, więc na nią nie zasługuję. To pyrrusowe zwycięstwo, które kosztowało mnie przyjaźń z Gabe'em. Na myśl o tym prawie zwijam się z bólu. Co ty najlepszego zrobiłaś, Heather? Do czego doprowadziłaś?

Siedząc skulona na podłodze, zamykam oczy i staram się uwolnić umysł od tych myśli, ale jest tak, jakby tama została zerwana i zaczynają mnie nagle zalewać wspomnienia wszystkich moich życzeń wypowiedzianych w ciągu ostatnich kilku tygodni. Niewielkie cząsteczki przepełnionej nadzieją energii, które wysyłałam w kosmos, żeby się spełniły, niektóre duże, niektóre małe, ale i tak tworzą pokaźną listę. Próbuje nie myśleć o tym, ale nie potrafię. Przez ostatnie tygodnie biegałam radośnie po sklepach, życząc sobie tego, marząc o tamtym, spełniając każdą swoją zachciankę i nawet na chwilę nie zatrzymałam się, żeby pomyśleć o konsekwencjach. A teraz nadszedł czas, by stawić im wszystkim czoło: teraz pora, by za to wszystko zapłacić.

I mądrzejsza już o tę świadomość, przeglądam w myślach swoją listę marzeń...

- O idealnym mężczyźnie.

Na myśl o Jamesie czuję skurcz w żołądku. Życzenie, by go mieć, wypowiedziałam w rozmowie z Jess w Żarze i oto — abrakadabra! — zjawił się jeszcze tego samego dnia, parę

377

godzin później czekał na mnie w sklepiku pani Patel przed półkami z winem. Lubił komedie romantyczne, słuchał Di-do, miał idealnie posłane łóżko, był szarmancki, uwielbiał grę wstępną i rozmowy o uczuciach. Ale to nie koniec. Powiedział mi nawet, że mnie kocha. Tyle że ja go nie kochałam.

- O cudzie, który wyciągnąłby „Na zawsze razem” z długów.

No i zdarzył się cud. Ogromne wesele w arystokratycznej rodzinie, które wyprowadzi naszą firmę na prostą. Tyle że okazało się, że ślub z bogatą dziedziczką bierze mój były facet.

- Wygrać w totka.

Na samą myśl o tym aż mnie skręca, bo jestem prawie pewna, że trafiłam wszystkie sześć numerów, choć wolałabym, żeby było inaczej. To przez to kradzież torebki z kuponem była jeszcze gorsza do zniesienia. W jednej chwili wydawałam swoje miliony, mieszkałam we wspaniałej posiadłości, jeździłam astonem martinem, a chwilę później marzenia te rozwiały się jak dym i zamiast z Gabe'em na Hampstead Heath, spędziłam popołudnie na komisariacie.

- O zwycięstwie Anglii z Francją.

I owszem, spektakularny gol naszej drużyny w końcówce meczu przeszedł do historii angielskiej piłki i wywołał stały uśmiech na twarzy mojego brata, ale też zagroził jego małżeństwu. Zamiast zajmować się Lou i maleństwem, spędza całe dni przed telewizorem i ogląda mecze na Sky Sport. Do

378

tego stopnia, że zaczynam mieć obawy, że moja mała bratanica lub bratanek będzie się wychowywać w rozbitej rodzinie. I będzie to wina cioci Heather.

- Zęby z ulic zniknęły korki.

Co było fantastyczne, dopóki policja nie zatrzymała mnie za przekroczenie prędkości i nie wlepiła trzech punktów karnych oraz mandatu w wysokości sześćdziesięciu funtów — którego ciągle zapominam zapłacić.

Przygnębiona, z trudem zwlekam się z podłogi i podchodzę do okna. Opieram łokcie na parapecie i wyglądam na zalany słońcem ogród. Co przypomina mi o kolejnym marzeniu z mojej listy:

- Żeby codziennie świeciło słońce.

Mały trzmiel przelatuje obok mnie z brzęczeniem i obserwuję przez chwilę, jak przenosi się z kwiatka na kwiatek w poszukiwaniu nektaru. Tyle że biedaczek nie znajdzie go, bo rośliny usychają - już od dawna nie spadła ani kropla deszczu.

Ogarnia mnie poczucie winy. Czuję się teraz jak morderczyni niewinnych trzmieli.

- O tych różowych satynowych szpilkach w moim rozmiarze.

Gdybym ich nie włożyła ostatniego wieczoru, nie poślizgnęłabym się na podłodze w kuchni i nie zrobiłabym sobie krzywdy. W tym samym momencie yy opuchniętej kostce odzywa się ostry ból, więc pocieram ją delikatnie.

379

- Zęby udało mi się zrzucić te cholerne kilka kilo.

Myślałam, że naprawdę poprawi mi to humor, ale okazało się zupełnym niewypałem. Tylko Jess to skomentowała - ale stwierdziła, że zmniejszył mi się biust i twarz mam ściągniętą...

I to samo jest ze wszystkimi moimi marzeniami - uświadamiam sobie. Owszem, dostałam idealnego faceta, wymarzoną pracę, figurę rozmiar trzydzieści osiem, wolne miejsca w metrze, kasy bez kolejek, miejsca na parkingu i francuskie rogaliki z czekoladą, o których zawsze marzyłam. Ale gdy siedzę tu z koszmarnym kacem, przepelniona goryczą, cały ten pozorny blask, radość i ekscytacja ostatnich kilku tygodni topnieją. I zostaje tylko bolesna rzeczywistość.

Żadne z moich spełnionych marzeń nie dało mi szczęścia.

Chowam twarz w dłoniach. I co teraz? Tak trudno to wszystko ogarnąć. Chciałabym cofnąć czas, sprawić, by było tak jak dawniej, ale jak?

I nagle doznaję olśnienia.

Oczywiście — magiczny wrzos.

Przedtem wydawał się błogosławyieństwem, teraz natomiast - przekleństwem. Jeśli znajdę go i wyrzucę, wszystko wróci do normy.

Podnoszę się szybko. Ostatnim razem miałam go na rozmowie — włożyłam go do kieszeni na szczęście. Co za ironia losu. Biegnę do przedpokoju, wyciągam kremową marynarkę spod warstwy płaszczy wiszących przy drzwiach i sięgam do kieszeni.

Ale nie ma go tam. Sprawdzam w drugiej kieszeni. Pusta. Jak to? Przecież nie mogłam go zgubić! Szukam jeszcze na podłodze, na wypadek gdyby gdzieś wypadł - i wtedy dostrzegam coś leżącego na wycieraczce. List.

Podnoszę go niepewnie.

380

The Sunday Herald 45 Kings Way London W150Y 14 Spring Street Fiat □ Lit tle
Venice London W9 7PG

Szanowna Pani Hamilton,

W związku z odbytą rozmową kwalifikacyjną mam zaszczyt zaproponować Pani stanowisko fotografa w „Sunday Herald”. Proponujemy Pani roczną pensję w wysokości 35 tysięcy funtów i podwyżka po pół roku. Monica Hodgekjs z Działu Kadr skontaktuje się z Panią w celu potwierdzenia daty rozpoczęcia pracy i zapozna Panią z naszą ofertą socjalną. W razie pytań i wątpliwości proszę się z nią kontaktować pod numerem wewnętrznym 435.

Z poważaniem

Victor Maxfield

Przez chwilę wczytuję się w każde słowo i delektuję każdą sylabą. Tyle że jeszcze do niedawna skakałabym z radości, czytając taki list, teraz natomiast czuję żal i gorycz. I dlatego w ciągu kolejnych dwudziestu minut robię najtrudniejszą rzecz w swoim życiu. Piszę list, którego napisania nigdy przedtem nie byłabym w stanie sobie wyobrazić. Odrzucam w nim propozycję Victora Maxfielda i wyjaśniam motywy swojej decyzji: wspominam o Gabie i o tym, że nie mogę

381

przyjąć pracy, na którą nie zasługuję, zapewniając go jednocześnie o moim ogromnym szacunku do niego jako do redaktora naczelnego „Sunday Herald”.

Składam list na trzy części, wkładam do koperty, a potem zaklejam i przypieczętowuję tym samym swój los. Teraz to już przeszłość, z której wyciągnę nauzkę. Zapomnę o tym. Tak samo jak o Gabie.

Nie myjąc nawet twarzy, zakładam stary dres i buty i z obolałą kostką wlokę się do najbliższej skrzynki pocztowej. Znaczek na szczęście mam w portfelu. Naklejam go na list i wkładam do otworu w skrzynce. Ale to nie jest łatwe. Przez chwilę jeszcze się waham. A potem odrywam od niego palce i słyszę, jak cicho opada na sam dół. No i po wszystkim.

Wibrowanie telefonu przerywa mi rozmyślanie. Sięgam do kieszeni i spoglądam na wyświetlacz. Przez chwilę przemyka mi przez myśl nadzieja, że może to Gabe, ale

widzę numer mojego taty. Od razu robi mi się ciepło na sercu. Jeśli ktoś może poprawić mi nastrój, to właśnie Lionel.

— Cześć — rzucam do telefonu, czując przyływ miłości do niego.

— Heather, mówi Rosemary.

Po początkowym rozczarowaniu ogarnia mnie irytacja. Po co ta kobieta zawraca mi głowę?

— Stało się coś niedobrego...

Niewidzialna lodowata ręka łapie mnie za serce.

— Co się stało?

Następuje chwila ciszy, a potem...

— Twój ojciec miał atak serca.

I ziemia się pode mną zapada.

przyjąć pracy, na którą nie zasługuję, zapewniając go jednocześnie o moim ogromnym szacunku do niego jako do redaktora naczelnego „Sunday Herald”.

Składałam list na trzy części, wkładam do koperty, a potem zaklejam i przypieczetowuję tym samym swój los. Teraz to już przeszłość, z której wyciągnę nauczkę. Zapomnę o tym. Tak samo jak o Gabie.

Nie myjąc nawet twarzy, zakładam stary dres i buty i z obolałą kostką wlokę się do najbliższej skrzynki pocztowej. Znaczek na szczęście mam w portfelu. Naklejam go na list i wkładam do otworu w skrzynce. Ale to nie jest łatwe. Przez chwilę jeszcze się waham. A potem odrywam od niego palce i słyszę, jak cicho opada na sam dół. No i po wszystkim.

Wibrowanie telefonu przerywa mi rozmyślenia. Sięgam do kieszeni i spoglądam na wyświetlacz. Przez chwilę przemyka mi przez myśl nadzieja, że może to Gabe, ale widzę numer mojego taty. Od razu robi mi się ciepło na sercu. Jeśli ktoś może poprawić mi nastrój, to właśnie Lionel.

— Cześć - rzucam do telefonu, czując przyływ miłości do niego.

— Heather, mówi Rosemary.

Po początkowym rozczarowaniu ogarnia mnie irytacja. Po co ta kobieta zawraca mi głowę?

— Stało się coś niedobrego...

Niewidzialna lodowata ręka łapie mnie za serce.

— Co się stało?

Następuje chwila ciszy, a potem...

— Twój ojciec miał atak serca.

I ziemia się pode mną zapada.

41

Nie pamiętam, co działo się później. Mój umysł po prostu się wyłączył.

Większość ludzi nie wyobraża sobie śmierci rodziców — nie potrafią i nie chcą sobie tego wyobrazić. Z wiekiem człowiek zaczyna dopuszczać do siebie tę myśl, ale z rzadka i tylko przez chwilę, po czym zaraz odsuwa ją w niepamięć. Ale gdy go to spotyka, ten ból przechodzi wszelkie wyobrażenie.

Mnie właśnie spotkało coś takiego.

Moja mama, rudowłosa, pełna energii kobieta, której śmiech napelniał każdego w jej otoczeniu szczęściem, nie śmieje się już. Odeszła, jej życie zostało starte jak rysunek ołówkiem w dziecięcym zeszytce. I teraz groźba, że i Lionel mógłby...

Strach nie pozwala mi sformułować tych słów. Łapię mocniej kierownicę i staram się skoncentrować na jeździe.

Jestem na autostradzie wiodącej do Kornwalii. Nie wiem nawet, jak długo już jadę.

Dwie, może trzy godziny. Wszystko zlewa się w jedną całość: mgliste wspomnienie, jak wróciłam do mieszkania, jak poprosiłam sąsiada, by karmił Billy'ego Smitha pod moją nieobecność, jak wrzuciłam kilka rzeczy do torby. Spoglądam we wsteczne lusterko i widzę swoją wymizerowaną twarz oraz głęboką bruzdę między brwiami.

383

Wciąż mam na sobie stary dres i chyba Lou do mnie dzwoniła, bo skądś wiem, że Ed jest właśnie na pokładzie samolotu lecącego ze Stanów, ale nie pamiętam, żebym z nią rozmawiała. W gruncie rzeczy mało pamiętam z ostatnich kilku godzin, oprócz słów Rosemary: „Przyjeżdżaj szybko, Heather”, i złowieszczej nuty w jej głosie.

Naciskając na pedał gazu, wyprzedzam jadący przede mną samochód. Rozlega się ogłuszający dźwięk klaksonu, więc skręcam gwałtownie, mijając w ostatniej chwili

srebrne bmw, którego nie dostrzegłam na drugim pasie. Kierowca, przejeżdżając obok, pokazuje mi środkowy palec. W innych warunkach odkrzyknęłabym coś niecenzuralnego, ale teraz nie zwracam na to uwagi. Patrzę w skupieniu przed siebie i myślę tylko o tym, żeby zdążyć do szpitala na czas.

Zdążyć na czas.

Czyli na co?

Aż do tej chwili zbyt się bałam sprecyzować i nazwać ten niewypowiedziany strach, ale teraz skulona w moim samochodzie na paśmie szarej autostrady, wreszcie znajduję odwagę. Pragnę zdążyć do szpitala na czas, żeby się pożegnać.

Ta droga z Londynu do Kornwalii jest najdłuższą i najbardziej przerażającą podróżą w moim życiu. Jest już późne popołudnie, kiedy docieram do Newquay i widzę znaki prowadzące do Szpitala St. Luke. Jego widok jest mi znajomy: to tam mama miała chemioterapię. Parkując samochód, wpatruję się w szkaradny betonowy budynek, typowy przykład architektury lat sześćdziesiątych. Nie byłam tu prawie od dwudziestu lat, ale pamiętam go, jakby to było wczoraj.

Znajduję bodajże ostatnie wolne miejsce i nie zwracając uwagi na parkometr, biegnę przez nagrany asfalt, klucząc

384

między długimi rzędami samochodów, od których masek odbija się jasne słońce. Jak to możliwe? Jak może świecić słońce, skoro w środku tego budynku mój ojciec walczy o życie? Niebo powinno być szare, powinien padać deszcz, przemoczyć mnie do suchej nitki i sprawić, bym poczuła jakiś ból, cokolwiek. A nie tylko otepienie. Idę szybko w kierunku automatycznych drzwi — i nagle coś mnie powstrzymuje. Przepuszczam w progu innych gości z kwiatami i obowiązkowymi winogronami. Wiem, że też muszę wejść, ale nagle czuję się tak, jak wtedy gdy miałam dwanaście lat i odwiedzałam mamę — byłam wówczas tak przerażona, że w nocy znów zaczęłam się moczyć.

— Wszystko w porządku, kochana? — Jedna z odwiedzających, pani w średnim wieku z pękiem różowych astrów, spogląda na mnie z troską i uświadamiam sobie, że trzymam się kurczowo poręczy.

— Tak, w porządku. Dziękuję. Muszę tylko zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

— Wszystko będzie dobrze — mówi i klepie mnie pocieszająco po ręce. Zanim znika w drzwiach, odprowadzam ją wzrokiem i czerpiąc siłę z tego serdecznego gestu obcej osoby, puszczam poręcz. Tato obiecał mi, że nigdy nie będzie się ze mną żegnał, więc ja też nie będę. Zbierając się na odwagę, wchodzę do środka.

Szpital jest labiryntem sal i korytarzy, ale wreszcie docieram na oddział intensywnej terapii i zastaję tam Rosemary siedzącą na plastikowym krześle. Trzyma na kolanach torebkę, wzrok ma skierowany na wprost, usta zaciśnięte, twarz pozbawioną emocji. Odwraca się na dźwięk moich kroków.

— Heather, jesteś. No, nareszcie. — To niewiarygodnie, że wszystko, co ona mówi, brzmi jak oskarżenie. Wciąż ściskając

385

swoją torebkę, podnosi się, a potem w jej ruchach daje się wyczuć wahanie, jak gdyby nie była pewna, jak mnie powitać. Wreszcie całuje mnie niezdarnie w policzek. Pachnie jakoś sztucznie, jak odświeżacz powietrza, a ja stoję sztywno, z rękami zaciśniętymi w pięści, wbijając paznokcie głęboko w dłonie, ale dalej niczego nie czuję.

- Gdzie jest tata? — Nie chcę nazywać go Lionelem. Jest moim tatą. Płynie w nas ta sama krew. We mnie, a nie w tobie — myślę, wpatrując się wyzywająco w Rosemary.

- Jest na intensywnej terapii.

- Chce go zobaczyć.

- Jeszcze nie można. Lekarze...

- Lekarze? A co oni wiedzą? - krzyczę, nagle zalana wspomnieniami o mamie.

Rosemary jest przerażona.

- Heather, proszę - ucisza mnie. - Twój tata miał zawał. Czuję ścisk w gardle i nagle cała miłość do niego przekształca się we wściekłość na Rosemary.

- Dlaczego? - rzucam oskarżycielsko. - Jak do tego doszło? Mieszkasz z nim, powinnaś się nim opiekować! - Już w chwili gdy wypowiadam te słowa, uświadamiam sobie, jaka jestem podła. To nie jest jej wina, to nie jest niczyja wina. Ale me potrafię się zatrzymać: czuję się tak, jakby cały ból i wszystkie urazy z

ostatnich kilku lat wypłynęły teraz na powierzchnię.

Ale Rosemary nie reaguje. Jej upudrowana twarz pozostaje nieruchoma.

- Heather, jesteś zdenerwowana - mów i sztywno i siada, wygładziwszy przedtem spódnice. - Zrobiłam wszystko, co było w mojej mocy. Natychmiast zadzwoniłam po karetkę. Sanitariusze świetnie się spisali...

Słuchając jej, czuję się, jakby przygniatał mnie ogromny ciężar, tak że muszę usiąść, bo inaczej się przewrócę.

386

-... ale w karetce dwa razy doszło do zatrzymania akcji serca. Od razu przewieźli go na salę operacyjną... — zostawia to zdanie zawieszona, jak gdyby zbyt się bała je dokończyć, i przyciska torebkę mocniej do kolan.

A potem obie milczymy.

Ta straszna rzecz, która powinna nas zbliżyć, jeszcze bardziej nas od siebie odpycha. Zamiast pocieszać się wzajemnie, siedzimy w ciszy obok siebie, na niewygodnych, twardych, plastikowych krzesłach, spoglądając na musztardowe ściany. Dwoje ludzi, jeden strach, a między nimi miliony przepaści nie do pokonania.

Kilka chwil później skrzypnięcie drzwi przeciwpożarowych sprawia, że podnoszę nagle głowę. Starszy mężczyzna w zielonym fartuchu i czepku chirurga zmierza w naszą stronę.

— Pani Hamilton? - spogląda na nas obie poważnie. Zaraz wszystko będzie wiadomo. Strach nie pozwala mi oddychać.

— Jestem Heather Hamilton, jego córka — wyrzucam z siebie.

Wyciąga do mnie rękę.

— Doktor Bradley. Przeprowadziłem operację angioplastyki u pani ojca.

Gdy mówi, jego głos zdaje się coraz cichszy, jak gdyby oddalał się ode mnie w długim tunelu. Słyszę tylko własny oddech, jego przyływ i odpływ, jak fale na plaży oddalonej o kilkaset metrów stąd. I teraz przypominam sobie, jak to Lionel uczył mnie pływać, jak moje ramiona w jasnopomarańczowych dmuchanych rękawkach młóciły wodę, a jego silne ręce trzymały mnie pod brzuchem.

— Nie puszcze cię Heather, nie puszcze — powtarzał wtedy gromkim głosem. Ale oczywiście w końcu mnie puścił, a ja

387

wymachując ze wszystkich sił rękami i nogami, jakoś zdołałam się utrzymać na powierzchni.

I teraz też mi się uda, mówię sobie, zmuszając się do powrotu do rzeczywistości, i słyszę, jak Rosemary zadaje pytanie, którego ja się boję zadać.

-I jak...?

Przygotowuję się na najgorsze.

— Operacja przebiegła pomyślnie...

Czuję się jak tonący człowiek, któremu udało się wypłynąć na powierzchnię i z ulgą łapie powietrze.

— Musieliśmy przeprowadzić angioplastykę, żeby usunąć blokadę w tętnicy wieńcowej...

Rosemary składa dłonie pod podbródkiem, jak gdyby do modlitwy.

— ... co jest zupełnie normalne w takich sytuacjach — kontynuuje chirurg uspokajającym głosem. — Zrobiliśmy EKG i inne badania dla potwierdzenia diagnozy. Obecnie pan Hamilton jest pod głęboką narkozą i wraca do siebie.

Podczas jego wyjaśnień stoję nieruchomo, po tym wszystkim, co się wydarzyło, zupełnie otepiała i bez czucia.

W przeciwieństwie do Rosemary, która nagle zaczyna szlochać niemal histerycznie.

— Och, dziękuję panu, panie doktorze, dziękuję, dziękuję...

Chirurg spogląda w moją stronę. Wiem, że spodziewa się, że będę ją pocieszać, ale ja się nie ruszam — nie potrafię. Nigdy przedtem nie widziałam, by Rosemary zdradzała jakiegokolwiek oznaki emocji, i spoglądam na nią teraz beznamiętnym wzrokiem.

Następuje niezręczna cisza.

— Wiem, że to był ogromny szok... — chirurg otacza Rosemary ramieniem i sadza ją delikatnie na krześle. Przywołuje

388

gestem ręki przechodzącą pielęgniarkę — ... i wiem, że przechodzi pani ciężkie chwile, ale musi pani być silna. Muszę panią jednak ostrzec, że niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Pierwsze czterdzieści osiem godzin po ataku serca jest krytyczne. Gdy pielęgniarka podchodzi, lekarz pokazuje jej gestem, żeby zajęła się Rosemary, więc pochyła się nad nią i podaje jej chusteczki oraz szepcze słowa otuchy.

— Pani Hamilton.: — Szare oczy lekarza szukają mojej twarzy i przez chwilę mam wrażenie, że mnie osądza. Ale wtedy uśmiecha się łagodnie, — Chciałaby pani zobaczyć ojca? — I wtedy uświadamiam sobie, że jedyną osobą, która mnie osądza, jestem ja sama.

W sali panuje cisza, słychać jedynie słabe pikanie maszyny monitorującej pracę serca. Po surowości korytarza, jej wewnątrz wydaje się niezwykle kojące. W rogu stoi łóżko otoczone mnóstwem maszyn i monitorów, siecią kabli, rur i kroplówek, które podtrzymują mojego tatę przy życiu.

Podchodzę cicho i spoglądam na jego popielatą twarz. Nogi odmawiają mi posłuszeństwa i muszę się podtrzymać oparcia łóżka, zęby nie upaść.

To nie jest mój tata. Mój tata był roslym mężczyzną, który był w stanie podnieść jednocześnie mnie i Eda i kręcić nami, dopóki nie zaczęliśmy błagać o litość. Mój tata witał mnie uściskiem tak silnym, że mało nie łamał mi żeber. Mój tata uwielbiał jedzenie, sztukę i życie na całego. Mój tata od dnia moich narodzin otaczał mnie swoją bezwarunkową miłością, która zawsze zapewniała mi poczucie bezpieczeństwa.

A przede mną leży blada, skurczona postać, której pierś podnosi się i opada powoli. Cała jego siła gdzieś uleciała. Wygląda słabo, krucho i bezbronne.

389

— Jestem przy tobie, tato — szepczę, ujmując jego dłoń.

I nagle cały mój świat przestaje istnieć. Wszystkie te głupie listy rzeczy do zrobienia, które sobie przygotowywałam, wszystkie te banalne troski o cellulit i w co się ubrać, albo o znalezienie ideału. Całe moje niezadowolenie z rzeczy, które chciałam zmienić, marzenia o lepszej pracy, większej pensji, jędrniejszych udach. Żadna z tych rzeczy nie ma już znaczenia.

Ściskając rękę taty, spoglądałam w jego twarz. Byłam tak głupia i samolubna, marnowałam czas na marzenia o rzeczach, których nie miałam... Wracam teraz myślą do tych setek banalnych, nieistotnych życzeń... Traciłam czas na te wszystkie bzdury. Na marzenia o rzeczach, których nie chcę, nie potrzebuję i o które nie dbam teraz, gdy je mam. Nie doceniałam tego, co miałam - uważałam po prostu, że mi się to należy. A teraz mogę stracić to wszystko.

Delikatnie przyciskam usta do czoła taty. Aż do dziś uważałam wypowiedanie życzeń za część mojego codziennego życia. Ale myliłam się. Marzenia są święte. Marzenia to magia. Tak jak powiedziała stara Cyganka, gdy wręczała mi gałązkę wrzосу: „używaj go m ą d r z e, a spełni twoje najskrytsze marzenia”.

Samotna Iza niczym kropla deszczu spada na moją rękę. A potem następna, i jeszcze jedna. Łzy wielkie jak grochy spływają mi po policzkach, rozmazują mi widok i moczą twarz, aż w końcu szlocham tak mocno, że płacz wstrząsa całym moim ciałem. Bo teraz już wiem, co chciała mi powiedzieć stara Cyganka. Tylko że ja nie byłam mądra. Byłam bezmyślna, nieodpowiedzialna i tak cholernie głupia.

Ale to się zmieni.

I właśnie tu, w tej małej salce na oddziale intensywnej terapii, słysząc w tle pikanie monitora i trzymając w ręce dłoń

390

taty, wypowiadam ostatnie życzenie... — i tak naprawdę jedyne życzenie, które się dla mnie liczy. Pragnę, aby mój ojciec żył.

Nie jestem pewna, ile tak stałam, trzymając tatę za rękę, ale gdy przychodzi lekarz, wracam do rzeczywistości. Doktor, delikatnie zdejmując moje palce z dłoni ojca, każe mi iść do domu i się wyspać. Mój tata musi odpocząć.

- Nic mi nie jest.

- Wygląda pani na wyczerpaną. Kręcę głową zdecydowanie.

- Nigdzie nie idę. Nie zostawię go.

- Pani macocha powiedziała dokładnie to samo - mówi lekarz, wskazując na korytarz, gdzie wciąż czeka Rosemary.

- Naprawdę? - pytam zaskoczona. Byłam pewna, że Rosemary będzie wolą spędzić

noc w domu. Przecież kocha wygodę.

- Lionel ma szczęście, że ma was obie. - Doktor uśmiecha się łagodnie. - A wy macie szczęście, że macie siebie nawzajem. W takich chwilach rodzina jest bardzo ważna. Nigdy przedtem nie uważałam Rosemary za część mojej rodziny. Zawsze była uzurpatorem, outsiderem, kimś obcym. I po raz pierwszy dociera do mnie, że ona też się tak mogła czuć.

- Dziękuję, panie doktorze.

- Nie ma za co. - Prowadzi mnie do drzwi. - I lojalnie uprzedzam, że kawa tutaj jest wstrętna.

42

- Idę po kawę. Przynieść ci?

Na dźwięk mojego głosu Rosemary podnosi wzrok, wbity do tej pory w zdarte linoleum. Oczy ma czerwone od płaczu.

- Chociaż doktor mówi, że nie jest za dobra - dodaję, uśmiechając się nerwowo.

Spoglądamy na siebie przez chwilę i mam wrażenie, jakby z tego muru, który nas dzieli, zniknęło kilka cegieł. Niewiele, ale wystarczająco, żeby ujrzeć się nawzajem po raz pierwszy.

Rosemary uśmiecha się niepewnie.

- Byłabym ci wdzięczna. Dać ci pieniądze? - Sięga po torebkę, ale powstrzymuje ją.

- Mam tu gdzieś portfel. - Wyszperawszy go z torby, stwierdzam, że schowek na monety jest pusty. — Masz rozmienić dziesiątkę? — Wyjmuję dziesięciofuntowy banknot.

- Weź mój portfel - mówi Rosemary, wyciągając go w moją stronę. — Drobne są w bocznej kieszonce.

- Na pewno? Może ktoś inny mi rozmieni...

- Może i jestem emerytką, ale stać mnie jeszcze na to, żeby postawić ci kawę — odpowiada. — A poza tym, jeśli jest tak niedobra, jak mówi doktor, następnej już nie kupimy.

Uśmiechając się, poddaję się, biorę jej portfel i zmierzam korytarzem w poszukiwaniu automatu. Po kilku minutach

znajduje go wreszcie w poczekalni wypełnionej zmęczonymi, przerażonymi ludźmi. Niektórzy trzymają się w małych grupkach, inni przeglądają stare kobiece tygodniki lub trzymają w ręku plastikowe kubki z kawą. Ale są też tacy jak staruszek w kącie, którzy siedzą samotnie i gapią się w pustą przestrzeń. Dostrzegam jego palce.

Powyginane artretyzmem, obracają złotą obrączkę — w kółko i w kółko.

Rozglądam się wokół. Uświadamiam sobie, że rzeczywiście mam szczęście, że nie jestem tu sama, że mam Rosema-ry, że mamy siebie nawzajem. Spoglądam na zegar na ścianie. To będzie długa noc.

Zaczynam wrzucać do maszyny dziesięciopensowe monety. Słysząc szum i w otworze pojawia się plastikowy kubek, po czym zaczyna się wypełniać proszkiem i wodą. Wyciągam go i stawiam na górze maszyny, a potem szukam kolejnych drobnych na drugą kawę. Niektóre monety są wetknięte w róg, więc przechylam portfel, by je wyciągnąć, kiedy coś upada na podłogę.

Schylam się. To mała fotografia z białą ramką przedstawiająca Rosemary i Lionela, ale oboje są na niej dużo młodszy. Lionel ma na sobie krzykliwy zielony garnitur, a Rosemary elegancki długi kremowy zakiet oraz mały okrągły kapelusik upięty na koku. Odruchowo odwracam zdjęcie na drugą stronę. Z tyłu widnieje dedykacja napisana ręką ojca.

Dla mojej cudownej Zony w dniu naszego ślubu:

Dziękuję, że dzięki Tobie znów jestem szczęśliwy.

Z wyrazami miłości

Lionel

No tak. To fotografia z ich ślubu sprzed dziesięciu lat. Miał on miejsce na statku wycieczkowym, byli tam tylko we dwoje.

Ed i ja nie mogliśmy przyjechać. Nie chcieliśmy przyjechać -poprawiam się. Nigdy nawet nie poprosiłam, by pokazali mi album ze zdjęciami ze ślubu, chociaż pamiętam, że Rosemary chciała mi go dać do obejrzenia, gdy przyjechałam ze studiów do domu. Rzuciłam wtedy jakąś wymówkę, że jestem zbyt zajęta. Zbyt

zajęta. Zatrzymuję się na chwilę, by wchłonąć te słowa. Byłam zbyt zajęta przez ostatnie dziesięć lat.

Ogarnia mnie nagle poczucie winy. Przez ten cały czas miałam do Rosemary pretensje, ale teraz, widząc tę dedykację, uświadamiam sobie, że jestem jej dłużniczką. W jakiś sposób przez te wszystkie lata wymazałam z pamięci to, jak zdruzgotany był tato po śmierci mamy, jak przez następne lata, nawet gdy się uśmiechał, w jego oczach był zawsze smutek, który zniknął dopiero wtedy, gdy poznał Rosemary.

— Przepraszam, skończyła pani?

Chłopak w wełnianej czapce wskazuje ręką pełną monet na maszynę.

— Och, przepraszam, jeszcze chwilka. — Wkładam zdjęcie z powrotem do portfela, wsuwam go do kieszeni i pośpiesznie wrzucam kolejne monety do automatu.

Plastikowy kubek napełnia się szybko i biorę go razem ze swoim. A teraz pora na coś ważnego: na coś, co powinnam była zrobić dawno temu.

— Przepraszam.

— Słucham? — Rosemary marszczy brwi, gdy wręczam jej kubek z kawą. A potem jakby domyśliła się, o co może chodzić. -A, rozumiem. Naprawdę jest taka okropna? - Spogląda podejrzenie na brązowy płyn, który udaje kawę.

Stoję przed nią z zakłopotaniem.

— Nie, nie chodzi o kawę.

To trudniejsze, niż myślałam.

394

— Usiądź, Heather - Rosemary uderza ręką w siedzenie obok.

Siadam więc i upijam łyk kawy. Tak, rzeczywiście jest tak wstrętne, na jaką wygląda. Spoglądam na Rosemary.

— Chcę cię przeprosić — wyrzucam z siebie wreszcie. — Zachowywałam się wobec ciebie podle. Wszystko, co powiedziałam wcześniej...

— W porządku — przerywa mi i kładzie rękę na moim ramieniu. - Rozumiem.

— Nie, nie rozumiesz. — Zbieram się na odwagę, by spojrzeć jej w oczy. — Chcę cię przeprosić za sposób, w jaki cię traktowałam przez wszystkie te lata, że miałam

do ciebie pretensje, że zajęłaś miejsce mamy, za to, że pragnęłam cię wykluczyć z naszego życia...

Tak. Nareszcie się do tego przyznałam.

— Przepraszam, Rosemary. Zachowywałam się żałośnie. — Z trudem przelękam ślinę. Znienawidzi mnie teraz, ale wcale się jej nie dziwię. Sama też się nienawidzę.

Następuje chwila ciszy, podczas której Rosemary przyswaja sobie moje słowa.

— Dziękuję, Heather. I to bardzo - odzywa się cicho po chwili. — Nie masz pojęcia, jak wiele to dla mnie znaczy.

Jej słowa są dla mnie kompletnym zaskoczeniem.

— Ale ja też muszę cię przeprosić. Wpatruje się w kawę, głęboko zamyślona.

— Ja też zawiniłam. Byłam zazdrosna o twoje stosunki z Lionelem. Nie mam takiego kontaktu ze swoimi dziećmi. Annabel i ja... - Przygryza wargę, która wciąż nosi ślady różowej szminki. - Powiedzmy, że nie dogadujemy się tak jak wy dwoje.

Obie uśmiechamy się mimowolnie.

— I byłam zazdrosna, że przypominasz mu Julię...

395

- Mame? - szepczę cicho.

- Wiem, to podłe z mojej strony - wyznaje. - Być zazdrosną o córkę męża, ponieważ jest podobna do matki, czuć się zagrożoną, bo nieustannie przypomina mu jego pierwszą żonę... - Jej oczy zachodzą łzami i gdy spogląda na mnie, twarz ma ściągniętą . białą jak ściana. - Jestem złym człowiekiem.

Nigdy nie myślałam o tym wszystkim z jej perspektywy, ale

□-

nagle widzę, że dla niej to również me było łatwe. □□i□II□□

OWO

„Maorawdę? - hzaJ"^^, - Wzr

— Mame? — szepczę cicho.

— Wiem, to podłe z mojej strony — wyznaje. — Być zazdrosną o córkę męża, ponieważ jest podobna do matki, czuć się zagrożoną, bo nieustannie przypomina mu jego pierwszą żonę... — Jej oczy zachodzą łzami i gdy spogląda na mnie, twarz ma

ściągniętą i białą jak ściana. — Jestem złym człowiekiem.

Nigdy nie myślałam o tym wszystkim z jej perspektywy, ale nagle widzę, że dla niej to również nie było łatwe. Odruchowo wyciągam rękę i ściskam jej dłoń, a wtedy uświadamiam sobie, że to pierwszy raz, kiedy dotykam jej z uczuciem.

— Jesteś dobrym człowiekiem, Rosemary, naprawdę — mówię pocieszającym tonem. I to nie tylko słowa. Naprawdę tak czuję. Rosemary jest dobrym człowiekiem. Tyle że przez wszystkie te lata nie zdawałam sobie z tego sprawy.

— Naprawdę? — Łza spływa jej po policzku i wpada do kawy.

— Albo obie jesteśmy potworami. - Wzruszam ramionami i uśmiech przebija się przez jej twarz.

— Nigdy nie starałam się zastąpić Julii — mówi cicho.

— Wiem — kiwam głową i zastanawiam się, dlaczego nie odbyłyśmy tej rozmowy dawno temu.

— Nigdy bym nie potrafiła i nigdy tego nie chciałam. Tak samo jak Lionel nigdy nie mógł zastąpić Lawrence'a, mojego pierwszego męża. — Spogląda na mnie i po raz pierwszy widzę w jej oczach prawdziwy strach. — Nie zniosłabym kolejnej straty tak bliskiej mi osoby. Strasznie kocham twojego ojca, Heather. Nie wiem, co bez niego zrobię. — Jej głos drży, Rosemary opuszcza głowę i zanosi się płaczem.

I teraz ja muszę być silna, mówię sobie, ponieważ chociaż mam ochotę zrobić to samo, to wiem, że Lionel nie chciałby, żebyśmy płakały z jego powodu. Gdyby tu był, przytuliłby nas mocno i od razu poczułybyśmy się lepiej. Ale nie może tego zrobić w tej chwili, więc teraz to moje zadanie.

396

I obejmuję mocno Rosemary, bo wiem, że tego pragnąłby mój ojciec — ale i dlatego, że sama tego chcę.

To jest rzeczywiście długa noc. Rosemary udaje się wreszcie zdrzemnąć, ale ja nie mogę usnąć, siedzę więc tylko, piję kawę i przeglądam stare czasopisma.

Po kilku godzinach muszę rozprostować nogi, więc wychodzę na zewnątrz. Wciąż jest ciepło i panuje spokój, którego na próżno szukać w Londynie. Cisza, dzięki której ma się wrażenie, że śpi cały świat, tylko nie ty. Na parkingu widzę parę osób

palących w grupce papierosy. To kilka pielęgniarek, więc waham się przez chwilę. W tych okolicznościach nawet nie powinnam o tym myśleć, ale postanawiam jednak do nich podejść.

- Możecie mnie poczęstować papierosem?

Przestają rozmawiać i jedna z pielęgniarek spogląda na mnie ze współczuciem. Nie widziałam się w lustrze, ale pewnie wyglądam tak, jak się czuję.

- Naprawdę nie powinnam — oświadczają, proponując mi Silk Cut Ultra Low. — Tylko proszę nikomu nie mówić.

- Nie powiem, obiecuję. - Uśmiecham się z wdzięcznością, gdy podaje mi też ogień, po czym odchodzę na sam skraj parkingu, tam gdzie zaczynają się pola. Zaciągam się papierosem i kieruję twarz w stronę nieba, na którego ciemnym de księżyc w pełni błyszczy mlecznym światłem. Spoglądam na niego i mimowolnie zaczynam się zastanawiać, czy Gabe też na niego patrzy. W Edynburgu. Wzdycham głęboko. Chciałabym móc do niego zadzwonić i powiedzieć mu, co się stało z moim ojcem. Ale nie mogę.

Ogarnia mnie nagle przejmujący smutek. Upuszczam nie-dopalonego papierosa na ziemię i gaszę go podeszwą. I tak smakował ohydnie.

397

Nie wiem, jak długo przebywałam na zewnątrz - straciłam poczucie czasu — ale gdy wracam, Rosemary wciąż śpi. Skulona na trzech plastikowych krzesłach, położyła sobie torebkę pod głowę. Przykrywam ją jej marynarką. Ja też jestem teraz zmęczona. Siadam na ostatnim wolnym krześle obok niej, opieram głowę o gaśnicę i myślę o tacie, który leży niedaleko. Powtarzam sobie, że wkrótce wróci do zdrowia i dożyje setki, ale nie jest to łatwe. Jak powiedział lekarz, niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło.

Gdy Rosemary wydaje przez sen cichy jęk, spoglądam na nią. Po raz pierwszy czuję się z nią związana miłością do Lio-nela. Przynosi mi to dziwne ukojenie. Ponieważ — chociaż myśl o tym jest trudna i bolesna - jeśli będziemy musiały się z nim pożegnać, zrobimy to przynajmniej razem. A wtedy wreszcie zamykam ciężkie powieki i również zapadam w sen.

Budzę się przestraszona. Gdzie ja jestem? Prostuję się na krześle. I wtedy czuję, jakbym dostała pięścią w brzuch. Ta t a.

Rosemary ciągle śpi. Podnoszę się chwiejnie na nogi. Która jest godzina? Zegar na ścianie informuje, że jest po szóstej. Spałam więc kilka godzin.

Szpital jest wciąż pogrążony w ciszy i gdy idę szybkim krokiem w stronę oddziału intensywnej terapii, nie spotykam po drodze nikogo. Nawet pielęgniarki, które siedziały na recepcji, zniknęły. Spoglądam przez okno do sali, ale trudno coś dostrzec przez żaluzje. Ponieważ nikt mnie nie widzi, otwieram drzwi i wchodzę do środka. Sala jest oświetlona przytłumionym światłem, a ciszę zakłóca jedynie pikanie maszyny monitorującej pracę serca. Odczuwam ulgę nie do opisania.

Tata wciąż żyje.

I to jest najważniejsze.

Oddychając głęboko, podchodzę cicho do łóżka, żeby go nie obudzić. Wyciągam rękę, chcąc go pogłaskać, ale zaraz cofam ją jak oparzona.

Bo to nie jest mój ojciec.

Żołądek podchodzi mi do gardła. Na łóżku, na którym jeszcze wczoraj leżał Lionel, śpi teraz dużo młodszy mężczyzna.

399

Dostrzegam niebieski tatuaż ptaka na jego szyi, bijący puls, bladość jego skóry.

Wszystko to w ułamku sekundy, gdy ziemia pode mną zaczyna się kołysać.

— Przepraszam, ale nie wolno tu pani przebywać. Odwracam się i widzę dwie pielęgniarki.

— Gdzie jest mój tata? — krzyczę w panice. — Co się z nim stało? Co mu zrobiliście? — W głowie mi się kręci i gdy kobiety podchodzą do mnie, łapię gwałtownie powietrze. Trzymają mnie teraz i próbują uspokajać, ale nie dociera do mnie, co mówią. Nie słyszę niczego, oprócz przeraźliwego wycia w mojej głowie. Bo i tak znam prawdę.

— Nie żyje, prawda? - wyrzucam z siebie. - Nie żyje... nie żyje...

Wyprowadzają mnie, chwiejącą się, z sali, a potem podtrzymują, bo słaniam się na

nogach.

— Pani Hamilton, to ja, doktor Bradley... Pani Hamilton, proszę mnie posłuchać... Widzę przed sobą postać w białym kitlu, ale niewyraźnie, bo mgła powoli zasnuwa mi oczy i wszystko wokół gaśnie.

— To łóżko było nam potrzebne, gdyż w środku nocy przyjechał pacjent po wypadku. Pani ojciec przeniesiony został na oddział kardiologiczny. Ma się już lepiej. Przebudził się i pyta o panią...

I wtedy przed moimi oczyma zapada ciemność.

— Napędziłem wam trochę strachu, co?

Jakiś czas później siedzimy z Rosemary po obu stronach łóżka Lionela i każda z nas trzyma go za rękę.

— Heather też nam napędziła strachu. — Rosemary uśmiecha się, a ja rumienię się ze wstydu na myśl o tym, że zemdlalam i przewróciłam się pod nogi doktora Bradleya. Czuję się jak kompletna kretyńka.

400

A wtedy spoglądam na tatę. Pamiętaj, Heather. Mało brakowało, a mogłaś go utracić...

Najwyraźniej Lionel nie pamięta niczego po pierwszym ataku i był w ogromnym szoku, gdy okazało się, że nie tylko jest w szpitalu, ale i że przeszedł operację serca. Dużo mniej dramatyczna, ale także niezmiernie ważna, jest dla niego zmiana w stosunkach między mną a Rosemary.

— No proszę, leżę sobie beztrosko, a obok mnie dwie piękne kobiety mojego życia.

— Uśmiecha się z zadowoleniem. — Chyba będę musiał to powtórzyć.

— Ani mi się waż — karci go Rosemary. — I żeby cię przypilnować, Ed pomieszka z nami przez jakiś czas. Właśnie dostałam od niego wiadomość. Przyjeżdża dziś po popołudniu.

— Ze znajomą dietetyczką z Los Angeles - dodaje. Lionel krzywi się.

— Słyszałeś, co powiedział lekarz. Koniecznie musisz przestrzegać diety. Żadnych serów, wina...

— Żadnej przyjemności z życia - wtrąca z przekąsem Lionel.

— Lionel, nie zostanę wdową po raz drugi — ostrzega go Rosemary tonem, którego boję się nawet ja.

— Ja? Miałbym nie słuchać nakazów lekarzy? Nie śmiałybym nawet o tym pomyśleć — mówi, po czym wydyma usta do pocałunku.

— Miałeś atak serca, musisz odpoczywać — strofuje go znowu Rosemary.

— Proszę o całusa, kochanie, nie o maraton seksualny. Rosemary rumieni się, a wtedy ja się podnoszę.

— Zostawię was samych, żebyście sobie mogli pogruchać, gołąbeczki. — Jeszcze do niedawna denerwowałyby mnie takie zachowanie, ale teraz tylko robi mi się ciepło na sercu, więc delikatnie przyciskam usta do szorstkiego policzka taty i szepczę: — Do zobaczenia, tatku.

401

A on uśmiecha się i odpowiada mi szeptem:

— Do zobaczenia, córciu.

Następnych kilka dni spędzam w naszym domku. Ed zgodnie z zapowiedzią przyjechał ze swoją znajomą dietetyczką Mirandą, którą poznał na studiach i która z powodzeniem prowadzi praktykę w Londynie i Los Angeles. Spędza u nas szybkie dwadzieścia cztery godziny, spotykając się z Lionelem i jego lekarzami, kreśląc szczegółowy plan diety i rozwieszając przepisy dań z niską zawartością tłuszczu po naszej małej dębowej kuchni, jak gdyby tapetowała nimi pokój.

Lionel został wypisany ze szpitala w weekend. Znowu mogę go nazywać Lionelem, bo z powrotem nim jest. Z zarośniętą twarzą, gromkim głosem i ogromnym apetytem na życie — choć pod nadzorem Mirandy z pewnością niedługo straci ze trzydzieści kilo. Pomimo swojej zadziorności i dowcipów, wiem, że ostatnie wydarzenia mocno nim wstrząsnęły. Czasem słyszę, jak głos mu drży, a gdy Rosemary każe mu dokończyć grillowaną pierś z kurczaka i jarmuż gotowany na parze, wykonuje jej polecenia posłusznie jak dziecko, nawet nie wspominając o swoim pinot noir. Jestem więcej niż szczęśliwa. I siedząc popołudniami przed domem z Lionelem, Edem i Rosemary, śmiejąc się z jakichś głupich dowcipów, myślę o tym, że spełniło się moje marzenie — i to piękniej, niż mogłabym sobie w ogóle wyobrazić.

— A co słyhać u tego amerykańskiego młodzieńca? Zakończył się właśnie nasz kolejny zdrowy lunch pod chmurką, kiedy Lionel porusza temat Gabe'a. Cholera. Trzeba przyznać, że mój ojciec ma niezwykłą intuicję.

— Yyy, wyprowadził się — odpowiadam najbardziej obojętnym tonem, na jaki mnie stać, ale czuję w sercu jakieś ukłucie.

402

W ciągu ostatnich kilku dni wszystko obracało się wokół Lionela — trzeba było przygotować dom na jego powrót, znieść jego łóżko na parter, a potem sprawdzać, czy wziął wszystkie lekarstwa o odpowiedniej porze. Wszyscy byliśmy nim tak zajęci, że nie miałam czasu myśleć o czymkolwiek innym.

No, może nie do końca. W chwilach gdy nie byłam zajęta ojcem, na przykład gdy wkładałam naczynia do zmywarki, siedziałam na trawie, wystawiając twarz do słońca, czy też tuż przed zaśnięciem — moje myśli wędrowały w stronę Gabe'a. Przyciągał je jak magnes.

— Pojechał już na festiwal do Edynburga — dodaję, czując, że jestem im winna to wyjaśnienie. Nawet jeśli to tylko część prawdy.

Lionel rozpromienia się na samą myśl o tych wszystkich aktorach, artystach i muzykach spotykających się co roku w Edynburgu.

— Pojedziesz na jego występ? -Nie.

— Aha. — Lionel unosi brwi.

Następuje chwila ciszy, podczas której kątem oka łowię porozumiewawcze spojrzenia.

— No co? — pytam zaciętrzewiona.

— Nic, siostrzyczko — odpowiada Ed chłodno i uśmiecha się głupawo do swojej komórki. Od powrotu ze Stanów ciągle dzwoni do Lou. Dziecko ma przyjść na świat za parę tygodni, a po tym, jak Lionel otarł się o śmierć, Ed uświadomił sobie, co jest w życiu najważniejsze. I tym czymś nie jest piłka nożna.

— Chyba nie będziemy rozmawiać o jakimś nudnym festiwalu, prawda? — wtrąca się Rosemary. — Opowiedz nam za to o tym arystokratycznym weselu.

Uśmiecham się do niej wdzięczna, że starała się wybawić mnie z opresji, ale o weselu lady Charlotte też ostatnio wolałam nie myśleć.

— Ma się odbyć w ten weekend w opactwie Shillingham. — Staje mi przed oczami wizja Daniela wystrojonego w ślubny frak. Wyrzucam ją z głowy natychmiast. Nie wspominałam mojej rodzinie, że panem młodym jest mój były chłopak. Tak właściwie oprócz Jess nie pisałam o tym nikomu ani słówkiem. Nie mogłabym znieść tych współczujących spojrzeń i ciągłych pytań, jak się z tym czuję, bo naprawdę jest mi to obojętne.

Prawda?

— O rany, i pomyśleć tylko, ile tam będzie znanych osobistości... — Oczy Rosemary błyszczą z podekscytowania. A potem dodaje jednym tchem: — Myślisz, że pojawi się tam rodzina królewska?

— Nie wiem — odpowiadam.

Ale jeśli tak, to Brian pomyśli, że umarł i poszedł prosto do raju.

— Więc kiedy w związku z tym wracasz do Londynu? — Lionel spogląda na mnie pytająco sponad szklanki z wodą mineralną.

O cholera. I jak ja im teraz powiem, że jestem bezrobotna? Myślę przez chwilę, jak im to wyjaśnić, ale wreszcie odpowiadam krótko:

— Nie wracam.

— Nie wracasz? — wyrzuca z siebie Rosemary.

Kręcę głową i spoglądam na Lionela, który przygląda mi się badawczo.

— Nie musisz się o mnie martwić — mówi cicho.

— Wiem, że masz dobrą opiekę. — Gryzie mnie poczucie winy, że nie wyjawiałam mu prawdziwej przyczyny, dla której

nie będę asystentką Briana na tym weselu. Ale po prostu nie mogę. Nie zrozumieliby. Nawet ja siebie nie rozumiem.

— Nie potrzeba mi trzech pielęgniarek. Mam Rosemary i twojego brata.

— I Mirandę — dodaje Ed, który ciągle wisi na telefonie. — Ma na bieżąco mailowy

wgląd w twoje postępy zdrowotne. A skoro już o tym mowa, chce, żebyś jej wysłał szczegółowy wykaz wszystkiego, co dzisiaj jadłeś.

— Sama widzisz. Jest masa osób, które psują mi zabawę — uśmiecha się Lionel. - Musisz więc jechać.

Ale się wpakowałam. Nie chodzi o to, że boję się zostawić Lionela. Lekarze są zdumieni tempem, w jakim wraca do zdrowia, i wiem, że ja nie muszę go dodatkowo rozpieszczać — Ed i Rosemary stanowczo mu wystarczą. Spoglądam na tę dwójkę i niemal robi mi się żal mojego ojca. Ale nie mogę po prostu zadzwonić do Briana i spytać, czy byłby tak łaskaw zatrudnić mnie na powrót. Zresztą pewnie ma już nowego asystenta.

— Dlaczego nie zadzwonisz do Briana? — głos Rosemary przerywa mi rozmyślenia. Spoglądam na nią zaskoczona. Wprawdzie w ciągu ostatnich paru lat zdarzyło mi się kilka razy wspomnieć przy niej imię mojego szefa, ale myślałam, że w ogóle nie zwracała na to uwagi.

— Może i zadzwonię — mruczę.

— Możesz pożyczyć moją komórkę — wtrąca Ed, który nagle skończył rozmowę. Spoglądam na niego podejrzliwie. Czy kiedykolwiek wyszedł z podobną propozycją? Wtedy mój wzrok pada na Lionela, siedzącego z miną ucz-niaka, który coś przeskrobał, i natychmiast rodzi się we mnie obawa, że wszystko to zostało ukartowane.

405

-Czy to jakiś spisek, żeby się mnie pozbyć? - Biorę od Eda telefon.

- Nie, ależ skąd, kochanie - mówi Lionel. - Ed wspomniał tylko o stanie twoich finansów...

Rzucam mojemu bratu karcące spojrzenie, ale Ed udaje nagle zainteresowanie kępką trawy.

- ... i wiem, że Rosemary naprawdę chciała obejrzeć twoje zdjęcia tych wszystkich osobistości...

Rosemary rumieni się nagie z miną winowajcy.

Wszystkie oczy są utkwione we mnie, więc biorę komórkę Eda. Zaczynam się nagle

denerwować. Pomimo ciepłej reakcji Briana, mam moralnego kaca, że zostawiłam go na lodzie i chciałabym mu to jakoś wynagrodzić. Ale czy będę w stanie robić zdjęcia na ślubie Daniela? Kierować obiektyw na faceta, który złamał mi serce, kiedy będzie mówił innej: „tak”

Tak, Heather, potrafisz - powtarzani sobie twardo.

Nagle utwierdzam się w swoim postanowieniu, ł co z tego, że panicznie boję się znowu spotkać Daniela? I co z tego, że tym razem będę płakać w kościele?

Wystukuję numer. Brian i jego firma są dla mnie o wiele ważniejsi.

- „Na zawsze razem”, w czym mogę pomóc? - To Brian. Jest najwyraźniej zestresowany.

Zastanawiam się, jak najlepiej zacząć tę rozmowę, aż po prostu wyrzucam z siebie:

- Nie potrzebujesz aby na jutro asystentki do pomocy?

- Heather?

Zaskoczenie w jego głosie jest wyraźne. — Tik, to ja.

Słyszę po drugiej stronie słuchawki, jak nerwowo zaciąga się papierosem. A zaraz potem dobiega mnie jego chichot:

- Spraw sobie tylko stylowy kapelusz.

- Czy to jakiś spisek, żeby się mnie pozbyć? - Biorę od Eda telefon.

- Nie, ależ skąd, kochanie - mówi Lionel. - Ed wspomniiał tylko o stanie twoich finansów...

Rzucam mojemu bratu karcące spojrzenie, ale Ed udaje nagle zainteresowanie kępką trawy.

— ... i wiem, że Rosemary naprawdę chciała obejrzeć twoje zdjęcia tych wszystkich osobistości...

Rosemary rumieni się nagle z miną winowajcy.

Wszystkie oczy są utkwione we mnie, więc biorę komórkę Eda. Zaczynam się nagle denerwować. Pomimo ciepłej reakcji Briana, mam moralnego kaca, że zostawiłam go na lodzie i chciałabym mu to jakoś wynagrodzić. Ale czy będę w stanie robić zdjęcia na ślubie Daniela? Kierować obiektyw na faceta, który złamał mi serce, kiedy będzie mówił innej: „tak”?

Tak, Heather, potrafisz - powtarzam sobie twardo.

Nagle utwierdzam się w swoim postanowieniu. I co z tego, że panicznie boję się znowu spotkać Daniela? I co z tego, że tym razem będę płakać w kościele?

Wystukuję numer. Brian i jego firma są dla mnie o wiele ważniejsi.

- „Na zawsze razem”, w czym mogę pomóc? - To Brian. Jest najwyraźniej zestresowany.

Zastanawiam się, jak najlepiej zacząć tę rozmowę, aż po prostu wyrzucam z siebie:

— Nie potrzebujesz aby na jutro asystentki do pomocy? -Heather?

Zaskoczenie w jego głosie jest wyraźne. — Tak, to ja.

Słyszę po drugiej stronie słuchawki, jak nerwowo zaciąga się papierosem. A zaraz potem dobiega mnie jego chichot:

— Spraw sobie tylko stylowy kapelusz.

44

Jak się okazuje, sam kapelusz to za mało.

— Lampy.' -Są.

— Statywy3

- Są.

- Dwa hasselblady, nikon, reflektor, sześćdziesiąt rolek filmu i trzy obiektywy.

— Są, jest, jest, są... hm... są.

fest ranek, dzień ślubu lady Charlotte. Przebywamy właśnie na terenie opactwa Schillingham w Oxordshire, które jest częścią rodowej posiadłości księcia i księżnej Hurley. Położone jest ono w malow niczej wiosce z gatunku tych, jakie człowiek pragnie oglądać na widokówkach - jest staw, po którym pływają kaczki, domki z krzakami róż pnącymi się wokół drzwi — słowem, angielsko tu i arystokratycznie.

Wszystko? - pyta Brian, podnosząc wzrok ze stosu sprzętu fotograficznego ułożonego na żwirowym podejździe.

Przerywam wyładowywanie kuferków z bagażnika naszej furgonetki i wysilam mózgownicę. Mam.

- Jeszcze jedna ważna rzecz... - sięgam głębiej do bagażnika, szperam przez chwilę, po czym wyciągam tubkę wazelin} ". — Do obiektywu - wyjaśniam, spoglądając na

niego figlarnie.

407

- Oczywiście - wzdycha Brian, wznosząc oczy do góry i wkłada ją do kieszeni.

- No i jeszcze to.

- Elektryczny wiatrak?! A po jaką cholerę nam to? Wystarczy, że wymieniamy spojrzenia i wszystko staje się

jasne: lady Charlotte.

- Początkowo nawet chciała maszynę wiatrową - wyjaśniam, zwijając kabel. — Ale przekonałam ją, że osiągnie ten sam efekt ze zwykłym wiatrakiem.

- Przecież nie kręcimy wideoklipu. -Brian cmoka z irytacją.

- Jej to powiedz — odpowiadam i rzucam mu wiatrak na ręce. Coś mi mówi, że to będzie ciężki dzień. Dla nas wszystkich.

Od tamtej rozmowy telefonicznej Brian i ja dużo rozmawialiśmy z sobą. Wie wszystko o chorobie Lionela, o tym, że Victor Maxfield okazał się wujkiem Gabe'a, i o mojej decyzji odrzucenia propozycji pracy w „Sunday Herald”. Był dla mnie wsparciem pod każdym względem, słuchał mnie i pocieszał, zapewniał, że jestem świetnym fotografem i natychmiast zaproponował mi powrót na starą posadę.

- Co oczywiście rozumie się samo przez się, ale dam ci czas na przemyślenie tej decyzji — mówi teraz, wędrując wokół kościoła i robiąc pomiary światła.

- Dzięki, Brian. Naprawdę jestem ci wdzięczna. - Siedząc na kuferku, uśmiecham się do niego z wdzięcznością. Ostatnio tyle się działo, że nie podjęłam jeszcze żadnych konkretnych decyzji, co zrobić ze swoją karierą. Moje marzenie o pracy dla „Sunday Herald” rozwiało się jak dym i jestem teraz tak właściwie bez pracy, bo chociaż uwielbiam pracować z Brianem, to oboje wiemy, że po sześciu latach pora iść dalej. Ale nie mam zielonego pojęcia dokąd.

408

— Och, nie ma za co, nie ma za co. — Wyciąga chusteczkę i ociera pot z twarzy. — Szczerze mówiąc, Heather, po tym cholernym weselu obojgu nam należy się odpoczynek. — Bawi się swoim fularzem i próbuje poluzować kołnierzyk, który jest tak mocno nakrochmalony, że wygląda jak kołnierz ortopedyczny. Zmuszony został

do porzucenia swojego wysłużonego szarego garnituru na rzecz fraka i cylindra i widać, że źle się w tym czuje. — Powiem tylko tyle, że żal mi tego nieszczęsnego pana młodego — mruczy do siebie, podchodząc do furgonetki i przeglądając się w lusterku.

— A jeśli o niego chodzi... — zaczynam z wahaniem, a potem milknę. Chyba jednak pora wyjawić to, co ostatnio mnie gryzło. — Wiesz, Brian, pan młody to mój były facet.

Brian wpatruje się we mnie z zaskoczeniem.

— Pamiętasz Daniela? — mówię cicho i czuję znajomy skurcz w żołądku. O Boże, właśnie tego się obawiałam.

Szczeka Briana na pewno by opadła, gdyby nie ten nakrochmalony kołnierzyk.

-A niech mnie, jak mogłem zapomnieć? Tyle przez niego przeszłaś... — Brian dalej gapi się na mnie z szeroko otwartymi oczyma, a potem dodaje: — Wiedziałaś o tym, a mimo to dalej zaproponowałaś mi pomoc... — Głos mu się łamie, a oczy zachodzą łzami. — Heather, to największe poświęcenie, na jakie ktokolwiek się dla mnie zdobył. — Podchodzi do mnie szybko, by mnie uściskać.

— Przestań, bo się zaraz rozplaczę — protestuję przytłumionym głosem, z twarzą w jego ramionach. — A wiesz, że nie płaczę na ślubach.

Brian wybuchając śmiechem i pociągając nosem, by powstrzymać łzy.

— Dziękuję, Heather.

409

— Nie ma o czym mówić. — Uśmiecham się, a potem wskazuję ręką na sprzęt porozrzucany wokół naszych stóp i dodaję energicznie: — Chodź, czeka nas wesele do obfotografowania — i biorąc statyw pod oba ramiona, ruszam w stronę kościoła. Przez następne dziesięć minut ustawiamy w środku sprzęt: lampy nad ołtarzem, reflektor koło ambony, statywy na obu końcach nawy. I dopiero wtedy, gdy Brian idzie do furgonetki po kolejne przedłużacze — co oznacza, że poszedł zapalić — mam czas, by rozejrzeć się po kościele.

Jego wnętrze zatyka dech w piersiach. Strzeliste sklepienie budzi podziw, więc spaceruję po nim z zadartą głową, obserwując plamy światła słonecznego wpadające

do środka przez witraże oraz grę kolorów na gładkiej kamiennej posadzce.

A do tego kwiaty: setki tysięcy w wielkich starannych kompozycjach, spadające kaskadami z kolumn, ułożone w bukiety na końcu każdej ławki, podwieszane wysoko w wielkich girlandach. Kościół zachwyca feerią różu i bieli, choć moim zdaniem trochę z tym przesadzono. W końcu chodzi o jakość, a nie o ilość, prawda? Wgruncie rzeczy, gdyby się nad tym zastanowić, wygląda to nieco kiczowato, leniwy przesyt przypomina mi raczej wystawę kwiatów na Chelsea.

hch, kogo ja próbuję oszukać? Tu wcale nie jest kiczowato, tu jest absolutnie przepięknie. Chcę sobie tylko poprawić nastrój.

Wdycham ciężkie od zapachu kwiatów powietrze. Nie ma sensu udawać, muszę się z tym pogodzić, czy mi się to podoba czy nie. To jest miejsce, gdzie Daniel, mężczyzna, z którym spędziłam trzy lata swojego życia, bierze dzisiaj ślub.

Ale nie ze mną.

("żuję w sobie głęboki ból, a w głowie wiruję;; mi myśli pełne życzeń. Odpędzam je szybko. Och nie, nie wolno mi...

41C

Przerywa mi skrzypnięcie drzwi i odwracam się w stronę wejścia, spodziewając się ujrzeć Briana z przedłużaczem. W drzwiach pojawia się męska postać, ale gdy kieruje się w moją stronę, uświadamiam sobie, że to nie Brian.

Tylko Daniel.

Jest szczuplejszy niż za czasów, gdy go pamiętam, ma też kilka zmarszczek wokół oczu, ale wciąż przyprawia mnie o żywsze bicie serca. Stoi teraz zaledwie parę metrów ode mnie i oboje wpatrujemy się w siebie. Serce wali mi tak mocno, że jestem pewna, że Daniel je słyszy. Wpaść na swojego byłego, który złamał ci serce, to jedna rzecz. Ale w kościele, w dzień jego ślubu? Chyba potraficie to sobie wyobrazić.

— Cześć — odzywam się, siląc się na obojętny ton i starając się zachować zimną krew.

Daniel zdejmuje cylinder i uśmiecha się niewyraźnie.

— Miło cię znowu widzieć — odpowiada, a pod maską pewności siebie wydaje się

dziwnie zakłopotany. To do niego niepodobne. Odpowiadam mu uśmiechem i nie wiedząc, co dalej powiedzieć, zaczynam się bawić włosami, czekając, aż on się odezwie.

— Wyglądasz fantastycznie — mówi wreszcie. Odczuwam dziką satysfakcję na te słowa.

— Dzięki — odpowiadam obojętnym tonem.

— I jakoś inaczej. Robiłaś coś z włosami?

— Nie. — Wzruszam ramionami, ale w środku aż coś we mnie krzyczy:

„Oczywiście, że zrobiłam coś z włosami. Zrobiłam coś z każdą częścią mojego ciała! Wstałam o szóstej rano i spędziłam całe trzy godziny na przygotowaniach. Kupiłam nawet nowy kremowy spodnium na tę okazję, pożyczyłam od Rosemary kapelusz od Philipa Treacy'ego i ubrałam te boskie satynowe szpilki, chociaż dalej boli mnie kostka!”.

411

Ale oczywiście Daniel o tym nie wie i na pewno się nie dowie.

-A więc to był twój pomysł? - Przerywając grzecznościowe formułki, zadaję mu pytanie, które dręczy mnie od tygodni. — Żebyśmy z Brianem robili zdjęcia na twoim ślubie.

— Jesteś najlepszym ślubnym fotografem, jakiego znam — odpowiada żartobliwie.

-Jestem jedynym ślubnym fotografem, jakiego znasz -stwierdzam sucho.

Danielowi rzednie mina, schyla głowę i wpatruje się skruszony w swoje stopy, tak że wygląda teraz jak mały chłopiec, którego właśnie skarcono.

— Sam nie wiem, co myślałem — mówi cicho. — Stwierdziłem, że to wyjdzie na dobre waszej firmie. Wspomniałem tylko o tym Charlotte. - Jego głos cichnie, gdy podnosi wzrok i spogląda na mnie spod brwi, szukając moich oczu, i przez chwilę jestem pewna, że dostrzegłam w jego źrenicach nie tylko iskrę żalu.

— Naprawdę się cieszę, że cię widzę — wzdycha ciężko. — Tęskniłem za tobą. Spoglądam na niego w osłupieniu. Przez pierwsze miesiące po zerwaniu wyobrażałam sobie nasze spotkanie. Jak mówi mi, że fantastycznie wyglądam i jak bardzo za mną tęsknił. Ale teraz, gdy naprawdę słucham tych słów, uświadamiam

sobie, że wzięłam wspomnienia za rzeczywistość. A rzeczywistość jest teraz taka, że jest mi już zupełnie obojętny. Obojętne mi jest, czy Daniel za mną tęsknił, obojętne mi jest, że żeni się z kimś innym.

Jedyną osobą, na której mi zależy, jest Gabe.

Gdy wreszcie się do tego przyznaję, nagle wszystkie myśli i uczucia, które kryłam głęboko, zalewają moją świadomość i wypływają na powierzchnię. Wdzięczność, jaką czułam do Gabe'a, gdy obronił mnie przed Rosemary, przerażenie, gdy

412

myślałam, że coś mu się stało podczas surfowania, mój żal, gdy się pokłóciliśmy i Gabe się wyprowadził. A do tego setki przelotnych spojrzeń, uśmiechów, pauz i chwil, gdy myślałam, że coś się wydarzy, gdy czułam, że coś się dzieje między nami, ale stłumiłam swoje uczucia. Te wszystkie drobne elementy układają się teraz w jedną całość i nagle czuję, jakbym spoglądała na miłosną układankę. O Boże.

— Naprawdę mi przykro z powodu tego, co się stało. Byłem kompletnym idiotą...

Wracam do rzeczywistości i uświadamiam sobie, że Daniel mówi do mnie.

— Jesteś jeszcze na mnie zła? — pyta.

Spoglądam na niego spokojnie. Na początku wściekłość była jedynym uczuciem, które mnie napędzało, ale teraz gdy patrzę we własne serce, widzę, że już nic z niej nie zostało. Wyparowała, a ja nawet tego nie zauważyłam.

— Nie — kręcę głową. — Nie jestem zła.

— Dostałem twojego esemesa.

— A, tego! — Rumienię się z zakłopotania. — Byłam wtedy pijana.

— Tak? - Z zaskoczeniem stwierdzam, że chyba jest rozczarowany.

— Nie pamiętam nawet, co tam napisałam. Coś nieprzyjemnego?

Spogląda na mnie przez chwilę, a potem kręci głową.

— Nie, nic takiego. Następuje chwila ciszy.

— Pora na mnie. Mamy jeszcze trochę przygotowań — mówię.

— A właśnie, nastąpiła pewna zmiana...

— Jaka zmiana?

— Charlotte ma nową koncepcję ceremonii. — Daniel pociera szczękę niespokojnie.

Po raz pierwszy widzę go zdenerwowanego.

— Nie chce mieć tradycyjnego ślubu — wyjaśnia. — Więc zdecydowaliśmy się na wiązanie rąk w lesie po drugiej stronie rzeki.

Spoglądam na niego bez wyrazu.

— To pogańska ceremonia — tłumaczy mi.

— Pogańska ceremonia?— powtarzam, gapiąc się na niego, jak gdyby nagle wyrosły mu dwie głowy. — Ty?

Daniel sztywnieje.

— No i co? - próbuje się bronić. - Nie mogę mieć pogańskiego ślubu ?

— Daniel, przecież ty nienawidzisz nawet najmniejszych odstępstw od tradycji. Nie pijesz nawet herbatki z rumianku!

— Bo smakuje jak siano.

— Nie o to chodzi.

Wpatruje się we mnie przez chwilę, jakby szykował się na kłótnię, a potem opuszcza ramiona z rezygnacją.

— Masz rację. Nienawidzę takich rzeczy.

I po tych słowach mam wrażenie, jakby jakaś zasłona opadła i Daniel ukazał mi się nagle w zupełnie nowym świetle. To facet, którego uwielbiałam, z którego zdaniem się liczyłam i który jednocześnie budził we mnie grozę. Facet, który był tak pewny siebie, zawsze panował nad wszystkim, że nawet robił wrażenie aroganckiego. A teraz wydaje się takim żalonym człowiekiem i — nie waham się użyć tego słowa — pantoflarzem.

— Charlotte wie, czego chce — ciągnie Daniel.

— Zauważyłam — mruczę. Daniel spogląda na mnie dziwnie.

— I trudno jej dogodzić.

— Ale zawsze dopina swego — dopowiadam pogodnie, starając się, by w moim głosie nie było sarkazmu. Na próżno.

Daniel wzdycha ciężko i spogląda na mnie jak tonący człowiek.

— Chyba tak.

Już otwieram usta, by coś powiedzieć, kiedy nagle dopada nas przeraźliwy krzyk:

— Da-nieeel! Da-nieeel!

Jak syrena radiowozu, głos ten rozchodzi się echem po kościele. Przestraszeni, odwracamy się i widzimy chmurę białej tafty pędzącą w naszą stronę. Lady Charlotte.

— Cholera - jęczy Daniel pod nosem. A na głos pyta: - Co się stało, żabeńko? — I gdy lady Charlotte pojawia się przy ołtarzu, sili się na uśmiech.

ZabeńkoPI mówi to facet, który miał alergię na publiczne okazywanie uczuć i nigdy nie chciał mnie trzymać za rękę? Nawet gdy skręciłam sobie kostkę?

Widzę, że szczęka mu drży.

— Elton John ma zapalenie krtani i nie będzie mógł zaśpiewać na weselu, nie dowieźli jeszcze szampana, a poza tym chyba już nie lubię moich nowych cycuszków. — Lady Charlotte zachowuje się tak, jakby mnie tu nie było. Wypina pierś i prycha nadaśana. - Pogrubiają mnie.

— Kochanie, ależ oczywiście, że nie wyglądasz grubo. — Daniel z trudem przełyka ślinę. -Ale co ty tu w ogóle robisz? Myślałem, że jak pan młody zobaczy pannę młodą przed ślubem, to przynosi to pecha.

— Pieprzyć te przesady, Danny. To przecież katastrofa! -wykrzykuje lady Charlotte, po czym z histerycznym wyciem truchta do zakrystii.

Oboje z Danielem stoimy przez chwilę w milczeniu, ogłuszeni jak po jakiejś eksplozji.

— Powinienem chyba pójść za nią — odzywa się wreszcie Daniel.

415

Kiwam głową i przez chwilę żadne z nas się nie rusza, aż wreszcie ja podchodzę bliżej i całuję go w policzek.

— Zegnaj, Danielu — szepczę.

— Zegnaj, Heather. — Uśmiecha się, ale dałabym sobie głowę uciąć, że widzę na jego twarzy prawdziwy smutek, i gdy obserwuję połę jego fraka znikające w zakrystii, nagle nieoczekiwanie robi mi się go żal. Bo owszem, złamał mi serce. Ale

życie z lady Charlotte wydaje się zbyt surową karą nawet dla kogoś takiego jak on. Przed kościołem napotykam Briana, który czekając na mnie, opiera się o furgonetkę i pali papierosa. Słyszając moje kroki na żwirze, gasi niedopałek.

-1 jak było? - pyta łagodnie.

Osuwam się ciężko koło niego i przekrzywiam kapelusz, by chronił mnie przed słońcem.

-W porządku - odpowiadam po chwili, kiwając głową. Przepelnia mnie ogromna satysfakcja. Ostatnie tygodnie były dla mnie szaleńczą jazdą bez trzymanki i czuję, że teraz wszystko się skończyło. Wszystko ułożyło się dobrze. Wręcz idealnie, mówię sobie, starając się nie myśleć o Gabie. -Wreszcie zamknęłam za sobą ten rozdział — oświadczam na głos.

Brian patrzy na mnie pytająco.

— Kobiety tak mają — wyjaśniam. Spogląda na mnie, jakbym była kosmitką.

— Wiesz, spędziłem pierwszych dwadzieścia pięć lat swojego życia, marząc o tym, żeby być hetero — oświadcza. —Ale teraz jestem przeszczęśliwy, że moje marzenie się nie spełniło — mówiąc to, poprawia swoją kamizelkę. — Mężczyźni nie są tak skomplikowani. My jesteśmy dużo bardziej zwyczajni.

— Och, doprawdy? — szturcham go łokciem w zębra. — Czy to znaczy, że twój związek z Neilem jest taki zwyczajny?

416

— Oczywiście. — Brian śmieje się radośnie i sięga po cylinder, leżący na dachu furgonetki, a potem wciska go mocno na głowę. — Pozwoli pani? — pyta, kłaniając się szarmancko i wyciągając rękę w moją stronę.

— A co ze sprzętem w kościele? Trzeba go przenieść. Zostawiłam tam wszystkie lampy, reflektory, statywy...

— Nie trzeba. Panna młoda zmieniła zdanie - oświadcza Brian, powstrzymując mnie.

— Tak, wiem, w lesie ma się odbyć pogański ślub...

— Nie tylko to, zmieniła też zdanie w sprawie stylu fotografii. Otwieram usta ze zdziwienia, a potem je zamykam.

— Najwyraźniej widziała moje zdjęcia, które zrobiłem w latach sześćdziesiątych.

Teraz chce zdjęć w stylu paparazzich. — Na jego twarzy maluje się niebiańskie szczęście.

— To znaczy... — Oboje rzucamy sobie uśmiechy pełne euforii. W wolnym tłumaczeniu oznacza to, że możemy zapomnieć o smarowaniu obiektywów wazeliną, żeby zdjęcia wyszły romantycznie rozmyte, używaniu wiatraka i zbieraniu wszystkich do grupowych zdjęć. Teraz potrzeba nam tylko jednej cyfrówki, żeby strzelać mnóstwo przypadkowych, nieostrych czarno-białych zdjęć z zaskoczenia. — A kwota na czeku i tak się nie zmniejszy! — wykrzykuje Brian, obejmując mnie w pasie i próbując podnieść do góry, a potem obrócić wokół. Mówię: „próbując”, ponieważ Brian jest nieco niższy ode mnie, a ja jestem trochę wyrosniętą dziewczynką. O mało się nie przewracamy i przez jakiś czas chodzimy chwiejnym krokiem, zanim odzyskujemy równowagę, a przez cały czas śmiejemy się jak wariaci.

Na ślubie mojego byłego. Kto by pomyślał?

— Masz — chichoczę, wręczając mu starego, wysłużonego nikon.

417

Brian ściąga cylinder i zawiesza aparat na szyi, jak za starych dobrych czasów.

- Gotowa?

Kończę napelniać kieszenie rolkami filmów, a potem poprawiam kapelusz.

- Gotowa. - Biorę go pod ramię.

A wtedy dodajemy sobie animuszu, jak zwykle. Trzy, dwa, jeden...

- Dobra. Zaczynamy. - Odwracając się w moją stronę, Brian puszcza mi oczko. -Do roboty!

45

— Naprawdę jest mi przykro, sir Richardzie i lady Kenwood, ale obawiam się, że w kręgu oczyszczenia może brać udział tylko najbliższa rodzina... Gdyby mogli państwo poczekać w namiocie...

Za kościołem lokaje w uniformach próbują uprzejmie wyjaśnić zmianę planów pięciuset zdezorientowanym gościom, z których wielu jest w na tyle podeszłym wieku, że i bez tego całego zamieszania mają zamęt w głowie.

— Oczyszczenia? Jakiego oczyszczenia? — pyta gromkim głosem sir Richard, ściskając swoją laskę z rączką z kości słoniowej, i spogląda to na lokaja, to na żonę, która wygląda jak statysta z edwardiańskiego dramatu kostiumowego: ma na sobie długie jedwabne rękawiczki i turniurę, a w uszach kolczyki z czarnych paciorków.

— Krąg oświelenia? Zatem czekamy na jakieś przedstawienie? — dopytuje się lady piskliwym głosem z tym absurdalnym arystokratycznym akcentem, w którego istnienie w obecnych czasach trudno uwierzyć, tak samo jak w kamerdynerów lub w to, że niektórzy nie zjedzą kromki ze skórką. —A ja myślałam, że na ślub...

Gdy razem z Brianem idziemy przez idealnie skoszony trawnik, widzimy, że zamęt wśród gości stopniowo się

419

powiększa. Tłumy zdezorientowanych ludzi w swoich najlepszych strojach gromadzą się w wielkim białym namiocie, zbudowanym specjalnie na przyjęcie weselne, i trzyma w rękach lornetki teatralne, aby móc obserwować pogańską ceremonię, która ma się odbyć w lasach po drugiej stronie rzeki.

Spoglądam w tamtym kierunku, przechodząc przez rzekę po dużych kamieniach, a potem kierujemy się z Brianem w stronę małej polany, na której widzę gromadzących się gości i...

— Niech mnie kule biją - wyrzuca z siebie Brian.

Gdy wchodzimy na polanę, macha do nas kobieta w zwiewnej purpurowej szacie, trzymająca w ręku różdżkę, która na czubku — nie, nie żartuję — ma srebrną gwiazdkę.

— Witajcie. To ja będę celebrować uroczystość zaślubin. Kobieta wygląda na siedemdziesiątkę, a siwe włosy sięgają

jej do pasa. Jeśli Albus Dumbledore z Harry'ego Pottera miałby siostrę bliźniaczkę, to mogłaby nią być ona.

— Yyy, witam. Miło mi panią poznać — mówię, ściskając jej dłoń, wpatrzona w duży dzwonek wiszący jej u szyi na długim srebrnym łańcuchu.

— Ten dzwonek ma obwieścić koniec starego życia i przywołać nowe — wyjaśnia uroczyście kobieta, zauważywszy, że się w niego wpatruję. A potem wbija we mnie

swoje niepokojąco niebieskie oczy i dodaje: — W kręgu oczyszczenia nie ma miejsca na przesady czy tandetne amulety, Heather.

Zna moje imię? Rozbawienie, które wywołał u mnie jej strój, znika zupełnie.

— Ale skąd...

— A teraz wszyscy utwórzmy krąg — przerywa mi.

O co jej chodziło, gdy mówiła o przesadach i tandetnych amuletach? Czyżby o mój magiczny wrzos? Z przyzwyczajenia wsuwam rękę do kieszeni, chociaż wiem, że niczego tam

420

nie ma, i moje palce przechodzą przez podszewkę. Dziura! W podszewce mojej marynarki od Marca Jacobsa? Cholera, przecież kosztowała prawie trzysta funtów! A potem zaskoczona wyczuwam dłonią coś miękkiego i zarazem szorstkiego. To mój szczęśliwy wrzos.

Przez palce przebiega mi prąd. Znowu on. Ściskam go mocno, za żadne skarby świata nie chcę bowiem, żeby mi się gdzieś zapodział. Muszę się go porządnie pozbyć, raz na zawsze.

— Wszyscy to wszyscy — mówi z naciskiem kobieta.

— A co ze zdjęciami? — szepczę do Briana, który wciąż nie może wyjść ze zdumienia.

— Zdjęcia zakłóciłyby świętość kręgu - wyjaśnia kapłanka, dosłyszawszy moje pytanie. — A teraz utwórzmy wszyscy krąg, stając ramię przy ramieniu, i zaczynamy.

Robię krok w tył.

— Ja może zaczekam tu.

— Wszyscy — powtarza kapłanka uroczyście. Posłusznie staję obok Briana, a wtedy kapłanka bierze

miotłę i zaczyna zamiatać nią polanę w stronę przeciwną do ruchu wskazówek zegara.

Zamieć, zamieć, zamieć to miejsce, Mocą Powietrza oczyszczam te przestrzeni

Wśród gości gdzieniegdzie rozlegają się chichoty, a na wielu twarzach maluje się

zmieszanie i powątpiewanie, ale również zaciekawienie.

— Co ona robi? — pyta ktoś nieśmiałym szeptem.

— Przygotowuje krąg oczyszczenia — odpowiada ze znanstwem kobieta w średnim wieku. Nie jestem zdziwiona, gdy

421

spojrzawszy w jej stronę, widzę, że ma na sobie sandały i luźne wzorzyste spodnie.

-Witam wszystkich uczestników obrzędu zaślubin. Witam przede wszystkim Daniela i Charlotte, którzy zaraz staną się mężem i żoną, witam też weselnych gości.

A potem zaczyna się ceremonia. Daniel i Charlotte wypowiadają słowa przysięgi i wymieniają obrączki, a gdy Daniel całuje pannę młodą, to... - choć jeszcze do niedawna sama bym w to nie uwierzyła — nie czuję nic. Chociaż właściwie nie do końca. Czuję coś, ale w stosunku do Gabe'a. Nie potrafię przestać o nim myśleć przez całą ceremonię.

— A teraz niech każdy chwyci mocno rękę sąsiada, zamknie oczy i skoncentruje się na kręgu, na jego niezwykłej mocy, jego czystości...

Ona chyba nie mówi poważnie? Rozglądam się wokół. Widać, że wszyscy czują się skrepowani, z wyjątkiem pani we wzorzystych spodniach, która ściska mocno ręce swoich zaskoczonych sąsiadów. Ale stopniowo coraz więcej osób idzie w jej ślady i zamyka oczy. Aż wreszcie zostałam tylko ja, więc niechętnie wypuszczam magiczny wrzos i wyjmuję ręce z kieszeni, a potem ujmuję dłoń Briana.

I wtedy następuje coś dziwnego.

Czuję przepływ energii. Jakiejś siły. Przedziwna moc wibruje w moim ciele, jak nigdy przedtem mi się to nie zdarzyło. Nagle rozchodzi się po nim gorąca fala euforii. Oddech więźnie mi w gardle. Mimo to czuję jednocześnie kołyszący spokój i błogostan. Ptaki wokół milkną, po czym zapada niezwykła cisza. I przez chwilę, która jednocześnie zdaje się wiecznością, nic i nikt nie wydaje nawet najmniejszego dźwięku ani nie wykonuje nawet najdrobniejszego ruchu. Aż wreszcie ciszę przerywa głos kapłanki:

422

Krąg życia nigdy nie ma kpńca, nic w nim nie umiera,

tylko zmienia postać

Co się rozpoczęło, już się dokonało

Niechaj nowa energia do nas tu zawita

Krąg życia nie pęka, tylko się otwiera

Więc niech się stanie!

Nagle, nie wiadomo skąd, zrywa się wiatr, a gdy wszyscy się rozdzielają, otwieram oczy i widzę gołębia krążącego nad naszymi głowami. O rany, czuję się, jakbym właśnie wychodziła z jakiegoś transu.

Spoglądam na innych ludzi, na ich niepewne spojrzenia i zakłopotane uśmiechy — najwyraźniej nie wiedzą, co się stało. Ja też, ale w głębi duszy czuję, że coś się zmieniło. Nie wokół mnie, ale w moim wnętrzu. Rozprostowując ramiona, podnoszę głowę do góry i wpatruję się w mknące po niebie strzępy białych chmur, a potem zaciągam się głęboko świeżym powietrzem. Trudno to opisać tak, by nie brzmieć jak kobieta w sandałach, ale czuję się inaczej. Bardziej lekka. Wolna.

Momentalnie wkładam rękę do kieszeni. Postanawiam pozbyć się wrzосу, wyrzucając go do rzeki. Ale wtedy odkrywam coś dziwnego — moja kieszeń jest pusta. Gdzie się podział mój magiczny wrzós? Szukam go w każdym zakamarku kieszeni. Nie ma go. Z niedowierzaniem wyciągam podszewkę na zewnątrz. Przecież musi gdzieś tu być! Kątem oka łowię spojrzenie kapłanki. Uśmiecha się do mnie. I wtedy przypominam sobie jej słowa: „w kręgu oczyszczenia nie ma miejsca na przesady czy tandetne amulety, Heather”.

Przecież wrzós nie mógł zniknąć tak po prostu. A może mógł?

423

— Zgubiłaś coś? — Brian ociera chusteczką swoje zaczerwienione oczy.

— Yyy, nie... nic - odpowiadam. Oglądam się na kapłankę, ale ta w ogóle nie patrzy w moją stronę. Pewnie zatem mi się przywidziało.

— I jak ci się podobał ślub?

— Trudno stwierdzić — odpowiadam. Wprawdzie ceremonia skończyła się dopiero chwilę temu, ale wspomnienia o niej rozmywają się szybko, jak litery na piasku. - A tobie?

— Czary-mary, hokus-pokus i nic więcej — podsumowuje Brian z lekceważeniem, wydmuchując nos. — Ale te pogańskie klimaty świetnie wyjdą na zdjęciach - dodaje. - Zrobię mnóstwo niesamowitych zdjęć, zwłaszcza tej wiedźmy. — Wsuwa chusteczkę do rękawa, po czym rzuca się w stronę państwa młodych i niczym prawdziwy paparazzi zaczyna pstrykać fotkę za fotką.

— Brian, nie miałam pojęcia, że jesteś takim świetnym tancerzem! — mówię z uznaniem, gdy pakujemy cały sprzęt do samochodu.

— Ja nie tańczyłem, zostałem uprowadzony — mruczy Brian, wyłaniając się ze środka, a potem zamyka drzwi. — Dobra, to tyle. — Strzepuje kurz z rękawa. - Możemy teraz zmienić temat?

— O czym chcesz porozmawiać?

— O tobie.

— A dokładnie? — pytam nieobecny głosem, wygrzebując komórkę z torebki, po czym włączam ją, by sprawdzić, czy mam jakieś nowe wiadomości. Wiem, że Lionel jest pod dobrą opieką, ale wolę się upewnić.

— To ten Amerykanin, prawda?

424

Zaskoczona, podnoszę wzrok.

— O co ci chodzi?

— To przez niego masz dzisiaj taką minę.

— Nie mam żadnej miny — protestuję żarliwie, obserwując włączającą się komórkę. Boże, ile to trwa. Kątem oka widzę, że Brian się we mnie wpatruje. — Kurczę, masz wreszcie faceta i nagle robisz się ekspertem w sprawach sercowych — mruczę. Wreszcie komórka łapie zasięg, więc wchodzę na pocztę głosową.

— Nie trzeba być ekspertem w sprawach sercowych, żeby wiedzieć, że ktoś jest zakochany — odpowiada Brian.

Czy to takie oczywiste?

— Masz jedną nową wiadomość - słyszę w słuchawce. A zaraz potem: - Mam wiadomość dla Heather Hamilton.

Przygotowana na staranną artykulację Rosemary, jestem zaskoczona, słysząc w

telefonie głośny, rzeczowy głos. Brzmi jak...

— Mówi Victor Maxfield.

Serce wali mi jak młot. Czego on chce?

— Właśnie wróciłem z wyprawy na ryby i znalazłem na swoim biurku twoją odmowę. Moja droga, czy nie wiesz, że pierwszą zasadą dziennikarstwa jest zapoznać się z faktami? Owszem, mój siostrzeniec Gabriel szepnął mi o tobie słówko, i owszem, dzięki jego rekomendacji zaprosiłem cię na rozmowę. Ale nie dlatego dostałaś tę pracę. Dostałaś ją, bo robisz cholernie dobre zdjęcia.

Oddech więźnie mi w gardle. A więc to nie przez Gabe'a dostałam posadę? Tylko przez to, że robię cholernie dobre zdjęcia? Żołądek podjeżdża mi do gardła, jakbym była na huśtawce, a potem znowu wraca na miejsce. Bo okazuje się, że zrobiłam najgłupszą rzecz w swoim życiu.

425

— Może i Gabriel jest moim ukochanym siostrzeńcem, ale „Sunday Herald” jest obsypaną nagrodami gazetą i w życiu nie dałbym ci tej pracy dlatego, że ten idiota się w tobie zakochał.

Co?!

Mam teraz wrażenie, jakbym dostała z całej siły w brzuch. Czy on właśnie powiedział to, co wydaje mi się, że powiedział? Przecież to jakiś absurd! Gabe? Zakochany we mnie?

Przecież... ale z telefonu wciąż dobiega mnie głos Victora Maxfielda, więc koncentruję się na jego słowach.

— Posłuchaj, Heather. Jestem bardzo zajęтым człowiekiem, muszę dbać o swoją gazetę i nie uznaję odpowiedzi odmownych. Więc przestań się wygłupiać.

Zamierzamy opublikować artykuł o festiwalu w Edynburgu i potrzebny jest nam tam fotograf. Z Heathrow o piątej odlatuje samolot do Edynburga. Jak już będziesz na pokładzie, oddzwoń.

I rozłącza się. Jak gdyby nigdy nic.

Spoglądam z niedowierzaniem na komórkę. Oto dostaję jednak pracę w „Sunday Herald” i moim pierwszym zadaniem jest festiwal w Edynburgu.

A tam właśnie jest Gabe.

Obchodzę furgonetkę, otwieram drzwi i pakuję się do środka. Brian siedzi już za kierownicą, pali papierosa i słucha radia.

— Wszystko w porządku? Biorę głęboki oddech.

— Zrobisz coś dla mnie?

— Dla ciebie wszystko — odpowiada.

— Podwieziesz mnie? Brian uśmiecha się.

— Jasne. Gdzie? Do Little Venice?

— Nie, na Heathrow.

426

Spogląda na mnie, a ja na niego. I to wystarczy. Wszelkie wyjaśnienia są zbędne.

— O której masz lot?

— Za niecałą godzinę.

— O rany. — Brian przekręca kluczyki i furgonetka zaczyna prychać. — Trzymaj mocno kapelusz. — Przystawia z hałasem bieg na jedynekę i przez chwilę koła obracają się na żwirze, a potem opuszczamy podjazd w chmurze pyłu i w niepewności.

46

Pędzimy w stronę Londynu.

Gdy powiedziałam Brianowi o wiadomości od Yictora Maxfielda, okazało się, że drzemie w nim niewyżyty kierowca rajdowy. Podszedł do tego zadania na poważnie, wyciskając wszystko z małej, białej furgonetki, jak gdyby był Micha-ełem Schumacherem w ferrari. Z papierosem w ustach i przy wtórze ryczącego silnika, płynnie zmienia biegi, wyprzedzając jadące przed nami samochody.

Wywołujemy na autostradzie niemałe poruszenie. Pudzie gapią się w zdumieniu na furgonetkę „Na zawsze razem”, mknącą z niewiarygodną prędkością, oraz na mnie i Bria-na na przednich siedzeniach w eleganckich strojach i kapeluszach. Przez całą podróż spoglądam nerwowo to na przepelnione ulice, to na zegarek. Serce wyskakuje mi z piersi za każdym razem, gdy stajemy na czerwonym świetle lub musimy

zahamować na przejściu dla pieszych. Skąd się wzięły te wszystkie korki? I roboty drogowe I czerwone światła?

Ale wreszcie po czasie, który zdaje się wiecznością, moim oczom ukazuje się kompleks szarych budynków. Lotnisko Heathrow.

- Dzięki, Brian! - krzyczę, odpinając pasy i otwierając z impetem drzwi. Gdy wyskakuję z samochodu, okazuje się, że nogi mam jak z waty.

- :

— Zapomniałaś o czymś.

Brian trzyma w ręku jeden ze swoich aparatów. Cyfrowy.

— Przyda ci się. O, i to też. — Szuka czegoś za siedzeniem, po czym wyjmuje czarną nylonową torbę na laptopa. — Dzięki temu będziesz mogła wysłać mailem zdjęcia do gazety. Na wypadek gdybyś chciała zabawić w Edynburgu nieco dłużej...

Mój żołądek na chwilę się uspokaja, pozwalając mi na szeroki uśmiech.

— Brian, nie wiem, jak ci dziękować... Brian macha ręką.

— No leć. Bo spóźnisz się na samolot. I na tego twojego Amerykańca. — I puszczając mi oczko, odjeżdża z parkingu i znika w korku.

Gdy wchodzę na terminal odlotów, pierwszą rzeczą, jaka rzuca mi się w oczy, jest ogromna kolejka, wijąca się od punktu odpraw aż do obrotowych drzwi. W których teraz stoję.

Kolejka? Nie stałam w żadnej kolejce od dobrych paru tygodni. Rzucam okiem na zegarek i zaczynam się wiercić, coraz bardziej niespokojna. Cholera. Spóźnię się na samolot. Victor Maxfield uzna, że do niczego się nie nadaję, zwolni mnie i przez resztę życia będę fotografować panny młode w bufiastych rękawach...

Staram się uspokoić skołatane nerwy. W końcu i tak nic nie mogę zrobić, powtarzam sobie. Dostrzegam porzucony egzemplarz „Evening Standard”, podnoszę go i rozpoczynam lekturę. Kolejka powoli posuwa się do przodu. Centymetr po centymetrze. Kolumna po kolumnie. Strona po stronie. Aż wreszcie, gdy czytam na temat wzrostu stóp procentowych...

— Proszę podejść.

Składając gazetę, podbiegam do punktu odpraw.

— No, wreszcie! — wyrzucam z siebie. — Bałam się, że nie zdążę na samolot.

429

Pracownica lotniska wstukuje niespiesznie jakieś dane do komputera.

— Mam zarezerwowany lot na piątą do Edynburga - mówię. Żadnej reakcji.

Wpatruję się w czubek jej głowy. Czy ona mnie w ogóle słyszała?

— Chyba niedługo odlatuje — dodaję, tym razem głośniej. Następuje chwila ciszy, a po niej:

— Nazwisko? - pyta kobieta monotonnym głosem. No, nareszcie.

— Heather Hamilton.

— Mhm — mruży kobieta i dalej leniwie stuka w klawiaturę. No dobrze, wiem, że mają do czynienia z takimi przypadkami codziennie, ale czy nie mogłaby chociaż poudawać, że trochę się tym przejmuje?

Najwyraźniej nie.

Kobieta przerywa swoją czynność i wzdycha.

— O rany, o mało nie spóźniła się pani na samolot. Zaraz zamykają bramki.

— Przecież od kilku chwil próbuję... — wybucham. Uspokój się, Heather. Po prostu się uspokój.

— Ale jeśli się pani pośpieszy, zdąży pani. — Podaje mi kartę pokładową. — Miejsce siedemdziesiąt pięć F, przy oknie.

— O, nie. Nie mogę siedzieć przy oknie — rzucam pośpiesznie. — Widzi pani, nie lubię latać samolotem i wolę siedzieć blisko wyjścia awaryjnego, żeby w razie czego móc szybko założyć kamizelkę ratunkową i wyskoczyć z samolotu...

Pozostali czekający w kolejce rzucają sobie nerwowe spojrzenia i odsuwają się ode mnie.

— To jest ostatnie miejsce — odpowiada kobieta. — A za panią stoi kolejka, więc jeśli byłaby pani tak uprzejma...

-Ale...

430

— Bramka numer czterdzieści dwa. Zostało pani pięć minut. — Kobieta rzuca mi zimne spojrzenie. Cholera.

Bieganie w butach na obcasach to koszmar, możecie mi wierzyć. Kostki kołyszą mi się w nich, gdy przebiegam przez bramki bezpieczeństwa i śpieszę w stronę ruchomego chodnika.

— Au! — wyję, czując, jak wykręca mi się kostka. Łapię się poręczy, by odzyskać równowagę i spoglądam pod nogi. Cholera! Złamał mi się obcas. Klnąc pod nosem, ściągam różowego buta i spoglądam na niego ze smutkiem, ale natychmiast przypominam sobie, że nie mam czasu do stracenia, bo muszę zdążyć na samolot.

— A niech mnie!

Podnoszę wzrok i po drugiej stronie barierki widzę stewardesę, zmierzającą w przeciwnym kierunku i spoglądającą na mnie ze zdziwieniem.

— Jess! — krzyczę, gdy przesuwa się obok mnie. — Co ty tu robisz?

— Co j a tu robię? Jestem stewardesą, do cholery, więc co tu mogę robić? Właśnie wracam z dziewięciogodzinnego lotu i idę do domu, żeby się wreszcie przespać.

Obie robimy teraz drobne kroczki w tył, żeby nie rozdzieliły nas sunące w przeciwnych kierunkach ruchome schody.

— No ale co ty tu robisz? — pyta Jess zdumiona.

— Lecę do Edynburga... — O mało co nie potykam się o aktówkę jakiegoś biznesmena, więc wyrzucam z siebie wylewne przeprosiny. —... mam tam robić zdjęcia dla „Sunday Herald”. To długa historia — rzucam tylko, przypomniawszy sobie, że w zeszłym tygodniu pisałam jej w mailu o mojej sprzeczce z Gabe'em i jego nagłym wyjeździe.

— Czy przypadkiem Gabe nie jest na festiwalu w Edynburgu? — Jess unosi brwi.

431

— Wybacz, Jess, ale muszę pędzić. Bo inaczej spóźnię się na samolot — odpowiadam i kuśtykam przed siebie. — Zadzwoń do ciebie.

— No to leć, mała! — krzyczy za mną Jess. — Aha, Heather, i jeszcze jedno!

Zerkam do tyłu, ale Jess jest już daleko i widzę tylko, że macha do mnie gorączkowo. A potem krzyczy coś, ale dolatują mnie tylko strzępy słów. Macham jej również. Nie jestem pewna, co powiedziała, ale mogłabym przysiąc, że było to: „Nałap tam motylków!”.

Wchodzę chwiejnym krokiem do samolotu, gdzie wita mnie atmosfera, którą w najlepszym wypadku można określić jako napiętą, a w najgorszym: wręcz wrogą. Gdy wlokę się w stronę swojego miejsca, witają mnie kolejne rzędy kamiennych twarzy. Siedemdziesiąt pięć F... Zbliżam się do końca samolotu. Cholera, to musi być gdzieś tu. Przecież go chyba nie przeoczyłam, a może...

I wreszcie widzę.

Na samym końcu, tuż koło toalet. Dwa miejsca. Z których jedno jest zajęte przez faceta z brzuchem piwnym tak gigantycznym, że jedna jego część spoczywa po jednej stronie podłokietnika, a druga połowa przelewa się na drugie siedzenie.

Moje siedzenie.

Wciskam się obok mojego sąsiada, siadam i zapinam pasy. No i nici z poprawy humoru, na którą liczyłam, a którą miało mi zapewnić ulokowanie się w wygodnym, mięciutkim, skórzanym fotelu, obok przystojnego nieznajomego, i picie darmowego szampana przez całą drogę do Edynburga... Zamykam oczy. Przecież to tylko krótki lot. Jeśli się uda, prześpię całą podróż.

— No i jak, wygodnie?

432

O, nie. Błagam, tylko nie to.

Przywitał mnie bowiem silny szkocki akcent. Otwieram oczy i widzę, że mój sąsiad spogląda na mnie z troską.

— No cześć. Jestem Bruce, a ty?

W ciągu następnego kwadransa stwierdzam, że nie jest aż tak źle. No, może poza przytłumionym dźwiękiem wody spuszczonej w toalecie tuż obok i tym, że Bruce, usnąwszy, ślini mi ramię.

— Woli pani kanapkę z kurczakiem czy z szynką? - stewardesa rzuca mi wyćwiczony uśmiech.

— A nie ma pani opcji wegetariańskiej? — pytam uprzejmie.

— Nie, obawiam się, że już się skończyła. Ale w tej kanapce jest kawałek sałaty i pomidor — mówi, przyglądając się badawczo anemicznej bagietce w folii. — Zawsze może pani wyjąć szynkę.

— Yyy, nie, wobec tego nie trzeba. — Mój żołądek burczy ze smutkiem.

— Kawa czy herbata? — stewardesa pyta dalej wibrującym głosem.

— Poproszę kawę.

Kobieta podaje mi na tacy mały plastikowy kubek i wlewa do niego gęsty czarny płyn, nie rozlewając ani kropli. Profesjonalistka.

Nagle samolot zaczyna się lekko trząść.

— Co się... — Rzucam stewardesie pytające spojrzenie. Chociaż chwieje się na swoich czółenkach, jej twarz pozostaje nieruchoma i nie przerywa nalewania kawy.

Uspokojona, biorę od niej kubek.

Widzisz? To nic takiego - powtarzam sobie. Po prostu niewielka turbulencja. Nie ma się czym martwić. Wcale a wcale...

Aaa!

433

Bez żadnego ostrzeżenia samolot obniża lot i mam wrażenie, jakby spadał na ziemię. Ogarnia mnie totalne przerażenie. Słyszę płacz dzieci, krzyk jakiejś kobiety, serce mi wali jak młot, i czuję, jak coś mnie kluje...

Co?

Podnoszę wzrok i widzę, że Bruce uderza mnie swoim pulchnym palcem i spogląda na mnie z troską przez bezramkowe okulary.

- Och, mała, to nic takiego. To zwykła dziura powietrzna, wszystko jest w porządku — mówi, żując kanapkę z szynką. - Może poza twoimi spodniami - dodaje, wskazując ręką na moje kolana.

Spoglądam w dół i widzę w moim kroku wielką brązową plamę, a potem przenoszę wzrok na pusty kubek, który wciąż ściskam w ręku. Dzięki temu dane mi było jeszcze zaobserwować ostatnią kroplę, która spadła mi na kolana. Super. Po prostu rewelacja. Czy może być gorzej?

Najwyraźniej może. Po lądowaniu — poprawka: uderzeniu w ziemię, po którym samolot wśród zgrzytów i wstrząsów hamował na pasie startowym — zostałam uwięziona przez □□□□□ na swoim miejscu, przez co jestem ostatnią osobą, która opuszcza pokład. Co oznacza, że jestem też ostatnią osobą w hali przylotów i ostatnią

osobą w gigantycznej kolejce do taksówek.

A pada deszcz.

Gdy obserwuję krople spadające na moje różowe satynowe buty, z których jeden jest teraz pozbawiony obcasa, wzdycham. Gdzie się podziała tamta piękna pogoda? Nie padało już od dawna, od... szukam tego dnia w pamięci. No tak. Od wieczoru, kiedy to przemoknięta do suchej nitki spotkałam starą Cygankę, która wręczyła mi szczęśliwy wrzos.

434

Ogarnia mnie dziwne uczucie. Zaraz, zaraz. Nie tylko słońce zniknęło, a co z zielonymi światłami i pustymi drogami? Co się stało z brakiem kolejek? Najlepszym miejscem? Ostatnią kanapką? Jedyne taksówką? Co ze skórą bez zmarszczek? Świetną fryzurą? Jak to się stało, że wszystko zniknęło i...

Wróciło to, co było wcześniej, uświadamiam sobie. Bo właśnie tak było zanim...

No właśnie, Headier, zanim co? — pyta głosik w mojej głowie.

I wtedy dociera to do mnie z całą oczywistością.

Zanim wszystkie moje życzenia zaczęły się spełniać.

Przez chwilę stoję nieruchomo na chodniku, ale w głowie mi się kręci. Na pewno... to nie może być... a może j e d n a k? Wracam pamięcią do wesela, do kręgu, w którym wszyscy trzymaliśmy się za ręce, do tamtego dziwnego uczucia, do chwili, gdy magiczny wrzos zniknął... Gdy uświadamiam sobie w pełni to, co się stało, ogarnia mnie bezbrzeżna radość.

— O Boże, spójrzcie tylko na tę kolejkę do taksówek — wyrzucam z siebie, z uśmiechem od ucha do ucha. — Jest ogromna.

Para stojąca przede mną odwraca się w moją stronę i spogląda na mnie podejrzliwie.

— I pada — wykrzykuję. — Hurra!

Kilka innych osób spogląda teraz na mnie, jak gdybym zwariowała, ale ja mam to gdzieś. Mam gdzieś to, że ubranie mam coraz bardziej mokre, że włosy przylegają mi do twarzy, że woda spływa mi po szyi.

Nagle czuję ostry ból, gdyż czyjś wózek na bagaż uderza mnie w nogę.

435

- Och, przepraszam - mówią właściciele bagażu, spodziewając się gniewnej odpowiedzi, ale ja zamiast tego rzucam im promienny uśmiech.

- Nic się nie stało, naprawdę - odpowiadam. Podciągam nogawkę spodni i obserwuję, jak na mojej nodze pojawia się wielka purpurowa plama. Bosko! - Uwielbiam siniaki! -dodaję.

Winowajcy oddalają się w pośpiechu, właśnie w momencie, gdy taksówka podjeżdża do krawężnika. Wjeżdża w ogromną kałużę i ochlapuje mnie brudną wodą.

Spoglądam na swoją marynarkę. Po kremowym kolorze nie został nawet ślad, jest teraz cała wilgotna i upstrzona błotem. Wygląda koszmarnie. Wygląda absolutnie koszmarnie. Czy to nie cudowne?

Odrzucając głowę do tyłu, wybucham śmiechem. Deszcz pada mi na twarz i wyciągając ręce na boki, kręcę się wokół własnej osi, tak że przemakam do suchej nitki.

Już dawno nie byłam taka szczęśliwa.

47

Kilka godzin później siedzę ze skrzyżowanymi nogami na łóżku w pokoju hotelowym, mam na sobie puszysty biały szlafrok i ręcznik owinięty wokół głowy jak turban. W jednej ręce trzymam swoje spodnie, a w drugiej hotelową suszarkę. Spędziłam właśnie dwadzieścia minut pochylona nad umywalką z kostką mydła i szczoteczką do paznokci, usuwając ze spodni plamy z kawy i błota. Teraz zostało mi tylko wysuszyć je i gotowe.

Zmieniam temperaturę na wyższą i wkładam dyszę do jednej nogawki, tak że nadyma się pod wpływem powietrza, a potem sięgam po reklamówkę wiszącą na oparciu łóżka. Kazałam taksówkarzowi zatrzymać się przy Marks & Spencer i kupiłam dosyć elegancką parę brązowych skórzanych czólenek (jestem Rosemary winna przeprosiny — aż trudno uwierzyć, jak stały się teraz modne, i jakie są praktyczne), skarpetki, parasol i trzy pary czarnych stringów. Wyrzuciłam wszystko na łóżko i wybieram bieliznę. Jeśli mam być szczerą, powinnam była kupić cielistą, gdyż moje spodnie są kremowe, ale cielista bielizna jest absolutnie mało seksowna, a przecież nigdy nic nie wiadomo...

Czego nigdy nie wiadomo, Heather? — dopytuje się surowy głosik w mojej głowie.

437

Przyskakuję do spodni, które zaraz się spalą, i wyłączam suszarkę. Szczerze mówiąc, nie mam czasu na te bzdury. Nie mogę tu tak siedzieć beczynnie, marząc o Gabie i o mnie, o nas... Cholera, znowu to robię. To jakiś absurd. Porzucam spodnie, ściągam ręcznik z głowy i zaczynam nim energicznie wycierać włosy. Niezależnie od moich uczuć, Gabe jest tylko moim kumplem — a raczej był — i jeśli zdarzy się, że wpadniemy na siebie na festiwalu, to mam nadzieję, że przyjmie moje pokorne przeprosiny i znowu będziemy kumplami. Ale niczym więcej. Tylko kumplami. Przecież ma już dziewczynę, prawda? I po tym, co zrobił mi Daniel, trzymam się z daleka od mężczyzn, którzy byliby w stanie zdradzić swoje dziewczyny. Nawet jeśli mają miłą, piegowatą twarz i wieszają porządnie ręczniki w łazience — powtarzam sobie twardo.

Umocniona w swoim postanowieniu, czując się jak uosobienie zasad i moralności, przestaję wycierać włosy, które zmieniają się teraz w jedną wielką aureolę nad moją głową. No i dobrze. Ta sprawa jest już przesądzona, więc muszę się skupić na tym, po co tu przyjechałam. Mam tu robić zdjęcia dla „Sunday Herald”. A to powód do dumy. Nawet gdy ma się siano na głowie — bo nagle uświadamiam sobie, że nie mam ani szczotki do włosów, ani prostownicy. Więc włączam jeszcze raz suszarkę, spuszczam głowę i zaczynam wściekle ugniatać włosy.

Dwadzieścia minut później jestem już gotowa do wyjścia i po krótkiej rozmowie telefonicznej z dziennikarką, która ma pisać artykuł o festiwalu, sięgam po aparat Briana. Zawieszam go na szyi i nagle ogarnia mnie zdenerwowanie. No tak. Pora na moje pierwsze zadanie. Prostuję plecy i otwieram drzwi. Do roboty!

438

Nerwy ustępują zupełnie, gdy wychodzę na ulicę. Wciąż siąpi, ale widać, że wśród ludzi panują pogodne nastroje. Uliczni artyści mieszają się z tłumem turystów i osób rozdających ulotki, i przez następnych kilka godzin robię im zdjęcie za zdjęciem, aż o dziewiątej zaczynają mnie boleć nogi w nowych butach, więc siadam na ławce, żeby zdecydować, co dalej.

Wręczono mi masę ulotek, więc postanawiam je przejrzeć. Pogodziłam się już z koszmarnym faktem, że będę musiała obejrzeć jedno z przedstawień, ale pytanie brzmi: które?

Gabea- odpowiedź nasuwa mi się od razu.

Heather, nie przyjechałaś tu po to, żeby myśleć o Gabie. Jesteś tu w celach zawodowych. Zerkam znów do ulotek i staram się wyszukać w nich coś, co mogłoby brzmieć choć trochę zachęcająco - co wygląda jak proponowanie wegetarianinowi, żeby wybrał coś dla siebie u rzeźnika — ale nie poddaję się.

Wreszcie docieram do ostatniej ulotki. Leży do góry nogami i gdy ją odwracam, mam cichą nadzieję, że... Ale nie, to komedia w dwóch aktach pod tytułem Rob i Beryl, która, według gazety „Scotsman”, jest niesamowicie zabawna. Hm, może skuszę się na to...

Na litość boską, kogo ja próbuję oszukać? Nie chcę oglądać jakiejś głupiej dwuaktówki, która rzekomo ma być niesamowicie zabawna. Chcę zobaczyć Gabe'a. Muszę zobaczyć Gabe'a. Jestem zakochana w Gabie. Wypieranie się tego, zaprzeczanie czy próba ignorowania po prostu nie mają sensu. Wiedziałam to już od chwili, gdy stanął w moich drzwiach i spojrzałam na te piegi i w jego błękitne oczy. Zgniatam wszystkie ulotki i podchodzę do wielkiego metalowego kosza na śmieci. Wylewają się z niego różnokolorowe kartki papieru, więc zrezygnowana kładę moje śmieci na samej górze. A wtedy jedna z nich przykuwa moją uwagę.

439

Wilgotna różowo-żółta ulotka, z twarzą z profilu, która przypomina mi...

Anioł Gabriel, zesłany z Hollywood, żeby ukazać wam jasną stronę życia. dziś wieczorem w „tawernie” o 21.00. Bilety: £ 7.50. Przybądźcie, a zostaniecie zbawieni. I właśnie w tym momencie słyszę zegar na wieży ratuszowej, który - serce tłucze mi się w piersi coraz szybciej - wybija dziewiątą. Waham się przez chwilę, niesamowicie zdenerwowana myślą, że znowu go ujrzę — i to na scenie. Bo co mu powiem? I jak on na to zareaguje? Możliwe, że mnie nienawidzi, możliwe, że nie będzie chciał ze mną rozmawiać... Może jednak lepiej, żebym tam nie szła...

O rany. Sama nie wiem, co zrobić. Ale wtedy dostrzegam coś, co sprawia, że

zamieram. Piękną, lśniącą tęczę, która rozciąga się łukiem nad zamkiem. Nie jestem religijna, ale wygląda to jak znak.

- Przepraszam. - Rozejrzawszy się wokół, zaczepiam pierwszą z brzegu osobę rozdającą ulotki. — Jak dojść do „Tawerny”? Chciałabym zobaczyć Anioła Gabriela...

Biegnę przez całą drogę.

Na szczęście „Tawerna” usytuowana jest w cichej uliczce oddalonej zaledwie o pięć minut, a gdy docieram na miejsce, okazuje się, że przedstawienie Gabe'a jeszcze się nie zaczęło. Z powodu wcześniejszych problemów technicznych wszystko uległo opóźnieniu. Kupuję więc bilet przy wejściu i wchodzę do środka.

„Tawerna” jest małym barem „w bawarskim stylu”, jak głosi napis. Nigdy nie byłam w Bawarii, ale sądząc po wystroju, z pewnością uwielbia się tam wypchane łby dzika i surową

440

sosnę. Ze spuszczoną głową skradam się do środka i staję tuż przy ścianie ciemnego, zadymionego baru. Przede mną jest długie, wąskie przejście, a na końcu prowizoryczna scena, gdzie jakiś komik kończy swój występ.

To wysoki, chudy facet, mający na sobie obowiązkowy podkoszulek z napisem:

„Gdyby Bóg nie kochał idiotów, to by nas tak wielu nie stworzył”, który niestety wydaje się stosownym komentarzem do jego osoby. Paląc papierosa za papierosem, trzyma się kurczowo mikrofonu jak tonący brzytwy i chociaż nie jestem ekspertem w dziedzinie komedii w stylu stand-up, to nawet ja jestem w stanie stwierdzić, że facet zarzyna swój występ. W pomieszczeniu jest prawie zupełnie cicho, ale można dosłyszeć szmer rozmów i wyraźny powiew nudy.

— ... i wtedy ten gołąb sfrunął z parapetu i usiadł mi na ramieniu. — Z

zażenowaniem obserwuję, jak się miota, aż moje oczy wędrują przez zasłonę dymu w stronę znajomo wyglądających różowo-żółtych plakatów. Oczywiście, jest to dokładnie to samo ujęcie Gabe'a co na ulotce, a powyżej słowa: „Anioł Gabriel”, również tym samym drukiem.

Teraz na widok tego plakatu mało nie pęknę z dumy. Gabe sam zrobił to wszystko.

Wydrukował ulotki, wykonał plakaty, zorganizował występ i przebył taką drogę z Los Angeles do Edynburga, żeby go zaprezentować. Owszem, opowiadał mi o tym, ale teraz to co innego, teraz to jest namacalne. Z zadowoleniem rozglądam się wokół. W pomieszczeniu jest około dwudziestu ludzi, czyli może nie dzikie tłumy, ale jak na taki mały lokal jest to całkiem spora liczba. I wszyscy oni zapłacili, by oglądać Gabe'a, stwierdzam z satysfakcją, gdy komik mający bzika na punkcie gołębi znika ze sceny przy wątłym aplauzie publiczności, a ta nie wychodzi po jego występie. A zatem teraz wystąpi Gabe.

441

Rozglądam się po sali w poszukiwaniu miejsca, gdzie mogłabym stanąć. Idąc tu, postanowiłam, że podejść do Gabe'a dopiero po występie, muszę więc znaleźć miejsce, skąd będę mogła robić zdjęcia, nie będąc przez niego zauważona. Pewnie jest naprawdę zdenerwowany. A nawet jeśli nie on, to na pewno ja.

Zaciemniona wnęka po drugiej stronie baru wygląda idealnie, więc kieruję się w tamtą stronę, przechodząc obok grupki dziewczyn, które palą papierosy i rozmawiają z sobą głośno.

— O, a widziałaś Lalęarstwo członkiem ?

— Nie, nie dostałam już biletów. Dlatego przyszedłam tutaj.

— A ten koleś, co teraz ma być, jakiś fajny jest?

— Cholera go wie.

Nadstawiam uszu. Rozmawiają o Gabie. Zwalniam kroku, żeby usłyszeć więcej.

— Co za różnica? Bilety były darmowe.

— Nic nie płaciłaś?

— Neeee. Jakiś Amerykanin je rozdawał.

Mówi to tak obojętnie i z takim lekceważeniem, że na dźwięk słów: „jakiś Amerykanin”, czuję, jakbym dostała pięścią w brzuch. Mówi o Gabie. A skoro rozdawał bilety, to znaczy, że sprawy mają się kiepsko. Stwierdzam, że potwierdzają się moje najgorsze obawy — i wtedy światła gasną. Strach łapie mnie za gardło i pędzę do upatrzonej wnęki. O cholera, zaczyna się.

Na scenę wychodzi konferansjer z kuflem guinnessa w ręku i bierze mikrofon.

— No dobra, pora może urozmaicić sobie ten smutny żywot...

Po sali przebiega posepny pomruk aprobaty i kilka komentarzy na temat poprzedniego komika, że aż mi się włos na głowie jeży.

442

- ... a wybawienie z niedoli przyniesie wam następny komik. Powitajmy go więc na scenie. Anioł Gabriel do waszych usług!

Powinłam go była powstrzymać. Powinłam była coś zrobić - powinłam była...

Gdy Gabe pojawia się na scenie, na chwilę zapiera mi dech w piersiach. Wygląda nawet jeszcze bardziej rozkosznie, niż go pamiętam. Myślałam, że będzie w tej okropnej marynarce, która w jego opinii nadaje mu gniewny i wyluzowany wygląd, ale na szczęście ma na sobie džinsy i szary podkoszulek. Jak zwykle włosy ma w nieładzie, ale tym razem się ogolił, więc gdy poprawia okulary, wygląda na dwunastolatka. Od razu budzą się we mnie instynkty opiekuńcze.

Inne zresztą też.

- Cześć wszystkim. Cieszę się, że tu jestem. To moja pierwsza wizyta w Edynburgu. Czy jest na sali ktoś z Edynburga?

Odpowiada mu znudzona cisza. Moje obawy zaczynają się pogłębiać.

- Przyjechałem z Kalifornii, ale przez ostatnich kilka tygodni mieszkałem w Londynie. To fantastyczne miasto. Big Ben, Leicester Square... ale muszę przyznać, że Piccadilly Circus nieco mnie rozczarował. Spodziewałem się ujrzeć tam clowna albo tresowaną iokę...

Tu Gabe uśmiecha się — i muszę przyznać, że w połączeniu z jego amerykańskim akcentem i leniwą mową robi to dosyć zabawne wrażenie. Ale dosyć zabawne wrażenie nie wystarczy, by wlać życie w publiczność, która została zanudzona na śmierć przez Pana Gołębia. Rozglądam się po ciemnej sali. Zainteresowanie Gabe'em jest mizerne.

Serce mi się kraje. Miałam rację. Gabe polegnie z kretesem. Na moich oczach. W tej bawarskiej tawernie.

443

— Ale tak na poważnie: to moja pierwsza wizyta w Wielkiej Brytanii i zauważyłem

kilka różnic między waszym krajem a moim...

Gdy tak stoi na scenie oświetlony ostrym światłem, mam ochotę wybiec tam i go ocalić. Ale nie mogę tego zrobić. Jestem bezsilna. Rozglądam się wokół. Nikt, ale to nikt się nie śmieje. Najwyraźniej przyzwyczajeni do zgorzkniałości i agresji większości komików, zdezorientowani widzowie spoglądają po sobie niepewnie. Atmosfera jest zdecydowanie niechętna. Nie dadzą mi szansy. Zauważam nawet, że kilka osób zaczyna z sobą rozmawiać. Cholera! Może Gabe miał rację, może publiczność oczekuje, że komicy będą gniewni i sfrustrowani...

— Weźmy na przykład...

Spoglądam znowu na Gabe'a. Widzę teraz, że jest zdenerwowany. Pociera nos, jak zawsze wtedy, gdy czuje się zakłopotany i gdy opuszcza go pewność siebie.

Następuje męcząca pauza i Gabe wyraźnie przełyka ślinę. O Boże, nie mogę na to patrzeć.

Spuszczając głowę, przepycham się między ludźmi opartymi o bar i idę szybko do toalety. Drzwi za moimi plecami kołyszają się i głos Gabe'a dochodzi mnie teraz z oddali jako ciche mruczenie. Oddycham z ulgą, kładę ręce na umywalce i wpatruję się w odpływ. To dosyć dobra metafora tego, co dzieje się teraz za tymi drzwiami: marzenia Gabe'a o tym, by być znanym komikiem, całkiem dosłownie odpływają. Odkręcam zimną wodę i ochlapuję twarz. Tak mi przykro z jego powodu. Włożył tyle czasu, pracy i wysiłku, żeby się tu znaleźć, i po co to wszystko? Zęby go olano? Przywitano ziewaniem? Gdy tylko o tym pomyślę, ogarnia mnie złość. Ponieważ mimo wszystko wierzę, że Gabe ma talent. I jest sam w sobie zabawny. I diabli mnie biorą na myśl, że właśnie teraz stoi tam na scenie i nikt się nie śmieje...

444

I właśnie wtedy dociera do mnie wybuch śmiechu.

Co? To niemożliwe! A może jednak? Niepewnie otwieram drzwi i wyglądam na zewnątrz przez zasłonę dymu. Rzeczywiście, nie przesłyszałam się. To nie do wiary. Niektórzy się uśmiechają, a kilka osób autentycznie się śmieje. Nawet tamte dziewczyny szturchają się nawzajem i chichoczą.

— Jechałem ostatnio tym piętrowym autobusem...

Gdy wychodzę z toalety i dołączam do widowni, wsłuchując się w jego monolog, czuję, że atmosfera na sali wyraźnie się ociepla. Ludzie przestają rozmawiać i zaczynają słuchać. Gabe uśmiecha się i kontynuuje coraz bardziej pewny siebie. — ... i widzę, że siedzi tam mała dziewczynka i płacze. Pomyślałem sobie — co robić? Czuję się potwornie... — Z idealnym wyczuciem robi pauzę, a potem minę, na widok której widownia zrywa boki ze śmiechu. — Na szczęście przypomniałem sobie, że mam w plecaku cukierka. — Znowu pauza. — ... więc wyjąłem go i włożyłem do ust. Zadziałało. Od razu zrobiło mi się lepiej.

Publiczność wybucha śmiechem.

Przebiegam po nich wzrokiem: rozdziawione usta, zaciekawione twarze, błyszczące oczy. Cała ich uwaga jest skupiona na Gabie. Moja również.

Z podziwem patrzę, jak przechodzi od jednej ironicznej obserwacji do drugiej, bez pretensjonalności ani dydaktyzmu. Ręce trzyma wygodnie w kieszeniach, głowę ma przekrzywioną leniwie na bok i wygłasza swoje dowcipne uwagi ze śmiertelną powagą i anielskim uśmiechem, które nikogo nie pozostawiają obojętnym. Jest dużo lepszy, niż się spodziewałam. Gniewny, sypiący czyimiś dowcipami komik gdzieś zniknął. Zamiast tego jest sobą. Czuję, jak rozpiera mnie duma. Bo chyba zasugerował się moją radą.

445

I zanim się obejrzę, występ zbliża się do punktu kulminacyjnego. Salwy śmiechu są coraz głośniejsze, niektórym wręcz ciekną z oczu łzy. Spoglądam na zegarek. Do końca zostało tylko kilka minut.

— ... Ale nie mogę tu nie wspomnieć o pewnej rudej istotce, którą podczas tych ostatnich kilku tygodni udało mi się dosyć dobrze poznać...

Ze co? Wysłuchawszy całego występu — co jak na mnie jest niezwykłym wyczynem, nawet biorąc pod uwagę, że to Gabe — wpadłam w niejaki trans, ale teraz podskakuję jak oparzona. O Boże, to przecież ja! On mówi o mnie! Serce wali mi jak młot i czekam niespokojnie, co dalej powie.

— ... to kocur o imieniu Billy Smith...

Ach, tak. Oprócz rozczarowania ogarnia mnie wstyd, że w ogóle pomyślałam, iż

mógłby mówić o mnie. W końcu dlaczego miałby to robić?

Ponieważ ten idiota jest w tobie zakochany.

Głos Victora Maxfielda rozbrzmiewa mi znowu w głowie. Ale czy te słowa coś znaczą? Zapewne z kimś mnie pomylił. To, jak mężczyźni przekazują informacje, przypomina czasem głuchy telefon.

— Zawsze się zastanawiałem, skąd się wzięło powiedzenie: „spadać jak kot na cztery łapy”, i teraz już wiem.

Szybko wracam do siebie.

— Często siadywaliśmy z moją współlokatorką wieczorem w piżamach, piliśmy miętową herbatkę i oglądaliśmy SeAs w wielkim mieście na DVD. Moja współlokatorka ma całą kolekcję ustawioną na półce, dla niej to jak encyklopedia wiedzy o męskim gatunku...

Oblewając się rumieńcem, rozglądam się po sali. Widzę uśmiechy, faceci kiwają głowami i szturchają swoje dziewczyny, które chichoczą zawstydzone, bo to również o nich mowa.

446

-Wiem, że ludzie uważają, że my, komicy, wiemy słodkie życie. No owszem, jak się najem nadziejanych czekoladek — a tutaj je po prostu pokochałem — to jest mi tak słodko, że aż bokiem mi to wychodzi. Może inni zrywają wtedy boki na mój widok, ale mnie wcale nie jest do śmiechu... — I znowu odpowiada mu rechot.

— Ale gdybyście widzieli, co porabia Billy Smith... - Ga-be unosi brwi. — To jest dopiero słodkie życie! Myślałem sobie, że kocina spędza czas, leżąc grzecznie zwinięta w swoim koszyku i mrucząc z zadowolenia, ale nie! — Kręci głową i robi minę pełną niedowierzania i respektu. — W tym kocie drzemie prawdziwe zwierzę. Nawet sobie nie wyobrażacie, jaka kolejka kocic ustawiła się pod naszymi drzwiami. Jak kocham mamę, co wieczór rozdzwaniają się u niego telefony alarmowe.

Nagle przypomina mi się nasza rozmowa w kuchni. Ga-be to geniusz.

— Wiecie, co to są telefony alarmowe, prawda?

Gabe mruga porozumiewawczo do publiczności. Po sali przechodzi kilka chichotów, kilka zaciekawionych spojrzeń i ludzie zaczynają sobie szeptem wyjaśniać, o co

chodzi. A potem następują po sobie kolejne salwy głośnego śmiechu.

Gabe uśmiecha się szeroko.

— Tak właśnie myślałem. Wiecie, gdy przyszpili was pilna potrzeba i tylko wasza była może wam pomoc...

Ludzie dosłownie płaczą ze śmiechu i ocierają łzy z oczu, a Gabe kontynuuje swój monolog z niewinnym wyrazem twarzy.

—... bezdomne, dachówce, były też dwie niebieskie perskie kocice... Nasz Billy Smith ma naprawdę złote serce. Żadnej nie odmówi pomocy. — Milknie na chwilę i spogląda na widownię. Na początku wydaje mi się, że robi pauzę, żeby

447

zaraz wygłosić puentę, ale zaraz dociera do mnie, że raczej czegoś szuka. Albo kogoś.

I wtedy mnie dostrzega. A gdy nasze oczy się spotykają, serce przestaje mi bić. I w jednej chwili wszystko wokół znika — świada, gwar rozmów, smród papierosów i rozlanego piwa—jesteśmy tylko ja i Gabe. Z powrotem w mojej kuchni z Billym Smithem i jego kocicami.

Na twarzy Gabe'a maluje się niedowierzanie. „Ty się śmiejesz!” — mówi do mnie bezgłośnie.

Myśląc, że to do nich, tłum odpowiada rykiem, pokrzykiwaniami i gwizdami. Ale Gabe patrzy tylko na mnie.

„Wiem” — odpowiadam również bezgłośnie z uśmiechem na twarzy, choć w środku cała chichoczę. A potem nagle wybucham niepohamowanym śmiechem. I kto by powiedział? Po raz pierwszy w życiu naprawdę się śmieję. Z komika. W klubie stand-up. I gdy Gabe zmierza do puenty swojego występu, sięgam po aparat i robię zdjęcie, uwieczniając ten moment na zawsze.

Następnego ranka w całym kraju tysiące czytelników „Sunday Herald” po otwarciu gazety ujrzało czarno-białe zdjęcie Gabe'a na scenie w „Tawernie”, spoglądające na nich ze stron magazynu kulturalnego. Pod zdjęciem widniał napis: „Komicy zdobywają festiwal szturmem”, oraz artykuł o dziesięciu najlepszych debiutantach i ich występach, z których jednym jest Gabe. Okazuje się, iż dziennikarka także była

na widowni i była pod takim wrażeniem jego występu, że przeredagowała swój artykuł, żeby napisać w nim o Gabie, a potem szybko wysłała go mailem tuż przed pójściem gazety do druku.

Ja też byłam dosyć zajęta. Gdy Gabe zszedł ze sceny, oboje zaczęliśmy od przeprosin i wyjaśnień. A potem siedzieliśmy

448

do późna w nocy, rozmawiając szczerze o wszystkim. Dowiedziałam się kilku ciekawych □□□□□□. Najważniejsze było dla mnie wyznanie, że Gabe nie jest już z Mią. Ale były też inne. Ze po tym, gdy opuścił moje mieszkanie wczesnym rankiem, okrążył na motocyklu okolice trzy razy, zanim zdobył się na odwagę, żeby wreszcie odjechać. Oraz że po przemyśleniu wszystkiego postanowił pójść za moją radą i zmienić swój występ. Nie krył przede mną niczego.

A wtedy przyszła kolej na mnie. Powiedziałam mu o ataku serca Lionela, o pojednaniu z Rosemary, o wiadomości od Victora Maxfielda. Powiedziałam mu wszystko. No, prawie wszystko. Pominęłam tylko fragment, w którym wujek nazywa go idiotą i mówi, że jego siostrzeniec jest we mnie zakochany.

Ale nie musiałam, bo Gabe sam mi to powiedział.

Tuż przed tym, jak się pocałowaliśmy.

-1 co o tym sądzisz? - pytam.

Wtulona w ciepłą płataninę puchowej kołdry, prześcieradła i nagich kończyn, spoglądałam na Gabe'a leżącego na poduszce. Od jego występu i naszej rozmowy minęło kilka godzin. Spędzamy rano w moim hotelowym pokoju, rozkoszując się śniadaniem do łóżka i niedzielną prasą.

Łaskoczę palcem u nogi jego stopy, mój wzrok wędruje od jego potarganych włosów do oczu zapuchniętych jeszcze od snu, skrytych za okularami, i zastanawiam się, dlaczego kiedyś tak marzyłam o tym, żeby nikt nie przeszkadzał mi w czytaniu gazety. Uwielbiam, jak mi przerywa. Moje myśli wędrują radośnie do chwili kilka minut wcześniej...

— Hm, zobaczmy... „powiew świeżości”, „nowo odkryty talent”... „prosty, ale niezwykle humor”... „jeden z najzabawniejszych komików na festiwalu”... — czyta

Gabe.

Uderzam go nadgryzionym rogalikiem.

449

— Au! — wyje Gabe, pocierając swoje nagie ramię, jak gdybym go zraniła. — Masz niezły prawy sierpowy.

— Nie pytam o artykuł - protestuję. - Pytam o fotografię.

— Aaa, rozumiem, o fotografię — powtarza Gabe, jak gdyby nie zauważył mojego nazwiska w lewym dolnym rogu, ale kąciki ust mu drżą. Przygląda się zdjęciu uważnie, oczy zwięzają mu się w skupieniu. — Och, a co to za piękny młodzian na zdjęciu! — Udaje szkocki akcent. Rzucam mu zabójcze spojrzenie. — I samo zdjęcie też nie jest złe. — Otacza mnie ramieniem. - Jest pani bardzo zdolna, panno Hamilton. - Całuje mnie. Smakuje drożdżówkami i sokiem pomarańczowym i właśnie gdy delektuję się tym pocałunkiem, wyczuwam pod sobą małe poruszenie. Znowu?

— Wiesz, marzyłem o tym od pierwszej chwili, gdy cię tylko zobaczyłem - mruczy Gabe.

— Hola, hola! Miałaś wtedy dziewczynę! — upominam go surowo.

— Hm, nie bardzo... — Gabe pociera nos zakłopotany. — Gdy powiedziałem ci, że zerwaliśmy, nie sprecyzowałem kiedy.

Spoglądam na niego pytającym wzrokiem.

— Stało się to na kilka miesięcy przed moim przyjazdem do Londynu.

— To dlaczego powiedziałeś, że masz dziewczynę, kiedy Jess... — No tak. Nie muszę kończyć pytania — wszystko jasne. Ten pierwszy wieczór. W moim ogródku. Gdy Jess się do niego przystawiała. Zaczynam chichotać. — Byłaś jej planem B.

— Planem B? - Gabe robi urażoną minę, ale zaraz potem wybucha śmiechem. — Będę o tym pamiętał. — Chichocząc, nachyla się w stronę nocnego stolika i bierze swój wytarty notes, po czym otwiera go i wyjmuje wetknięty w środek mały ołówek. Gdy obserwuję, jak pisze coś z przejęciem, czuję, jak zalewa mnie fala miłości.

450

— Posłuchaj, mam dla ciebie dowcip — mówi.

— O Boże, błagam, tylko nie to. - Jęczę i kryję głowę pod kołdrą. Kocham Gabe'a, ale jeden występ stand-up stanowczo mi wystarczy.

Śmiejąc się, pokrywa moje włosy pocałunkami.

— Słyszałaś ten o komiku, który się zabujał w rudowłosej Heather?

Wyglądając spod kołdry, tulę się do niego.

— Nie, a co się stało?

— Nigdy nie przestał się w niej bujać. Uśmiecham się krzywo.

— To nie jest ani trochę zabawne.

— Bo nie miało być — mruczy Gabe, a potem przyciąga mnie do siebie i całuje.

A ja zamykam oczy i odpowiadam mu pocałunkiem. A za chwilę nastąpi najlepsza puenta, z jaką kiedykolwiek się spotkałam.

Epilog

— Trzy dolary, siedemdziesiąt pięć centów.

Kładę czasopismo na ladzie i wyciągam z kieszeni szortów pięciodolarowy banknot.

Gdy sprzedawca szuka reszty, biorę gazetę do ręki i zaczynam przeglądać błyszczące strony. To musi być gdzieś tu... Przerzucam kilka stron z reklamami. I wreszcie jest.

Czarno-białe zdjęcie przedstawiające kobietę zdejmującą kombinezon pływacki, będące ilustracją do artykułu na temat surfingu. Mój wzrok biegnie niżej, gdzie pod zdjęciem, małymi drukowanymi literami, widnieje nazwisko fotografa:

Heather Hamilton

O mało nie pęknę z dumy. „Scenę” to jedno z najbardziej znanych amerykańskich czasopism, a to jest moje pierwsze zdjęcie wykonane dla nich. I muszę stwierdzić, że jest naprawdę niezłe, a podpis wcale nie jest mały. Litery mają chyba z pół centymetra.

— Proszę pani? — Mężczyzna za ladą wręcza mi resztę.

— O, dziękuję. - Rumienię się, po czym wkładając resztę do kieszeni, zamykam gazetę i wychodzę na zewnątrz na upalne powietrze.

Jest późne popołudnie, ale słońce ciągle oślepia. Wkładam na nos okulary przeciwsłoneczne i spoglądam przez nie na

rzędy niesamowicie wysokich palm, na ogrom błękitnego nieba, żółty piasek i migoczący ocean. Oto Venice Beach. Oto Kalifornia. Wdycham zapach soli, kawy i olejku do opalania. Jest tu tak, jak to sobie wymarzyłam, a nawet jeszcze lepiej. Mnóstwo tu rowerzystów, dziewczyn w bikini, facetów z deskami surfingowymi, jest i jeżdżący na rolkach chłopak grający na sitarze... Uśmiecham się do siebie, gdy wymija mnie, jadąc pędem po ruchliwym chodniku, podchodzę do roweru i wrzucam kłódkę do małego wiklinowego koszyka. A potem wspinam się na siodełko i odjeżdżam. Przyjechałam popływać trochę w oceanie, a więc ciało mam pokryte warstewką soli, a pod szortami mokry kostium. I gdy tak pedałuje leniwie, oddając się wspomnieniom, mój umysł z każdym obrotem kół wraca do niedawnej przeszłości.

Wraca do Edynburga i tego poranka pół roku temu, gdy obudziłam się w różowym hotelowym pokoju obok Gabe'a...

Tak jak przewidział Brian, zostałam tam do końca festiwalu. Bilety na występ Gabe'a rozeszły się jak świeże bułeczki. Cieszył się takim powodzeniem, że zaproponowano mu występ w dużo większym obiekcie. Wraz ze wzrostem widowni rosło też zamieszanie wokół niego. Zanim się obejrzał, miał na swoich występach wszystkich sędziów w kategorii komedii i został nominowany do prestiżowej Nagrody Perriera. Gdy wygrał, nie byłam zaskoczona. Ale sam Gabe był tym ogromnie zdumiony, tak jak i cały komediowy światek, który nigdy przedtem o nim nie słyszał. Jednak od tamtej pory wszystko się zmieniło. Jego zwycięstwo przysporzyło mu wielu fanów i właśnie teraz Gabe toczy rozmowy z telewizją w sprawie własnego programu, a także prowadzi bardzo popularne występy w jednym z największych klubów komediowych w Los Angeles.

453

Gdy skręcam w stronę kanałów, schodzę z roweru i zaczynam go pchać po wąskiej ścieżce biegnącej przy wodzie. Jeśli chodzi o mnie, Victor Maxfield był zachwycony zdjęciami z festiwalu (choć biorąc pod uwagę temat, nie podejrzewam go o zupełny obiektywizm) i wkrótce potem posypały się kolejne zlecenia. Następnich kilka miesięcy było niezwykle ciekawym okresem w moim życiu, który spędziłam na robieniu

zdjęć rozmaitych fascynujących ludzi, miejsc i wydarzeń.

A potem rzuciłam pracę. Znowu...

Promienie słońca odbijają się od wody, więc poprawiam okulary. Mój wzrok biegnie po kanałach, a moje myśli wracają do chwili, kiedy to podjęłam decyzję opuszczenia „Sunday Herald”. Ale tym razem powodem nie było głupie nieporozumienie, ale motylki. Wystarczy, że spojrzę na Gabe'a, a znów je czuję. I czy mogłabym znaleźć lepszy powód do przeprowadzki do Los Angeles niż wspólne życie z Gabe'em?

Przystaję na moment, by przyjrzeć się rodzinie kaczek, które dają co chwila nura pod wodę, czasem tak, że z wody wystaje im tylko upierzony kuperek. To niesamowite.

Tak samo jak to, że zwykle spędzałam luty w starym, zimnym i deszczowym

Londynie, przepychając się w godzinach szczytu do stacji metra Piccadilly Line.

Nie twierdzę, że przeprowadzka przebiegła bezstresowo. Musiałam wynająć obcym ludziom swoje mieszkanie, starać się o wizę, zostałam freelancerem - nagle moje życie nabrało tempa. Zanim zdążyłam się obejrzeć, już pakowałam swoje francuskie garnki, żegnałam się z najbliższymi i obiecywałam pisać maile. No i, oczywiście, był Lionel.

Na myśl o nim serce przepelnia mi się miłością, ale i głębokim smutkiem. Tak samo jak cudowne jest moje nowe życie z Gabe'em, tak samo smutne jest to, że jestem tak daleko od taty. Wiem, że to głupie. Przecież jest pod dobrą opieką

454

ŚA

i w każdej chwili mogę do niego zadzwonić, ale tęsknie za nim ogromnie. Czasem mam nawet ochotę wypowiedzieć życzenie, żeby...

Ale oczywiście nie zrobię tego — przywracam się do porządku. Historia z wrzosem dała mi niezłą szkołę i od tamtej pory jestem już innym człowiekiem. Weźmy na przykład to, co wydarzyło się kilka dni temu. Leżeliśmy z Gabe'em na plaży, kiedy obok nas przeszła, kręcąc biodrami, dziewczyna w bikmi - nawet Cameron Diaz dałaby się pokroić za taki tyłek i już miałam wypowiedzieć życzenie, że chciałabym mieć taki sam — ale w porę się powstrzymałam. Co nie było łatwe, bo jej tyłeczek był naprawdę zgrabny i z pewnością miał wielu fanów. Ale cieszę się, że nie

wypowiedziałam tej myśli, ponieważ pięć minut później Gabe oświadczył, że mam najpiękniejszy tyłeczek, jaki kiedykolwiek widział. A to dowód na to, że naprawdę trzeba uważać, o czym się marzy.

Chociaż teraz, z perspektywy czasu, wcale nie jestem pewna, czy magiczny wrzos rzeczywiście miał magiczne właściwości. Może po prostu za bardzo puściłam wodze wyobraźni. I może wszystko to było tylko pasmem zbiegów okoliczności...

W ciągu następnych tygodni po zniknięciu wrzosu miało miejsce kilka incydentów, które kazały mi się zastanowić, czy aby rzeczywiście to wszystko nie było przypadkiem. Na wagach w Bootsie nagle pojawił się wywieszki „Nihczynnk”. a gdy zapytałam ekspedientki, co jest z nimi nie tak, okazało się, że pokazywały nieprawidłową wagę. Zaniżały ją o dwa i pół kilo.

A potem mężczyzna na spacerze z psem odnalazł moją torebkę w rowie na Hampstead Heath i przekazał ją policji. Tak jak się spodziewałam, cała gotówka i dokumenty zniknęły -z wyjątkiem mojej zgody na transplantację organów, na podstawie której dotarła do mnie policja. A kupon z totka dalej

455

tkwił w bocznej kieszonce, gdzie go włożyłam. I jak myślicie, wygrałam główną nagrodę?

Owszem, wygrałam.

To znaczy w pewnym sensie.

Trafiłam cztery liczby, więc wygrałam dziesięć funtów, co, niestety, nie pozwoliło mi na zakup astona martina, ale wystarczyło na taksówkę z kina. I choć wiem, że to zabrzmia ckliwie, to przytulona do Gabe'a na tylnym siedzeniu czułam się, jakbym naprawdę wygrała los na loterii.

Ale im dłużej o tym myślę, tym bardziej dociera do mnie, że nigdy nie poznam prawdy o wrzosie. Część mnie pragnie wierzyć, że była to magia i że dzięki niemu wszystkie moje marzenia rzeczywiście się spełniły. Ale oczywiście ta racjonalna, logiczna i trzeźwo myśląca Heather wie, że to niemożliwe. Takie rzeczy zdarzają się w bajkach, a nie w prawdziwym życiu, prawda?

Wreszcie docieram do naszego dużego drewnianego domu pomalowanego na

jasnoniebieski kolor. Prowadzę rower po ścieżce i opieram go o schody ganku, na których duży rudy kot wyleguje się zadowolony w promieniach zachodzącego słońca. Pochylam się, by go pogłaskać.

— Cześć, Billy Smith — szepczę, łaskocząc go za uszami. Kot wydaje z siebie chrapliwe mruczenie i przeciąga się, jakby był z gumy, wysuwając z małych białych łapek pazurki. Uśmiecham się do siebie. Nie tylko mnie odpowiada życie w Kalifornii.

Otwieram drzwi i wchodzę do środka. W domu panuje spokój i cisza. Zdejmuję zabrudzone piaskiem klapki, wędruję przez salon i przystaję, by włączyć lampkę na stoliku. Obok niej stoi zdjęcie Gabe'a, które sama zrobiłam. Prezentuje się na nim przed wejściem do „Fabryki Śmiechu” na Bulwarze Zachodzą-

456

cego Słońca, na górze wisi napis dużymi czarnymi literami: „Anioł Gabriel na żywo”, a obok drugi: „Bilety wyprzedane”.

Z dumą przejeżdżam kciukiem po drewnianej oprawie. Nigdy nie zostanę fanką komedii w stylu stand-up, ale uczę się ją doceniać. Stwierdzam, że to trochę jak z piwem. Z myślą, że dobrze mi teraz zrobi schłodzone piwko, wchodzę do kuchni.

-NIESPODZIANKA!

Zastygam w progu.

Przede mną rozciągają się otwarte na oścież drzwi na werandę i widok na ogródek. W którym pełno kolorowych lampek i balonów, jest też wielki transparent z napisem: „Sto lat”, oraz mnóstwo ludzi, którzy podskakują i wydają z siebie okrzyki radości. O Boże.

Opieram się o lodówkę.

Urodzinowe przyjęcie-niespodzianka.

W pierwszym odruchu mam ochotę uciec, gdzie pieprz rośnie. Nienawidzę niespodzianek. Nie jestem przygotowana. Właśnie wróciłam z plaży. Mam piasek we włosach i ślad na twarzy po wygniecionym pryszczu. Wyglądam koszmarnie. Chcę iść pod prysznic. I potrzeba mi co najmniej pół godziny na przygotowanie fryzury i makijażu.

Ale jestem zbyt osłupiała, by wykonać jakikolwiek ruch.

I wtedy dostrzegam znajome twarze i znajome uśmiechy.

— Lionel... Ed... Jess! — wyrzucam z siebie i natychmiast czuję, że ogarnia mnie wybuch prawdziwej radości. Nagle odzyskuję władzę w nogach i biegnę do ogrodu, zarzucając wszystkim po kolei ręce na szyję.

— Lionel! Własnym oczom nie wierzę. I Rosemary! O rany... Jess! Ty małpo! Zęby nie powiedziec mi o czymś takim! A to jest twój nowy chłopak, Dominie? Cieszę się, że wreszcie mogę cię poznać! Ed i Lou, i... O Boże, to jest Ruby? Jest

457

prześliczna... Hej, Ruby, to ja, twoja ciocia Heather! Brian! Tak się cieszę, że cię widzę... I ciebie też, Neil!

Z trudem łapiąc oddech z radości, ściskam ich wszystkich i śmieję się, gdy Brian pstryka fotkę za fotką. Lionel wygląda jak okaz zdrowia, moja mała bratanica jest rozkoszna, a Jess wydaje się naprawdę szczęśliwa ze swoim nowym facetem i... wróć! Cofam to, co powiedziałam. Uwielbiam niespodzianki. Uwielbiam je, i to jeszcze jak!

— Ciii!

Nagle pośród całego tego zamieszania wszyscy zaczynają się uciszać.

O co chodzi? Dlaczego mamy być cicho?

A wtedy pojawia się Gabe niosący urodzinowy tort oświetlony dziesiątkami świeczek. Gdy zmierza po mozaikowym chodniku w moim kierunku, wszyscy zaczynają śpiewać Sto lat!

O Boże, zaraz się rozpłaczę. Oczy szczypią mnie od łez i całą pierś przepelnia mi szczęście. Jestem taką szczęściarą. Gabe miał rację. Nie zawsze musi być jakieś „ale”.

Kładzie tort na ogrodowym stole, odwraca się w moją stronę i całuje mnie w usta.

— Wszystkiego najlepszego, ślicznotko — szepcze, puszcżając mi figlarnie oczko.

Wybucham śmiechem i wszyscy gromadzą się wokół mnie, szykując aparaty, bo teraz pora na zdmuchnięcie świeczek. A wtedy Gabe wtrąca jeszcze:

— Tylko nie zapomnij pomyśleć życzenia! — śmieje się. Na skórze pojawia mi się

gęsia skórka, a w koniuszkach

palców czuję znajome mrowienie. Nie, Heather. Przecież obiecałaś. Spoglądam znowu na migoczące płomyki świeczek, biorę głęboki oddech i zamykam oczy.

Ale z drugiej strony...

Może by tak jedno, małe życzonko?

Podziękowania

Przede wszystkim pragnę złożyć ogromne podziękowania mojemu wydawcy, Sarze Kinselli, za to, że wierzyła zarówno we mnie, jak i w tę książkę oraz za jej entuzjazm i ciężką pracę, a także mojej agentce, Stephanie Cabot oraz wszystkim pracownikom agencji literackiej William Morris za ich nieustające wsparcie.

Książkę tę zaczęłam pisać w czasie, który okazał się punktem zwrotnym w moim życiu, i uświadomiłam sobie wtedy, jakie mam szczęście, że mam na całym świecie tak fantastycznych przyjaciół, na których zawsze mogę liczyć — dzięki, kochani, nie wiem, co bym bez was zrobiła! Szczególne podziękowania kieruję do Lynnette za nasze transatlantyckie rozmowy telefoniczne i szczęśliwe chwile spędzone w jej mieszkaniu na Fulham; do Dany, której życzliwość, zachęta i miłość do kolorowych czasopism sprawiły, że czułam się w Venice jak w domu; i oczywiście do Barneya, mojego kociego przyjaciela, który dotrzymywał mi towarzystwa podczas długich nocy spędzanych przy laptopie — masz u mnie puszkę karmy!

Jak zwykle pragnę podziękować mojej mamie i mojemu tacie za ich miłość i wsparcie — to po prostu najlepsi rodzice, jakich można sobie wymarzyć — oraz Kelly, za to, że jest

459

fantastyczną starszą siostrą, a także za jej opiekę podczas mojego pierwszego pobytu w Los Angeles.

I wreszcie dziękuję Saarowi. Gdybym zaczęła wymieniać, wypełniłabym pewnie resztę tej strony. Więc powiem po prostu: dzięki, Kochany. Za wszystko i o wiele więcej.

W SERII UKAZAŁY SIĘ:

Candace Bushnell Szminka w wielkim mies'cie

Kathleen Flynn Legalna fryzjerka

Bebe Moore Campbell Podwójne życie mojej córki

Avery Corman Rozwód doskonały

Nicola Krauss & Emma McLaughlin, Niania w Nowym Jorku

Nicola Krauss & Emma McLaughlin Dedykacja

Karolina Macios Wszyscy mężczyźni mojego kpta

W PRZYGOTOWANIU:

Candace Bushnell Piąta Aleja na Manhattanie

■

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak,

ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków. Wydanie I, 2008.

Druk: Drukarnia Kolejowa w Krakowie, ul. Bosacka 6, Kraków

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak,

ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków. Wydanie I, 2008.

Druk: Drukarnia Kolejowa w Krakowie, ul. Bosacka 6, Kraków